

David Levien

**MIASTO
SŁOŃCA**

Tłumaczenie Rafał Linkiewicz



1

Jamie Gabriel budzi się o 5:44, gdy dźwięk radia przecina ciszę. Przewraca się na bok i uderza w przycisk drzemki, przerywając tym samym słowa irytującej piosenki śpiewanej przez wymoczkę z boys bandu, który nosi takie same ciuchy i rusza się tak samo jak towarzyszący mu tancerze. Tacy są najgorsi. Dzieciaki w szkole mówią, że go lubią. Niektórzy pewnie tak, inni po prostu chcą być cool. Jamie słucha Green Day i Linkin Park. Na zewnątrz nadal jest ciemno. Wyłącza budzik i stawia stopy na podłodze. Budzenie się jest łatwe.

W sypialni śpią mama i tata. Carol i Paul. Jasnoniebieski dywan zajmuje całą podłogę. Jest nowy. Tamta szara wykładzina, która tu była, kiedy się wprowadzili, już dawno została wyrzucona. Niebieski lepiej pasuje do dębowych mebli w sypialni. Tak twierdzi mama.

Przeprowadzka do nowego domu na Richards Avenue w okręgu Wayne była dobrą decyzją rodziny Gabrielów. Drzewa rosną tu wzdłuż ulic. Przy domach są ogródki.

Jamie przechodzi obok swojego zdjęcia ze szkoły, które wisi na ścianie w korytarzu do łazienki. Nienawidzi go. Tego dnia, gdy przyszedł do nich fotograf, Jamie się nie uczesał. Włosy koloru pszenicy sterczały mu jak miotła. Nie wyszedł dobrze. Teraz robi siku. I to tyle. Umyje zęby, gdy wróci po śniadaniu, przed szkołą.

Przechodzi przez kuchnię. *Może zjem tosta?* - zastanawia się przez chwilę. - Potem - odpowiada sam sobie i wychodzi przez drzwi łączące dom z garażem. Mama i tata uwielbiają to połączenie z domem, niewielki warsztat i miejsce na białego minivana i niebieskiego buicka.

Jamie otwiera bramę garażu do połowy; rolki suną po szynach. Kłęb czarnej sierści wpada do środka i uderza go w nogi.

- Gdzie byłś Tater?

Ogon labradora o siwym pysku przez chwilę uderza w nogę chłopca. Po nocy spędzonej na włóczędzie Tater lubi sposób, w jaki Jamie mierzwi jego futro. Chłopiec odsuwa psa na bok i przeciska się pod bramą garażu.

Sterna porannego wydania *Star* już czeka. Jamie czuje zapach farby, gazeta trzyma jeszcze ciepło maszyn z drukarni. Zaciąga pakunek do środka i zabiera się do pracy. Składa każdy egzemplarz na trzy, aby łatwiej było rzucać.

Ładuje gazety w białe, płócienne torby i krzyżuje je na ramionach. W kącie stoi rower. Jego rumak. Sześć miesięcy odkładał to, co zarobił na roznoszeniu gazet, by mieć wymarzonego górala. To było już po przeprowadzce. Jamie pochyla się nisko i wyprowadza rower przez bramę garażu. Tater znów ociera się o jego nogę. Stary pies zaczyna skomleć. Trzęsie się i piszczy. Nigdy tego nie robił.

- Co się dzieje, Tater?

Jamie nie ma już czasu. Stawia stopy na pedały i rusza w trasę. Tater wciąż piszczy i skomle. Nigdy tak nie robił.

Ale psy wiedzą nieraz więcej.

*

- Trzeba było iść do McDonalda, gruby pojebie - powiedział Garth „Rooster” Mintz do Tada Forda, sięgając po kolejną grzanekę. Na twarzy Tada pojawił się grymas, szybko jednak zniknął. Zapach benzyny, śniadania z fast fooda oraz wody Old Spice, której używał Tad, wypełniał wnętrze lincolna z 81 roku.

- Jesz to samo co ja - odpowiedział Tad. - Masz po prostu szczęście, że od tego nie tyjesz.

Rooster umilkł. Zaczął żuć grzanekę.

Tad był niezadowolony z braku reakcji, ale nie zamierzał mówić nic więcej. Rooster ważył mniej o 34 kilogramy, był twardy i żylasty. Tad widział jego mięśnie. Kiedyś obserwował jak Rooster, zalany w trupa, masakruje jakiegoś facetowi twarz podczas bójki w pubie. Cała lewa strona nosa koleśka była naderwana i trzęsła się przy każdym oddechu. Na szczęście ktoś przytomny odciągnął kata od ofiary.

Rooster przeważnie śmierdział. Rzadko się kąpał i szybko wychodziły mu plamy potu na ciele po podciąganiu, przysiadach i pompkach. A on wtedy przecierał tylko swoje tatuaże. Jego włosy, w kolorze rudy blond, były zawsze potargane i tłuste. No i oczywiście blizny. Okropne, czerwone blizny pokrywały jego przedramiona, zupełnie jakby ktoś rzucił się na niego z nożem myśliwskim. Kiedy Tad w końcu zebrał się na odwagę, by zapytać, skąd Rooster ma tyle szram, ten rzucił krótko: - Nie wnikać.

I Tad przestał wnikać.

- Masz po prostu szczęście, że od tego nie tyjesz - powtórzył, przeżuwasz swoją grzanekę.

- Taa, mam szczęście - odburknął Rooster i spojrział w dół ulicy, nadal ciemnej, otoczonej tymi pieprzonymi drzewami. - Trzeba było iść do McDonalda.

*

Jamie Gabriel, jeździec, pedałuje. Przepląta obok cichych o tej porze domów, pograżonych jeszcze we śnie. Rzuca gazety do ogródków i na ganki. Doskonali łuk i prędkość rzutu. Automatyczny zraszacz cicho podlewa trawnik, nadal niebieski w słabym świetle poranka. Jamie ciska pakunek w kierunku drzwi wejściowych domu, aby gazeta się nie zmoczyła. Mocno naciska na pedały. Rząd latarni gaśnie z cichym sykiem, z każdym krokiem poranka. Tata mówi, że to wspaniale, iż miejsce, do którego się wprowadzili, wspiera tradycję rozwożenia gazet. Mama nie jest pewna - przecież jej syn potrzebuje wypoczynku. Ale niewielu ludzi zna te ulice tak dobrze jak Jamie. Ciemne i puste są jego ulicami.

Na początku nie za bardzo podobał mu się ten pomysł. Długo się przyzwyczajał, przemierzając trasę swoim starym rowerem. Potem zarobił na nowy i przeczytał starą historię o listonoszu, który został kolarzem na igrzyskach olimpijskich. *Także mogą być kolarzem* - myśli Jamie. Ma nawet jego zdjęcie. Spodenki czarnego mężczyzny falują na wietrze, a on naciska na pedały z taką siłą, jakby miał zamiar rozerwać swój rower na strzępy.

Jamie patrzy na zegarek. Świetny czas.

*

Rooster spojrział na zegar wewnątrz lincolna. Cholerny wóz cuchnął teraz od starego wycieku paliwa i coraz bardziej przesiąkał bąkami Tada, które przygniatały słodkawy zapach jego wody po goleniu. Ale samochód był bez zarzutu. Riggi kupił go za gotówkę i dostarczył ze zmienionymi tablicami.

Rooster nienawidził tych cholernych przesylek. Zawsze tyle się trzeba napieprzyć z tymi dzieciakami. Napiął przedramię, poczuł mięśnie poruszające się pod pokrytą bliznami skórą i jasnorudymi włosami na rękach. Łapa była gruba jak na jego posturę. Był napakowany. Miał w sobie wiele dyscypliny, jeśli chodzi o siłownię, ale był także leniwym bydlakiem - tak podejrzewał - jeśli chodziło o inne aspekty tej roboty. Nienawidził tych pieprzonych porwań. Przecież każdy mógł je robić. Nie to co robota w domu, później.

To była elitarna robota. On to potrafił.

- Włącz silnik - powiedział cicho Rooster, ponownie spoglądając w kierunku zegara. Podniósł się, wyglądając przez przednią szybę lincolna. Pieprzony wóz był jak mostek statku kosmicznego.

- O kurwa! - poderwał się Tad. Ostatni kęs ciastka nadal tkwił w jego przełyku. Samochód ruszył powoli.

Dostrzegli ruch na rogu ulicy.

*

Jamie pochyła głowę i mocno naciska na pedały. Ma szansę pobić swój rekord. Przechyla się w prawą stronę na zakręcie w Tibbs. Płócienna torba na lewym ramieniu zrobiła się lżejsza i ciężko jest utrzymać równowagę. Prostuje rower i podnosi wzrok. Z naprzeciwka wolno nadjeżdża samochód. Jest wielki. Jamie sunie prosto na zardzewiałą maskę.

Opony auta trą niemiłosiernie o asfalt i piszczą. Unosi się dym, powietrze przesiąka zapachem palonej gumy. Hamulce naprężają się do granic możliwości, ale wytrzymują. Rower i samochód stają. Dzieli je centymetry.

Jamie potrząsa głową, wzdychając z ulgą i zaczyna pchać rower w kierunku krawężnika. Po drodze schyla się, by podnieść kilka gazet, które wypadły z toreb.

Otwierają się drzwi wozu. Ciężkie buty uderzają o chodnik. Jamie spogląda w tę stronę. Dwaj mężczyźni. Idą w jego kierunku. Chłopiec mocno ściska hamulec, gdy podchodzą.

2

Carol Gabriel odgarnia kosmyk swych ciemnoblond włosów i próbuje pić kawę. Ziarna Folgers, świeżo mielone, łagodnie palone. Jej znajomi lubią Starbucks, ale dla niej jest za gorzka. Poza tym Carol wie, że piją ją jedynie ze względu na znaną markę.

Stoi w kuchni i wygląda nad zlewem przez małe, kwadratowe okno. Przez większość czasu od przeprowadzki na jej ustach gościł uśmiech. Zwłaszcza kiedy trzy tygodnie temu rozkwitła jesień i drzewa lśniły pełną gamą kolorów. Dziś, pomimo że dzień jest jasny i piękny, na jej twarzy widać niepokój. Czuje w żołądku ciężar drugiej kawy. Zazwyczaj Jamie wprowadza swój rower na podjazd, zanim Carol zdąży uporać się z pierwszą filiżanką.

Paul wchodzi do kuchni, niebieski krawat luźno wisi mu na szyi. Z nosem w broszurze potyka się o jedno z krzeseł, uderza boleśnie kolanem i udem. Krzesło przesuwają się po kafelkach. Hałas zmusza Carol do podniesienia wzroku.

Wspólne lokaty. Korzystnie opodatkowany przepływ gotówki z ochroną kwoty głównej
- Paul nie wymyślił jeszcze, jak sprzedać ten pomysł. Wie, że musi szybko opracować strategię, żeby taki towar wcisnąć klientom. Coroczne składki na polisę, która w wieku 65 lat ma zapewnić spokojne życie - oto dzięki czemu wprowadził się do tej dzielnicy. Poszerzył swą ofertę i dotarł do nowych klientów. Przyłożył się solidnie i kupił dom, na którego spłatę było go stać nawet podczas najgorszych miesięcy. A wszystko dzięki prowizjom z polisy. Teraz miał tylko jeden cel - nigdy już nie mieć najgorszych miesięcy.

Paul z namaszczeniem przeżuwa kawałki tosta. Sięga po kolejnego prawą ręką, lewą przykładając do brzucha. Niezły bęben. Hodowany przez trzydzieści pięć lat. Do trzydziestego pierwszego roku było niezłe, ale przez ostatnie cztery stracił formę. Przy dwóch metrach wzrostu przez większość życia był szczupłym biegaczem. Ale któregoś dnia doznał poważnego urazu pięty. Lekarze zalecali operację, ale to oznaczało długą rekonwalescencję, więc Paul postanowił przez to przebiec. Lekarze mówili, że to nie ma prawa się udać, że kontuzja będzie się pogarszać. Ale on uważał inaczej. Biegł kilometr za bolesnym kilometrem, aż w pewnym momencie poczuł, jakby coś poruszyło się w jego stopie, jakby coś

się zmieniło - pięta przestała boleć.

A potem jego praca dokonała tego, czego ból nie potrafił. Paul musiał skończyć z bieganiem. Wracał do domu zmęczony, ale był to inny typ zmęczenia niż to, jakie odczuwał za młodych lat, gdy jeszcze pracował fizycznie. Kilka szkockich tygodniowo zmieniło się w kilka szkockich co wieczór. Dopiero wtedy mógł zasnąć. Ten zwyczaj, jak podejrzewał, miał swój wkład w pierwszą warstwę sadła. Zaczął pić wódkę. Pomogło, ale nie był w formie. Wiedział o tym.

- Paul, martwię się - szepnęła Carol, stając nad nim.

Paul spogląda w górę. Na jej twarzy widać cień niepokoju.

- Widziałeś Jamiego na zewnątrz?

- Nie. A co się stało?

- Nie ma go w domu i nie słyszałam, żeby wchodził do środka.

- Może wyszedł wcześniej do szkoły?

Na jej twarzy widać co najmniej tuzin pytań, a najprzyjemniejsze z nich brzmi: które dziecko wychodzi wcześniej do szkoły?

Jakim cudem dorosły mężczyzna może być tak cholernie głupi? - taka myśl pojawia się w jej umyśle. Od razu zaczyna czuć się winna z tego powodu i wyrzuca ją z głowy. Niepokoju wyrzucić nie potrafi.

- Masz rację - mówi Paul. Dopija kawę, zbiera wszystkie broszury ubezpieczeniowe i wstaje. - Może jego rower się zepsuł?

Carol spogląda na niego z powątpiewaniem.

- Jestem już spóźniony, ale przejadę jego trasę i poszukam go po drodze do biura. Zadzwoń do mnie, jeśli się pojawi. Chcę wiedzieć, dlaczego...

- Zadzwoń, jak tylko go zobaczysz. Zadzwoń najszybciej, jak będziesz mógł. Spróbuję skontaktować się z Daughertymi. Może jest u nich.

- Jasne. Pewnie tam właśnie jest.

Paul całuje żonę i kieruje się w stronę drzwi. Ma wrażenie, jakby właśnie pocałował manekina.

Matki wiele rzeczy czują szybciej.

*

Niebieski buick lesabre Paula przemierza sąsiedztwo. Puste i ciche jeszcze godzinę

temu ulice zaczynają szumieć. Minivany wiozą dzieci do szkoły. Przedszkolaki pedałużą na rowerach w grupach. Nastolatki jadą do liceów czwórkami w samochodach. Biegacze i ludzie z psami mijają się rozsiani po chodnikach.

Paul zatrzymuje się przed miniaturowym znakiem stopu trzymanym przez podstarzałą kobietę z siwymi włosami i pomarańczową szarfą na piersi. Przeprowadza grupę ósmiolatków tuż przed maską buicka. Paul opuszcza szybę.

- Zna pani Jamiego Gabriela? Widziała go pani?

- Nie znam ich z imienia - odpowiada kobieta. W jej głosie słyhać lata palenia papierosów. - Znam jedynie twarze.

- Widziała pani gazeciarza? - pyta Paul i od razu żałuje, że nie zabrał ze sobą zdjęcia. - Jego rower mógł się zepsuć.

- Nie, widziałam jedynie dzieci idące do szkoły.

Paul niezadowolony kiwa głową i odjeżdża. Skręca w prawo w Tibbs. Ulica jest poplamiona olejem samochodowym. Jamiego tu nie ma, nic nie odbiega od normy. Niepewny co ma dalej robić, Paul dojeżdża do końca trasy syna i rusza do biura.

*

Rooster siedzi i sączy poranne piwo. Ciężkie dźwięki gitary łomoczą w jego głowie. Słuchał Mudvayne cały poranek. Wyłączył muzykę przed chwilą, ale wciąż ją słyzy. Potrafi tak robić. To jedna z wielu rzeczy, które on potrafi, a których nie potrafią inni. Jest wyjątkowy. Wie o tym. Ale nie jest szczęśliwy. Posiadanie takiego zmysłu to nie to samo co szczęście. Jego umysł otacza się dźwiękiem gitary. Nie chce myśleć o tym, co jest w pokoju. W końcu słyzy vana podjeżdżającego przed dom.

Tad wytacza się z pojazdu, ściskając sześciopak piwa Blue Ribbon i drugą turę jedzenia. Tym razem, zgodnie z poleceniem, żarcie jest z McDonalda. Podchodzi do domu. Największa rudera w okolicy. Farba odpada ze ścian całymi płatami, jedynie okna z boku i okna pokoju na końcu korytarza są świeżo malowane. Na czarno. Gdyby ktoś pytał, nazywają to swoim studium muzycznym. Ale nikt nie pyta. Sąsiedzi woleliby, aby ta buda zniknęła - wówczas wartość nieruchomości w okolicy poszłaby w górę.

Tad wchodzi, zdejmując okulary przeciwsłoneczne i wkłada je do kieszeni na piersi swojej flanelowej koszuli. Salon jest obskurny. Stary, wyblakły dywan oraz dwie kanapy - zielona i pomarańczowa - kupione w sklepie ze starociami i nieodnawiane od lat to jedyne wyposażenie.

Pudełka i opakowania po jedzeniu z fast foodów zaśmiecają przestrzeń, która udaje jadalnię. Rooster siedzi na krześle naprzeciwko wyłączonego, dwudziestoletniego telewizora. Antena przypomina uszy królika. Zrobiona z folii aluminiowej stoi na kartonie po mleku. Mięśniak patrzy w ciemny ekran i delikatnie porusza się w takt muzyki, którą słyszy w głowie. Nie ma na sobie koszuli.

- Ale z ciebie leniwy bydlak.

Wzrok Roostera nadal spoczywa na ekranie, nawet gdy pokazuje Tadowi środkowy palec.

- Brak ci jakiegokolwiek etyki zawodowej.

- Gadałeś z Riggim? - pyta Rooster, zupełnie jakby Tad dopiero co wszedł do pokoju, a wcześniejsze komentarze nie miały miejsca.

- Nawet nie zmieniłeś pozycji. Siedzisz, jak cię zostawiłem. Spójrz na siebie.

- Byłem tam już dwa razy, odkąd wyszedłeś - mówi Rooster beznamiętnie. Jego oczy, równie beznamiętne, zwracają się w kierunku Tada i zatrzymują go w miejscu. - Gadałeś z Riggim?

- Dwa razy? Gówno prawda... - Tad odzyskuje oddech. - Ehe, gadałem z nim.

- Co powiedział?

Tad stawia piwa na stole, pomiędzy wszystkimi śmieciami. Otwiera jedno dla siebie, drugie rzuca Roosterowi.

- Pan Riggi potrzebuje go na czwartek.

Rooster bierze niewielki łyk.

- Czwartek, niech to szlag.

- Ehe - zaczyna Tad, ciesząc się zakłopotaniem swojego partnera. - Załatwił wszystko na czwartek, więc lepiej bierz się do roboty.

- Poważnie? Ja mam się wziąć do roboty? Może tym razem twoja kolej? - wypowiedź Roostera ucisza Tada.

- Nie, dzięki. To ty jesteś zawodowcem.

Rooster z zadowoleniem lekko kiwa głową. Łyka tabletkę, popija piwem i chwiejnie wstaje. Vicodin. Kiedy coś cię boli, lek zabija ból. Kiedy nic cię nie boli, lek zabija inne rzeczy. Rooster zbiera się w sobie i rusza zdecydowanym krokiem w kierunku drzwi do sypialni na końcu korytarza.

Tad wciska się w fotel przed telewizorem, pochyla się do przodu i włącza kreskówki. Głośno.

*

Dźwięk zamka otwieranego od zewnątrz, drzwi uchylają się, wpuszczając nieco światła do ciemnej, brzydkiej sypialni. Okna zamalowane na czarno i okratowane od wewnątrz są zabite tak, aby nie można było ich otworzyć. Łóżko bez pościeli jest tu jedynym meblem. Rooster sięga i poprawia gołą żarówkę zwisającą z sufitu, aby lepiej oświetlić pokój. Pomiedzy łóżkiem a ścianą kuli się ciało, nadal zapłakane i nierozumiejące, co się dzieje. Twarz mężczyzny zamienia się w maskę, która nie wyraża ani wściekłości, ani gniewu. Nie wyraża nic.

Na obliczu chłopca pojawia się grymas bólu, strachu, niezrozumienia, a także, trudno dostrzegalnej, czystej furii. Nic nie mówi, po prostu stara się odsunąć możliwie najdalej od mężczyzny.

- Oto jestem - mówi Rooster. Zamyka drzwi kopniakiem. Powoli podchodzi do chłopca.

W salonie Tad podkręca głośniki telewizora. Charczą niemiłosiernie.

*

Cholera! Gdzie położyłem instrukcję obsługi tego BlackBerry? - Paul przeszukuje zawalone papierami biurko. Wszystkie telefony w biurze są zajęte. Programował numery w tym przeklętym urządzeniu od tygodni, a teraz nie może zmusić go do działania. Na panelach w biurze wiszą oprawione w ramki certyfikaty i dyplomy wyróżniające agenta ubezpieczeniowego Paula Gabriela. Żadnego z nich teraz pożytku.

Janine pojawia się w drzwiach.

- Carol na linii trzeciej - mówi kobieta, po czym znika.

Paul dzwonił do żony w drodze do pracy i przekazał jej, aby zaczęła szukać Jamiego.

- Carol? Właśnie rozwalil mi się BlackBerry. Pojawił się? Bo jak się pojawi, to musi wyjaśnić...

Jej odpowiedź mrozi mu krew w żyłach. Jest 10:15.

- Policję? Możemy, ale nie jestem pewien. To chyba trochę drastyczne... - jego wzrok staje się nieobecny. Świat jest pełen możliwych rozwiązań, ale on nie jest gotowy, by przystać na jakiegokolwiek inne niż szybki powrót Jamiego.

Czasami ojcowie wolą nie wiedzieć.

- Jeśli nie pojawi się po szkole... - Paul urywa. Żołądek zaczyna boleć, czuje, jak kwas zżera go w środku. Zupełnie jakby wypił sześć filiżanek kawy i nic nie jadł. - Nie, masz rację.

Wróć do domu i zajmijmy się tym. Spróbuj się nie martwić.

Ale odkładając słuchawkę, sam zaczyna odczuwać niepokój.

*

Paul i Carol stoją bez ruchu pośrodku zatłoczonego posterunku. Biurokratyczny wir. Wszystko porusza się w zwolnionym tempie, zupełnie jak stara, zniszczona kasetka wideo uwieczona w odtwarzaczu.

Gestami rąk tłumaczą coś wielkiemu policjantowi, który kiwa się na krześle. Nieco później siedzą przy biurku patrolowego, który wygląda na naprawdę zatroskanego. Wypełniają formularze, dają mu zdjęcia.

Teraz czekają w ciszy na drewnianej ławce. Paul trzyma zimną kawę w jednej ręce, w drugiej lodowatą dłoń Carol. Jej twarz zaczyna wyrażać rosnące napięcie. Nie widać tego jeszcze zbyt wyraźnie, ale Carol zaczęła jakby kurczyć się w sobie.

Nareszcie. Nareszcie zatroskany patrolowy prowadzi ich do biura kapitana Pomeroya. Mały pokój o ścianach ze szkła. Pomeroy to pulchny mężczyzna z charakterystycznie zarysowanym nosem. Wygląda na miłego. Krawat przytrzymuje srebrna spinka. Z kieszeni koszuli wystają srebrny długopis i ołówek. Włosy ułożone na żel, twarz pachnie wodą Aqua Velva, usta pełne gumy nikotynowej.

- Pan i pani Gabriel. Przeglądałem dokumenty, które państwo wypełnili i chciałbym zapewnić, że policja zrobi wszystko, aby pomóc odnaleźć syna... yyy... Jamesa.

- Jamiego - wyrywa się spomiędzy zaciśniętych zębów Carol.

- Jamiego - Pomeroy robi notatkę. - Choć to zdrobnienie od...

- Nie, to jego imię. Widnieje w jego akcie urodzenia.

- Zanim weźmiemy się do pracy, zanim oficjalnie otworzymy sprawę, muszę być pewien co do jednej rzeczy... To znaczy, chodzi o to, czy wasz syn już wcześniej nie uciekał.

- Zaginął. Wiem o tym. Słyszy się o takich rzeczach.

- Proszę pani, większość matek... Proszę posłuchać, chciałbym być po prostu pewien. Wiedzą państwo, chłopcy to w końcu chłopcy.

- Co? - z gardła Paula wydobywa się skrzek, zupełnie jakby od lat nie używał swojej krtani.

- Chciałem tylko powiedzieć, że często w tego typu sytuacjach... Może miał test z matematyki, na który nie chciał przyjść. Albo dostał złą ocenę z fizyki i nie chciał, żebyście...

- Nie Jamie.

- Pani Gabriel... - mówiąc to, Pomeroy zmienia pozycję w fotelu na wygodniejszą i poprawia kaburę na biodrze. Patrzy na Paula, w jego wzroku widać niemą prośbę o pomoc.

- Kochanie, jestem pewien, że wszyscy tak myślą o swoich dzieciach...

- Dokładnie! - Pomeroy wyrzuca z wdzięcznością. - Prawdopodobnie po prostu...

Nadzieja jest cienką gałęzią, której obaj mężczyźni trzymają się najmocniej, jak potrafią. Niestety, ta gałązka nie jest w stanie utrzymać ciężaru Carol. Wyraz jej twarzy zatrzymuje Pomeroya w pół zdania.

- Proponuję, abyście porozmawiali z jego nauczycielami - policjantowi udaje się rozpocząć kolejną myśl. - Spytajcie jego kolegów, czy...

- Dobrze, zrobimy to, ale... - mówi Paul.

- Bardzo nam w ten sposób pomożecie.

Pomeroy zaczyna stukać swoim srebrnym długopisem o kant biurka.

- Co zamierzacie zrobić w tej sprawie? Wzmocnicie czujność, ogłosicie alarm? - pyta Carol.

- Już to zrobiliśmy. Podaliśmy informacje innym służbom i instytucjom. Ale skoro pani nalega, rozpoczniemy oficjalną sprawę. Będziemy obserwować państwa dom. Także pana miejsce pracy. Wyślę funkcjonariuszy do państwa sąsiedztwa, aby chodzili od drzwi do drzwi i pytali o chłopca. I chcę, abyście zadzwonili zaraz po tym, jak wasz syn się pojawi - Pomeroy wyprowadza ich ze swojego biura ze szklanymi ścianami. - Ponieważ pojawi się... - zaczyna się uśmiechać. - Pojawi się... - mówiąc to, zamyka za nimi drzwi.

- Ten człowiek nam nie pomoże - Carol stwierdza z rezygnacją.

Paul milczy.

*

Czas został zmieniony na zimowy i ciemność zaczęła nastawać w Indianie wcześniej. Buick zatrzymuje się na podjeździe. Po długich godzinach poszukiwań i rozwieszania plakatów Paul wysiada z samochodu, dokładnie tak samo jak wiele razy wcześniej, gdy odbierał Jamiego z treningu. Carol po wielu godzinach spędzonych przy telefonie pojawia się w drzwiach. Potrząsa głową. W świetle zachodzącego słońca Paul jest przystojnym, wciąż młodym ojcem. Przygląda się swojemu wymarzonemu domowi i swojej wciąż młodej żonie. Radiowóz stoi przy krawężniku. Paul zaczyna iść w stronę domu, Carol wychodzi mu naprzeciw. Dwoje ludzi trzyma się w objęciach, oboje niepewni, czego dokładnie chcą się trzymać. Słońce zachodzi za drzewami.

*

Paul je ponurą kolację składającą się z płatków. Do telefonu podłączone jest urządzenie namierzające i nagrywające rozmowy. Jego praca jest nadzorowana przez dwóch policjantów w radiowozie na zewnątrz.

Carol siedzi obok Paula. Wygląda, jakby była w transie. Słysząc odgłos drapania pazurów o kuchenne drzwi. Carol wstaje i wpuszcza Tatera. Na pysku widać krew. Kobieta bierze ręcznik kuchenny i wyciera go do czysta. Pies nie jest ranny - najwyraźniej krew należy do innego zwierzęcia. Tater wybiega z kuchni i kieruje się do salonu, podniecony zapachem psów policyjnych, które tego dnia były w domu. Paul wrzuca do swojej miski kolejną porcję płatków Lucky Charm. Z pudełka wypada nagroda.

- Jamie czekał na nią. Zatrzymam ją dla niego - Paul kładzie zabawkę obok siebie na stole. Jeszcze tylko sekunda i nie wytrzymuje. Ciałem zaczynają wstrząsać drgawki. Płacze.

Carol stoi po drugiej stronie kuchni. Nie podchodzi do męża. Po pewnym czasie łkanie cichnie.

- Chodźmy spać - mówi. *Może jutro obudzimy się i to wszystko okaże się po prostu złym snem.* Chce powiedzieć te słowa, ale się powstrzymuje.

Paul wchodzi po schodach. Carol włącza światła w salonie i na ganku.

- Zostawmy je na wszelki wypadek - mówi i podąża za mężem do sypialni.

*

Drzwi otwierają się, światło docierające z korytarza pada na materac, który chłopiec zdjął z łóżka i oparł o ścianę, tworząc sobie azyl. Rooster wrzuca tłustą torbę z jedzeniem do pokoju i uśmiecha się pod nosem, widząc prowizoryczne schronienie. *Tego jeszcze nie widziałem. Jakby miało to coś dać* - śmieje się w duchu. Zatrząskuje za sobą drzwi. Pokój ponownie wypełnia się ciemnością.

*

Paul leży na plecach w ciemnej sypialni, nieświadomy niczego dookoła. Unosi się w przestrzeni, którą wypełnia jedynie jego nieszczęście. Smutek, którego nigdy nie był sobie w stanie wyobrazić, otacza go z każdej strony. Atakuje. Miażdży. Wyczerpuje. Z łazienki dobiega odgłos lejącej się wody. W wannie Carol rozmyśla o swoim synu. Gdy Jamie miał trzy lata, wymyślił sobie grę „w odpływ”.

- *Mamusiu wezwij hydraulika, zniknąłem. Zniknąłem w odpływie...*

Ciałem Carol wstrząsa dreszcz. Woda huczy i leje się coraz głośniejsze. Carol zdaje sobie sprawę, że to nie woda wydaje taki straszny dźwięk. To jej krzyk.

*

Rooster i Tad siedzą przy zaśmieconym stole. W tle gra ciężka muzyka, Tad rytmicznie uderza pięścią w stół.

- Będzie gotowy? - pyta.

Rooster patrzy na swojego partnera. Tad od niedawna bierze metamfetaminę i teraz właśnie jest pod jej wpływem. Rooster potrafi to dostrzec, ponieważ od Tada bije ten charakterystyczny, brudny blask. Meta to parszywy narkotyk, który otwiera pory i wydaje się zasysać wszelki, unoszący się w powietrzu brud. Ten świr musiał przypalić, kiedy Rooster ostatnim razem odwiedzał pokój na końcu korytarza. Obrzydliwe.

- Oczywiście, że będzie gotowy, dziwko!

- Bo to jest najważniejsze, pieprzony czwartek jest najważniejszy. Wiesz o tym, frajerze?

Wzrok Tada jest teraz dziki i wściekły. *Byłby zupełnie inny, gdyby nie to gówno* - myśli Rooster.

- Wiem o tym, lamusie - ripostuje Rooster, rzucając w Tada kapslem. Niestety, nie trafia tłuszczochę.

- Lepiej uważaj! - Tad stara się uniknąć pocisku, który już leży na podłodze. - Mówię o tym, żebyś nie zapomniał, kutasie.

- Jestem profesjonalistą, pojebie!

Ta obelga sprawia, że Tad Ford nie wie, co odpowiedzieć. Nie ma pomysłu na coś bardziej obraźliwego.

- Słuchaj pedale... - Tad zaczyna mówić. Nie kończy.

Słychać cichy dźwięk otwieranego ostrza i sekundę później ma nóż na gardle. Rooster wyjął go błyskawicznie z tylnej kieszeni. Tak po prostu. Tad czuje stal na swojej krtani.

- Ani słowa więcej! Ani przepraszam, ani kurwa nic! Słyszysz mnie? - twarz Roostera jest czerwona z gniewu.

Tad powoli kiwa głową.

*

W szkole imienia Kennedy'ego właśnie skończyły się zajęcia. Z budynku wylewa się fala dzieci podążających w kierunku samochodów rodziców lub szkolnych autobusów. Carol Gabriel idzie pod prąd w stronę niskiego budynku. Zastanawia się, jak mogła to sobie zrobić. Czemu nie przyszła tu później. Minęły cztery dni, odkąd policja opuściła jej dom. Każdy plecak, każda kurtka boleśnie przypomina o jej synu. Alex Daugherty podchodzi do niej.

- Dzień dobry pani Gabriel.

- Alex. Cześć Alex - mówi Carol, pochylając się. Chłopiec wydaje się wiedzieć, że coś nie gra, ale nie jest pewien co. - Wiesz, że Jamiego nie ma od kilku dni? - kontynuuje kobieta. Zauważa, że nie może powstrzymać się przed dotknięciem chłopca. Jej ręka wędruje w jego kierunku, przesuwa się po jego ramieniu i głowie. Jej dłonie, w tej chwili całkowicie niezależne od umysłu, muszą się przekonać, czy ten chłopiec jest rzeczywiście prawdziwy.

- Tak, wiem.

- Wiesz może, czy się czymś nie martwił? Czy w szkole wszystko było w porządku i w ogóle?

- Czy on uciekł?

- Raczej nie - rozmowa już w tej chwili wymaga od Carol zbyt wiele. - Nie miał żadnych problemów, o których ci mówił? Nie poznał nikogo? Żadnych tajemnic? Powinieneś mi o tym powiedzieć, bo to bardzo ważne.

Alex potrząsa głową i zaczyna patrzeć w chodnik. Trochę dalej, z zaparkowanego przy krawężniku wana wysiada jego mama.

- To moja mama, muszę iść.

Carol prostuje się i spogląda w oczy Kiki Daugherty, która macha na powitanie. Carol opowiedziała jej o wszystkim, a Kiki powiedziała to, co w takich sytuacjach należy powiedzieć. Carol patrzy z zazdrością, jak matka odbiera swojego syna. Jeśli w oczach Kiki jest jakiegokolwiek oskarżenie, jakiegokolwiek „co z ciebie za matka?”, to kobieta nie daje tego po sobie poznać. Carol rusza w kierunku szkoły.

W sali Jamiego czeka jego nauczycielka - Andrea Preston, czarna kobieta. Ma dwadzieścia siedem lat, podaje Carol filiżankę kawy.

- Mamy zebrania, na których uczymy dzieci, żeby nie rozmawiały z nieznajomymi, nie wsiadały do ich samochodów. Wczoraj mieliśmy kolejne, żeby...

- Tak, tak - słowa Carol rozbrzmiewają w pustej sali.

- Jamie jest wystarczająco duży, żeby o tym wiedzieć. Chciałam się po prostu upewnić, czy w szkole było wszystko w porządku. Nie miał problemów, prawda? - w jej głosie słychać panikę. Może nic nie było takim, jakim jej się wydawało. Radził sobie dobrze.

Naprawdę dobrze - nauczycielka mówi powoli. Na jej twarzy gości smutny uśmiech, który ma nadać pustym słowom głębsze znaczenie. - Trochę problemów z ułamkami, nic nadzwyczajnego. Chciałabym móc powiedzieć pani coś więcej.

Carol zdaje sobie sprawę z tego, jak młoda jest nauczycielka, oraz z faktu, że ona też jest załamana. Czuje, że powinna ją pocieszyć, ale jak?

- Mogę zabrać jego rzeczy z szafki?

Nauczycielka kiwa głową.

*

Zapuszczony trawnik w szarym kolorze przed obskurnym domem jest pokryty szronem czwartkowego poranka. Tad siedzi za kierownicą vana, starzejącego się forda econoline z zamalowanymi tylnymi szybami. Słucha porannego programu radiowego. Stara się trzymać z daleka od Roostera, który paląc papierosa chodzi po ganku w tę i z powrotem.

Wspaniały, czarny oldsmobile cutlass supreme z przyciemnionymi szybami i robionym na zamówienie szyberdachem zatrzymuje się przed domem. Zza kierownicy wysiada krępy mężczyzna. Garnitur za kilkaset dolarów, na szyi złoto, ciemne okulary. Jest łyśy. To Oscar Riggi. Ważny gość.

Rooster gasi papierosa.

Tad wyskakuje z vana i przechodzi przez chmurę spalin wydostających się z econoline'a.

- Jak się pan ma, panie Riggi?

Tad podlizuje się najlepiej jak potrafi. Rooster nie musi. Nie tak łatwo go zastąpić.

- Rooster. Tad. Jak tam nasze sprawy? Co z przesyłką?

- Wszystko w porządku proszę pana. Już zapakowana - odpowiada Tad, bezwiednie spoglądając w kierunku vana i myśląc instynktownie o wycięciu w podłodze. Klepie bok samochodu.

Riggi patrzy przez Tada, jakby mężczyzna był chmurą spalin.

- Dobrze poszło, Rooster?

- Jak zwykle, kapitanie.

Rooster rzuca niedopałkiem w kierunku Tada. Celuje obok. Na tyle daleko, żeby Tad nie mógł nic powiedzieć.

Riggi pokonuje pierwsze schodki prowadzące do domu i rzuca Roosterowi grubą rolkę banknotów. Ten łapie ją z nonszalancją. Chowa do kieszeni. Riggi klepie go po plecach, nie

bez uczucia.

- Mogę na ciebie liczyć, prawda?

- Jasne, szefie.

Tad podchodzi bliżej, aby dołączyć do mężczyzn. Jest dużo większy od nich, ale w ich obecności czuje się kruchy i słaby. Nie odwracając wzroku od Roostera, Riggi sięga do kieszeni po wypchaną kopertę, którą wręcza Tadowi.

- Tu masz adres dostawy i instrukcje, którymi drogami masz jechać. Naucz się ich na pamięć, zapisz kodem, nie obchodzi mnie to. Potem masz to zniszczyć. W środku znajdziesz też pieniądze na podróż.

Tad stara się wyglądać poważnie. Jak ktoś, kto nad wszystkim panuje.

- Okay, okay.

- Masz dzwonić do mnie co osiem godzin, bez względu na to, gdzie jesteś. Rozumiesz? Chcę, żeby mój telefon dzwonił co osiem godzin.

- Rozumiem.

- Skąd do mnie zadzwonisz?

- Nieważne skąd, co osiem godzin.

Riggi uśmiecha się krzywo, jakby właśnie zjadł coś kwaśnego.

- Resztę pieniędzy dostaniesz po powrocie.

- Tak, proszę pana.

Riggi kiwa głową i dopiero teraz odwraca się w stronę Tada.

- Jeszcze tu jesteś?

Tad w pośpiechu wciska się do vana i odpala silnik. Riggi spogląda na Roostera.

- Jadłeś już śniadanie?

3

Czternaście miesięcy później.

Paul Gabriel sypie drugą miskę płatków. Sięga do niej i wyjmuje nagrodę. Gumowy astronauta. Wrzucony do wody powiększa się osiem i pół raza. Paul stawia go obok reszty nagród, które trzyma dla swojego syna. Jest ich ponad tuzin. Mężczyzna zaczyna masować skronie. W ich pobliżu pojawiły się już siwe włosy. Jest blady. Wygląda na zmęczonego.

Odkłada łyżkę.

- Carol? Carol? Jesteś gotowa? Powinniśmy już iść.

Chwilę później jego żona pojawia się w kuchni. Strój nie poprawia jej wyglądu. Nie ma makijażu, pod oczami widnieją ciemne kręgi. Przechodzi przez zapuszczoną kuchnię. Podnosi gąbkę z blatu i wrzuca ją do zlewu pełnego brudnych naczyń. Stoi teraz obok Paula, który właśnie zmienił zdanie co do płatków i wylewa je do śmieci. Mężczyzna ma wrażenie, jakby patrzył na siebie i swoją żonę z boku. Wyglądają razem strasznie, dom wygląda strasznie, wszystko jest straszne.

- Chodźmy już.

Paul zabiera kluczyki do samochodu. Carol trzyma cienką teczkę z przypiętym zdjęciem Jamiego. Wystają z niej raporty i formularze. Wychodzą.

*

Posterunek rozbrzmiewa gwarem wokół Gabrielów, którzy siedzą nieruchomo, niczym para posągów, na ławce przed biurem kapitana Pomeroya. Na drugim końcu sali widzą tego samego zatroskanego policjanta, który przyjmował ich zeznania. Minęło już tyle czasu. Napotykać jego spojrzenie. Policjant pozbywa się swojej smutnej miny i z poczuciem winy odwraca od nich głowę. Paul i Carol siedzą tylko kilka centymetrów od siebie, ale czują, że dzielą ich lata świetlne. Każde z nich zamknęło się w emocjonalnym kokonie, w którym przebywa samotnie. Żadne nie jest w stanie dotrzeć do drugiego. Jedyne, co ich łączy, to

wspólnie poniesiona porażka.

Widzą Pomeroya w jego gabinecie. Trzyma nogi na biurku zajęty rozmową z kolegą. Facet nie wygląda na policjanta, a przynajmniej nie nosi broni i kiedy dostrzega, która godzina, podnosi się z krzesła. Pomeroy odprowadza go do drzwi, gdy je otwiera, w poczekalni słysząc jego śmiech. Gabrielowie spoglądają na niego, w ich oczach widać nieme oskarżenie. Nie śmiali się w taki sposób już od dawna. Bardzo dawna. Pomeroy szybko dostrzega petentów. Sztywnieje.

- Dobra Jase, dokończymy później. Państwo Gabriel, jak się macie? Wejdźcie, porozmawiamy.

Wchodzą do biura, siadają na krzesłach. Pomeroy znów usadawia się w swoim fotelu za biurkiem. Wzdycha ciężko.

- Powiem wam, że tu nigdy nie jest spokojnie. Nigdy zbyt spokojnie.

Przegląda kilka teczek, w końcu trafia na właściwą ze zdjęciem Jamiego Gabriela na okładce. Wyciąga parę okularów w plastikowych oprawkach i zaczyna przebiegać wzrokiem po aktach sprawy. Zupełnie jak handlarz sprawdzający rachunki. Jego usta poruszają się szybko, podążając za wzrokiem. Pomeroy czyta po cichu fragmenty dokumentów.

- Sprawa ustan... paź. 24... Czternaście miesięcy... Ostatnio widziany noc wcześniej... Brak dowodów. Obszar zniknięcia: dzielnica Auburn Manor, okręg Wayne. Dokładnie nieznane. Przesłuchani: panna Pers Bureau, Nat Cent z Zaginieni i Wykorzystywani... Dzieci Nocy... Schronisko Proj... Gorąca Linia dla Uciekających z Domu... Znalezieni przez Anioła... Porównane z: Policja Stanowa, Biuro Szeryfa, FBI...

- Ma pan jakieś nowe informacje? Cokolwiek?

Pomeroy udaje, że nie słyszy. Czyta jeszcze przez chwilę. Podnosi okulary i drapie się po wydatnym nosie.

- Jak możecie zauważyć w waszej kopii raportu, nie mamy jeszcze żadnych konkretnych tropów.

- A co obecnie robicie w tej sprawie?

- Chciałbym was zapewnić, że jest ona nadal otwarta. W takich sytuacjach, zaginione dzieciaki, dzieci, które uciekły z domu...

- On nie uciekł z domu! - słowa Carol są słabe, wyczerpane jak kobieta, która je wypowiedziała. Jedynie złość dodaje im mocy. - Nie możecie tego zrozumieć? Jedyne, co zrobiliście, to rozesłaliście jego zdjęcia do przytułków. Jeśli naprawdę by uciekł, to zna drogę do domu. Ale nie może wrócić, ponieważ ktoś go porwał. Został uprowadzony!

Ostatnie słowo wbija się w Paula jak wiertło dentystyczne, które przypadkiem trafiło

na nerw.

- Nie znaleźliśmy dowodów, które by to potwierdzały. Ani my, ani Biuro Federalne. Owszem, jest taka możliwość. Prawdopodobieństwo. Takie rzeczy się zdarzają, ale często nieletni po prostu nie chcą zostać odnalezieni.

- Gówno prawda! - przerywa mu Paul. Nie może uwierzyć, że powiedział to głośno do policjanta.

Pomeroy patrzy na niego zdziwiony.

W pełnych bólu oczach Carol widać zmianę, iskrę. Wreszcie dostrzega w mężu to, czego brakowało jej od tak dawna. Lecz to coś gaśnie szybko. Zbyt szybko.

- Kapitanie Pomeroy, przepraszam... wiem, że nad tym pracujecie, ale... - Paul nie wie, jak dokończyć zdanie.

Pomeroy uśmiecha się, widząc, że kontrola nad rozmową wraca na właściwą stronę biurka. Jego stronę.

- Rozumiem, przez co przechodzicie. Staramy się, jak możemy, aby... - przerywa mu wtargnięcie posterunkowego.

- Przepraszam kapitanie, jednostka A-2 prosi, aby wypisał ich pan z tej zmiany, żeby mogli iść do domu.

Pomeroy wstaje, wdzięczny za to nagłe najście.

- Przepraszam, to zajmie tylko chwilę - mówi, wychodząc za kolegą.

Carol odprowadza go wzrokiem, następnie wstaje i przechodzi za jego biurko.

Paul zaczyna się denerwować.

- Co ty robisz?!

Carol otwiera policyjną kopię akt Jamiego i patrzy na pierwszą stronę.

- Carol, kochanie, a co jak cię zobaczy?

- Nie obchodzi mnie to. Chcę wiedzieć, co naprawdę robią w sprawie Jamiego.

- Carol...

Spogląda z gniewem na męża.

- To nasz syn. Pamiętasz go jeszcze?

Paul nie odpowiada, wściekłość zastyga mu na twarzy. Carol opuszcza głowę i zaczyna czytać. Po chwili podnosi wzrok.

- O Boże!

- Co się stało? - Paul zadaje pytanie, jednocześnie spoglądając, czy Pomeroy nie wraca.

Carol nie odpowiada. W miarę czytania jej twarz zaczyna się wykrzywiać, jakby

kobietę drażył głęboki krwotok wewnętrzny.

- W tych aktach jest jakiś rodzaj odnotowanych godzin pracy. Nad tą sprawą nie pracowano od tygodni. Tygodni, rozumiesz?! - jej palec przesuwają się po kartce.

Drzwi otwierają się i Pomeroy wchodzi do biura. Szybko podbiega do biurka i wrywa dokumenty z rąk Carol.

- Przepraszam panią, ale te akta stanowią własność wydziału. Są poufne.

- To co to jest do cholery! - Carol niemal krzyczy, rzucając własną kopię akt Jamiego na biurko. - To chyba jakiś żart...

- Jest to kopia pewnych informacji, o które państwo prosili. Przystaliśmy na tę prośbę, choć wcale nie musieliśmy. Nie jest to nasza standardowa polityka.

Paul porusza się niespokojnie. Czuje, jak cienki staje się lód, po którym wraz z Carol stąpają. Jeśli zrażą do siebie tego faceta, to w sprawie Jamiego nie zostanie zrobione absolutnie nic. Próbuje rozładować nieco sytuację.

- Skarbie, wiesz, że musimy być cierpliwi. Śledztwo takie jak to jest niezmiernie trudne...

- Dokładnie, potrzeba czasu - wtrąca Pomeroy, zajmując swoje miejsce za biurkiem. - Wiedziecie o tym z własnego doświadczenia. Poza tym FBI też się nie popisało...

- Czas?! Czas?! - krzyczy Carol, zrywając się z krzesła. - Siedzieliście nad tą sprawą dwadzieścia dwie i pół godziny. Łącznie! Nie spędziliście nad nią nawet dwóch godzin miesięcznie odkąd Jamie zniknął!

Paulowi odbiera mowę.

- Co? - to jedyne słowo, które jest w stanie z siebie wykrztusić.

Pomeroy wygląda na zmieszanego.

W tym momencie wszystkie liczby układają się w całość: ile lat miał Jamie, kiedy zniknął, ile miałby teraz, jak mało czasu policja spędziła, aby go znaleźć.

- Sam przeczytaj - wypluwa z siebie Carol. Wrywa akta z rąk policjanta i rzuca nimi w męża.

Papiery przez chwilę unoszą się w powietrzu, po czym opadają na podłogę.

Pomeroy poprawia się w fotelu.

- Pani Gabriel, wiem, że trudno się z tym pogodzić, ale wydział musi zajmować się także innymi sprawami. Na przykład w tej chwili mamy...

Carol traci resztki cierpliwości. Wybiega z biura, trzaskając drzwiami i przebiega przez główny hol komisariatu.

Mężczyźni spoglądają na siebie. Pomeroy zdezorientowany wzrusza ramionami.

Gdyby ten facet nie miał pistoletu, nie byłby w stanie nikogo przekonać o tym, że jest gliną - myśli Paul.

Zabiera swoją kopię dokumentów i wychodzi.

*

Policjant Carriero podnosi głowę, słysząc dźwięk trzaskających drzwi. Na widok drobnej, pochylonej kobiety wybiegającej z biura kapitana Pomeroya jego brwi zbliżają się do siebie, a twarz ponownie przybiera wyraz zatroskania. Rozpoznaje ją, ale nie może przypomnieć sobie nazwiska. Chwilę później z biura wychodzi jej mąż. Wysoki facet. Wygląda na zmartwionego. Gabriel... Pamiętał, jak przyjmował ich zeznania. Cholernie dawno temu. Zaginiony dzieciak. Carriero pierwszej nocy siedział w ich domu - nic się nie wydarzyło, żadnych telefonów z żądaniem okupu, absolutna cisza. Miał wtedy nadzieję, jak zwykle w tego typu sprawach, że będzie to wypadek. Liczył na to, że chłopiec upadł i uderzył się w głowę, że potrafił go samochód lub nagle zachorował i nie mógł trafić do domu. W takim razie pojawiłby się w którymś ze szpitali, a po kilku dniach lub tygodniach zostałby zidentyfikowany i odprowadzony do domu. Przez siedem lat służby Carriero przekonał się, że był to najlepszy obrót spraw. W tym przypadku, jak zwykle, zrobił rozpoznanie, przesłuchał kogo trzeba, skontaktował się z odpowiednimi instytucjami, ale nie przyniosło to żadnych rezultatów. Potem został przydzielony do sprawy dotyczącej serii włamań. Zapomniał.

Carriero poczuł straszny wstyd. Po włamaniach rozpoczął pracę nad innymi dochodzeniami, nie myśląc wcale o tym, co mogło przydarzyć się chłopcu. To nie zdarzyłoby się nigdy podczas jego pierwszych lat pracy w policji. Doskonale wiedział, że w tej chwili akta zaginionego leżą zakopane głęboko w archiwum. Wyciąga się je jedynie wtedy, gdy rodzice pytają o coś lub przychodzą osobiście. Najlepsza rzecz, na którą mogli teraz liczyć, to odnalezienie ciała, co definitywnie zakończyłoby ich pełne bólu oczekiwanie. Wstał, nawet nie myśląc o tym, co robi i ruszył przez główny hol. Złapał mężczyznę przy wyjściu z posterunku.

- Przepraszam, pan Gabriel?

- Tak? - mężczyzna zatrzymał się i spojrzał na Carriero. Po chwili rozpoznał policjanta. - A tak, jak się pan ma?

- Przyjmowałem państwa zeznania jakiś czas temu. Dawno temu. Obejrzałem akta państwa syna i...

- Tak? - w oczach Gabriela widać było głód. - Dowiedział się pan czegoś nowego?

Carriero skarcił się w myślach za niewłaściwy dobór słów.

- Nie, ja... ja.... Nie wiem, jak to powiedzieć, żeby nie wydać się nielojalnym - nie dokończył. Wiedział, że nie zachowuje się jak członek drużyny. To, co zamierzał powiedzieć, nie było dobre dla policji, ale nie mógł nic na to poradzić.

W oczach ojca widać było niemą prośbę.

- Jest pewien człowiek. Detektyw. Pracowałem z nim kiedyś. Może to kosztować trochę pieniędzy, ale on... nie wiem, czy przyniesie to jakieś rezultaty, ale jego zainteresowanie tą sprawą może być warte swej ceny. - Policjant wręczył Paulowi pogniecioną wizytówkę. - Może być ciężko się z nim skontaktować, ale nigdy nie wiadomo - dokończył młody funkcjonariusz.

Paul wypuścił powietrze, które tak długo wstrzymywał w płucach w pełnym napięciu oczekiwaniu na jakieś konkretne informacje. Wizytówka nie znaczyła wiele. Przez chwilę chciał powiedzieć policjantowi o dwóch detektywach, u których już byli, i o całkiem sporych sumach pieniędzy, które już wydali na ten cel. Jedynym efektem były comiesięczne spotkania w kawiarniach, podczas których brak rezultatów był ukrywany za grubymi raportami i ustami pełnymi poważnych słów. A jednak Paul wziął wizytówkę.

- Dzięki. Pójdę poszukać żony - schował kartonik do kieszeni.

*

Carol siedziała w ciemnym salonie. Jej stan przypominał katatonię. Zapadła już noc, choć nawet tego nie zauważyła. Jedyne światło w pokoju pochodziło od wyciszonego telewizora. Każde rozczarowanie, jakiego doznała przez ostatnie czternaście miesięcy, odcisnęło na niej swe piętno.

Do domu wszedł Paul, prowadząc Tatera na smyczy. Zdjął psu obrozę, podszedł do telewizora i wyłączył go.

- Carol, chodźmy do łóżka.

Choć wydawało się, że go nie słyszy, wstała i zaczęła iść w kierunku schodów. Paul podążył za nią. Zanim ją dogonił, postanowił tradycyjnie włączyć światło na ganku, na wypadek gdyby Jamie miał wrócić.

Robili tak każdego wieczora.

Carol spojrzała na niego. Podeszła do wyłącznika. Światło, które wbiło się sekundę temu w mrok, tak samo szybko zgasło.

Poszła na górę.

4

Paul omijał miasto i popołudniowe korki. Jechał drogą County Lane, po czym skręcił na Mitchel. Indianapolis było oddalone zaledwie o kilka godzin od miejsca, w którym on i Carol chodzili na uniwersytet, gdzie oboje dorastali. Przyciągało Paula z uwagi na swoje wielkie biurowce pełne biznesmenów i dyrektorów, którym mógł sprzedawać ubezpieczenia. Przypomniał sobie czasy, kiedy szansa na kupno domu w otoczonej drzewami okolicy była jedynie marzeniem.

Teraz przedzierał się przez Warren i zbliżał się do dzielnicy Windmere Homes. Ulice robiły się coraz bardziej szare i ponure. W tej okolicy trawniki nie były zadbane latem, nie mówiąc o połowie jesieni. Ozdobne krzaki i żywopłoty były tu nieznanym zbytkiem, a malowanie i odnawianie domów traktowane było przez właścicieli metodą „za rok”. Choć miejsce, do którego zmierzał, znajdowało się daleko od jego domu, Paul zdecydował się pojechać, nie dzwoniąc wcześniej. Nie mógł zmusić się do rozmawiania na ten temat przez telefon. Jeśli zmieni zdanie, będzie mógł po prostu pojechać dalej. Spojrzał kątem oka na kopię akt Jamiego spoczywającą na fotelu pasażera. Popatrzył na pogniecioną wizytówkę, którą trzymał w ręku. Frank Behr. Detektyw. Nazwisko wydało mu się znajome, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd. Postanowił sprawdzić w internecie. Wyszukiwarka opowiedziała mu historię, o której czytał dawno temu.

Herb Bonnet, mężczyzna, który pracował w firmie przewozowej, zauważył, że ta zajmuje się przemytem, handlem kradzionymi towarami i praniem pieniędzy. Poszedł na policję, która przesłuchała właścicieli firmy. Kiedy wyszło na jaw, że to on doniósł i miał zeznawać na procesie, został dotkliwie pobity przez dwóch niezidentyfikowanych napastników. Zupełnie jak w filmach. Choć musiał spędzić tydzień w szpitalu, Bonnet nadal chciał zeznawać w sądzie. Pewnego popołudnia policjant pilnujący drzwi do pokoju Bonneta, Frank Behr, zobaczył przez szklane drzwi korytarza mężczyznę w czarnym prochowcu, który kierował się w jego stronę. Facet wyglądał „całkowicie nie na miejscu”, zeznał później Behr.

Policjant zerwał się i rzucił na intruza. Ten okazał się mordercą idącym do Bonneta.

Gdy wyciągnął rewolwer, Behr pchnął go na ścianę, przewracając wózek z zaopatrzeniem. Jak na młodego i gorliwego glinę przystało, szybko obezwładnił napastnika i zapakował go w kajdanki. Niedoszły zabójca, jak się później okazało, daleki krewny jednego z właścicieli firmy przewozowej, dostał dziesięć tysięcy dolarów za ukatrupienie sprzedawczyka. Teraz skończył ze złamanym nadgarstkiem. Behr stał się lokalnym bohaterem. Dostał nagrodę oraz awans na detektywa.

Odnaczony policjant, nawet jeśli było to dekadę temu, był warty tej wyprawy. Paul przejeżdżał teraz koło fasad dwupiętrowych, cementowych budynków, przed którymi zaparkowane były samochody wyglądające jakby nikt nimi od dawna nie jeździł. Buick zwolnił, Paul zaczął sprawdzać adresy na niskich domach, które przypominały szerokie przyczepy kempingowe zatopione w betonowych fundamentach.

Zaparkował auto i wysiadł, zabierając ze sobą teczkę Jamiego. Numer 642 był przygnębiającym budynkiem o atmosferze zatęchłej piwnicy. Śmieciarka przejechała tuż przed Paulem, wpadła w dziurę w drodze, wydając dźwięk przypominający eksplozję. Pozostawiła za sobą chmurę kurzu i spalin, za którą ukazał się bezdomny mężczyzna przeszukujący wyrzucone torby. Klęczał na zbrązowiałej trawie przed numerem 642. Jak dotąd do jego znalezisk należały połowa pizzy, resztki kawy, gnijące żeberka oraz rozbity słoik z zepsutym majonezem, którego smród było czuć dwa metry wcześniej. Paul przeszedł obok kłoszarda, podszedł do drzwi domu i zapukał kilka razy. Ze środka nie padła żadna odpowiedź. Nagle uzmysłowił sobie cały bezsens przybycia tu bez wcześniejszego telefonu. Zaczął rozglądać się za jakimś innym wejściem. Nie dostrzegł jednak żadnego. *A więc jednak wróć do samochodu z niczym? Jamie...*

- Kogo pan szuka? - zapytał bezdomny czystym głosem. Był niedaleko, kawałek starej pizzy rozpadł się w jego dłoniach.

Paul rzucił na odczepnego.

- Franka Behra. Wiesz, gdzie mogę go znaleźć?

Mężczyzna zaczął zbierać się z ziemi, co zajęło mu trochę czasu ze względu na jego rozmiary. Miał lekko czerwoną twarz i krzaczaste wąsy. Jego nos zdradzał oznaki noszenia hełmu futbolowego. To musiało być kilka lat temu.

- To ja. Kim jesteś?

Paul przez moment był więcej niż zaskoczony.

- Paul Gabriel. Będę chciał cię... to znaczy pana wynająć.

Mężczyzna zarzucił sobie na ramię ciężki worek ze śmieciami i wskazał drugi.

- Pomoże mi pan? Wejdziemy do środka i pogadamy.

- Mam wnieść śmieci do środka?

Behr skinął głową. Paul podniósł worek i ruszyli w kierunku drzwi.

Mieszkanie było zarówno biurem, jak i domem detektywa i miało w sobie urok poczekalni w warsztacie samochodowym. Półka pod telewizor wypełniona pustymi butelkami stała w bezpośrednim sąsiedztwie telewizora. Rozstawienie charakterystyczne dla mężczyzny, który lubi oglądać sport w telewizji i pić piwo. Po drugiej stronie pokoju stało zatłoczone biurko, na którym znajdował się stary komputer, telefon i faks. Za biurkiem zniszczone krzesło oraz szafki na akta. Można było odnieść wrażenie, że Behr lubi swoją pracę, ale nie ma jej ostatnio zbyt wiele.

Gospodarz rzucił swój worek na podłogę na środku pokoju, Paul poszedł w jego ślady. Detektyw wskazał mu krzesło i opuścił pokój. Chwilę później wrócił z dwiema puszkami napoju.

- Mogę się zapytać, po co panu to wszystko? - Paul wskazał na worki ze śmieciami. Smród skwaśniałego mleka i tuńczyka zaczął wypełniać pokój.

Behr podał jedną z puszek Gabrielowi.

- Śmietnikowa archeologia. Należą do Dereka Freemana.

- Tego gracza Pacers?

- Yhm. Zapłaciłem jednemu gościowi dwadzieścia dolców, żeby mi je dostarczył.

- Musi pan być prawdziwym fanem.

Behr spojrział na Paula, poczucie humoru błysnęło w jego oczach. To nie była poufna sprawa. Zdecydował się na wyjaśnienie.

- Wynajęła mnie gazeta, *Trib*. Freeman zaskarżył ich o zniesławienie, po tym jak opublikowali artykuł o jego rzekomym romansie. Wielu ciekawych rzeczy można dowiedzieć się o człowieku, zaglądając do jego śmieci. Paragony, opakowania po proszkach, wyrzucone papiery, rachunki z zakładów bukmacherskich, rachunki za telefon, dziwne ślady DNA na biletach, prezerwatywy, choć żona używa pigułek... Gazeta ma nadzieję, że potwierdzą ich historię. Przynajmniej w takim stopniu, aby uniknęli procesu. Zrobię to - zakończył Behr i otworzył puszkę napoju.

Jeśli był choć w najmniejszym stopniu zawstydzony przeszukiwaniem cudzych odpadków, nie okazywał tego. Ściągnął solidny łyk z puszki, a Paul dostrzegł, że jego dłoń jest wielkości bochenka chleba.

- Co mogę dla pana zrobić?

Paul poruszył się niespokojnie na swoim krześle, w ręku nadal trzymał nieotwartą puszkę.

- Chyba potrzebuję... potrzebuję detektywa. Mój syn. Ma dwanaście lat. Miał dwanaście i pół roku. Teraz ma prawie czternaście lat. Nie ma go już od roku i dwóch miesięcy.

Twarz Behra pokryła się cieniem, który zdawał się wypełniać pokój, zupełnie jakby na zewnątrz było zaćmienie słońca.

- Nie ma go?

- Pojechał rozwozić gazety pod koniec października ubiegłego roku. Nie wrócił.

- Policja?

- Oczywiście zgłosiliśmy sprawę - powiedział Paul, pokazując teczkę na akta w ramach wyjaśnienia.

- Tak, tak. Patrole, przesłuchiwanie sąsiadów. Zawiadomili schroniska. Potem zaczęli odsuwać swoich ludzi od tej sprawy. Nie wie pan, czy są niekompetentni, czy po prostu im nie zależy.

Paul był zaskoczony bezpośredniością mężczyzny, teczka wróciła na jego kolana.

- Wszystko odbyło się tak, jak pan to opisał.

Przez ponad rok wszelkie ślady będą już zimne jak w epoce lodowcowej - pomyślał Behr, opierając się na swoim krześle.

Paul milczał. Rozejrzał się po pokoju. Półki pełne były książek w twardych oprawkach, żadna z nich nie należała do literatury pięknej. W szklanej gablocie spoczywało kilka strzelb. Na pokrytej drewnianymi panelami ścianie wisiały medale i odznaczenia. Nagrody za służbę policyjną oraz za pracę społeczną. Wszystkie obrosły już kurzem.

Behr gapił się na niego i Paul wreszcie zebrał się na odwagę, żeby to powiedzieć.

- Chciałbym, aby ktoś przyjrzał się sprawie z bliska. Polecono mi pana.

- Nie mogę tego zrobić - głos Behra był chłodny.

- Dlaczego?

- Policjanci nie są niekompetentni i naprawdę im zależy. Mam nikłe szanse odnalezienia czegokolwiek, a nawet jeśli coś znajdę, to gwarantuję, że to się panu nie spodoba.

Paul nie mógł pozbyć się głupiego uczucia odrzucenia i nagłej desperacji. Groźba zostania wessanym przez otchłań bezsilności stała się niezwykle realna.

- Ale... - zaczął Paul, wskazując na porozrzucane po pokoju śmieci. - Nie wydaje się być pan aż tak bardzo zajęty.

- Nie o to chodzi - warknął Behr. W jego głosie dało się wyczuć złość, która szybko zniknęła. - Jak trzyma się pańska żona?

- To znaczy? Na swój sposób daje sobie radę... ale ogólnie kiepsko. Naprawdę źle.

- A jakżeby inaczej - odpowiedział detektyw, kiwając głową ze zrozumieniem.

W pokoju zapanowała cisza i żaden z mężczyzn nie był skłonny jej przerwać. W końcu Behr odezwał się ponownie.

- Wie pan, to byłoby niezwykle kosztowne. Nie mówię tylko o swojej stawce, ale także o wydatkach z tym związanych. Nie wspominając, ile czasu mogłoby to zająć.

Paul wzruszył ramionami.

- Rozumiem. Jest pan skłonny zapłacić. Wydać wszystko, co pan ma.

- Zgadza się.

- Wystawić dom na sprzedaż. Pozbyć się wszystkich rzeczy.

- Tak.

- Ale nawet wtedy... Proszę posłuchać, panie Gabriel, dla większości ludzi nadzieja to piękna rzecz. Dla pana i pańskiej żony jest czymś bardzo niebezpiecznym. Nie chcę, aby przechodzili państwo przez jeszcze większy koszmar niż do tej pory.

Paul wstał.

- Nie ma nic gorszego od niewiedzy. Nawet... Nie ma nic gorszego.

Wydawało się, że Behr to rozumie, ale odwrócił wzrok.

- Przykro mi, kolego. Nie mogę tego zrobić. Jest wielu innych detektywów i jestem pewien, że znajdziesz dobrego. A teraz wybaczone, ale mam śmieci do posegregowania.

Paul odstawił swoją nieotwartą puszkę na półkę i ruszył w kierunku drzwi.

Behr uklęknął na podłodze i zajął się własnymi sprawami. Nie zauważył, że pod puszką została teczka.

5

Carol otworzyła drzwi w czwartek późnym popołudniem. Na ganku stała otyła kobieta około czterdziestki z włosami ufarbowanymi na czarno.

- Witam. Pani Gabriel?

- Tak? O co chodzi? - Carol wydało się, że dostrzegła odcień purpury na jej włosach.

- Słyszałam, że zaginął państwu syn.

Serce Carol momentalnie przyspieszyło, poczuła, że ogarnia ją słabość.

- Tak. Wie pani coś o nim?

- Być może będę w stanie pomóc. Jestem Madame Raven. Jestem spirytualistką. Pracowałam już nad takimi sprawami.

Serce Carol zaczęło zwalniać. Jeśli zdarzyłoby się to jeszcze tydzień temu, Carol najprawdopodobniej podziękowałaby kobiecie i zamknęła drzwi. Jednak teraz bezwiednie otworzyła je szerzej, wpuszczając kobietę do środka.

- Proszę wejść, mój mąż niedługo wróci.

Paul zastał obydwie kobiety siedzące przy stole w kuchni, pijące kawę. Madame Raven trzymała w dłoniach czapkę Jamiego. Paul usiadł razem z nimi i wysłuchał opowieści o tym, jak kobieta dowiedziała się o ich stracie.

- Mam przyjaciela na posterunku, z którym konsultuję się w przypadku niektórych spraw. Opowiedział mi o waszej i pomyślałam, że spróbuję.

- Doceniamy to, ale... - zaczął Paul.

- Wierzy pan? - zapytała kobieta.

- W co? - odpowiedziała pytaniem Carol.

Paul spojrzał na żonę.

- Zdolności parapsychologiczne. Jeśli ktoś wierzy, jest to wielce pomocne. Mam wtedy mocniejsze i wyraźniejsze odczucia.

- Wie pani, nie żebyśmy nie wierzyli. Po prostu wydaje mi się, że nigdy o tym nie myśleliśmy.

- Chcemy uwierzyć - zaczął Paul. - Czy jest coś, co moglibyśmy zrobić?

Madame Raven zamknęła oczy i odchyliła się nieco na swoim krześle. W dłoniach nadal trzymała czapkę Jamiego.

Tater, skulony na drugim końcu kuchni, od czasu do czasu podnosił łeb.

W kuchni zapanowała cisza. Zdawała się trwać bez końca. W pewnym momencie Raven przemówiła.

- Widzę vana - jej głos był pełen przekonania.

- Mamy vana.

Carol spojrzała na Paula - nie chciała, żeby jego paplanina przerwała skupienie kobiety.

- I rower. Niebieski rower.

- Tak. Rower Jamiego był niebieski - Paul odezwał się po raz kolejny.

Carol poczuła dziwny ucisk w żołądku na myśl o tym, że wizje tej kobiety mogą być prawdziwe.

- Jesteście na wycieczce. Gdzieś na południu. Jamie chciał przejechać się na rowerze - w głosie Raven dało się wyczuć napięcie, łapała powietrze krótkimi, nieregularnymi oddechami.

Paul i Carol zaczęli odczuwać rosnące zakłopotanie.

- Rower upadł. Jamie jest chyba ranny - kontynuowała spirytualistka. - Żyje, ale jest ranny.

Carol wydała z siebie jęk. Twarz wykrzywiła się w grymasie, do oczu zaczęły napływać łzy.

Widząc to, Paul poczuł, że musi coś powiedzieć.

- Proszę posłuchać, pani Raven. Coś musiało się pani pomylić. Nie byliśmy na wycieczce. Byliśmy w domu. Sprawdziliśmy całą okolicę. Policja, szpitale. To nie był wypadek na rowerze. Dziękujemy za próbę, ale chyba powinniśmy już, no wie pani, skończyć.

Madame Raven siedziała bez ruchu przez minutę lub dwie, oddychając przez usta.

- To nie jest nauka ścisła - odpowiedziała.

- Rozumiem. Doceniamy pani pomoc, ale wydaje mi się, że to denerwuje moją żonę.

Carol nic nie mówiła, więc Paul postanowił kontynuować.

- Ile jesteśmy pani winni?

Raven odłożyła czapkę i zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Nie musicie mi płacić. Nie ma za co - odpowiedziała urażonym głosem. - Jeśli

ustalimy termin, mogę spojrzeć na jego pokój. Mogę chociaż spróbować - kobieta założyła płaszcz.

Paul odprowadził ją do drzwi.

- Chcielibyśmy coś pani dać za poświęcony nam czas - Paul ponowił swoją ofertę.

- Cóż, moja normalna stawka to trzydzieści dolarów za godzinę - odpowiedziała kobieta.

- Proszę. Dziękujemy bardzo - powiedział Paul, wręczając jej plik banknotów.

Spirytualistka podała mu ulotkę reklamującą miejsce, w którym czytała z dłoni i kart tarota.

- Tu jest mój numer, jeśli będą chcieli państwo się ze mną skonsultować.

- Jeszcze raz dziękujemy - Paul wysilił się na uśmiech.

Zamknął drzwi i wrócił do kuchni.

Carol nadal siedziała na swoim miejscu. Tater wyszedł z pomieszczenia.

- Myślisz, że powinniśmy byli wysłuchać jej do końca?

Paul nic nie odpowiedział, starał się, aby jego twarz nie wyrażała już cynizmu. Jeśli teraz by się odezwał, Carol na pewno wyczuje to w jego głosie.

- Miała rację co do vana. I co do roweru - mówiła żona.

- Ma przyjaciela na posterunku. Pewnie czytała akta.

- Powinniśmy się do niej zgłosić. Mogłaby spróbować - Wzięła pieniądze! - powiedział Paul ze stanowczością. - Wzięła je już w drzwiach.

Mężczyzna zgniół otrzymaną ulotkę i rzucił nią w kierunku śmietnika.

Carol zaczęła drzeć. Targnął nią szloch, który zdołała szybko zdusić. Paul zbliżył się, aby ją objąć. Ona jednak odsunęła się i wyszła z kuchni. Został w miejscu, z wyciągniętymi ramionami. Tak było już od jakiegoś czasu - odsuwali się od siebie. Nawet się nie dotykali. W łóżku rozpościerała się między nimi przepaść. Jeśli czyjeś ręce lub nogi udało się ją pokonać i dotknąć drugiej osoby, natychmiast wracała na swój brzeg. Nie kochali się już od tak dawna. W dniu, w którym zniknął Jamie, ich życie intymne przestało istnieć. Nie byli już nawet przyjaciółmi, byli po prostu współlokatorami. W domu byli dla siebie niezwykle mili, ale to wszystko, co mieli dla siebie.

6

Nieszczęścia chodzą stadami. Frank Behr wiedział o tym z doświadczenia. Wiedział też, że odgrzebie całą ciemną otchłań swojej duszy, jeśli zdecyduje się wziąć sprawę tego zaginionego chłopca.

Było późne popołudnie. Cichy mężczyzna - Gabriel, już wyszedł, a Behr skończył przeglądać śmieci. Usiadł na krześle i nagle dostrzegł teczkę leżącą na telewizyjnej półce. Jego pierwszym odruchem było zostawienie jej w spokoju. Chciał zadzwonić na informację, poznać numer Gabriela, wbić go na klawiaturze telefonu i powiedzieć, żeby zabierał swoją teczkę w cholerę. Człowiek powinien wiedzieć, że nie znaczy nie. A jednak nie zadzwonił.

Zamiast tego przeciągnął się, jego stawy wydały nieprzyjemny trzask. Zaczął robić pompki. Walczył z pomysłem wzięcia tej sprawy. Pomiędzy czwartą a piątą serią podniósł się z ziemi i otworzył teczkę. Przeczytał raporty, kiwając głową. To, co w nich znalazł, w żaden sposób go nie zaskoczyło ani poruszyło. Zmiana jego nastawienia nastąpiła dopiero, gdy dotarł do podpisu głównego funkcjonariusza nadzorującego sprawę. Nawet teraz, po dziewięciu latach, pochyłe, niestaranne pismo było mu znajome. James P. Pomeroy, teraz kapitan Pomeroy. Dawno temu był porucznikiem, dowódcą Behra. Ten podpis... Syficzny autograf na rozkazach, na raportach o złej służbie, na formularzach degradacyjnych. Te kilka głupich zakrętasów skreślonych ręką grubasa zmieniło życie Franka Behra.

Przejrzał zawartość teczki do końca. Wiedział już, że nie zadzwoni do Gabriela. Nie wytknie mu tego, że nie zabrał tych dokumentów. Nie mógł tego zrobić. Założył szarą bluzę, zawiązał buty do biegania. Do plecaka włożył torbę zawierającą dwadzieścia kilo soli drogowej i parę książek w twardej oprawie. Włożył plecak, który teraz ważył prawie trzydzieści pięć kilo i wyruszył w stronę Saddle Hill Road, zaraz obok gimnazjum. Musiał trochę pobiegać.

*

W miarę jak Behr, pocąc się i dysząc, biegł pod górę, wracał pamięcią do czasów,

kiedy Pomeroy był jego dowódcą i osobistym utrapieniem. Chociaż wiele osób odradzało mu rozmyślanie o przeszłości, przedzieranie się przez gąszcz wspomnień w trakcie ćwiczeń stało się jego zwyczajem. Zarówno psychiatra policyjny, jak i jego była żona - Linda, ostrzegali, że pozostanie na zawsze uwięziony w przeszłości, jeśli nadal będzie tak robił. Walcząc z kwasem mlekowym, który zaczął zbierać się w jego mięśniach, i ciężko łapiąc każdy kolejny oddech, Behr wrócił do czasów tuż po narodzinach swojego syna Tima, kiedy to ochronił świadka w szpitalu i dostał awans. Otrzymał wtedy podwyżkę i Linda zaczęła szukać większego domu, na który i tak nie było ich jeszcze stać.

Niedługo po awansie na detektywa, może nieco ponad rok, pierwszy partner Behra, Ed Polk, został zabity. Wtedy Ed, podobnie jak Frank, był po służbie. Ubzdurał sobie jednak, że samotnie zrobi nalot na nielegalny klub. Lokal znajdował się po północnej stronie miasta, a w tamtych czasach nawet policjanci po służbie starali się omijać to miejsce. Ale Polk brał łapówki. Właśnie próbował załatwić sobie kolejną w nowym klubie. Jego nieostrożne słowa doprowadziły do bójki. Dwa pociski, wystrzelone z jego zapasowej broni, którą miał w kaburze na kostce, utkwili mu w płucach. Pożył jeszcze minutę. Behr nie miał obowiązku być w tym miejscu i ubezpieczać go. Ich dowódca Pomeroy widział jednak sprawę inaczej. Mawiał, nieoficjalnie, że policjant zawsze musi mieć oko na swojego partnera. Wiadomym także było, nieoficjalnie oczywiście, iż Ed był kuzynem porucznika. Behr szybko stał się wyrzutkiem. Równie szybko zaczęła się pogarszać jego sytuacja w policji.

Po raz dziesiąty wbiegł na szczyt wzgórza. Perliste krople potu zbierały się na jego czole i spływały po twarzy. Pomyślał, że chęć rozwiązania sprawy tylko dlatego, że dawny szef nie potrafił tego zrobić, nie jest zbyt mądrym powodem. Ale Frank Behr dobrze wiedział, że prawdziwy powód znajdował się gdzie indziej. Nieodparte uczucie, co ta sprawa może zrobić z nim samym, gdy obudzą się jego uspięne demony z przeszłości. Uczucie, któremu nie potrafił się jednak przeciwstawić.

*

Istniały dni bezruchu, całkowitej niemocy. Całe tygodnie mijały, a Paul miał uczucie, jakby przez cały ten czas nie poruszył nawet nogą. Dom stał się grobowcem. On i Carol stali się lustrami, które odbijały wzajemny smutek, wzmagając ból i bezsens, aż do momentu, gdy stawały się nie do zniesienia.

Próbowali na nowo nadać swemu życiu pęd, uczęszczając na spotkania grup wsparcia złożonych z osób, których bliscy zaginęli. Obecni na tych meetingach wstawali i opowiadali o

swoich bliskich (zawsze w czasie przeszłym - taka była zasada), podając szczegóły swojej historii. Nie chodziło o to, że inne osoby na sali mogły pomóc lub dostarczyć nowych informacji. Zgodnie z teorią, poprzez opowiadanie innym o swojej tragedii byli w stanie nad nią zapanować. Zaprzeczanie sytuacji, wiara w to, że członek rodziny powróci, przeszkadzało w terapii. Następstwem miał być powrót do zdrowia. Paul szybko zaczął obawiać się kolejnych spotkań. Siedzieli w stęchłych piwnicach kościołów lub w pustych salach szkolnych, zgarbieni i słabi jak martwe drzewa lub opuszczone nagrobki. Wlewali do gardeł kawę, która nie miała smaku, i jedli pączki, również bez smaku. Każdy za kimś tęsknił. Synowie, córki, żony, mężowie, matki, ojcowie. Gdzie byli? Powody zaginięć były różne: kryminalne, medyczne, czasem były to wypadki. Ale gdzie byli? Po prostu zniknęli.

Stan Carol poprawiał się po meetingach. Może to poczucie wspólnoty pomagało, a może to wymuszona rozmowa sprawiała, że na chwilę wracała do życia. Lecz Paul poczuł, że te spotkania mają na niego zły wpływ, jego wiara w to, że Jamie wróci, zaczęła słabnąć. To ostatecznie zniechęciło go do uczęszczania na grupy wsparcia. Przestał się na nich pojawiać i powrócił do bezruchu.

Istniały także dni ożywienia. Zaskakujące wybuchy aktywności. Ogródek był koszony, odchwaszczony, trawa zasiana i podlana. Po tygodniach zaniechania. Samochód był myty, woskowany i polerowany. Po miesiącach gromadzenia się kurzu. Paul zaczął unikać domu, co było dość samolubne z jego strony. Ten instykt, który znajdował się w nim, lekko go zadziwiał na początku. Jednak poddał się mu i zaczął spędzać długie godziny w pracy. Rzucił się w jej wir, sprzedawał innym polisy na życie, zapominając o fatalnym stanie, w jakim znajdowało się jego własne. Gdy wygłaszał swoją standardową kwestię o byciu przygotowanym na najgorsze, był w stanie czytać wyrazy twarzy tych spośród swoich klientów, którzy znali jego historię. Najgorsze rzeczywiście MOGŁO się zdarzyć. Polisy sprzedawały się same.

Najbardziej niewłaściwym aspektem jego zachowania było trzymanie się z daleka od Carol. Nie potrafił jednak postępować inaczej. Kupił nawet ciężki bokserski worek treningowy, który powiesił w garażu, więc nawet jeśli nie był w pracy, nie było go też w domu. Zaczął trenować codziennie, walić w worek, który huśtał się i skrzypiał na łańcuchu. Uderzał w niego zapamiętane, starając się pozbyć wewnętrznego bólu i wściekłości. Walczył tak nieraz godzinami. W worku widział twarze anonimowych napastników, pijanych kierowców, drapieżników, którzy zabrali mu Jamiego. Ciemna skóra rękawic, która zgrzytała dookoła jego rąk, pokryła się białymi pasami pozostawionymi przez sól z jego potu. Po trzech tygodniach poczuł, że udało mu się spalić część tłuszczu. Zapomniane mięśnie zaczęły znów

być widoczne. Ale Paul wyżywał się na worku z innego powodu. Chciał uciec przed słabością, która kryła się w jego wnętrzu. Słabością, której inaczej nie potrafił stawić czoła.

*

Behr jechał swoim czerwonym toronado w kierunku Dekuyper i domu, który kiedyś do niego należał. Dzielnica była skromna, jednak domy były wygodne i przytulne. Miejsce sprzyjające życiu młodych rodzin. Swego czasu Behr był tu znaną twarzą. Jako policjant był niemal gwiazdą. Każdy czuł się bezpiecznie, mając glinę za sąsiada, a on i Linda byli organizatorami wielu wspólnych grilli. Skręcając w ulicę, na której kiedyś mieszkał, dostrzegł stary znak drogowy. Tablica była zniszczona, a słup przygięty do ziemi dokładnie tak, jak go zapamiętał. Behr przypomniał sobie tę noc sprzed sześciu lat, kiedy zdemastował ten znak. Był wtedy kompletnie pijany, próbował zagłuszyć swój ból. Zatrzymał się, oszalały z rozpaczy, wyjął z bagażnika aluminiowy kij baseballowy i walił w znak tak długo, aż tablica dotknęła chodnika. Nikt nie próbował go powstrzymać. Sąsiedzi obserwowali go z bezpiecznej odległości, ich dłonie zakrywały usta. Znaku nadal nikt nie naprawił. Na tablicy widniał napis: PROSIMY O OSTROŻNĄ JAZDĘ, KOCHAMY NASZE DZIECI. Podjeżdżając pod swój dawny dom, Behr zastanawiał się, o czym myślał tamtej nocy. Numer 72. Mały domek stylizowany na posiadłość kolonialną. Kiedy należał do niego, był biały, ale obecni właściciele zdecydowali się przemalować go na inny kolor. Kremowożółty. Dostrzegł huśtawkę ustawioną w ogródku za domem. Spojrzał na budynek. Na szyi zaczęły zbierać się krople potu. Nie był tu od lat, nie utrzymywał kontaktów z żadnym z sąsiadów, którzy kiedyś byli jego przyjaciółmi. Jednak ulica nadal wyglądała znajomo, zupełnie jakby opuścił ją dziś rano, kiedy wyruszał do pracy. Jego żołądek zaczął się kurczyć, gardło było wyschnięte na wiór. Jego dawne życie już nigdy nie wróci. Już nie należał do tego miejsca.

- Pieprzyć to! - Behr zaklął głośno, wrzucił pierwszy bieg i odjechał.

*

Niemal każdego popołudnia, w miarę jak zapadał zmrok, Carol wyglądała przez okno i rozmyślała nad swoją przeszłością. Był to jedyny sposób ucieczki przed mgłą ciemności, która zasnuwała jej umysł. Siedziała i wsłuchiwała się w odgłosy dobiegające z garażu - Paul miarowo uderzał w worek. Przypominała sobie szalone czasy, kiedy była na studiach, kiedy wszystko było takie beztrudne. Chodziła do szkoły w Michigan i wraz z koleżankami były najpopularniejszymi dziewczynami w okolicy. Bar Spaghetti Bender należał do nich. Niemal

czuła zapach trocin oraz widziała łupiny orzechów na podłodze przy samym kontuarze. Wraz z koleżankami przychodziły dość wcześnie, około 7:30, zawsze w swoich bluzach studenckiej drużyny koszykówki. Włosy upięte w kucyki. Dzieliły się zestawami obiadowymi, aby nie zapychać żołądków i nie zagłuszać mocy alkoholu krążącego w żyłach. Kiedy przystojniacy z akademików wchodzili do środka, zaczynały z nimi flirtować i polować na darmowe drinki. Po kilku zimnych piwach i kieliszkach tequili, którym towarzyszyły sól, cytryna i dzikie wrzaski, środkowa część wieczoru skrywała się za mgłą. Muzyka płynąca z grającej szafy była zawsze taka sama. Gdy leciało AC/DC, Carol latała już wysoko w chmurach. Jej ekipa przejmowała kontrolę nad parkietem i trzymając kieliszki w dłoniach wykrzykiwała słowa piosenki „You Shook Me All Night Long”.

Noce często kończyły się w towarzystwie facetów. Zbyt często. Nie była aniołem, wcale nie chciała nim być. Wmawiała sobie, że w ten sposób uczy się życia. Znała rzeczy, których nie znał żaden anioł. Ach, ci chłopcy i ich jędrne ciała!

Pewnego ranka, na pierwszym roku studiów, taki styl życia doprowadził ją nieuchronnie, niczym transowe granie AC/DC, do kliniki aborcyjnej. Przydarzył jej się wypadek, nie była pewna z kim, i należało się tym zająć. Podano jej valium, świat zaczął wirować, rozpoczęto zabieg. Zastanawiała się wówczas, czy pewnego dnia, gdy już będzie gotowa, Bóg wciąż będzie o tym pamiętał i osądzi, czy nadaje się na matkę. Wydarzyło się to rok przed poznaniem Paula i zwolnieniem tempa. Zanim życie stało się poważne. Teraz, gdy siedziała w mroku salonu, widziała tamte noce w zupełnie innym świetle. Wiedziała już, czym one były, i wiedziała też, że Bóg ją osądził. To były noce grzechu, a teraz została za nie ukarana.

*

Było coś dziwnego w sposobie, w jaki mężczyzna uderzał w worek. Nie miał wprawy. Nie był w formie. Nie umiał się bić. Poruszał się dookoła na całych stopach, nie wkładał w ciosy wszystkiego ze swej solidnej wagi. Jednak łatwo można było dostrzec prawdziwe emocje oraz niechęć do poddania się.

- Ręce za nisko. Szczeka jest narażona na kontrę z prawej.

Paul Gabriel opuścił dłonie, wyszedł zza worka i spojrzał w kierunku miejsca, z którego dochodził głos. Detektyw Frank Behr stał w otwartych drzwiach garażu.

- To się zdarza, gdy trenuje się jedynie z workiem. On nigdy nie zaatakuję - dodał.

Gabriel wrzucił ramionami i zaczął zdejmować rękawice. Jego ciosy były pełne

poświęcenia, dla niego to miało wagę. Poza tym Behr podejrzewał, że w tym momencie mężczyzna nie dbał o to, czy jest narażony na kontrę.

- Pan Behr! Nie spodziewałem się pana zobaczyć. Jak mnie pan znalazł? - zapytał Paul, podchodząc do detektywa.

Behr potrząsnął głową. Paul tylko skinął. Głupie pytanie.

- Mów mi Frank. Nadal pan tego chce?

Gabriel nic nie zrobił, nic nie odpowiedział, całe jego jestestwo było odpowiedzią twierdzącą.

- Przeczytałem akta. Pański syn nie żyje. Z takiego założenia będziemy musieli wyjść.

Gabriel wziął głęboki wdech, próbując przełknąć słowa twarde niczym diament.

- Próbowałem się już oswoić z tą myślą, Frank.

Prawda była taka, że próbował oswoić się z tym od samego początku, ale nie był w stanie przekroczyć pewnej granicy bez posiadania absolutnej pewności.

- Chcę się dowiedzieć, kto to zrobił, chcę znać szczegóły. To jedyny sposób, abyśmy pogodzili się z tą sytuacją.

- Żadnych obietnic. Żadnej gwarancji - powiedział Behr.

- Żadnych.

Uścisnęli sobie dłonie. Dłoń Paula, wciąż w rękawicy, zniknęła w objęciach wielkiej łapy Behra.

- Mów mi Paul.

- Paul.

- Moja żona jest w domu. Wejdz, poznasz ją.

Porzucony worek bokserski huśtał się powoli, a unoszące się w powietrzu drobiny kurzu zaczęły wracać na swoje miejsce.

7

Było gorzej, niż myślał. Behr siedział w wygodnym krześle, w salonie Gabrielów. Obok niego stała w połowie opróżniona filiżanka kawy, na kolanach trzymał rodzinny album ze zdjęciami. Małżonkowie zajęli miejsce naprzeciwko niego w milczeniu. Patrzyli, czekali i robili jedyną rzecz, jakiej im zabronił - mieli nadzieję.

- Sprawa taka jak ta jest niczym śliska ściana, której bardzo ciężko jest się chwycić - zaczął po chwili Behr.

Wiedział to już po pierwszym przeczytaniu akt. Wybrał kilka zdjęć chłopca, które obejmowały okres kilku lat, i ostrożnie wyjął je z albumu.

- Te foty mają pomóc nam przewidzieć, jak Jamie mógł się zmienić przez ostatni rok - wyjaśnił Behr.

Paul i Carol skinęli głowami. Detektyw potrzebował tych zdjęć, aby pokazać je policjantom i koronerom, którzy mogli znaleźć ciało w różnym stanie. Może jakiś mały szczegół widoczny na fotografii mógłby pomóc zidentyfikować zwłoki chłopca.

- Nie macie żadnych wrogów, którzy chcieliby was skrzywdzić? - Behr wiedział, że jest to wysoce nieprawdopodobne, ale musiał zadać to pytanie.

Twarze Gabrielów były blade. Spojrzeli na siebie i ich twarze stały się jeszcze bledsze.

- Wylaliście pomoc domową, mieliście problemy w pracy? Pracujesz w ubezpieczeniach. Może jakiś wkurzony klient, któremu odmówiono wypłaty odszkodowania?

- Nie. Nic z tych rzeczy.

Behr skinął głową. W pokoju zapadła cisza. To była jedynie pierwsza z wielu ucinanych i niezadowolających rozmów. Wiedział o tym dobrze. Wiedział, że nie ma sposobu, aby to obejść.

- Będę potrzebował informacji o tym, co robił wasz syn. Do jakiej szkoły uczęszczał, kto go uczył? Czy uprawiał jakiś sport?

- Grał w piłkę nożną - powiedział Paul.

- Będę potrzebował nazwiska jego trenera oraz osób, z którymi grał - rzucił Behr do ojca, który kiwnął głową.

W pokoju znowu zrobiło się cicho. Detektyw zdał sobie sprawę, że zbliżyli się do momentu rozmowy, którego obawiał się najbardziej. Odpowiedź na jego kolejne pytanie ujawni, czy dopiero zaczynał tę sprawę, czy zbliżał się do jej zakończenia. Musiał uzyskać informację, czy któreś z nich było wplątane w zniknięcie syna.

Kiedy pytanie opuści jego usta, będzie uważnie ich obserwował. Istniały miliony oznak, zarówno werbalnych, jak i niewerbalnych, w odpowiedziach ludzi na tak bezpośrednie pytania. Większość policjantów bez względu na długość służby posiadała zdolność oceny, czy ludzie mówią prawdę, czy też kłamią. Dla wielu było to po prostu nieprzyjemne wrażenie, że nie usłyszeli prawdy. Przysłowiowy szósty zmysł, jak wynikało z doświadczenia Behra, naprawdę istniał. Inni w odróżnianiu prawdy od fałszu woleli widzieć naukę.

Podejście Behra do tego tematu znajdowało się mniej więcej w środku. Miał niezłą intuicję, ale to nie dawało mu pełnej satysfakcji. Po drugim roku służby na własny koszt pojechał do San Francisco na seminarium prowadzone przez byłego agenta CIA: „Taktyczna ocena zachowania i strategiczne techniki przesłuchiwania”. Nie spodobało się to jego żonie, ponieważ koszt całej wycieczki wyniósł kilka tysięcy dolarów. Właściwie był to wydatek, na który nie mogli sobie pozwolić, ale to właśnie tam Behr nabył umiejętności, które szlifował przez kolejne lata. Od tamtej pory pozwalały mu zarabiać na chleb. Nie twierdził, że jest żywym wykrywaczem kłamstw, w przeciwieństwie do ważniaka, który prowadził seminarium, ale naprawdę miał nosa. Kiedy już wyniuchał kłamstwo, znał sposoby, aby dowiedzieć się prawdy.

Behr odchrząknął i zadał pytanie.

- Czy któreś z was miało cokolwiek wspólnego ze zniknięciem waszego syna?

Przenosił wzrok z męża na żonę, przygotowany na jakiegokolwiek tiki, protesty lub odpowiedzi nastawione na przekonanie go o ich niewinności, niezawierające żadnej treści.

- Nie - odpowiedział ojciec.

Matka potrząsnęła głową, wyrzuciła z siebie krótki szloch, po czym wymamrotała ciche, niemal niezrozumiałe „nie”.

Wierzył im. Ilość pracy, jaką musiał wykonać właśnie niesłuchanie wzrosła. Pomimo to poczuł dużą ulgę. Później, kiedy wróci do domu, przeczesa dokładnie ich finanse. Sprawdzi rachunki bankowe, aby upewnić się, że nie ma w nich żadnych nieregularności, żadnych dużych wypłat, które mogłyby sugerować długi hazardowe lub problemy z narkotykami, dające powody do popełnienia ohydnej zbrodni.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, rozejrzę się po jego pokoju - powiedział.

*

Behr wszedł do pomieszczenia i zatrzymał się, nie zapalając światła. Paul i Carol zostali kilka metrów za nim w korytarzu, bojąc się podejść bliżej. Behr przesunął ręką po ścianie i włączył światło. To, co zobaczył, uderzyło go mocno od wewnątrz, obudziło uspięne wspomnienia. Jego ręka nadal była na ścianie, pomagając mu utrzymać równowagę. Stał w królestwie należącym do zadbanego amerykańskiego chłopca. Pojedyncze łóżko nakryte narzutą ligi hokeja NFL. Na wierzchu leżały zapakowane prezenty urodzinowe i świąteczne, czekające na syna, aby je otworzył. Pokój był zdominowany przez dwa plakaty wiszące na wielkiej tablicy: na jednym baseballista Albert Pujols rzuca podkręconą piłkę, na drugim lśni czerwone ferrari F430 Spider. Wyrwane z gazety zdjęcie dużego, czarnego kolarza zostało przypięte pinezkami do ściany przy łóżku. Na biurku, pomiędzy gąszczem zeszytów szkolnych, stał dawno nieużywany komputer. Obok duży kubek z Pizza Pizzazz wypełniony monetami oraz stara figurka koszykarza Reggiego Millera. Kilka książek z serii Harry Potter stało na półkach, a przy nich w miarę nieźle sklejone modele samolotu F-15 i okrętów wojennych.

Behr odwrócił się i otworzył szafę. Pociągnął za sznurek, który włączał światło w środku. Jeansy wisiały na wieszakach, obok nich koszule i kurtki. W lewym końcu szafy szykowny mały garnitur. Na podłodze para trampek, korki piłkarskie, nieco zdarte skórzane mokasyny, sandały oraz zimowe buty.

Behr zgasił światło i zamknął szafę. Podeszedł do komody, zmuszając się do kontynuowania. Zobaczył tam koszulki z krótkim rękawem, skarpetki i bieliznę. W najniższej szufladzie kryły się wyjściowe koszule i dwa krawaty. Pod nimi, głęboko ukryte, zdjęcie blond piosenkarki z dużym biustem, mającej na sobie top oraz założony za ucho mikrofon, który wyglądał na jej głowie jak sprzęt używany przez kontrolerów ruchu na lotniskach. Jej ciało pokryte było kroplami potu i emanowało seksem, młodością i niewinnością. Listę uzupełniały trzy paczki petard. Żadnych notatek czy innych informacji.

Podłoga pod łóżkiem pokryta była kurzem, światło minilatarki Behra przesuwalo się po niej niczym po powierzchni księżyca. Natrafił na niewielki magnetofon oraz kilka płyt CD z muzyką. Eminem, Green Day, Korn. Dziwna mieszanka. Pomiedzy materacem a ramą łóżka detektyw odkrył kolekcjonerski skarb, kartę baseballową zapakowaną w plastikową koszulkę, przedstawiającą Cala Ripkena podczas jego pierwszego sezonu w lidze. Po zakończeniu

poszukiwań Behr spróbował przywrócić łóżko do poprzedniego stanu.

Po chwili usiadł na niewielkim krześle przy komputerze, sprawdzając czy wytrzyma jego ciężar i szybko przejrzał podręczniki, które leżały na biurku. Zeszyty oznaczone były notatką: „Proszę zwrócić Jamiemu Gabrielowi - sala 102, szkoła imienia Kennedy'ego”. Behr zaczął je kartkować. Szkolne ćwiczenia, trochę osobistych notatek, lista dziesięciu najlepszych sportowców, ułożona na podstawie chłopięcych wyobrażeń, w których herosi toczyli ze sobą boje, bez względu na uprawianą przez siebie dyscyplinę. Koszykarz Kobe Bryant walczył z kolegą z ligi - Dwaynem Wadem i baseballistą Derekiem Jeterem. Behr uśmiechnął się na widok futbolisty Peytona Manninga, którego nazwisko było dwukrotnie wykreślane z listy, po czym znalazło się na jej szczycie. Propozycją na dziesiąte miejsce był Tiger Woods. Nie było natomiast niczego, co wskazywałoby na to, że chłopiec poznał kogoś nowego lub miał plany kogoś poznać przed swoim zniknięciem.

Behr włączył komputer i szybko przeszukał znajdujące się na dysku dokumenty: esej o planktonie, Paulu Reverze i tym podobne. Sprawdził papiery, które pokazali mu rodzice oraz zalogował się do serwisu America Online, gdzie sprawdził pocztę Jamiego. W książce adresów e-mail znalazł jedynie imiona kolegów chłopaka. Lista jego ulubionych miejsc w sieci zawierała głównie strony o filmach, muzyce, sporcie i samochodach. Behr nie znalazł żadnych innych stron internetowych. Oprócz spamu nie było też wiadomości pocztowych, starych, nowych lub czekających na wysłanie, jako że zostały automatycznie usunięte z serwera po tak długim okresie nieaktywności. Detektyw pomyślał, że dobrze byłoby skontaktować się z usługodawcą i uzyskać dostęp do jego archiwów. Wylogował się, wyłączył komputer i poprawił się na krzeselku. Rozmasował skronie i wstał.

*

Carol i Paul nadal czekali w korytarzu. Stali tam, jakby zamarznięci, przez czterdzieści minut - tyle czasu zajęło Behrowi przeszukanie pokoju chłopca. Gdy wyszedł, spojrzeli na niego, w ich wzroku widać było naiwne wyczekiwanie. Detektyw potrząsnął tylko głową i zapisał coś w swoim notatniku. Przez chwilę stali w pełnej niezręczności ciszy.

- Panie Behr... Frank... - w końcu zaczęła Carol, jej głos był cichy, lecz pewny. - Chciałabym wytłumaczyć, jak się czuliśmy... jak się czujemy odnośnie całej tej sytuacji i naszego syna. Jak bardzo go kochamy...

Czas oraz ból, jaki odczuwała, nie były w stanie całkowicie zniszczyć jej urody - pomyślał Behr. Gdy kobieta zamilkła niezdołna do kontynuowania, poczuł, że musi jej

pomóc.

- Nie musi pani nic tłumaczyć - jego głos także był cichy, chociaż szorstki. Mówił dalej, choć wiedział, że nie powinien. - Rozumiem przez co musicie przechodzić, bo ja również straciłem syna. Zmarł, gdy miał siedem lat.

8

Behr wsiadł do swojego toronado i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik obudził się z jękiem, po chwili jego praca wyrównała się. Odjechał sprzed domu Gabrielów zdziwiony faktem, że wspomniał o swoim synu parze, którą znał od zaledwie kilku minut. Ludziom, którzy byli jego pracodawcami. Nie wdał się w szczegóły, nawet gdy o nie zapytali, ale mimo to z własnej woli podjął temat. Teraz, siedząc w samochodzie, znów myślał o wydarzeniach, które doprowadziły do śmierci Tima i po raz setny próbował rozplątać ten węzeł w swoim sercu.

Przeciął County Lane i skręcił w lewo, w kierunku baru Donohue's, gdzie zamierzał wpaść na stek, ciemne piwo Beck's i ponownie przeczytać swoje nowe notatki. Miał nadzieję, że szum i gwar słabo oświetlonego miejsca, w którym wszystkie stoliki były odseparowane od siebie cienkimi ściankami, zablokuje ścieżki jego pamięci i pomoże mu skoncentrować się na nowym zadaniu.

Dojechał do baru, gdy już się ściemniało. Zdążył tuż przed swoimi wspomnieniami. Przed widokiem Lindy krzyczącej na korytarzu w szpitalu i horrorem w domu pogrzebowym. Trumna zamknięta z powodu obrażeń Tima. Pustka i bezradna cisza, które wypełniły jego życie po pogrzebie, rozdzierały mu serce i powoli zabiły wszystko, co było ważne w jego życiu.

Po cichu wślizgnął się do ostatniego wolnego stolika. Arch Currey skinął głową zza baru na powitanie. Twarz mężczyzny zdobiły białe wąsy. Behr kiwnął palcem, który posłał Archa do kraniku z piwem.

Frank Behr był niegdyś pijakiem. Może nawet alkoholikiem. To była główna przyczyna wielu jego problemów, zwłaszcza w okresie śmierci Tima. Później przestał pić przez dwa lata. Teraz panował nad tym, pił czasami, jeśli miał na to ochotę. Było to dziwne nawet dla niego. To kolejna rzecz, której nie potrafił w sobie zrozumieć.

Spojrzał w stronę kabiny w rogu sali, która należała do Pała Murphy'ego, właściciela lokalu. Zauważył jego lincolna zaparkowanego na zapleczu i spodziewał się ujrzeć również

Pala. Chudego jak patyk, w białej koszuli, kremowej marynarce z przyciemnionymi okularami na nosie, pochylonego nad filiżanką kawy. Jednak Pal musiał być w swoim biurze, bo jego stałe miejsce było puste.

Obaj byli kimś w rodzaju przyjaciół. Wiek oraz postawa Pala dawała Behrowi pewne poczucie komfortu. Jakby wszystkie życiowe kopniaki i wyzwania były jedynie tymczasowe. Pokazywały, że wszystko można było przetrzymać, a czas rozwiązywał wszelkie problemy, nieważne jak zagmatwane. Ich więź narodziła się tuż po śmierci Tima i pogłębiła się, gdy pojawiły się problemy pomiędzy nim a Lindą.

*

Behr otworzył notes i zaczął przeglądać swoje notatki. Zapisane słowa rozmazywały się przed oczami, nie dostarczały żadnych informacji. Wyjął zdjęcia Jamiego i zaczął bacznie się im przyglądać, zapamiętując zmiany, jakie zaszły w chłopcu na przestrzeni lat. Jako niemowlę miał jasne włosy, które potem trochę pociemniały. Na policzkach chłopca pojawiło się nieco piegów. Wypadły mu mleczone zęby, te stałe powoli wypełniały powstałe w ten sposób szpary. Ostatnie zdjęcia sugerowały, że chłopak będzie w przyszłości potężnym mężczyzną. Kiedy zniknął, miał metr trzydzieści wzrostu i ważył prawie czterdzieści osiem kilo.

- Zdjęcia rodzinne? - zapytała Kaitlin, stawiając przed nim piwo. Odsunęła się o krok i czekała, trzymając niewielki notesik w dłoni. Behr schował zdjęcia.

- Niezupełnie.

- Zestaw A czy B, a może powie ci o daniach specjalnych?

- Zestaw A - mruknął Behr, zamawiając w ten sposób dobrze wysmażony stek. Zestaw B był jego drugim, najczęstszym zamówieniem, składał się z kurczaka pieczonego na ruszcie i frytek. - I donoś te maleństwa regularnie - zakończył wskazując na szklanekę ze złocistym napojem. Gdy Kaitlin odeszła w stronę kuchni, podniósł piwo i wypił połowę.

Bar wypełniał się. Behr podniósł wzrok akurat w momencie, gdy Pal Murphy siadał przy swoim stoliku. Przyglądał swoje rzadkie, rude włosy i skinął na powitanie w kierunku detektywa. Pal siedział z młodym człowiekiem, którego Behr widział po raz pierwszy, co nie było zaskoczeniem. Posiadanie baru było tylko jednym z licznych interesów Murphy'ego. Kilkoro innych ludzi, którzy znali Behra, skinęło mu na powitanie. Ci, których nie znał, gapili się na niego - dużego, samotnego mężczyznę zajmującego stolik dla czterech osób. Nikt nie zamierzał się jednak skarżyć. Arch powiesił za barem dużą pałkę, której, w razie kłopotów,

nie wahał się użyć.

Behr umiał gotować. Była to jedna z rzeczy, których musiał się nauczyć po rozstaniu z Lindą, ale czasami potrzebował gwaru i szumu, dokładnie takiego, jaki panował w Donohue's. Ostatnio potrzebował go coraz więcej.

Pił swoje trzecie piwo i myślał o niej. Linda. Nie rozmawiał z nią od 6 stycznia, trzy lata temu. Mieszkała teraz w Vallonii, niedaleko swoich rodziców. Zaraz po separacji Behr jeździł tam kilka razy w miesiącu, ale nie mógł jej odzyskać bez względu na to, co mówił i robił. Śmierć Tima utworzyła pomiędzy nimi przepaść, której nie mógł przeskoczyć, nie miało znaczenia, jak duży brał rozbieg. Aby tego dokonać, oboje musieliby skoczyć, spotkać się pośrodku, w mrocznej przestrzeni pomiędzy krawędziami. Wiedział o tym teraz. Wiedział o tym wtedy. Było za późno. Poddał się. Tamtego dnia, 6 stycznia, powiedziała mu, że zaczęła się spotykać z mężczyzną, który był właścicielem pobliskiego sklepu samoobsługowego. Przestał przyjeżdżać, przestał próbować. Słyszał, że teraz mieszkają razem.

- Nie jest lepszy od ciebie - powiedziała mu tamtej zimy. - Po prostu nie przypomina mi o pewnych rzeczach.

Behr podejrzewał, że miało go to pocieszyć, ale odniosło całkowicie odwrotny skutek.

Po skończonym posiłku wypił trzy filiżanki kawy, aby zagłuszyć krązący w żyłach alkohol i zaczął szkicować w głowie plan działania.

*

Krok pierwszy. Po wyjściu z Donohue's Behr pojechał na Market Square. Przemierzał ciemne ulice, krążąc niczym wędkarz próbujący złapać wielką sztukę już przy pierwszym zarzuceniu. Miał nadzieję spotkać chłopca na ulicy, głodnego, ale w najlepszym porządku, gotowego na powrót do domu. Spojrzał przez szybę samochodu na miasto, które było jego domem przez dwie dekady.

Indianapolis było dwunastym co do wielkości miastem w Stanach. Z powodu największej liczby dróg międzystanowych zbiegających się w tym mieście znane było jako „Skrzyżowanie Ameryki”. Co roku urządzano tu słynny wyścig Indy 500.

Podatki były do zniesienia, szkoły były dobre, nieruchomości osiągały nieraz wysokie ceny, ale nadal niewielu ludzi decydowało się osiedlić właśnie tu.

Behr zauważył, że kiedy opuszczał waszyngtoński uniwersytet z dyplomem ukończenia kryminologii i znalazł pracę w tutejszym wydziale policji poprzez studenckie

biuro pracy, miasto wydawało mu się dużo piękniejsze.

Teraz, gdy przemierzał ulice Indianapolis, cały jego urok zniknął. Zaczął dostrzegać drapieżniki, męty i drani, którzy opanowywali miasto po zmierzchu. Policjanci chodzący na patrolach, jeśli mieli przeżyć, szybko rozwijali zmysł ukazujący prawdziwe oblicze ulicy. Zwykli ludzie widzieli faceta w skórzanej kurtce, bezdomnego pchającego wózek, nerwową kobietę. Policjant widział potwora posiadającego broń, niebezpiecznego ćpuna, kobietę, która przed chwilą zabiła męża. Była to umiejętność, której potrzebowałaś natychmiast po rozpoczęciu pracy, a która zdawała się nie rozwijać wystarczająco szybko. *Problem polegał na tym* - pomyślał Behr - *że nie było sposobu, aby ją wyłączyć, kiedy już się pojawiła*. Bez względu na to, jak bardzo tego się chciało.

Behr wjechał w ciąg ulic, które swoje nazwy zawdzięczały stanom: Maryland, Washington, Georgia. Widział postacie w długich płaszczach stojące na ulicy, siedzące na progach, tłoczące się w bramach, ale żadna z nich nie mogła uchodzić za czternastoletniego chłopca, którego szukał. Przejechał koło hali sportowej Fieldhouse, ciemnej i potężnej, w której nie rozgrywano dziś żadnych zawodów. Przejechał wokół ulic Delaware i South, zaparkował i przeszedł przez dworzec autobusowy Amtrak/Greyhound oraz stację kolejową Union. Stał tam oddział gwardii narodowej z karabinami na plecach. Kilka grup nastolatków wracało na przedmieścia. Żadnych dzieci. Behr pokazał zdjęcia kilku rezerwistom, którzy tylko kręcili głowami.

Wrócił do samochodu, okrążył halę RCA, po czym przeciął West Street. Jak w wypadku większości jego wypadów na ryby, wrócił z niczym. Jutro będzie musiał rozpocząć prawdziwe śledztwo. Za to płacili mu Gabrielowie. Dzieciak zasługiwał na to.

9

Behr zaczął wcześniej, zanurzył się w labirynt szczegółów układanki. Rachunki bankowe Gabrielów okazały się skromne i uporządkowane, dokładnie takie, jakich się spodziewał. Poszedł do szkoły i porozmawiał z nauczycielką, panną Preston, przejrzał archiwalne numery gazet wspominające o sprawie. Postanowił jeszcze przesłuchać trenera piłki nożnej. Siedział teraz w samochodzie, w bezpiecznej odległości i obserwował, czy ktoś nie kręci się w pobliżu dzieciaków lub nie robi tego samego co on. Spędził tak półtorej godziny, obserwując trening i samego trenera, który od czasu do czasu dmuchał w gwizdek, gdy ktoś z drużyny popełnił błąd. Behr podniósł do oczu miniaturowy obiektyw firmy Zeiss i jeszcze raz dokładnie sprawdził ulice graniczące z boiskiem. Był jedynym reprezentantem kategorii podglądaczy.

Zaczęli pojawiać się rodzice i ubłocone dzieci rozbiegły się w kierunku czekających na nie samochodów. Behr otworzył drzwi, wysiadł i ruszył w kierunku boiska. Trener odprowadził wzrokiem ostatnie dziecko i zaczął zbierać pomarańczowe słupki zdobiące boisko. Detektyw podszedł do mężczyzny.

Trener Finnegan nosił okulary w plastikowych oprawkach, polar oraz ucisk kolanowy na prawej nodze, tuż poniżej luźnych szortów marki Umbro. Facet był trenerem drużyny Wayne Hornets już od sześciu lat. Objął to stanowisko zaraz po przeprowadzce z Colorado Springs. W przeciwieństwie do nauczycielki, Andrei Preston, która była przykładną obywatelką, Finnegan, jak wynikało z danych Behra, był rozwodnikiem, zalegał z wypłatą alimentów, miał także na koncie wystawienie kilku czeków bez pokrycia. Zapłacił kilka grzywien.

- Musi być panu zimno - powiedział Behr, wskazując na czerwone nogi trenera.

- Zawsze je noszę - odpowiedział Finnegan, mając na myśli swoje szorty. - Nawet pod koniec roku.

- Pan Finnegan? - zapytał Frank w ramach formalności.

- Tak. A pan?

- Przyszedłem w sprawie Jamiego Gabriela.

- Grał w mojej drużynie. Smutna sprawa. Był urodzonym strzelcem - twarz mężczyzny nie zdradzała żadnych emocji. - Jakież wieści? - zapytał po kilkusekundowej pauzie.

- Pracuję dla jego rodziny - powiedział Behr, nie udzielając odpowiedzi na zadane mu pytanie.

Nie miał zamiaru temu facetowi czegokolwiek zdradzać. Dla wielu gliniarzy i detektywów największą przeszkodą w dociekaniu prawdy było to, że mieli naturalną skłonność do wierzenia innym. Behr nie miał tego problemu, zbyt wiele gówna widział w życiu. Jego uprzedzeniu do ludzi nie dało się zaradzić. Dodatkowo mężczyźni pracujący z dziećmi mieli u niego podwójną dawkę podejrzeń. Nauczycielki cieszyły się ograniczonym zaufaniem. Jednak dorośli mężczyźni pracujący z młodymi chłopcami znajdowali się na liście Behra niebezpiecznie blisko ludzi, których spisał na straty. Wiedział, że było to głupotą. Spotkał w życiu wiele kryminalistek, które udowodniły mu, że zwyrodnialcy nie mają płci.

Behr starał się ocenić trenera. Czy jego problemy emocjonalne lub psychiczne mogły doprowadzić go do tak strasznego czynu? Facet wyglądał na standardowego, byłego sportowca. Prawdopodobnie należało wykluczyć go z kręgu podejrzeń.

- Widział pan kogokolwiek kręcącego się w okolicach boiska? Kogoś, kogo nie powinno tu być?

- W czasie kiedy Jamie...

- Kiedykolwiek. Przed lub po.

- Nie. Zapytałbym kogoś takiego, co tutaj robi - powiedział trener.

Prawdziwy, wzorowy obywatel.

- Czy któryś z graczy wspominał panu kiedyś, że dręczy go jakiś dorosły? - pytał

- Jedynie ich krewni. Jak zwykle. „Tata nie pozwala mi grać z powodu ocen”. „Facet mamy to dupek”.

- Rozumiem.

Finnegan docisnął odstający fragment murawy. Behr przeciągnął wzrokiem od jednego końca boiska do drugiego.

- A co z transportem?

- Rodzice przywożą i odbierają dzieci z treningów. Mamy drużynowego vana, jeśli gramy na wyjeździe. Rodzice mogą też sami zawieźć dzieci na miejsce. Jeśli ktoś chce odebrać dziecko, a nie jest rodzicem, musi to ustalić wcześniej ze mną przez telefon. Co najmniej kilka razy musiałem odmówić wujkowi lub ciotce i zawieźć dzieciaka aż do jego

domu tylko dlatego, że starzy zapomnieli zadzwonić.

Trener wypowiedział ostatnie zdanie z uśmiechem pełnym dumy na ustach. Prawdopodobnie czekał na hymny pochwalne za jego poświęcenie na rzecz bezpieczeństwa młodzieży. Musiał poczuć się rozczarowany. Behr zamknął notes.

- Cóż, to by było na tyle. Proszę zadzwonić, jeśli coś się wydarzy - podał trenerowi swoją wizytówkę i udał się z powrotem do samochodu.

*

Behr jechał trasą, którą codziennie przemierzał Jamie. Dochodziła szósta. Wóz sunął powoli ulicą Richards. Skręcił w Cypress, później Grace, Sixteenth Street, Perry, aż w końcu dotarł do Tibbs. Wjeżdżając w tę ostatnią minął biegacza, dużego faceta w nylonowych spodenkach, wysokich, sportowych skarpetkach i opaską na głowie, ciężko dyszącego podczas biegu. Sprawdził w notatkach kolejne ulice, w które musiał skręcić. Mooresville, a potem Lynhurst. Trasa była dość długa, chłopak musiał przejechać spory kawał z torbami pełnymi ciężkich gazet.

Kiedy minął Lynhurst Behr, ujrzał starą hondę civic w wersji hatchback, która zmierzała w przeciwnym kierunku. Za kierownicą siedział Latynos. Jego kumpel wielkości dżokeja kulił się z tyłu i rzucał gazety w kierunku domów. *Następcy dzieciaka...* - pomyślał Behr.

Zbliżał się do końca trasy. Okolica nie zdradzała niczego, domy wyglądały na puste. Siedział w samochodzie i jadł kanapkę z szynką. Spoglądał w dół ulicy, którą przed chwilą jechał. Pozwolił swym myślom snuć się bez celu. *Ktoś jedzie do pracy. Jest bardzo wcześnie, więc nie zwraca uwagi na ruch. Wycofuje samochód z podjazdu i nagle bum, potrąca chłopca na rowerze. Wszyscy jeszcze śpią, chłopiec leży bez ruchu. Kierowca zabiera dzieciaka i jego rower, i wyjeżdża poza miasto, aby pozbyć się ciała.*

Behr potrząsnął głową. Możliwe, że Jamie nawet nie ruszył w trasę tamtego dnia. Dowolna ilość rzeczy mogła go odciągnąć od jego codziennego zajęcia. Oznaczałoby to, że policja szukała nie tam, gdzie trzeba, podobnie jak on.

Przekartkował teczkę z aktami sprawy, która stała się nieco grubsza od czasu, gdy zostawił ją Gabriel. Odnalazł jeden z artykułów, który wydrukował z archiwów online lokalnej gazety. Tekst pochodził ze strony drugiej, z numeru wydanego trzy dni po zniknięciu chłopaka. Nie było zdjęcia. Jakiś cholerny noworodek znika na pół godziny i już wałęsa o tym wielkie story na pierwszej stronie i pieprzą o tym w wiadomościach. A tu dzieciak jest na tyle

duży, aby mieć własne zdanie i nagle jest zbyt wiele podejrzeń na temat tego, co mogło się wydarzyć. Nie warto o tym pisać.

Behr dokończył kanapkę, zgniół papier, w który była zawinięta, i wrócił na początek trasy, aby rozpocząć przesłuchiwanie sąsiadów.

Liczba osób, które zastawał w domu podczas porannego obchodu zawsze go zaskakiwała. Nie tylko kury domowe, starcy i inwalidzi, ale także młodzież, pracujący mężczyźni i kobiety - oni wszyscy zazwyczaj byli w domu. Na początku myślał, że powinni być w robocie, ale właśnie okazywało się, że pracowali na drugą zmianę, na trzecią zmianę, mieli urlop albo chwilę wytchnienia pomiędzy jedną pracą a drugą. W większości przypadków w osiemdziesięciu procentach domów drzwi otwierały się zaraz po dzwonku. Inaczej było na Mount Auburn. Tu mieszkali ludzie pracy. Nawet kwadrans przed dziewiątą rano nie było już niemalże nikogo, co oznaczało brak informacji. Sprawdził raporty policji i zauważył, że funkcjonariusze byli tu trzy razy - rano, około południa i wieczorem. Nadal brakowało wielu zeznań. Behrowi otworzyło kilka sprzątaczek, żadna z nich nie pracowała w tej okolicy na tyle długo, aby wiedzieć cokolwiek. Dwaj właściciele domów, których udało mu się zastać, mieli duże luki w pamięci ze względu na czas, jaki minął od zdarzenia.

Opuścił Mount Auburn i ponownie zaczął przemierzać ulice trasy Jamiego. Zbierał numery kontaktowe i przeprowadzał krótkie rozmowy z garstką osób, które otworzyły drzwi. Nie trafił na nic ciekawego, dopóki nie dotarł do numeru 3 na ulicy Tibbs. Dom, według jego listy, należał do niejakiej Esther Conyard. W porównaniu do okolicznych domów był w kiepskim stanie i jak tylko Behr ujrzał jego właścicielkę przez zewnętrzne drzwi z pleksiglasu, wiedział dlaczego.

Pani Conyard była staruszką zbliżającą się do dziewięćdziesiątki, nie była przy tym typem dziarskiej babci. Miała na sobie sweter z grubej wełny, założony na koszulę, pod którą znajdował się szlafrok. Była typem hipochondryczki, która czuje przeciągi przy niemal trzydziestostopniowym upale. Minęły czasy, gdy wychodziła z domu, nie mówiąc już o dbaniu o niego.

- Pani Conyard? - zapytał Behr, gdy staruszka otworzyła drzwi.

- Tak. Ale nie chcę niczego kupować. Widzi pan, mam bardzo niską emeryturę - odpowiedziała.

- Nic nie sprzedaję, proszę pani - zaczął Behr. - Prowadzę dochodzenie w sprawie chłopca, który zaginął w tej okolicy mniej więcej rok temu.

Detektyw spojrział na kobietę, aby sprawdzić, czy nie przyszło jej nic do głowy. Niestety, jej twarz pozostała bez wyrazu. Postanowił mówić dalej.

- Może słyszała coś pani na ten temat? Był gazeciarem.

Ta informacja chyba pomogła, bo staruszka zaczęła entuzjastycznie kiwać głową. Behr od razu zauważył, że robi to na pokaz. Jednakże kobieta cały swój czas spędzała w domu. Wielu starszych ludzi prowadzi swoje życie w dziwnych godzinach. Niektórzy cierpieli na bezsenność i siedzieli do późna w nocy, inni nie mogli spać zbyt długo i wstawali niezwykle wcześnie. Kobieta taka jak ta, choć mogła być krótkowidzem, nie miała zbyt wielu zajęć poza wyglądaniem przez okno.

- Mogę wejść do środka? Chciałbym porozmawiać o tej sprawie.

Behr obserwował, jak jej strach przed obcymi walczy z chęcią posiadania towarzystwa.

- Nie wiem, czy powinnam.

Pokazał jej swoją licencję, którą trzymał w plastikowym etui, razem ze swoją starą odznaką. Chwilę potem wyjął zdjęcie Jamiego.

- To on. Może widziała pani, jak jedzie na swoim rowerze?

Spojrzała na chłopca, który na zdjęciu wyglądał niesamowicie słodko, i to przesądziło sprawę. Otworzyła drzwi.

- Obawiam się, że nie wiem nic na ten temat - powiedziała. Jej głos drżał z wysiłku, gdy przechodziła przez korytarz. - Ale postaram się odpowiedzieć na pańskie pytania.

Zaprowadziła go do salonu. Przez ciało Behra przebiegł nieprzyjemny dreszcz, gdy ujrzał sterty gazet zalegające na podłodze. Pokój był nimi wypełniony, wydania *Star* z co najmniej kilku lat. Wszystkie nieprzeczytane. Niektóre zółkły już ze starości. Pani Conyard zauważyła wzrok Behra.

- Zawsze mam zamiar przeczytać gazetę nocą, ale w końcu włączam telewizor - detektyw skinął głową, aby mówić dalej. - Lubię „Koło Fortuny” i w końcu przekładam czytanie gazety na następny dzień.

Sterna gazet była tak ogromna, że Behr nie zdziwiłby się, gdyby staruszka była święcie przekonana, iż prezydentem nadal jest Jimmy Carter.

- Czy mógłbym przejrzeć makulaturę? Zastanawiam się, czy dostarczono pani egzemplarz tamtego dnia.

- Proszę się nie krępować - odpowiedziała.

Behr już klęczał i przeglądał sterty, szukając tej z datami najbardziej zbliżonymi do dnia zniknięcia.

- Ciągle chcę wyrzucić stare gazety, ale zapominam. Może się na coś przydadzą...

Gazety ułożone były od lewej do prawej, zgodnie z datami. W ciągu dziesięciu minut

Behr odnalazł paździenik tamtego roku i dostrzegł coś, co wcale go nie zaskoczyło. Kobieta miała wszystkie wydania aż do dzisiaj, ale nie było tej z dnia, w którym Jamie zaginał. Brakowało też gazet z dwóch kolejnych dni.

Pani Conyard pamiętała tę przerwę w dostawach. Zastanowiło ją to nawet, jednak trzeciego dnia egzemplarze zaczęły ponownie trafiać na jej próg.

- Mały, ciemny człowiek. W samochodzie. Tak je teraz rozwożą - powiedziała.

- Postęp - rzucił Behr pod nosem. Nie patrzył na staruszkę, a na sterty gazet. Chciał się upewnić, że są ułożone w należyтым porządku. Wszystkie były. Kobieta była bardzo skrupulatna.

- Wie pan co? - twarz pani Conyard zdradzała, że staruszka właśnie sobie coś przypomniała. - Pamiętam, że przyjechała policja i zadawała pytania.

Behr skinął głową. Niestety, wspomnienia kobiety nie zawierały żadnych konkretnych informacji. Nie zauważyła żadnych podejrzanych samochodów czy osób ani wtedy, ani od tamtej pory.

- To bardzo bezpieczne sąsiedztwo. Dlatego zostałam tu przez wszystkie te lata od śmierci mojego męża - mówiąc to, staruszka podeszła do portretu, który stał na telewizorze. - To jest Pan Conyard... Mój John - podała portret Behrowi, który spojrzał na niego i postanowił wyjść.

*

Frank Behr spędził kilka kolejnych godzin w swoim samochodzie zaparkowanym na Tibbs. Rozmawiał przez komórkę z działem dystrybucji gazety *Star*. Po długim oczekiwaniu połączono go z odpowiednią osobą.

Susan Durant pracowała tam od wielu lat, miała wszystko pod kontrolą i świetną pamięć. Pamiętała, że stracili chłopca, który rozwoził gazety. Był to smutny dzień w redakcji, choć nikt właściwie nie mógł sobie przypomnieć, żeby choć raz widział dzieciaka. Umieszczenie jego historii na drugiej stronie gazety wywołało spore wzburzenie wśród dziennikarzy.

Durant sprawdziła rejestry i okazało się, że mieszkaniec spod numeru 5 na ulicy Tibbs zgłosił zażalenie 24 października. Kilku innych, których domy obejmowała trasa Jamiego, wykonało podobne telefony. Susan potwierdziła także, że dostawy były wstrzymane przez kolejne dwa dni. Wszystkim klientom zwrócono pieniądze za ten okres.

- Nie, nie było żadnych skarg od mieszkańców ulic znajdujących się przed Tibbs 5 -

powiedziała Susan Durant ze swojego biura w centrum.

Ta informacja spowodowała, że ciałem Behra wstrząsnął dreszcz. Poczł, że zbliża się do miejsca, w którym Jamiemu coś się stało.

- Susan, jestem ci winny kolację we włoskiej restauracji!

- Nie jadam takich rzeczy, Frank - powiedziała z żalem w głosie. - Nie mam natomiast nic przeciwko wołowinie - dodała z zachętą.

- A więc stek, Susan - obiecał, że zadzwoni, kiedy tylko sprawy trochę się uspokoją.

Behr wyłączył telefon i czekał aż Louis Cranepool, mieszkaniec Tibbs Avenue spod numeru 1, wróci z pracy. Detektyw zaczął układać w głowie różne scenariusze. W sprawach zaginionych dzieci rodzice zawsze byli poddawani, często jako pierwsi, szczegółowej obserwacji. Był pewien, że policyjne akta - oryginał, nie kopia dostarczona Gabrielom - zawierały raport świadczący o tym, że przyjrano im się dokładnie, być może badano ich nawet przy użyciu wykrywacza kłamstw. W pewnych okolicznościach Behr przyjrzałby się matce i ojcu dokładniej. Prawdziwość smutku nie była w żadnym wypadku dowodem niewinności w przypadku przestępstw wewnątrz rodziny. Jednak kiedy z nimi usiadł tam w salonie zauważył, że para nie mogła znieść niewiedzy o losie swojego syna. To uczucie było dużo trudniejsze do odegrania.

Poczł jak drewniana, robiona na zamówienie kierownica, ugina się pod jego dłońmi. Spojrzał w dół i dostrzegł, że jego knykcie niemal całkowicie zbiełały. Rozluźnił ręce i starał się nie zaciskać pięści na myśl o tym, co Cranepool mógł mieć wspólnego z tą sprawą.

10

Tuż po 16:00 na podjazd przed domem na ulicy Tibbs 1 wtoczył się złoty taurus. Przysadzisty mężczyzna w brązowym garniturze wziął neseser z fotela kierowcy, wygramolił się z samochodu i skierował w stronę drzwi swojego domu.

Behr przeszedł przez trawnik i przeciął mu drogę, zanim ten zdążył wyjąć swoje klucze.

- Louis Cranepool? - warknął.

Podczas przesłuchania śledczy ma do dyspozycji wiele technik i metod. Bicie oraz środki chemiczne są najpoważniejszymi z nich, zazwyczaj są też nielegalne. Poza tym, według Behra, przyjazna manipulacja przynosi niemal identyczne rezultaty. Istniała możliwość, że ten gość nie miał z całą sprawą nic wspólnego, ale detektyw miał tylko jedną szansę, aby wyrzec odpowiednie pierwsze wrażenie. Zdecydował się go trochę przycisnąć, aby dowiedzieć się, co to za facet.

- Tak - Cranepool głośno przełknął ślinę, patrząc na ogromnego mężczyznę, który oddzielał go od drzwi wejściowych. - Czego pan chce?

- Wiesz, czemu tu jestem... - Behr poczekał aż jego słowa dotrą do mężczyzny. - Jamie Gabriel.

Jeśli nazwisko znaczyło cokolwiek dla Cranepoola, to Behr nie chciał nigdy zasiąść z nim do pokera.

- Twój gazeciarz.

- Ten, który kiedyś dostarczał tu gazety? Dzieciak, który zaginął? - rzucił Cranepool po krótkiej chwili zastanowienia.

- Tak - był niemal pewien, że ten facet nie miał nic wspólnego z całą sprawą.

Behr zaczął zmieniać ton głosu, mówił teraz tonem bardziej neutralnym, podobnym do policyjnego, mając nadzieję uzyskać choć trochę informacji.

- Interesuje mnie dwudziesty czwarty października ubiegłego roku. Zakładam, że powiedział pan policji wszystko, co pan wiedział, czyli nic, tak?

- Aha - potwierdził Cranepool. Jego strach osłabł, ale tylko nieznacznie.

- Pamięta pan, czy dostał gazetę rankiem dwudziestego czwartego?

- Tak - Cranepool odpowiedział szybko.

Zbyt szybko.

- Nie wspominałem o tym policji. Nie wiedziałem, że to może być ważne, a oni nie pytali.

- To było dawno temu. Jest pan pewien?

- Jestem pewien.

- Jakim cudem?

- Mam własny interes i sprawdzam codziennie notowania giełdowe. Następnego dnia nie dostałem gazety i musiałem kupować ją na stacji benzynowej przez dwa kolejne dni, podczas gdy szukali nowego doręczyciela.

Behr bezwolnie spojrział na ulicę.

- Teraz mam już internet i otrzymuję raporty przez cały dzień - detektyw ledwie słyszał Cranepoola.

Ponownie skupił swą uwagę na przesłuchiwanym i zadał tuzin dodatkowych pytań, na które jedyną odpowiedzią były przeczące kiwnięcia głowy. W końcu podziękował mężczyźnie i zaczął wracać przez trawnik, tak jak przyszedł. Mężczyzna z ulgą skrył się w domu, podczas gdy Behr podążał w kierunku ulicy.

*

Frank Behr skręcił za róg i wyobraził sobie, jak jedzie na rowerze. Zobaczył, że najlepiej było rzucić gazetę z ulicy Perry, przed zakrętem w Tibbs. Sięgnął prawą ręką do lewego biodra, symulując rzut z backhandu. *Właśnie stąd byś ją rzucił* - pomyślał. Skręcił za róg. Do domu pani Conyard było jakieś 25 metrów. Jamie nie przebył już tego dystansu. To było to miejsce. Myśl ta uderzyła Behra. Znajomy mrok, który przyszedł wraz z uświadomieniem sobie, że właśnie tu dokonano tej straszliwej zbrodni, zaczął ogarniać go całego.

To było to miejsce.

*

Stał na ulicy Tibbs pomiędzy domem Cranepoola a domem pani Conyard przez długi czas. Kucnął przy asfalcie, potarł nawierzchnię palcami, patrzył na plamy oleju silnikowego

niczym jasnowidz. Gdyby podniósł wzrok, dostrzegłby Cranepoola spoglądającego na ogromnego, groźnie wyglądającego mężczyznę zza zasłony w kuchennym oknie. Kiedy Behr wstał, stawy w jego kolanach trzasnęły. Przypomnił sobie biegacza.

11

Czasami sprawy toczyły się szybko, a czasami wprost przeciwnie. Zazwyczaj przypominało to walenie młotem w mur. Odpadały małe kawałki, aż nagle trach i całość rozsypywała się w proch. Ten moment był jeszcze daleko. Behr wiedział o tym. Siedział i zmuszał się do oglądania stron w internecie, które nie powinny istnieć, które nie istniałyby w porządnym świecie. Kilka poprzednich nocy spędził na przeglądaniu stron Narodowego Centrum Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych i tym podobnych organizacji. Znalazł tam zdjęcie Jamiego, jedna z tysiąca podobnych zaginionych, słodkich twarzy. Nie było żadnych nowych śladów.

Lecz dziś Behr udawał się w dużo gorsze miejsca. Niczym drapieżnik czający się w cyberprzestrzeni zaczął wyszukiwać strony poświęcone dziecięcej pornografii. Choć było ich niewiele i były ciężkie do odnalezienia, to i tak było ich za dużo. O wiele za dużo. Niektóre oferowały ocenzurowane próbki, aby skusić potencjalnych kupców ofertą haseł i możliwością bezpiecznego ściągnięcia materiałów na własny komputer. Behra ogarnęło uczucie odrazy, zaczął się pocić, gdy klikał na przykładowe zdjęcia. Były zrobione w kiepsko oświetlonych pokojach, gdzie anonimowi mężczyźni gwałcili odurzone i bezbronne dzieci. Czarne kółka na twarzach oraz cyfrowe rozmazanie obrazu nie były w stanie ukryć tego, co działo się na zdjęciach. Behr poczuł narastający gniew. Zmuszał się do oglądania, próbując ustalić, czy któreś z dzieci było Jamiem. Ogarnęła go wściekłość i musiał użyć całej siły woli, aby powstrzymać się przed rozwaleniem wszystkiego w swoim domu. Miał ochotę zabić gołymi rękami każdego z tych bladych mężczyzn o obwisłych ciałach obecnych na monitorze jego komputera. Jako glina spotykał się z ulicznym brudem wszelkiego rodzaju, z degeneratami i psychopatami. Widział ciała po straszliwych przejściach oraz żywe ofiary, których los był jeszcze gorszy, ale nic nie było w stanie doprowadzić go do takiego stanu. Robiło się coraz później, a Behr docierał coraz głębiej. Odnalazł środowiska, które promowały fizyczną miłość - tak to nazywali - pomiędzy dorosłymi a dziećmi. Jego oczy stawały się coraz bardziej zaczerwienione. W końcu, o czwartej nad ranem, stało się coś niewyobrażalnego. Jego syn

pojawił się przed nim niczym widmo. Twarz Tima zaczęła się przebijać na pierwszy plan przed oczami, nałożona na twarze młodych ofiar. Poczuł jak pulsują mu skronie, skóra cierpnie, a organizm zaczyna wydzielać adrenalinę. Wściekłość zawładnęła jego ciałem. W gardle zebrały się wymioty i ledwo zdążył do łazienki.

*

Behr wrócił na Tibbs następnego ranka. Był tam przed szóstą, miał nadzieję spotkać biegacza. Jego włosy były wciąż mokre po gorącym prysznicu, który miał go zdezynfekować, zmyć brud poprzedniej nocy. Siedział w samochodzie, połykał tabletki na zgagę i modlił się, aby uspokoiły jego żołądek. Była sobota i o dziesiątej stracił nadzieję na spotkanie tego faceta, ale i tak został tam do piątej po południu. Powtórzył całą procedurę w niedzielę, bijąc się z myślą, że mężczyzna był z sąsiedniej dzielnicy i trafił tu przez przypadek. Mógł nawet pochodzić spoza miasta.

W poniedziałek, dziesięć po szóstej, pojawił się, biegnąc wzdłuż ulicy. Mężczyzna był po czterdziestce, ze sporym brzuchem i nogami jak patyki. Behr wysiadł z samochodu i podbiegł do niego.

- Przepraszam, że przeszkadzam - w jego głosie nie dało się jednak wyczuć prawdziwych przeprosin. Biegł teraz razem z mężczyzną, wyglądał niczym poruszający się budynek.

- Prowadzę śledztwo w sprawie zniknięcia.

Mężczyzna zaczął truchtać w miejscu, przetarł spocone bokobrody. Jego oddech stał się cięższy.

- Dwudziestego czwartego października ubiegłego roku zaginął tu chłopiec. Wie pan coś o tym?

- Nie - wycharczał mężczyzna.

- Mogę wiedzieć, jak się pan nazywa?

- Brad Figgis.

Figgis niewiele wiedział.

- Od czasu do czasu widziałem chłopaka przejeżdżającego na rowerze.

- Czy był pan przesłuchiwany w tej sprawie przez policję?

- Nie. Nie jestem stąd.

Behr spojrział na mężczyznę. Facet nie wyglądał na kogoś, kto potrafi pokonywać długie dystanse.

- Jak daleko pan biega?

- Moje okrążenie to jakieś siedem kilometrów. Teraz jesteśmy mniej więcej w połowie.

- Pamięta pan coś niezwykłego z tamtego okresu?

Figgis pocił się i myślał. W końcu skinął głową.

- Pamiętam duży, stary samochód, który stał zaparkowany przez kilka dni z rzędu. Był dokładnie tam, więc musiałem biec dookoła niego. Nie widziałem go już potem. Pontiac albo lincoln. Duży i szary.

- Rejestracja?

- Nie, nie zanotowałem.

- Dlaczego zwrócił pan na niego uwagę?

- W środku było dwóch gości. Nie potrafię powiedzieć, jak wyglądali, pamiętam tylko, że jedli. Myślałem, że są może geodetami lub malarzami czekającymi na rozpoczęcie pracy, ale samochód mi nie pasował. Ludzie tego typu jeżdżą najczęściej pickupami albo małymi corollami. Ten samochód był ogromny. Wielki, szary zderzak. Wóz, który pije niesamowite ilości benzyny.

Behr wziął numer telefonu i adres Figgisa, zanim ten pobiegł dalej. Detektyw wrócił do domu, aby pogrzebać w bazach danych wydziału komunikacji.

12

Najgorsze były poranki. Carol była pewna, że gdyby nie kawa, już dawno zwinęłaby się w kłębek, wyschła i została zdmuchnięta przez wiatr. Nigdy nie lubiła wstawać wcześniej. Na studiach dokładała wszelkich starań, aby jej zajęcia rozpoczynały się po dziesiątej. Potem wyszła za mąż i kiedy Paul musiał wstawać kwadrans przed szóstą, żeby zdążyć do pracy, ona czuła się coraz bardziej winna, że śpi dłużej niż on. Zaczęła zmuszać się do wczesnego wstawania, robiła kawę i śniadanie, gdy on biegał. Potem siedziała z nim przy kuchennym stole i udawała, że rozmawia, ale tak naprawdę chciała jedynie jak najszybciej wrócić do łóżka.

Wszystko się zmieniło, gdy na świat przyszedł Jamie. Od tego czasu była pełna energii, miała cel, o którym nawet nie marzyła. Kiedy był niemowlęciem i jego płacz wypełniał mieszkanie, a później ich pierwszy mały dom, wstawała, aby się nim zająć. Gdy szła do jego kołyski, nie było w niej rozgoryczenia ani wyczerpania. Nawet kiedy podrosł i był na tyle duży, żeby przespać całą noc, obudzić się o szóstej i zacząć się bawić, Carol odkryła, że prawie wcale nie potrzebowała snu. Do czasu, gdy Jamie był w wieku szkolnym, wstawała wcześniej niż on. Witała poranek niczym sierżant w koszarach - pełna energii i entuzjazmu, niemal agresji. Budziła Jamiego, zaganiała go do łazienki na mycie twarzy i zębów, ubierała go odpowiednio do pogody, prowadziła na śniadanie, pytała się, co chciałby zjeść na lunch, pakowała zamówienie do pudełka, zanim chłopiec dopił sok pomarańczowy. Sprężystym krokiem odprowadzała go do szkoły. Słońce czy deszcz, każdy dzień był prawdziwym darem losu.

Ale teraz Carol domyślała się prawdy. Cała ta energia pochodziła tak naprawdę od Jamiego. Jego młodość i niespokojny duch, tak charakterystyczny dla małych chłopców, dawały jej moc. Teraz gdy go zabrakło, jedyne co była w stanie robić, to siedzieć w kuchni z palcami splecionymi wokół kubka z atramentową kawą. Odczuwała obezwładniającą niemoc, gorszą od jakiegokolwiek kaca, którego przeżyła podczas swoich szalonych lat. Poranki były niemiłym obowiązkiem, potrzebnym, aby przetrwać resztę dnia. Zadaniem, któremu ostatnio

nie potrafiła sprostać. Każdego ranka zgrzytała zębami, oczekując, aż Paul wyjdzie do pracy.

Carol skarciła się za to, że rano mąż znowu ją zirytował. Kręcił się bez końca, szukając czegoś. Chyba sam nie wiedział czego. Jej racjonalna część mówiła, że powinna mieć więcej cierpliwości. Paul znalazł w sobie przecież dość siły, aby nadal chodzić do pracy, aby nadal sprzedawać ubezpieczenia, dzięki czemu mieli pieniądze na dom. Przez kilka miesięcy uważała to za najważniejszą rzecz, ponieważ jeśli Jamie by wrócił, wiedziałby, gdzie ich szukać. Gdyby to Carol miała się tym zająć, żyliby teraz na ulicy, w śmietniku. Ale to wszystko nie miało obecnie znaczenia, ponieważ on nigdy nie wróci. Dzisiejszego ranka jej nerwy były poszarpane niczym stary sweter.

- Czego szukasz? - zapytała, wyczuwając w swoim głosie nutę świadcząca o przemęczeniu.

Paul zatrzymał się i spojrzał na nią zdziwiony faktem, że odezwała się do niego, zanim wyszedł do pracy. Wrócił.

- Zabawek z paczek z płatkami śniadaniowymi. Miałem ich tuzin. Zbierałem je...

W jednej ręce trzymał najnowszą zabawkę - niewielkiego bączka, a w drugiej miskę płatków.

- Aaa, tych. Wyrzuciłam je niedawno, kiedy czyściłam szafki.

Paul wyglądał, jakby miał się rozplakać.

- Co?! Dlaczego to zrobiłaś do cholery?! - wrzeszczał.

Nie widziała go jeszcze tak wściekłego. Nagle przypomniała sobie, że trzymał te nagrody dla ich syna. Syna, który miał już nigdy nie wrócić. Od kilku tygodni pewna rzecz chodziła jej po głowie, a ta chwila była tak dobra jak żadna inna, żeby w końcu o tym wspomnieć.

- Paul - zaczęła. - Paul, zapomnij o tych cholernych zabawkach.

Spojrzał na nią.

- Paul, chcę porozmawiać. Jest coś, co chciałabym zrobić.

Jej mąż patrzył na nią wyczekująco.

- Chcę, żebyśmy kupili nagrobek. I wystawili go Jamiemu. Chcę urządzać pogrzeb i mieć miejsce, w którym mogłabym go oplakiwać. Żeby go pamiętać...

Jej doświadczenie po tylu latach małżeństwa podpowiadało jej, że Paul tylko kiwnie głową i spełni jej życzenie. Gwałtowne uderzenie wyrwało ją z letargu, dreszcze pojawiły się na ciele. Jej mąż roztrzaskał trzymaną w dłoniach miskę płatków o blat stołu. Naczynie rozpadło się na tysiące małych, ceramicznych kawałków, pomiędzy którymi leżały płatki.

- Nie! - krzyczał. - Nie! Nie! Nie! Nie!

Po tych słowach wybuchnął płaczem.

*

Na zewnątrz lało, deszcz pozapychał studzienki kanalizacyjne. Behr pił kawę i myszkował w danych wydziału drogowego. Ciągi numerów i adresów - suche, bezduszne informacje - to prawdziwa ulga po wcześniejszym użytkowaniu komputera. Odgłosy padającego deszczu sprawiły, że myślami wrócił do miejsca, gdzie się wychował.

Przedmieścia Everett, gdzie deszcz taki, jak ten nie byłby nawet wzięty za mżawkę, a raczej za coś na kształt lekkiej mgły. Po tym, jak dzięki stypendium sportowemu dostał się na uniwersytet i ukończył go z dyplomem kryminologii, dowiedział się, że policja z Indianapolis szuka pracowników i że w tym mieście padało jedynie przez pięćdziesiąt dni w roku - o dwieście mniej niż był przyzwyczajony. Co dziwne, przez większość spędzonego tu czasu tęsknił za deszczem.

Wiadomości zdobyte od Figgisa sprawiły, że jego obawy co do sprawy, którą prowadził, znacznie wzrosły. Dlatego Behr postanowił zagłębić się w szczegóły. Samotny degenerat, który chce porwać chłopca, byłby czymś strasznym. Jednak obecność dwóch mężczyzn, jeśli właśnie z tego powodu tam przebywali, oznaczała coś znacznie gorszego - organizację. Samochód, o którym wspominał biegacz, był najprawdopodobniej kradziony i Behr miał nadzieję natknąć się na niego na liście pojazdów zaginionych. Jego nadzieja zmaląła jednak, po tym jak przeszukał bazy danych Indiany, Illinois, Kentucky i zachodniego Ohio. Żadne stare lincolny nie zostały zgłoszone jako skradzione w dniach przed wydarzeniem, jedynie pontiak - model sunfire z 84 roku na przedmieściach Chicago. Ale ten nie pasował. Sunfire to małe, dwudrzwiowe auto.

Behr przejrzał całe mnóstwo doniesień o skradzionych tablicach rejestracyjnych. Doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej samochód kupiono, a następnie zamontowano kradzione tablice. Nawet gdyby świadek taki jak Figgis spisał numery, byłyby to droga donikąd.

W imię zawodowej dokładności sprawdził też wszystkie transakcje imienne poprzedzające 24 października. Skoncentrował się na dużych, używanych sedanach. Niestety, wydział ruchu posiadał dane, które mówiły jedynie o niewielkim procencie aut, które zmieniały właścicieli w transakcjach gotówkowych. Coraz szybciej przeglądał dane samochodów, aż w pewnym momencie poczuł, że jego oczy nie nadążają. Zdał sobie sprawę, że chyba nigdy nie dowie się, w jaki sposób auto trafiło w ręce tych dwóch facetów...

Facetów bez opisu.

Ten pomysł okazał się pudłem. Behr odchylił się na krześle i pozwolił, aby dane na ekranie komputera zlały się z deszczem za oknami. Choć nadało mu to nieco impetu, poszukiwania samochodu zaprowadziły go w ślepią uliczkę.

Przy całym tym postępie w kradzieży samochodów - pomyślał - pewnie lepiej poradziłbym sobie z poszukiwaniami roweru dzieciaka.

- Rower! - rzucił na głos. Dlaczego nie spróbować znaleźć tego cholernego roweru?

Behr sięgnął po kluczyki od samochodu.

13

Czuł się jak pieprzony kretyn, jadąc w deszczu drogą numer 65 w stronę miejskiego wysypiska śmieci. Zazwyczaj nie realizował tak niepewnych pomysłów, a teraz miał nadzieję na wygraną na loterii. W oddali ujrzał spiętą łańcuchem bramę wysypiska. Trzydzieści cztery akry ziemi z licencją na składowanie odpadów były królestwem Terry'ego Cottrella. Kiedy Behr poznał go dwanaście lat temu, pracując nad sprawą skradzionych towarów, Cottrell był złodziejem i paserem. Behr zapakował go w kajdanki i w drodze na posterunek stwierdził, że ten facet bardzo różni się od innych przestępców, których spotkał. Wielu kryminalistów, których udało mu się przyskrzynić, starało się wyprosić u niego jakąś formę złagodzonego postępowania podczas ostatniej przejażdżki na posterunek. Jednak Behr z nikim nie odbył tak obiektywnej, niemalże filozoficznej dyskusji, jaką udało mu się przeprowadzić z Cottrellem.

Terry Cottrell był wtedy wysokim, chudym nastolatkiem. Martwił się swoim losem, jednak nie próbował z nim walczyć, zupełnie jakby niepisany, aczkolwiek oczywisty kodeks zabraniał mu kwestionować, narzekać lub spekulować na temat tego, co miało się z nim stać. Zamiast tego rozmawiali o policyjnych sprawach, które niedawno znajdowały się na czołówkach gazet. Cottrell posiadał dużą wiedzę o życiu policjantów.

Podczas przerwy w procesie, w którym miał zeznawać, Behr znalazł się przy kontuarze zaraz obok Cottrella i jego matki. Nigdy nie było przyjemnie spotkać się twarzą w twarz z rodziną kolesia, którego próbuje się zamknąć. Zazwyczaj napotykał wściekły wzrok, przekleństwa, pogróżki. Jednakże w tym przypadku było zupełnie inaczej. Matka Cottrella, Lana, była atrakcyjną kobietą w średnim wieku.

- Dzień dobry - przywitała go uprzejmie. - Proszę się nie dziwić, że wspólniejemy lunch. Nie byłoby nas tutaj, gdyby nie on.

Behr skinął głową.

- Mamo... - zaczął Cottrell, jednak jej wzrok szybko go uciszył.

Chłopak miał świetnego adwokata i pomimo że Behr przyłapał go na gorącym uczynku w sklepie pełnym najnowocześniejszego sprzętu audio-wideo, dostał dwa lata w

zawieszeniu. Frank był wtedy młodym gliną i nie przywykł jeszcze do ścieżek, którymi chadzał system. Tak lekki wyrok był dla niego policzkiem. Nie mógł sobie odpuścić, zwłaszcza po tym jak zobaczył Cottrella wychodzącego z sali sądowej z szerokim uśmiechem na ustach. Kilka dni później pojawił się w domu Cottrella, aby ostrzec go, by uważał na to, co zrobi w najbliższej przyszłości. Terry'ego nie było w domu, więc Behr siedział z Laną. Była zmartwiona konfliktami z prawem swojego syna i obawiała się, że skoro upiekło mu się tym razem, to będzie nadal podążał przestępczą ścieżką. Opowiedziała także, jak jej syn uwielbia czytać i pokazała jego pokój, utrzymany w ładu i wypakowany książkami do granic możliwości. Behr był tym na tyle poruszony, że zdecydował się zmienić swoje nastawienie i w końcu udało mu się załatwić dzieciakowi cichą i bezpieczną pracę na miejskim wysypisku.

Stali się kimś w rodzaju przyjaciół. Jeśli Terry Cottrell brał udział w jakichś przekrętach lub przestępstwach przez ostatnie lata, były to sprawy na tyle drobne, że pozostawały poza zasięgiem radarów Behra.

Minał bramę i poczuł nieprzyjemny zapach wysypiska. Zalegały tam całe tony odpadków. Oprócz samochodów i urządzeń domowych, które rdzewiały w spokoju, wysypisko wypełniały także odpady przemysłowe, takie jak smoła, tlenek żelaza, farby. Zabeczkowane i zakopane głęboko w ziemi.

Nadzorowanie zasypywania odpadów ziemią i ogólne utrzymywanie wysypiska w należytym porządku nie jest prawdopodobnie najzdrowszym zajęciem na świecie - pomyślał Behr, ale i tak miało więcej lepszych stron niż poprzedni zawód Cottrella.

Detektyw zaparkował niedaleko przyczepy, która była siedzibą firmy.

- O kurwa, Wielki Sen powrócił! - krzyknął Cottrell, podczas gdy Behr wysiadał z samochodu.

- Co u ciebie, Terry? - zapytał Behr, podając dłoń mężczyźnie.

- Co jest Philly? - Cottrell nazywał go „Philly” na cześć Philipa Marlowe'a, co częściowo było żartem, a częściowo wyrazem szacunku.

- Cholera! - Cottrell najwyraźniej chciał pochwalić posturę Behra, której testem miał być skok na detektywa, którego przed chwilą z radości dokonał. Za chwilę jednak wrócił do swojego poprzedniego zajęcia - karmienia kruków popcornem. Duże, brzydkie ptaki, zaniepokojone przerwą, zaczęły na niego głośno krakać. Ich świdrujące krzyki przecinały powietrze. Cottrell zaczerpnął kilka dużych garści popcornu z pojemnika, który miał przed sobą i rzucił je w kierunku ptaków.

- Większość rozsądnych ludzi nie może znieść tych cholerstw - powiedział Behr, zatykając uszy, by nie słyszeć wrzasku ptaków. - A ty je karmisz.

Cottrell wzruszył ramionami i rzucił kolejną garść.

- Właśnie po to stawia się takie rzeczy jak strachy na wróble - żeby je odgonić - dodał Behr kręcąc głową.

- Cóż mogę powiedzieć, mój drogi? Zawsze lubiłem te ptaki. Bo są czarne i głośne. Tak jak ja - po tej kwestii Behr został poczęstowany firmowym, głośnym śmiechem Cottrella.

- Haa, haha, hahaha.

Behr uśmiechnął się i zawahał przez chwilę, jakby chciał odwlec to, co nieuchronnie miało nastąpić. Cottrell podniósł pojemnik i rzucił resztkę popcornu ptakom. Behr westchnął i zapytał.

- Gdybym chciał kupić lub sprzedać kradziony rower, do kogo w tej okolicy musiałbym się zwrócić?

Przez sekundę Cottrell był autentycznie zaskoczony pytaniem. Po chwili zaczął, wykrzywiając twarz w szerokim uśmiechu.

- A, rozumiem, rozumiem. No to już widziałem wszystko. Pieprzone kłopoty to moja specjalność! Philly pracuje teraz nad poważnymi sprawami. Haa, haha, hahaha!

Behr pokręcił tylko głową i zaczekał, aż ironiczny śmiech ucichnie. W końcu ucichł.

- No cóż, chodźmy zobaczyć, co da się zrobić - powiedział Cottrell, wycierając oczy. - Zapraszam do mojej jaskini.

Behr poszedł za nim do przyczepy.

Już w środku Cottrell nalał sobie akurat tyle whisky, aby zakryć dno filiżanki do kawy, dolał pepsi do pełna. Wiedział, że nie musi proponować detektywowi, ponieważ jego oferta i tak spotka się z odmową. Kiedyś zdarzało im się wypić razem, ale to było dawno temu. Obaj byli niemal dwanaście lat młodszy i dziesięć kilo lżejsi.

Sącząc drinka, patrzył, jak Behr siada w starym fotelu i rozgląda się po przyczepie. Wzdłuż paneli, podobnie jak wzdłuż ścian w pokoju Cottrella w domu matki ustawione były półki na książki, wypełnione kryminałami i beletrystyką. Mógłby otworzyć antykwariat, gdyby tak bardzo nie chciał ich zatrzymać. Kiedy Terry Cottrell był młodszy, fascynował się powieściami kryminalnymi. Wierzył, a przynajmniej miał taką nadzieję, że dogłębna wiedza o tym, jak fikcyjni detektywi rozwiązywali takie sprawy oraz o tym, co doprowadzało słynnych kryminalistów do wpadki, pomoże mu w zrobieniu kariery jako złodziej i paser. Przerzucił się na inną literaturę, kiedy przekonał się o swojej naiwności.

- Więc stary, czego szukasz?

- Powiedziałem ci.

- Powaga?

- Powaga.

Terry Cottrell patrzył na faceta, który zrobił dla niego wiele i nigdy nie oczekiwał zbyt wiele w zamian. Znał Behra, który jako policjant pracował nad strasznymi zbrodniami, naprawdę poważnymi sprawami i nie miał pojęcia, dlaczego nagle zaczął się interesować pieprzonymi kradzionymi rowerami. Jednak wyraz twarzy tego wielkoluda upewniał go, że musiał mieć cholernie ważny powód.

- Philly, wiesz, jak bardzo nie lubię wymieniać nazwisk.

Tylko kilka razy Behr prosił go o tego rodzaju przysługę i nigdy nie wynikły z tego żadne problemy. Ale...

- Terry, a ty wiesz, jak ja bardzo nie lubię o to prosić - odpowiedział Behr, siedząc bez ruchu w fotelu, z rękoma na oparciach. Wyglądał, jakby mógł wyrwać je bez najmniejszego trudu, gdyby tylko miał na to ochotę.

Cottrell wziął łyk whisky i zaczął przypominać sobie nazwiska, które znał.

- Po trzydziestce jestem już trochę za stary, żeby kręcić się po ulicach. Zwłaszcza, że od tak dawna jestem na emeryturze.

- Aha.

- Ale jestem na emeryturze na tych samych zasadach co Michael Jordan - nadal kumam parę sztuczek. Problem w tym, że większość paserów, których znam, zajmuje się towarami nieco poważniejszymi niż rowery.

Wiedział, że jeśli potrzeba mercedesa, należało zwrócić się do Rally'ego Coopera. Sportowe samochody były działką Earla Powersa. Blood mógł ci załatwić nawet 30-kalibrowy karabin maszynowy. Cottrell pomyślał, że mógłby zapytać Behra, po co mu ta informacja. Prawdopodobnie otrzymałby odpowiedź. Jednak jego związek z detektywem był oparty na zaufaniu, a z tym głównym nie ma żartów.

Behr siedział cierpliwie i czekał, aż Cottrell udzieli odpowiedzi. Chłopak nie był gadułą i Behr potrafił to uszanować. Kiedy podawał nazwisko lub udzielał jakiejś informacji, nigdy nie kapował. On pomagał. Frank dostrzegał i doceniał różnicę.

Cottrell skończył się zastanawiać.

- Mickey Handley. Słyszałeś o nim? Białas uważa się za czarnucha, mieszka po drugiej stronie.

- Ludzie nadal to robią?

- Taak, stary. Biały dzieciak z północy, cierpiący na nieuleczalną miłość do czarnych. Słucha hip-hopu, nosi szerokie spodnie, myśli, że jest jednym z nas.

Behr skinął głową. Znał ten typ. Próbowali robić się na gangsterów, zazwyczaj

wychodzili na idiotów.

- Gdzie go znajde?

- W więzieniu Plainfield.

Behr uniósł brwi.

- Taa. Dostał już wyrok. Jest jak ja - wcześniej zaczął i wcześniej go kropną. No i na dodatek nie załatwił sobie Allena Rossuma - zauważył Cottrell, wymieniając nazwisko adwokata, który dawno temu pomógł mu uniknąć odsiadki.

Behr ponownie skinął głową.

- Doceniam to Terry - powiedział Behr, wstając. - Czytasz coś dobrego?

- Fiodor Dostojewski. Rusek - odpowiedział Cottrell. - Zasługuje na powtórkę. Nie czekaj do następnej dużej sprawy, żeby do mnie wpaść - jego oczy błysnęły.

- Pewnie. Powinniśmy obejrzeć mecz Pacersów.

- Spoko. Tyle że nie mogę siedzieć w Consecu z psem.

- W takim razie obejrzymy w telewizji.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Behr odwrócił się i zaczął iść do samochodu. Czuł wzrok Cottrella na plecach.

- Te, Wielgasio!

Behr obejrzał się.

- Wiesz, gdzie był Mojżesz, gdy zgasły światła?

Detektyw pokręcił głową.

- W ciemnościach, zupełnie jak ty. Haa, haha, hahaha.

Behr wsiadł do samochodu i odjechał. Głośny śmiech Cottrella jeszcze dźwięczał mu w uszach.

14

Behr okrążył miasto od południowej strony. Wjechał na drogę numer 40 i skierował się na zachód. Minął Six Points i wjechał do Plainfield. Po drodze wybrał numer Stana Brookingsa, starego znajomego z policji, który był teraz naczelnikiem w ośrodku wychowawczym dla dorosłych w Plainfield. Poprosił go o przepustkę do kampusu dla nieletnich.

- Zjedz lunch - poradził mu Brookings. - Kiedy skończysz, przepustka dla gości będzie już na ciebie czekała.

- Polecasz coś?

- Spróbuj Gulliver's. Jest niedaleko, na North Carr.

*

Behr wszedł do baru Gulliver's i poprosił o stolik. Koło kasy sprzedawano środki na niestrawność, co nie było dobrym znakiem. Nie wiadomo, czy w porze lunchu lokal odwiedzało wielu gości, ale teraz, po piętnastej nie było nikogo. Przejrzał menu i rozważył dostępne opcje. Jedzenie nie było chyba dobrym pomysłem, bo apetyt Behra stał się przeszłością, odkąd przeglądał strony z dziecięcą pornografią poprzedniej nocy. Zazwyczaj miał żołądek jak rekin i mógł przetrawić wszystko i w każdych warunkach. W czasach, gdy nosił mundur, kumple żartowali z jego zdolności picia kawy podczas oględzin karambolu lub pogryzania kanapki w miejscu, w którym niedawno rozegrała się krwawa jatka. Ale sprawa Jamiego całkowicie odmieniła jego żołądek i sprawiła, że jedzenie stało się co najwyżej kwestią zdrowego rozsądku.

- Podać coś? - zapytała kelnerka niezdecydowanym tonem, który pasował do wyrazu jej twarzy. Miała na sobie żółto-brązowy strój, na którym widniała plakietka z jej imieniem - Daria.

- Wezmę chili - odpowiedział. - Jeśli jest dobre.

- Jest - zapewniła.

*

Im dłużej to trwa - pomyślał Behr - tym mniejsze są szanse znalezienia. Po około dwunastu godzinach szanse są już gówniane. A tu minęło grubo ponad dwanaście miesięcy...

Ta myśl nie dawała mu spokoju. Dorastał na małej farmie na północnym wschodzie, takiej, na której jedzenie ogranicza się do podstawowych produktów. W tamtych czasach rodzina zabijała własne kurczaki na kolację oraz raz na jakiś czas prosiaka. Kiedy skończył osiem lat, kurczaki stały się jego zajęciem. Ile z nich ułożył na pieńku i wykończył, spuszczając na ich szyje siekiere, a następnie dociskając je całym swym ciężarem, aby nie biegały po podwórku? Kiedy był nastolatkiem, brał je beztrąsko za głowę i wykańczał ruchem nadgarstka.

Życie na farmie pełne było takich obowiązków, jak przerzucanie gnoju, czyszczenie zagród, kastrowanie. Dorastając, przyzwyczyił się do tego rodzaju życia i do śmierci. Dopiero później podczas pierwszych lat pracy w policji, uzmysłowił sobie, jak bardzo jest nieczuły, odporny na wszystko to, co nieprzyjemne. Polegał na tych cechach podczas wykonywania okropnej, nudnej, a czasami nierokującej żadnych nadziei pracy. Musiał nadal na tym polegać, jeśli dalej chciał prowadzić tę sprawę.

Po zjedzeniu lunchu, który właściwie ograniczył się do kilku krakersów podanych do chili, Behr wrócił do samochodu. Zjechał z głównej ulicy Plainfield i zobaczył kampus - zbitek niskich budynków z blachy, otoczonych murem, na szczycie którego znajdował się drut kolczasty. Budynki mieściły kilkuset młodocianych przestępców, których państwo próbowało zresocjalizować. Dla większości z nich była to jedynie poczekalnia przed awansem do pobliskiego zakładu o zastrzonym rygorze.

Behr wszedł do budynku administracyjnego i przeszedł przez wykrywacz metali w drodze po przepustkę. Brookings był słownym człowiekiem. Detektyw został skierowany do budynku numer sześć, przeszukano go i wprowadzono do pokoju przesłuchań. Nikt nie zaproponował kawy ani czegośkolwiek do picia. W korytarzach stały pudła pełne dokumentów, a sekretarki ciągle krążyły, zapelniając je papierami i ustawiając nowe. Behr przypomniał sobie, że w ciągu następnych kilku tygodni cały ośrodek miał zostać przeniesiony w nowe miejsce na Girls School Road.

Dziesięć minut później w pokoju pojawił się strażnik prowadzący młodego chłopaka z krótko ostrzyżonymi włosami. Dzieciak wyglądał na jakieś siedemnaście lat.

- Mickey, dzięki, że się ze mną spotkałeś.

- Mów mi Mike - chłopak odpowiedział cicho, wyciągając dłoń. - O co chodzi?

- O kradzione towary. Rowery.

- Już w tym nie robię. Jak widać - Handley wskazał swoje otoczenie. - Wychodzę za osiem tygodni i od tej pory kradzieże już mnie nie interesują - mówił szczerze, nie starał się zbyt mocno, aby Behr mu uwierzył.

Po zapowiedzi Cottrella detektyw spodziewał się wychowanego na ulicy szczeniaka ze złotymi zębami, którego będzie musiał złamać. Był zaskoczony tym, że Mickey Handley jest tak spokojny i ułożony. Behr widział już wcześniej, jak od czasu do czasu pierwszy pobyt za kratkami tak właśnie wpływa na młodych ludzi. Jedynym ukłonem w stronę poprzedniego życia Mickeya była jego koszulka. Zbyt duża, rozciągnięta i niechlujna, koloru niebieskiego z napisem Abercrombie na klatce piersiowej. Spodnie także miał w kolorze niebieskim, ale to był wymóg zakładu.

- Jak działał cały interes?

- Chwila. Kto ci podał moje imię?

Behr przewiercał chłopaka wzrokiem.

- Ja tu zadaję pytania.

Dzieciak zwiesił głowę.

- Na Range Line był sklep z nowymi i używanymi rowerami. To blisko Carmel, skąd pochodzę, więc odsprzedawanie było łatwe. Zgromadziłem trochę kasy i puściłem wiadomość, że kupuję - Handley podniósł wzrok. - Interes się kręcił. Tak to już jest z rowerami - dodał w ramach żartu.

Twarz Behra nawet nie drgnęła, pokazał chłopakowi, że na sali nie ma widowni.

Handley kiwnął głową i kontynuował.

- Większość kolesi, od których kupowałem, była albo dzieciakami, albo ćpunami szukającymi pieniędzy na narkotyki. Ci idioci przecinali łańcuchy, wskakiwali na rower i pędzili prosto do mnie. Niektórzy goście to nawet ojcowie, którzy byli uzależnieni albo mieli długi, więc sprzedawali rowery swoich dzieciaków.

- Pamiętasz, czy kiedykolwiek kupiłeś lub sprzedałeś niemal nowy, niebieski rower BMX Mongoose?

Handley rozłożył bezradnie ręce.

- Człowieku, przykro mi, ale było tego naprawdę sporo. Nie pamiętam takich szczegółów. Prawdopodobnie tak.

- Zadam ci teraz Mike naprawdę ważne pytanie i chcę, żebyś się dobrze zastanowił, zanim mi na nie odpowiesz. Podasz mi nazwisko, ja sobie pójdę, a ty będziesz mógł kontynuować swoje przykładowe życie. I to będzie na tyle - Behr odchylił się i skrzyżował

ramiona na piersi, zanim odezwał się ponownie. - Kto z osób, które sprzedawały ci rowery, był najbardziej nie na miejscu.

Handley odpowiedział niemal od razu.

- Był jeden ćpun, który sprzedał mi około pół tuzina rowerów, czasami po dwa naraz. Podjeżdżał samochodem i wyciągał je z bagażnika.

- Skąd wiesz, że brał?

- Miał na twarzy krater - powiedział Handley, pokazując na policzkach miejsca, w których wyjątkowo rozszerzają się pory osób palących metamfetaminę.

- Jakim jeździł samochodem?

- Różnymi.

- Lincoln?

Handley wzruszył ramionami.

- Być może. W każdym razie nie było szans, żeby sam nimi jeździł, nie przy jego rozmiarach. Wszystkie rowery wyglądały na rowerki klaunów w cyrku, taki ten gość był ogromny.

Handley zamilkł na chwilę, zdając sobie sprawę, że jego słuchacz także jest spory. Spojrzał na Behra, aby sprawdzić, czy nie uraziły go jego uwagi. Na szczęście nie, więc postanowił kontynuować.

- Gość zgrywał ważniaka, chodził, jakby był nie wiadomo kim - Handley przyłapał się na tym, że zaczyna mówić, jakby znowu był na ulicy. - To znaczy, zachowywał się, jakby miał ważniejsze rzeczy na głowie.

- Rozumiem. Jak się nazywał? - zapytał Behr spokojnie, czując jak serce zaczyna mu bić szybciej.

- Ted. Ted Ford chyba.

- Chyba?

- Jestem prawie pewien. Przecież możesz to sprawdzić.

- Jak?

- Był powiązany - może tam pracował albo coś - z tym barem z panienkami. No, jak on się nazywa? Zawsze dawał mi te świstki, takie kupony promocyjne na darmowego drinka po wypiciu minimum. Jakby był prawdziwym biznesmenem. To był... To była Złota Dama. Ted Ford.

15

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Paul wjechał na podjazd. Carol złapała klucze od domu i torbę, wyszła na zewnątrz i zamknęła za sobą drzwi. Umówili się na spotkanie przy kolacji z prywatnym detektywem, jednak Carol nie wiązała z tym wielkich nadziei. Zakładała, że gdyby były jakieś nowe informacje, otrzymaliby telefon.

- Cześć - powiedziała, wsiadając do samochodu. Gdy Paul wyjeżdżał z posesji, Carol przyjrzała się domowi. Nie zmienił się zbyt wiele, od kiedy się tu wprowadzili. Był wówczas odmalowany i nadal prezentował się nieźle. W zeszłym roku nie zawracała sobie głowy sadzeniem geranium i wystawianiem ich przed dom. Wtedy już nienawidziła tego miejsca. Nienawidziła go za to wszystko, za co kiedyś je kochała oraz za to, co sobą reprezentowało - marzenie o szczęśliwym, bezpiecznym życiu, które obróciło się w pył. Wiedziała jednak, że nigdy nie będzie w stanie się stąd wyprowadzić, że Paul także nie będzie w stanie tego zrobić. Przynajmniej do momentu, gdy otrzymają potwierdzone wieści o śmierci Jamiego.

- Ciekawie będzie przeczytać raport Behra - odezwał się Paul, wrywając Carol z zamyślenia.

- Yhm - przytaknęła, choć wcale nie była tego zdania. Raporty pełne braku informacji były obrazą dla nich i ich bólu, ale to jedyne, co otrzymali od poprzednich detektywów.

Gdy jechali do Curley's - baru, w którym wcześniej spotykali się z tamtymi detektywami, w samochodzie panowała cisza. Paul spojrzął na żonę i poczuł napływającą falę niekontrolowanych uczuć. Uchylił okno, aby wpuścić do środka nieco świeżego, wieczornego powietrza i pozbyć się tej emocjonalnej zawiesiny, która wypełniała auto.

Każdy dzień stał się dla niego serią zadań do wykonania. Wstawanie, chodzenie do pracy, sprzedawanie ubezpieczeń, jedzenie, płacenie rachunków, podtrzymywanie rozmów z Carol, sprawdzanie uaktualnień na stronach z zaginionymi dziećmi, opiekowanie się domem. Zadania te były małymi śrubkami, które zabezpieczały pokrywę tego, co w nim drzemało naprawdę. Wściekłość. Gniew. Bezsilność. Od czasu do czasu przejmowały nad nim kontrolę i sprawiały, że życie stawało się nie do zniesienia, dopóki Paul nie zmusił się do znalezienia

sobie kolejnego zadania. To pomagało. Na chwilę.

Na początku małżeństwa, kiedy Paul uważał, że spędzi z Carol co najmniej czterdzieści, pięćdziesiąt lat, wydawało się to za krótko. Teraz ich dni ciągnęły się niemilosiernie, rozciągnięte niczym wąż, którego ciało jest tak długie, że trudno je kontrolować. Żadna ilość zadań, które sobie Paul wymyślił, już nie wystarczała, aby tego węża poskromić.

*

Behr przybył do Curley's za wcześnie. Siedział przy stoliku, przed nim stał koszyk z nieruszoną pieczywą. Ściany lokalu pomalowane były na biało, lampy z zielonymi abażurami wisiały nisko nad stołami. Menu składało się ze standardowych dań, do tego wybór deserów. Curley's było w dzisiejszych czasach anomalią, jako że nie należało do żadnej sieci. *Mogłoby równie dobrze należeć, żadna różnica* - pomyślał Behr, rozglądając się niecierpliwie. Po opuszczeniu Plainfield pojechał do domu i wyszukał wszelkie telefony, adresy i tym podobne informacje na temat Tedów Fordów. Było ich kilku. Na szczęście był w stanie wyeliminować niektórych dość szybko na podstawie wieku i opisu. Żaden z nich nie był notowany.

Detektyw miał przeczucie, że niewiele w ten sposób wskóra. Wiedział, że nie powinien bezgranicznie wierzyć w to, co powiedział mu Handley. Ufanie informacjom z więzienia, to jak obstawianie u bukmachera. Nawet najlepsi gracze czasami idą z torbami.

Wolałby od razu udać się do Złotej Damy i przekonać się, czy uda mu się tam odnaleźć Forda. Na razie jednak czekał.

Weszli po pewnym czasie. Cisi i niepewni. Paul przytrzymał żonie drzwi i skierowali się do stolika. Behr nie wstał ani nie uścisnął ich dłoni, gdy siadali. Poczul, jak rozglądają się wokół, patrzą na pusty stolik, jakby czegoś szukali.

- Słuchajcie... - detektyw postanowił nie tracić czasu.

- Najpierw coś zamówmy, później porozmawiamy - przerwał mu Paul, skupiając na sobie spojrzenie żony. Pełne niecierpliwości, ale bez sprzeciwu.

Paul zamówił krwisty stek, a Carol poprosiła o sałatkę cesarską. Behr zrezygnował z posiłku.

- Gdzie pański raport? - zapytała kobieta, zanim kelnerka zdążyła oddalić się na dobre.

Behr pokazał puste dłonie, po czym wyciągnął notatnik.

Była zaskoczona, ale nie zawiedziona, że detektyw nie miał napisanego na

komputerze raportu, którym mógłby ich mieć jak poprzednicy. Podobne uczucia wzbudził w niej fakt, że nie stawił się w garniturze. Ten facet mógł być jednak dobrą inwestycją. Może nawet czymś jeszcze lepszym. *W każdym razie był inny* - pomyślała Carol.

- Dowiedział się pan czegoś? - zapytała.

- Tibbs. Jak tylko tam dojechał. Jechał swoją trasą, ale jej nie dokończył. To nie był wypadek.

Słowa Behra uderzyły w nich niczym młot. Nie odważyli się poruszyć ani oddychać.

- Podejrzewam, że na miejscu byli dwaj mężczyźni, ale nie tylko oni są zamieszani w tę sprawę.

- Wie pan kto? - Carol niemal wyskoczyła ze swojego miejsca.

- Nie - Behr podciął jej skrzydła. - Posłuchajcie, wciąż pracujemy z tymi samymi założeniami, że nie będzie już więcej informacji, nie mówiąc o dobrych wieściach.

Carol skinęła głową.

- Mam trop. Nazwisko, o które przynajmniej mogę zapytać...

- Kto to?

- Powiem wam, jeśli dowiem się czegoś konkretnego.

Zapadła martwa cisza. Na stół wjechała sałatka, mała i zeschnięta, utopiona w czerwonym dressingu.

- Co pan zamierza teraz zrobić? - zapytała Carol, zdając sobie sprawę, że Behr nie chce informować ich na bieżąco.

- To wy chcieliście tego spotkania. Nie uważałem, żeby było potrzebne, to była wasza decyzja.

Był szorstki. Nie podobała mu się presja, jaką wywierali. Carol mrugnęła, to był jej jedyny ruch. Dźwięki Curley's, które zapełniało się ludźmi, brzmiały głośniejsz na tle ciszy, jaka zapadła wokół nich.

*

Serce Paula waliło, odkąd wszedł do restauracji i zobaczył siedzącego detektywa, który miał im udzielić informacji o swoim dochodzeniu. Behr był zbyt zajęty swoją pracą, aby całować im tyłki. To było widać. Wynikało to jasno ze sposobu, w jaki na nich patrzył oraz jak był ubrany. Kiedy opowiedział o tym, co odkrył, potwierdził to, co Paul czuł głęboko w swej podświadomości. Kiedy Behr wypowiedział nazwę ulicy, na której uważał, że to się stało, Paul zauważył, że jego życie się zmieniło. Jego najgorszy koszmar stał się

rzeczywistością. Ten świat nie mógł mu już nic zrobić.

- Ja... - zaczął Paul, słowa uwięzły mu w gardle. - Chcę być w to zaangażowany. Chcę pracować z tobą nad tą sprawą.

Carol spojrzała na niego, jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Paul wydawał się tak pewny swojego pomysłu, że przez chwilę zastanawiała się, czy to nie mogłoby się udać.

- Nie - rzucił krótko Behr.

Ostateczność odpowiedzi zaparła Paulowi dech w piersiach. Wydawało się przez chwilę, że detektyw chciałby jeszcze coś dodać, co złagodziłoby jego odpowiedź albo wyeliminowało wszystkie „dlaczego”.

- Nie - powtórzył po prostu.

- Jak to nie? - zapytał Paul. - To przecież my...

- Wynajęliście mnie, żebym robił to, co robię. Nie ma mowy, abyś ty czy ktokolwiek inny brał w tym udział.

- Chcę tylko być pewien, że ja także robię wszystko co w mojej mocy, by dowiedzieć się, co stało się z moim Jamiem - kontynuował ojciec.

- Nie. Nie wymagaj tyle od siebie, Paul. Nie przyniesie ci to niczego dobrego. Możesz mnie zwolnić, jeśli chcesz, ale...

- Nie - to były pierwsze słowa, jakie padły z ust Carol od dłuższego czasu.

- On był naszym synem. Moim synem - nie dawał za wygraną Paul. - Jak ty byś się czuł?

Behr uderzył gwałtownie dłońmi o stół. Wszystkie sztućce podskoczyły, miska z sałatką obróciła się do góry dnem. W całej restauracji na moment zapanowała głucha cisza.

Detektyw poczuł, jak krew pulsuje mu w żyłach. Walczył o odzyskanie kontroli nad sobą i o każdy oddech. *Mój syn*. W umyśle Behra pojawiła się twarz Tima, gdy usłyszał te słowa. Kiedy wspomnienia i ból były jeszcze świeże, zdarzało się to znacznie częściej. W miarę upływu czasu ten obraz pojawiał się rzadziej, ale zamiast słabnąć, za każdym razem, gdy stawał mu przed oczami, coraz gorzej radził sobie z kontrolowaniem emocji. Potrząsnął głową, mając nadzieję, że zdoła, dosłownie, wyrzucić twarz Tima ze swej głowy. Spojrzał na drugi koniec stołu, na Paula i dostrzegł, że mężczyzna jest załamany, że prześladowają go podobne wspomnienia. Behr znał to uczucie. Zastanawiał się, czy w tej chwili jego oczy wyrażają to samo co oczy Paula. Spojrzał na niego pod kątem miejsca, które mężczyzna zajmował w cywilizowanym społeczeństwie. Bez względu na to, jaki był wcześniej, wychowywał swojego syna przez ponad dekadę. Doświadczył radości oraz szacunku do życia, jakiego nabiera się przy dzieciach. Takie rzeczy nie wpływały na Behra. Od śmierci

Tima czuł, że porusza się w dokładnie odwrotnym kierunku. W końcu poczuł, że znów może mówić.

- Jeśli miałyby to doprowadzić dokądkolwiek, to będzie to straszne miejsce. Nie jesteś na nie gotowy.

- Nie jestem policjantem, ale to przez co przeszedłem... - powiedział Paul, tracąc pewność siebie, która pozwoliła mu zabrnąć tak daleko w tej dyskusji. - A ty... Ty jesteś... Wydajesz się być... - nie potrafił dokończyć.

- Mogę się wydawać zwykłym człowiekiem - powiedział Behr - ale to tylko maska.

Spojrzał na parę, która przyglądała mu się, próbując od nowa go ocenić.

- Wracam do pracy - Behr wstał od stolika i wyszedł z restauracji.

*

Wślizgnął się za kierownicę i ujrzał swoją twarz we wstecznym lusterku. Ile prawdy właśnie zdradził? Więcej niż by chciał, ale nie całą. Poczul rosnące napięcie. Pot zaczął spływać mu po plecach. Do tego to się sprowadzało. Ile razy został zwolniony przez narzekających pracodawców? Najczęściej w sprawach rodzinnych. Kiedy zaczynał ujawniać informacje, chcieli towarzyszyć mu podczas zwiadu lub stanąć twarzą w twarz ze zdradzającym współmałżonkiem. Behr zanim brał sprawę, wyraźnie zaznaczał, że nigdy na coś takiego nie pozwoli. Wszyscy zgadzali się na te warunki, a później 90 procent z nich chciało je renegocjować. W tym przypadku było inaczej. Jeśli przeciętny klient był załamany informacją o mężu lub żonie pieprzających się z sąsiadem, mających romans w pracy albo okazujących się pedałami, wówczas ta sprawa niesłaby konsekwencje co najmniej wybuchu nuklearnego. To, czego się dowiedział, pomimo że było niepewne, miało potencjał, aby całkowicie zniszczyć resztki uczuć i poczucia wspólnoty rodziców Jamiego. Decyzja o utrzymaniu klientów z dala od potencjalnych krzywd została podjęta przez Behra jako jego forma odkupienia. Jego własne przeżycia ciążyły mu tak bardzo, że chciał oszczędzić tego uczucia innym.

Czuł się gorzej niż źle z powodu zajścia w restauracji, czuł się wręcz fatalnie. Mógł załatwić sprawę za pomocą Jacka Danielsa, półtorej butelki powinno wystarczyć. Ale już tego nie robił. Kiedyś jeździł do City Club i wlewał w siebie alkohol, dopóki jego ramiona nie zaczynały zwisać luźno, a w gardle nie czuł smaku wymiocin. Dziś pojechał prosto na Crawfordsville Road. Do Złotej Damy.

*

- O co ci chodziło? - zapytała Carol, gdy wsiedli do samochodu, po raz pierwszy przerywając ciszę, jaka zapadła po wyjściu Behra.

- O nic - powiedział Paul, wrzucając pierwszy bieg. Czuł się głupio przed swoją żoną. Kiedy ćwiczył swoją kwestię w głowie po drodze do Curley's oraz na kilka sekund przed wypowiedzeniem jej, wyobrażał sobie inny bieg wypadków. W wersji Paula Behr nie powitał go wylewnie jako swojego nowego partnera, ale kiwnął głową i przystał na tę propozycję.

Ale gość był jak kawał granitu, nie chciał się nawet wdawać w szczegóły. Przez chwilę Paul rozważał nawet, aby zadzwonić do niego i zostawić wiadomość na jego automatycznej sekretarce: Jesteś zwolniony". Jechał jednak ze wzrokiem skupionym na drodze, umysłem pękającym od natłoku informacji i pomysłów. Czy mógłby poprosić Pomeroya, aby policjanci chodzili od drzwi do drzwi na Tibbs i sprawdzali, czy któryś z mieszkańców nie zachowuje się podejrzanie? Czy mógłby iść sam, włamywać się do kolejnych domów, przeszukiwać je od piwnicy aż po strych, sprawdzając, czy gdzieś nie ma śladów obecności Jamiego? Nieznośne uczucie bezsilności zaczęło powracać. Znowu poczuł się słaby i wiedział, że nie zwolni Behra.

16

Reno Remsen tańczyła na scenie przy dźwiękach drugiej piosenki - „Round and Round”, wykonywanej przez Ratt. Po trzeciej schodziła z podium. Niebieskie plamy światła odbijały się od jej gładkiej skóry. Błyszczała. Zjechała po rurze i zgarnęła zwinięte jedno - i pięciodolarówki, które leciały w jej stronę z widowni. Naprawdę nazywała się Meredith. Jej uda były jędrne i gładkie, cycki zrobione całkiem nieźle, gęste, czarne włosy okalały twarz, która idealnie pasowała do tego miejsca, pełnego dymu i przyciemnionych świateł. Reno była ładna, ale nie była Michelle Ginelle, kobietą, w której zakochał się Tad.

Było to oczywiste nawet z miejsca na balkoniku, na którym siedział. Michelle miała pseudonim Brandi, pisane z „i” na końcu, i zawsze wychodziła na scenę przy dźwiękach „Cherry Pie”. Okazało się, że dziś, nieoczekiwanie, Michelle miała wolne.

Nie przeszkadzało mu to, ponieważ dziś i tak nie mógłby nic jej przekazać. Lubił przyklejać do ust uśmiech i siedzieć na miejscu z błyskiem w oku. Kosztowało go to wiele energii, a dziś był wyczerpany. Palił dużo i nie spał. Narkotyk był wspaniały, kiedy działał, ale kiedy Tad próbował usnąć, przekształcał się w smoka ryczącego w ciemności. Zjazd miał też swoją własną ścieżkę dźwiękową. Przerażającą operę, która wydostawała się z niewielkiego głośnika, takiego jak te przyłączone do helikopterów w „Czasie Apokalipsy”. Przez pewien czas próbował rzucić palenie, troszeczkę zwolnić, ale nadal budził się w środku nocy. Zaczął podejrzewać, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi. Dlatego właśnie zaczął znowu palić. Ostro.

Krzywdził ludzi. Kradł. Przemyczał cenne i nielegalne towary. Był niegrzecznym chłopcem. Michelle pokocha to w nim pewnego dnia, gdy wreszcie naprawdę to dostrzeże. Ale ze wszystkich rzeczy, jakie zrobił, ze wszystkich złych rzeczy, jakie zrobił, dużych i małych, które budziły go w środku nocy i nie pozwalały zasnąć, jedna, dziwna wracała najczęściej. Sprzedanie tych cholernych rowerów. Jego mały sekret. Dokładnie sześć. Zarobił na nich tysiąc dwieście dolców. Ostatni sprzedał jedenaście miesięcy temu, ale wydawało się, jakby minęły całe wieki. W zasadzie zapomniał o tym aż do momentu, gdy poznał Michelle,

jakieś pół roku temu. Zaczęło powracać to do jego umysłu niczym natrętna mucha. Palił adresy, porzucał vany, nie pisał nikomu słowa, ale rowery mogły stanowić poszlakę, jedyną cholerną poszlakę prowadzącą do jego pracy z Roosterem dla pana Riggi.

Nie mógł sobie poradzić z tym, co robił i chociaż praca była na tyle dobrze płatna, że mógł wałęsać się bez przeszkód po Złotej Damie, w końcu rzucił ją i odszedł. Poczuł, że musi spierdalać od Roostera, a pan Riggi powiedział, że rozumie. Odbył z Michelle kilka rozmów na ten temat, oczywiście nie zdradzał jej żadnych szczegółów tej roboty, i zgadzała się z nim, że nie powinien tkwić w takim gównie. To było za czasów, gdy był klientem w Damie, zanim skończyła mu się kasa. Potem zaczął tu pracować jako ochroniarz przy drzwiach. Pomyślał, że w ten sposób będzie mógł być blisko Michelle i poświęcić jej tyle czasu, ile potrzebuje kobieta jej pokroju. W ten sposób był także pewien, że nie zbliży się do nikogo innego i że nikt inny nie zbliży się do niej. Nigdy nie przegapił jej występu. Wychodziła przy mocnych uderzeniach muzyki, później zwalniała nieco przy kawałku „Mr. Brownstone”, kończyła zaś czymś spokojnym, niemal uduchowionym. Zazwyczaj było to „Home Sweet Home” albo „Don't Know What You Got” Cinderelli. Sposób, w jaki tańczyła, jakby muzyka rozchodziła się z jej wnętrza, poruszał go. A jej ciało było jak magnes. Sprawiało, że tak bardzo chciał jej dotknąć. Nie była zbyt chuda, tak jak wiele dziewczyn w dzisiejszych czasach. Tad czuł fizyczny ból, gdy kończył się jej występ. Zazwyczaj też, gdy kończył się jej występ, członek Tada był boleśnie twardy. Nie potrzeba było wiele czasu, aby przekonał się, że żaden z jej klientów nie dla niej nie znaczył. Podczas tańca na stole nawiązywała z niektórymi tylko kontakt wzrokowy. Myśleli, że się jej podobają, ale Tad znał prawdę.

- Patrzę przez nich - zwierzyła się pewnego razu, wychodząc z pokoju dla VIP-ów i chowając zwitek dwudziestek do plastikowej torebki. Kiedy szła obok niego, wyciągnęła dłoń i dotknęła jego policzka.

To było jak pocałunek. Tad poczuł się, jakby uderzył go piorun.

- Jesteś blady - powiedziała smutnym głosem, jakby znała jego mały sekret.

Podczas pracy w Damie w jego głowie pojawiła się myśl, że Michelle stanowi rozwiązanie jego problemów, że jest w stanie ukoić jego zszargane nerwy, że to ucieleśnienie spokoju. Tad często śnił na jawie, zawsze o wspólnej przyszłości. Po tym, jak się sobą nacieszą, ona położy swoją chłodną dłoń na jego czole, a on zaśnie. Po jakimś czasie rzuci palenie i weźmie się za siebie. Będzie silnym, wysportowanym, dużym mężczyzną.

Ostatni wers „Don't Close Your Eyes” wykonywanej przez Kix przeminął. Tad spojrzął na Reno, która leżała na krawędzi sceny. Nogi szeroko rozłożone, głowa odchylona do tyłu. Tad prawie zobaczył w niej Michelle i mocno przycisnął kutasa do uda. Ostatnie

dźwięki piosenki ucichły i Reno złączyła nogi. Zaczęła chodzić po scenie w poszukiwaniu rzuconych dla niej banknotów. Tad podniósł się z krzesła. Koniec przerwy.

*

Niech ich cholera - wkurzał się Behr. Przeklinał Gabrielów, siedząc w samochodzie, zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko budynku bez okien, który był Złotą Damą. Krępa konstrukcja pomalowana na czarno. Nad wejściem neon ukazujący dziewczynę z tyłkiem w kieliszku Martini.

Behr starał się zebrać do kupy i przestać obwiniać Gabrielów o to, co w tej chwili czuł. Zdał sobie sprawę, że był to stary gniew, który miał swoje źródło w czasach, kiedy nie znał jeszcze Paula i Carol.

Przygotował się do wejścia. Nie miał przy sobie broni, rzadko kiedy z niej korzystał. Jego serce przyspieszyło, poczuł przypływ adrenaliny. Od dawna nie pracował nad taką sprawą. Pochylił się, otworzył schowek i wyciągnął swojego „złego brata” - skórzany worek wypełniony drobnym, żelaznym śrutem. Na wszelki wypadek. Schował go za pasek i ruszył w stronę klubu. Chociaż od siedmiu lat pracował na własną rękę, to nadal nie był przyzwyczajony do wchodzenia bez wsparcia partnera za plecami. Przez trzynaście lat służby w policji nie mógł także zaakceptować korzystania z broni. Wszedł do niewielkiego holu, w którym za szklaną szybą siedział mężczyzna sprzedający bilety. Detektyw podał mu dwudziestkę i w zamian otrzymał kupon na drinka. Przeszedł przez obrotową bramkę, pchnął kolejne drzwi prowadzące do klubu i natychmiast został zaatakowany przez ogłuszającą metalową muzykę i kręcące się światła przecinające ciemność. Jego oczy przystosowały się szybko i zobaczył, że miejsce jest ciemne i obskurne, gęsty mrok rozpraszały jedynie neony i stroboskopy. Półnaga, młoda kobieta w czerwonych butach na wysokim obcasie poruszała się po scenie niczym kot. Behr rozejrzał się po publiczności, której nie było zbyt wiele z uwagi na wczesną porę. Przy każdym wdechu czuł spernę, wybielacz, piwo, duszące perfumy striptizerek i smród dymu wypuszczanego na scenę przed występem każdej tancerki.

Usiadł przy niewielkim, okrągłym stoliku niedaleko sceny. Jego wzrok przyciągnęła tancerka. Miała rude włosy, niemal pasujące do koloru jej butów, była gibka i biło od niej coś władczego, pomimo młodego wieku. Nie mogła mieć więcej niż dziewiętnaście lat. Jego pożądanie walczyło ze smutkiem. Była profesjonalistką, chętną na wszystko kurtyzana. Wyobrażał sobie okoliczności, które zaprowadziły ją na tę scenę. Pomiędzy piosenkami włączał się prowadzący, zachęcał publikę do oklaskiwania Lexi. Kiedy stała odwrócona do

niego tyłem, Behr położył na krawędzi sceny pięciodolarowy banknot. Ostra gitara rozpoczęła kolejną piosenkę. Kelnerka w mini z tacą przyklejoną do ręki zatrzymała się przy jego stoliku.

- Co podać?

- Wódkę z tonikiem - Behr wyciągnął swój kupon na drinka.

Kelnerka była o jakieś pięć lat starsza od tancerki, ale dzieliła je głęboka przepaść urody, choć miała przyzwoite nogi w podkolanówkach i stanik typu push-up, który podnosił jej biust do góry.

- Trzeba zamówić minimum dwa drinki. Druga kolejka kosztuje osiem dolców. Chcesz zamówić obydwie teraz?

- Jasne.

- Potrzebujesz drobnych?

Behr skinął głową i rzucił dwudziestkę na tacę. Rozparł się na krześle i zaczął odgrywać gościa, który ma wszystko w dupie. Spokojnie rozejrzał się po klubie, zamiast nachalnie gapić się na tancerkę.

- Wydadź mi tylko piątkę - powiedział Behr, gdy kelnerka wróciła z jego drinkami.

Uśmiechnęła się i odliczyła pięć jedynek.

- Szukam gościa, który tu kiedyś przychodził.

- Masz mu wręczyć wezwanie do sądu, czy wisi ci kasę? - zapytała kelnerka, a na jej twarzy pojawił się wyraz obojętności, który wypracowała, gdy jeszcze była tancerką.

- Przeciwnie - Behr odkaslnął, udając zmieszanego. - To ja jemu wiszę kasę - zauważył zmianę wyrazu twarzy kelnerki i postanowił kontynuować. - W zasadzie to mój kuzyn. Pracowałem razem z nim jakiś czas temu, ale potem on wyjechał. Poprosił, żebym wpadł i oddał mu kasę, jeśli będę w okolicy. Tylko dwieście czterdzieści dolców. Ale je mam

- Behr poklepał kieszeń. - Ted Ford. Jest tu?

- Tad.

- Jasne, że Tad.

Teraz rozumiał, dlaczego poszukiwania w bazach danych nie przynosiły efektów.

Kelnerka rozejrzała się po sali, przygryzła wargę, gdy nie odnalazła tego, kogo szukała.

- Nie widzę go. Ale dziś pracuje.

Fakt, że Ford pracował w lokalu, zaniepokoił Behra. Zastanawiał się, czy facet go nie zauważył przy wejściu, nie rozpoznał resztek policjanta, które nadal trzymały się Behra i nie uciekł tylnym wyjściem. Potem poczuł, jak paznokcie kelnerki wbijają się w jego ramię.

- O, tam jest! Przy barze.

Behr dojrzał dużego mężczyznę niosącego beczkę z piwem. Zniknął na moment z pola widzenia, gdy podłączał ją do kraniku. Tad był młody, miał około dwudziestu pięciu lat, jego bokobrody dopiero zaczynały się pojawiać, a ciemne włosy układał bardzo starannie. Trzymał je jakiś rodzaj brylantyny, która połyskiwała w światłach klubu. Był duży, ale sposób, w jaki walczył z beczką, świadczył o miękkim charakterze.

- Hej, powinnam też dostać działkę - słowa te padły z ust kelnerki, jakby dopiero teraz przyszło jej to do głowy. Mówiła żartem, ale była pełna nadziei.

- Brzmi fair - powiedział detektyw, podając jej pięć jednodolarówek i niszcząc jej nadzieje.

Gdy zobaczył, jak mężczyzna wychodzi bocznymi drzwiami, którymi wszedł na salę, Behr odczekał chwilę i ruszył za nim.

*

Tad rozluźnił mięśnie, idąc do chłodni po kolejną beczkę piwa Busch Light. Jeśli będzie tu pracował wystarczająco długo, beczki zaczną wydawać się butelkami. Wyciągnął rękę w stronę srebrnej klamki chłodziarki i poczuł, jak leci zupełnie bez kontroli wprzód, prosto na drzwi, które zamierzał otworzyć.

- Co do ku...! - krzyknął Tad, odbijając się lekko od drzwi. Obrócił się i wyprowadził niezdamny prawy sierpowy w stronę napastnika. Jego umysł podpowiadał mu, że ktoś - prawdopodobnie Rudy - robi sobie z niego jaja. Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, gdy za sobą ujrzał wielkiego, nieznajomego mężczyznę.

Behr bez trudu uniknął ciosu. Wyjął woreczek ze śrutem i uderzył nim Forda z backhandu w kość biodrową. Ford krzyknął i upadł.

- Kurwa. Przepraszam. Myślałem, że to Rudy robi sobie ze mnie jaja.

- Nie jestem Rudy - Behr obserwował mężczyznę.

- Widzę - powiedział Ford, wstając i rozmasowując obolałe biodro. - Czego chcesz człowieku?

- Chcę się dowiedzieć, Tad, czegoś o sprzedaży kradzionych rowerów - Behr zauważył, jak po tych słowach twarz Forda blednie ze strachu.

Strzał w dziesiątkę. Puls detektywa przyspieszył z powodu odniesionego sukcesu.

- Co?

- Zamknij się - Behr popchnął go na drzwi, złapał go za koszulę. - Ty kłamliwy skurwysynie!

Uderzył go w zewnętrzną część uda, trafił dokładnie w nerw. Poczuł, jak pod Fordem uginają się nogi, podniósł go jak szmacianą kukłę.

- Sprzedałeś je Mickey'owi Handleyowi. Chcę wiedzieć, skąd je miałeś.
- Ukradłem je - wyjęczał Tad, trzęsąc się z bólu i strachu.
- Wiem, że je ukradłeś. Komu?
- Dzieciakom. Zostawiają je tu i tam...

Tadowi pociemniało w oczach. Poczuł, że dół jego prawej nogi płonie, jakby stał w ogniu. Wielki facet stojący przed nim kopnął go swoim ciężkim butem prosto w piszczel. Bolało jak cholera, serce Tada biło coraz szybciej.

- Kurwa, zaraz wezwę policję - zagroził słabym głosem.
- Nie wezwiesz. Z kim pracowałeś?
- Z nikim - wyrzucił z siebie Tad.

Sprzedawał rowery na własną rękę. Powiedział prawdę i Behr dostrzegł to, choć bardzo go to zdziwiło. Dopiero później Tad uzmysłowił sobie, że być może facetowi nie chodziło jedynie o rowery. Wówczas jego odpowiedź byłaby inna, choć i tak nigdy nie wydałby Roostera i pana Riggi. Behr przygotował się do zadania kolejnego ciosu. Nagle usłyszał, że drzwi klubu otwierają się z trzaskiem. Schował swoje narzędzie i obejrzał się przez ramię. Zobaczył faceta z karkiem byka, ubranego w czarną, obcisłą koszulkę z krótkim rękawem. Zaraz za nim szła tancerka z rozrzuconymi włosami. Facet roztaczał wokół siebie władczą aurę samca, któremu ktoś zaraz zrobi laszkę.

- Co tu się dzieje do kurwy nędzy?! - krzyknął Byczy Kark, widząc, że jego zaciszne miejsce zostało zajęte. Czubki jego uszu zaczęły robić się czerwone z zimna. - Lepiej Ford, żebyś nie handlował w moim klubie.

- Nie! - wycharczał Tad.

Wydawało się, że rozważa wezwanie tego mięśniaka na pomoc. Behr przyszpilił go spojrzeniem, starając się przekazać, że ma się zamknąć. Jakoś się udało. Handlował czymś?

- Szukałem kibla i... - detektyw starał się wypełnić ciszę i udać, że nic nie zaszło.
- Gówno prawda - warknął Byczy Kark.

Behr poczuł na sobie taksujące spojrzenie. Zaczął myśleć o zaszarżowaniu na niego i rozłupaniu jego czaszki o drzwi, ale nadal spokojnie stał tuż przy Fordzie.

- Ile tłuścioch ci wisi? - Byczy Kark odezwał się po chwili milczenia.

Kiwnął głową i podał liczbę, którą wymienił już wcześniej.

- Dwieście czterdzieści dolców. Powinien wiedzieć, że Wikingowie są ciency w obronie.

- Wyświadcz mi przysługę i załatwiał takie sprawy gdzie indziej. To nie może odbywać się tu - była to pół prośba, pół groźba. Wydawała się jednak najlepszym wyjściem z obecnej sytuacji. Behr zaklął cicho, czując, jak prawdziwa okazja wymyka mu się z rąk. Pomimo to skinął głową, przeszedł obok Byczego Karka i jego dziewczyny i wszedł do środka.

Jedynym wyjściem Tada był powrót na salę. Szedł powoli, czuł straszny ból w nogach, były okropnie posiniaczone.

- Jesteś błądy Tad - powiedziała Reno, gdy przechodził obok nich.

- Trzeba spłacać swoje długie - dodał Rudy.

Tad usłyszał ich śmiech.

*

Behr stracił szansę na wyciągnięcie informacji z grubego Forda, ale nie był jeszcze gotowy, żeby wracać do domu. Nie z pustymi rękami. Ten facet maczał palce w jakichś brudach. Behr był tego pewien. Czuł, że był na granicy uzyskania nazwisk, kiedy im przerwano. Nie mógł tego odłożyć na następny dzień. To nie w jego stylu.

Miał przynajmniej kilka minut, bez względu na to, jak wyszukane sztuczki znała dziewczyna, zanim Byczy Kark wróci do środka i wyrzuci go z klubu. Przeszedł do najbardziej oddalonego od baru rogu klubu i starał się skryć w cieniu. Chwilę później zauważył, jak Ford kulejąc, wchodzi do środka, rozgląda się wokół i nie dostrzegając ukrytego detektywa, kieruje się do niewielkiej szatni przy męskiej toalecie. Następnie wyjmując z kieszeni telefon, wybiera numer i przykładając komórkę do ucha.

Behr był pewien, pomimo panującej ciemności i dzielącego ich dystansu, że jest to telefon na kartę - nie było szans na namierzenie numeru. Ford zatkał ucho palcem, aby nie słyszeć panującego hałasu.

*

To było jak koszmar, który nagle stał się rzeczywistością. Tad prawie się zesrał, kiedy ten ogromny gość zaczął go wypytywać. Kim on, kurwa, był i skąd wiedział? Wyglądał na glinę, ale nie powiedział, że jest glina. Jakie inne mogło być wytłumaczenie? Tad miał przejebane, to jedno wiedział na pewno. Teraz zostały jedynie dwa wyjścia. Pierwsze - nic nie zrobić, zamknąć oczy, udać, że to się nigdy nie zdarzyło, dokończyć zmianę i mieć nadzieję, że już nigdy nie spotka tego wielkiego kolesia. Drugie - zadzwonić do pana Riggi. Była to

jeszcze gorsza perspektywa, ale wiedział, że problem nie rozwiąże się sam i że musi wykonać ten telefon. *Nie było sensu czekać* - pomyślał - *równie dobrze można zerwać bandaże od razu, jednym pociągnięciem.*

- Tak - głos po drugiej stronie słuchawki był zimny i poirytowany.

- Tad Ford z tej strony.

- Tad - wycedził Riggi. - Wiem, że nie dzwonisz, aby prosić mnie o swoją dawną robotę ani żeby prosić o jakąkolwiek inną formę przysługi. Nie po tym, jak mnie olałeś i zrezygnowałeś.

Tad zamknął oczy, słysząc twarde, pełne nienawiści słowa dobiegające z drugiej strony linii. Wyobraził go sobie w ogromnym nowoczesnym domu - choć nie wiedział, gdzie mieszka pan Riggi, bo nigdy go nie zaproszono - w jedwabnym szlafroku, jego łysa czaszka odbijała światło, słysząc dźwięk kostek lodu w szklance z tysiącletnią szkocką. Prawdopodobnie było tam kilka gorących azjatyckich panienek, gotowych spełnić każde jego pragnienie. I oto dzwoni głupi Tad Ford, żeby spierdolić mu cały wieczór.

- No więc. O co chodzi?

- Panie Riggi, ktoś do mnie przyszedł. Pobił mnie. Rozjebał mi nogę.

- A co to ma ze mną wspólnego? - Riggi zaczął mocniej ścisnąć słuchawkę swojego telefonu.

- Może nic, ale pytał o rowery.

- O pieprzony...

- Wiem, że nie powinienem, ale kilka sprzedałem, wie pan, tych z porwań, jakiś czas temu... - Tad usłyszał kilka pełnych wściekłości oddechów, a potem cichy głos.

- Skąd dzwonisz?

- Z pracy, z telefonu na kartę.

- Dzięki Bogu - oddech pełen ulgi. - Rozmowę uważam za zakończoną. Wyjdź stamtąd. Nikomu ani słowa. Rozumiesz mnie, głupi pojebie? Zadzwoń jutro. Spotkamy się i wszystko załatwimy.

- Przepraszam panie R., przysięgam, nie wymieniłem pańskiego nazwiska.

Tad mówił już tylko do powietrza, jego rozmówca rozłączył się.

*

Kiedy Behr zobaczył, że Ford odkłada słuchawkę, wyślizgnął się z klubu. Wychodząc, spojrzął za siebie i dostrzegł, jak Ford opiera się o barierkę i mówi coś do didżeja. Po chwili

detektyw siedział w swoim samochodzie, obserwował drzwi i zastanawiał się, czy wkrótce pojawi się ktoś, kto będzie miał pomóc Fordowi. Zamiast tego, po trzech minutach, ujrzał Forda szybkim tempem opuszczającego Dameę. Behr patrzył, jak mężczyzna wciska się do starego, ale dobrze utrzymanego nissana 300ZX i odjeżdża. Zanotował numer tablicy rejestracyjnej i powoli ruszył w ślad za Fordem. Jechał za nim przez dwanaście minut na północny wschód, do części miasta wypełnionej blokami mieszkalnymi. Budynki wyglądały na stare i zniszczone, zanim jeszcze zakończono ich budowę i raczej nie miały już wyglądać lepiej przed swoją randką z ekipą rozbiórkową. Behr zaparkował pół ulicy wcześniej niż Ford i obserwował mężczyznę, który zmierzał ku wejściu i rzucał wokół nerwowe spojrzenia. Detektyw odczekał chwilę, zobaczył, jak w pokoju na drugim piętrze od strony ulicy zapalają się światła. Okno zasłonięte było cienką zasłoną, która pamiętała lepsze czasy. Wszedł do budynku i sprawdził numery skrzynek pocztowych znajdujących się na klatce. Ford mieszkał pod 2-H, zgadzało się to z miejscem, w którym przed chwilą zapaliło się światło. Behr wrócił do samochodu, wysikał się na krawężnik tuż koło niego, wsiadł i czekał na tego, kto wpadnie z wizytą.

17

Ta cholerna, pierdolona cisza wgrzyzała się w Roostera jak wyniszczająca ciało choroba. Oczekiwanie męczyło go. Przez ostatnie cztery lub pięć miesięcy odbył z Riggim już kilka rozmów typu „bądź cierpliwy”.

To nie jest coś, co byłoby stałe, mój chłopcze. I nie możesz tego zmusić do pojawienia się, kiedy tylko ci się podoba.

Wiem, wiem.

Muszę ci znaleźć nowego współnika i tym razem to musi być właściwy gość.

Wiem, wiem.

Niech to samo do ciebie przyjdzie. To właśnie musisz robić.

Wiem, wiem.

Jeśli czegoś potrzebujesz, nie ma najmniejszego problemu. Tyle kasy ile tylko potrzebujesz, żeby przetrwać. Po prostu poproś swojego kapitana.

Wiem, wiem.

Jednak bycie cierpliwym nie było najmocniejszą stroną Roostera. Przez ostatnie dwa tygodnie jego mieszkanie przypominało mu klatkę. Urządzone w stylu kawalerskim, znajdowało się na ulicy pełnej wielkich ciężarówek i dziwek. Podwójne łóżko, telewizor, magnetofon na niewielkim stoliku i drążek do podciągania się w drzwiach prowadzących do łazienki. Mieszkanie miało być jedynie tymczasowe, dopóki Riggi nie wskaże mu kolejnego domu, w którym będzie mieszkał ze swoim nowym partnerem, kimkolwiek będzie. Mijały kolejne tygodnie i Rooster zaczynał powoli wariować. Przez ostatnie kilka dni rozmawiał na głos sam ze sobą.

Z drugiej jednak strony, czas spędzony w samotności miał też na niego pozytywny wpływ - Rooster stał się kafarem. Jedenaście kilo mięśni twardych jak stal. Dużo godzin spędzonych na siłowni, dieta złożona głównie z białka, które sprawiało, że jego masa rosła, przyjmowanie kreatyny, ATP oraz pełen cykl na anabolikach - to wszystko sprawiło, że Rooster był inny niż do tej pory. Oprócz tego, że był dość niski - mierzył zaledwie 173

centymetry - miał posturę pierwszoligowego futbolisty. Mógł wycisnąć więcej kilogramów, zrobić więcej powtórzeń i szybciej odzyskać siły niż kiedykolwiek wcześniej. W magazynach poświęconych kulturystyce poznał nowe metody ćwiczeń, które wykorzystywał na siłowni. Układał stos ciężarków, dopóki nie sięgał jego klatki piersiowej, a potem wskakiwał na niego z pozycji stojącej. Powtarzał ćwiczenie, aż do momentu, gdy jego nogi zaczynały się trząść, a płuca groziły wybuchem. Zaraz potem rzucał się na podłogę i robił pompki. Kończył, gdy zawodziły już ramiona. Po ćwiczeniach ściągał z siebie przepoconą koszulkę i szedł do swojej szafki. Po drodze przechodził koło luster, w których podziwiał swoją muskulaturę. Bolały go szczęki, które przez ostatnie dwie godziny były zaciśnięte z wysiłku. Rzucał się na wszystkich pedałów w szatni, którzy patrzyli na niego zbyt długo.

Program miał jedną wadę. Miał tak dużo energii, niemal agresji, że zaczynało mu odbijać. *Miej wiarę, kochany* - mówił sobie - *niedługo to się zmieni*.

Telefon zadzwonił niczym zbawienie.

- Halo?

- Oscar.

- Co tam, szefie?

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

- Cokolwiek chcesz - powiedział Rooster i naprawdę miał to na myśli, ponieważ cokolwiek wydostałoby go z mieszkania.

- Tad.

- Chcesz, żebym się nim zajął?

Rooster nie wahał się, po prostu był zdziwiony. Tad, straszna cipa, zrezygnował, ponieważ nie mógł już wytrzymać tej roboty, no i z powodu swej bezkresnej miłości do tańczącej dziwki. Nie wspominając już o narkotykach. Spieprzył całą operację, a teraz wystawił jego i Riggiego. Po drugiej stronie spotkało go milczenie, pytanie Roostera pozostało bez odpowiedzi.

- Wiesz, gdzie teraz mieszka?

- Taa - stęknął Rooster, przypominając sobie tani blok, zaraz za Broad Ripple.

W przeciwieństwie do jego własnej nory, która przynajmniej nie udawała, że jest czymś innym niż w rzeczywistości, mieszkanie Tada miało być przeznaczone dla pracowników klasy średniej z szansami na rozwój.

„Tylko jakiś pojebany idiota mieszka w miejscu takim jak to”. Powiedział to Tadowi podczas swej pierwszej wizyty w jego mieszkaniu. Biedny, mały Tad wyglądał, jakby miał się rozpłakać, gdy to usłyszał.

- Kiedy? - zapytał Rooster.

- Wczoraj. Tak naprawdę wczoraj byłoby idealnie. Zanim przyszedł jakiś gość i zaczął zadawać mu pytania.

Słowa Riggiego sprawiły, że przez klatkę piersiową Roostera przebiegł lodowaty dreszcz. Strach. W ślad za nim podążał palący gniew. O tak, on się już kurwa zajmie tym tłuściochem.

- Jakie pytania? Co to za gość? - zawarczał Rooster.

- Nie wiem. Nie chcę wiedzieć. Porozmawiamy później, osobiście... Jeśli uda ci się to zrobić.

- Uda się zrobić, człowieku? - uśmiechnął się Rooster. Wspaniałe uczucie niepoohamowanej mocy zaczęło przepływać przez jego członki. - To już jest zrobione.

Rooster nieco wstydził się wypieków, które pojawiły się na jego policzkach, gdy Riggi prosił go o załatwienie tej ważnej sprawy. Nie mógł zaprzeczyć, że strasznie go to poruszyło. To była rzecz, o którą nie można było poprosić byle kogo, której byle kto nie mógł zrobić. W każdym razie, poruszony czy też nie, Rooster miał sprawę, którą należało się zająć, ponieważ myśl o powrocie do więzienia na długi czas była nie do zaakceptowania. W porównaniu z tą alternatywą małe mieszkanko przestało mu w zupełności przeszkadzać.

Wspiął się na szafę. Mieszkanie nie było już klatką, stało się raczej jego siedzibą, bazą, z której mógł rozpocząć swoje działanie. Czekanie było straszne, ale sprawy mogły przybrać znacznie gorszy obrót. Nie zamierzał do tego dopuścić. Rooster odnalazł ukryte, plastikowe pudełko i zestawił je na ziemię. W środku owinięty w starą, wełniana skarpetę, spoczywał zadbany taurus kaliber 38. Nappełnił magazynek nabojami, schował dwa dodatkowe, zrobił siedemdziesiąt pompek, pięćdziesiąt przysiadów, odlał się i przez dłuższą chwilę spoglądał na siebie w lustrze, starając się skupić na czekającym go zadaniu. Założył płaszcz, który był nieco zbyt lekki na panującą pogodę, ale miał dobre kieszenie. Zgasił światło i wyszedł.

*

Tad przyciskał torbę z mrożonkami do pulsującego bólem piszczela. Próbował uspokoić oddech. Starał się wypuścić powietrze powoli i ze świstem, tak aby sprawiło mu to ulgę. W taki sposób uczyli tego w studio aerobiku, w którym był na zajęciach trzy miesiące temu. Poszedł tam, kiedy dowiedział się, że Michelle tam ćwiczy. Nie było jej tamtego dnia. Pod koniec spotkania Tad był mokry od potu, czuł się głupio i niezdarnie.

Powietrze uciekło z niego z jękiem. Bał się. Rozejrzył się po swoim mieszkaniu i zaczął zastanawiać się nad ucieczką. Miał siedem stów w banku, ale jednorazowo mógł pobrać z bankomatu jedynie trzy. Pieprzony menadżer oddziału w Indianie namówił go na taki limit, kiedy otwierał konto. „W ten sposób, jeśli zgubi pan kartę, złodziej może pobrać jedynie trzysta dolarów, zanim karta zostanie zablokowana” przekonywał ten pieprzony krowojebca. Tad żałował, że w ogóle otworzył konto w banku i że nie ma teraz całej kwoty w gotówce. Jednak musiał je otworzyć, kiedy dostał pracę w Damie. Za dwa dni miał właśnie stamtąd otrzymać czek na pięćset pięćdziesiąt dolców. Gorzej być nie mogło. Mógłby dotrzeć dużo dalej i uciekać dużo dłużej, gdyby miał te pieniądze. Zaczął chodzić po pokoju. Ciągłe kulał. Żałował, że wypalił resztkę swoich zapasów przed pracą. Wyjął butelkę whisky z szafki w kuchni i wziął duży łyk. Dokuśtykał do kanapy, usiadł na niej i zaczął zastanawiać się nad wykonaniem telefonu do Michelle. Szło mu z nią bardzo dobrze, małe kroczki, krótkie rozmowy, ukradkowe spojrzenia. Nie chciał tego przyspieszać, ale może powinien do niej zadzwonić i poprosić ją, aby z nim pojechała. Włożył rękę do kieszeni i odnalazł w niej ręcznie robiony i malowany drewniany breloczek do kluczy z Ciudad del Sol, La Frontera. Dał jej identyczny. Nie wiedziała o tym, ale czuł bliskość, wynikającą z faktu, że oboje posiadali takie same. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał jej numer. Rudy z klubu w rzadkim dla niego momencie wielkoduszności podał mu jej domowy numer kilka tygodni temu.

Tad ponownie spróbował zapanować nad swoim oddechem. Nie udało się. Zastanawiał się, co powie, jeśli Michelle odbierze.

- *Cześć Michelle, tu Tad. Wiem, że jesteśmy tylko znajomymi z pracy, ale może chciałabyś przejechać się ze mną na wycieczkę?* - nawet dla niego brzmiało to niesamowicie kretyńsko. Po czterech sygnałach odebrała automatyczna sekretarka. Jej głos był niski i seksowny, prosił o zostawienie wiadomości, w tle grała piosenka Bryana Adamsa. Tadowi ulżyło, na szczęście nie odebrała. Odwiesił słuchawkę i ściskając butelkę Wild Turkey, zaczął zastanawiać się co dalej.

*

Prowadzenie obserwacji było znakomitym testem skupienia i cierpliwości. Behr siedział za kierownicą bez ruchu, wpatrywał się w okno mieszkania, które należało do Forda. Odczuwał zmęczenie po wycisku, jaki zafundował mężczyźnie. Odkrył, że nie potrafi przejść do zwykłego funkcjonowania po użyciu lub doświadczeniu przemocy fizycznej. Adrenalina

zgrupowana w jego organizmie musiała gdzieś się podziać, nazywał to zejściem. Aby je zwalczyć, sięgnął po red bulla, którego wyjął z niewielkiej lodówki podróźnej. Lodówka zawsze znajdowała się na fotelu pasażera i była pełna napojów energetycznych. Red bull był ciepły i kleisty, ale i tak Behr wypił go jednym haustem i skoncentrował się na zadaniu - obserwacji.

Włączył policyjną radiostację, którą miał w samochodzie. Uruchomiła wspomnienia i pomagała zwalczyć nudę. Słuchał wezwań i obserwował okno mieszkania.

Bez względu na ilość i tak się do tego nie przyzwyczaisz - Behr mówił do siebie w myślach. Była to kolejna rzecz, którą robił, żeby skoncentrować się i przetrwać nudne czuwanie. *Tak samo było ze śmiercią* - pomyślał, ale nie powiedział tego głośno. Bez względu na to, jak długo z nią obcował, nigdy nie pozbył się dziwnego uczucia w żołądku wywołanego przez martwe ciało.

Wrócił pamięcią do swojego pierwszego tygodnia służby, kiedy był jeszcze dzieciakiem. Pracował wtedy w obrębie Meridian Park, miłej, cichej dzielnicy, w której raczej nic się nie działo. Jednak trafił na dwa ciała podczas tego pierwszego tygodnia. Drugiej nocy zdarzył się wypadek drogowy, motocykl kontra ciężarówka. Behr i jego oficer szkoleniowy, Gene Sasso - weteran, który zbliżał się do emerytury, byli pierwszymi, którzy dotarli na miejsce zdarzenia. Motocyklista był martwy. Jego głowa i nogi wykrzywione były pod dziwnym kątem, na nogach nie miał butów, które zostały zdmuchnięte przez siłę uderzenia. Kierowca ciężarówki siedział na poboczu, wtulił głowę w ramiona i cicho płakał.

- Sprawdź dokumenty denata - rozkazał Sasso.

Behr przełknął ślinę i sięgnął do tylnej kieszeni motocyklisty. Przez chwilę wydawało mu się, że facet się obudzi i złapie go za rękę, aby uniknąć kradzieży. Jednak mężczyzna już nigdy miał się nie poruszyć. Był martwym ciałem, które nawet nie drgnęło, kiedy Behr wyciągał portfel. *Mięso* - tylko to słowo przebiegło przez jego młodą głowę. Doznał także niepokojącego odczucia, że wszyscy, nawet on, kiedyś osiągną taki stan.

Piątego dnia otrzymali telefon od zaniepokojonej kobiety. Przez trzy dni nie mogła skontaktować się ze swoim chłopakiem. Behr i Sasso zostali wysłani, aby siłą wejść do jego mieszkania na trzecim piętrze. Znaleźli go, dwudziestosześcioletniego, białego mężczyznę, przewieszonego przez oparcie kanapy. Przedawkował. To niecodzienne zdarzenie w miłej dzielnicy, w której nie powinno być twardych narkotyków. Młody policjant Behr dowiedział się tego dnia, że po śmierci z ciała wydostają się wszystkie płyny, tworząc obrzydliwą kałużę. Ciało zdążyło zeszytnieć pośmiertnie w tej dziwnej pozycji. Problemem było zniesienie go po dość wąskiej klatce schodowej.

- Połam go - powiedział siedemdziesięcioletni patolog, kiedy przyjechał na miejsce zdarzenia. - Spróbuj go wyprostować.

- Co?

- Nadepnij na stawy, wtedy puszcza.

Behr zrzucił ciało z kanapy na podłogę i wykonał rozkaz. To było jak zgniatanie nogami kartonowych pudeł. Sasso mu nie pomógł, bo tylko młodzi zajmowali się takimi rzeczami. Im jesteś starszy, tym bardziej zbliżasz się do śmierci i tym silniej chcesz jej uniknąć.

Osiem miesięcy później Behr został przeniesiony do Haughville, gdzie śmierć była znacznie częstszym zjawiskiem. Pomimo to nigdy się do niej nie przyzwyczyił. Po prostu nauczył się odsuwać od siebie myśl o śmierci, gdy zasuwano worki z ciałami.

*

Rooster dojechał na ulicę, na której mieszkał Tad i przejechał nią bez zatrzymania. W tej części miasta jego brązowy el camino nie będzie przyciągał uwagi. Po przejechaniu obok budynku planował zaparkować kilka ulic dalej, gdzieś w cieniu, żeby nikt nie zauważył tablic. Nie był pewien, jak wykona zadanie. Może po prostu wejdzie do budynku i zapuka do drzwi Tada? Grubas się go nie spodziewa i prawdopodobnie otworzy mu drzwi. W końcu Rooster nie był kimś obcym. A może zadzwoni domofonem i poprosi, żeby tłuścioch zszedł na dół z jakiegoś powodu. Mógł też zadzwonić z kradzionego telefonu komórkowego, który miał od tygodnia. Najpierw jednak chciał się rozejrzeć po okolicy. Gdy mijał budynek Tada, jadąc jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, coś wydało mu się nie w porządku. Nie wiedział, o co dokładnie chodziło. Może po prostu był podenerwowany. Wykonał trzy następujące po sobie skręty w prawo i z powrotem znalazł się na początku ulicy. Pokonując ostatni zakręt, zgasił światła, podjechał do krawężnika i wyłączył silnik. Z tego miejsca Rooster widział blok Tada, oddalony jedynie o kilkadziesiąt metrów. Pomiedzy nim a budynkiem na ulicy zaparkowanych było sporo uśpionych samochodów. Żaden z nich nie był radiowozem, żaden też nie wyglądał na nieoznakowany samochód policyjny. Nikt nie przechodził. Jednak instynkt kazał Roosterowi siedzieć w aucie. Przyciął się za kierownicą, stuknął w nią palcami i czekał. Piętnaście minut. Czterdzieści pięć. Nie wiedział, na co czeka, ale nie chciał się też spieszyć. Musiałby być niezwykle pewny siebie, aby tak wysiąść z samochodu i wejść do budynku z bronią w rękę. Rooster wiedział, że pewność siebie może być bardzo niebezpieczna. *Lepiej być sprytnym* - pomyślał.

*

Minęło już pięć i pół godziny i Behr zaczął planować następny ruch. Nikt nie przyjdzie, żeby zobaczyć się z Fordem. Ford też najprawdopodobniej nie będzie wychodził, aby z kimś się spotkać. Plan Behra zawiódł. Policja Indianapolis także miała dziś spokojny wieczór. Kilka aresztowań za posiadanie, nagłe wezwanie do baru Hooters, na miejscu nikogo nie zatrzymano, kierowca, który stawiał opór przy zatrzymaniu, sprawy rodzinne, jak zwykle pijaństwo i zakłócenia spokoju przed barami w Lafayette. W pewnym momencie ciche trzaski w radiu przerwało wezwanie.

„Do wszystkich jednostek. Park Eagle Creek”. Był to teren rekreacyjny, położony szesnaście kilometrów na północny wschód od miasta. Znajdowało się tam pole golfowe, wypożyczalnia żaglówek, strzelnice i ścieżki do biegania na przełaj.

„Ludzkie szczątki odkryte przez mężczyznę, który wyprowadzał psa. Biały nastolatek. Patolog w drodze...”

Behr poczuł, że ma gęsią skórę. Włączył silnik i wrzucił pierwszy bieg.

*

Sukinsyn - Rooster podniósł głowę, słysząc dźwięk silnika. Być może był zamyślony i przegapił ten moment, ale był niemal całkowicie pewien, że nikt przed chwilą nie wsiadł do samochodu. Nie usłyszał trzasku zamykanych drzwi. Nie, kierowca uruchamiający oldsa w pobliżu budynku Tada musiał być w środku i to długo. To nie mógł być zbieg okoliczności. *Sukinsyn obserwował Tada.*

W pierwszej chwili Rooster wpadł na pomysł, aby szybko tam podjechać, wyciągnąć z gościa informacje i zabić. Oparł się temu z trudem. Samochód odjechał i na ulicy ponownie zapadła cisza. Po kilku godzinach odrętwiającego oczekiwania Rooster poczuł, jak w jego umięśnione kończyny wstępuje nowa siła. Oddech przyspieszył, starał się go uspokoić. Dotknął broni znajdującej się w prawej kieszeni płaszcza, w lewej wymacał dwa zapasowe magazynki. Zastanawiał się, czy nie warto zaparkować samochodu jeszcze dalej od budynku i wrócić na piechotę. *Pieprzę to* - zdecydował. I tak siedział tu już wystarczająco długo, żeby zostać zidentyfikowanym przez kogoś, kto by go obserwował. Sięgnął za siedzenie po wyblakłą czapkę z daszkiem, założył ją, nasunął nisko na oczy. Wziął wdech i wysiadł. Przywitało go chłodne, prawie poranne powietrze. Szedł bezgłośnie po chodniku, zbliżając się do budynku, rozejrzał się wokół. Nikogo w zasięgu wzroku. Podszedł do drzwi wejściowych i delikatnie szarpnął. Ustąpiły z cichym jękiem. Zamek zardzewiał w otwartej pozycji. Dobrze

dla Roostera, źle dla Tada.

Wszedł po schodach i zbliżał się do drzwi mieszkania Tada. Był tu tylko raz, ale cały rozkład budynku, wszystko wydawało mu się znajome, jakby mieszkał tu przez całe życie. Zastanawiał się, czy facet, który wypytywał Forda w Złotej Damie, to ten sam, który obserwował jego mieszkanie. *Pewnie tak* - pomyślał.

Nawet taki idiota jak Tad będzie się pilnował po takim przesłuchaniu - Rooster zdał sobie sprawę, że lepiej będzie zatem wejść do mieszkania bez zapowiedzi. Przeszedł cicho przez korytarz i dotarł do drzwi byłego współnika. Były wykonane z taniej sklejki, pomalowane na biało, z sześcioma imitacjami paneli. Mosiężna klamka i dodatkowy zamek. *Gówna warte* - pomyślał Rooster. Wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać. Usłyszał jakieś przytłumione dźwięki, szelest dobiegający ze środka. Skupił się na fragmencie drzwi położonym kilka centymetrów na prawo od klamki. Ugiął kolana i poczuł, jak naprężają się jego wytrenowane mięśnie ud.

*

Tad dopijał butelkę Wild Turkey. Na odcinku tuż pod nalepką zaczął płakać. Ciche skomlenie, które nie miało żadnego celu. Powietrze w mieszkaniu było zastale. Nie będąc pewnym, co ma na siebie włożyć, a co spakować, zdjął swoją koszulkę i dżinsy i został jedynie w bokserkach i skarpetkach. Dotknął swojego brzucha wylewającego się z bielizny, poczuł się nieszczęśliwy i znowu wybuchnął płaczem. Był przegrany. Wszystkie decyzje, jakie podejmował przez ostatni rok, doprowadziły go do tego położenia. Może jego kiepska ocena sytuacji sięgała jeszcze dalej wstecz. Robił okropne rzeczy dla pieniędzy i nie przestał ich robić wystarczająco wcześnie. Sprzedanie rowerów było po prostu głupie i nawet niezbyt opłacalne. Palenie nie poprawiło stanu rzeczy, nie starał się rzucić odpowiednio wcześnie. Teraz, kiedy musiał wyjechać, mógł przyznać, że sprawy w klubie pomiędzy nim i Michelle i tak nie miały szansy powodzenia.

- Potrzebuję pomocy - powiedział głośno, jego głos brzmiał dziwnie i żałośnie.

Nie był religijnym człowiekiem. Nie chodził do kościoła jak pan Riggi, nie potrafił się modlić. Ale coś w mówieniu na głos przynosiło mu ulgę. Nie chodziło tylko o samo mówienie do siebie. Czuł, że ktoś, może Jezus, słucha. Odstawił butelkę, podniósł się z krzesła i uklęknął. Jęknął, gdy jego obolała łydka dotknęła podłogi i przyjęła na siebie ciężar jego ciała.

- Potrzebuję pomocy - powtórzył. - Proszę, chcę odmienić swoje życie. Wiem, że

potrafię być dobry.

Zaczął się zastanawiać, nie był pewien, jak ma kontynuować, jakich słów powinien użyć. Nie czekał na znak, raczej na ścieżkę, którą mógłby podążać. Nagle rozległo się głośnie uderzenie i drzwi wejściowe nieco się odkształciły. Gwałtowny strumień strachu przebiegł po plecach Tada Forda. Kolejne uderzenie i jasny kawałek mosiądzu, fragment zamka, odłamał się i przeleciał obok jego głowy. Drzwi otworzyły się niczym w zwolnionym tempie. Za nimi stał krępy mężczyzna w czapce z daszkiem i długim płaszczu.

Rooster - po chwili Tad już wiedział. Nagle zobaczył siebie - w bokserkach, twarz zalana łzami. Poczul niesamowity wstyd, który zalewał jego ciało jak gorąca woda.

- *Rooster* - powiedział drżącym głosem, widząc, jak usta jego dawnego partnera unoszą się w nieprzyjemnym uśmiechu. Ręka *Roostera* zniknęła w kieszeni płaszcza. Po chwili pojawiła się z nożyczkami. Wyciągnął je w kierunku Tada. *To nie nożyczki* - umysł Tada walczył, aby nadążyć za wydarzeniami. *Pistolet*.

Zobaczył ogień.

18

Behr przejechał obok budki strażnika nieobsadzonej o tak wczesnej porze i wjechał do parku Eagle Creek. Kierował się drogą wzdłuż jeziora, aż zobaczył rząd samochodów - radiowozy, nieoznakowane samochody policyjne, karetki pogotowia i samochód patologa. Młody funkcjonariusz zatrzymał Behra. Detektyw otworzył okno.

- Witam, oficerze.

- Jak się pan ma? - zapytał dzieciak. Nigdy się nie spotkali, jednak policjant uznał, że Behr jest na służbie lub na emeryturze.

- Frank Behr - powiedział, wystawiając rękę przez okno i podając ją funkcjonariuszowi. - Kto dowodzi?

- Tymczasowo detektyw Petrie.

- Nie znam go. Jest Cale?

Cale był porucznikiem, którego Behr znał od dawna.

- Chyba na wakacjach.

- Kto przyjechał z biura koronera?

- Gannon.

- Świetnie. Poświadczy za mnie - powiedział Behr, uśmiechając się.

- Proszę zaparkować na poboczu - powiedział dzieciak, wskazując miejsce detektywowi.

Behr znalazł miejsce i wysiadł z samochodu.

- Niech ktoś zgłosi przez radio, że może pan tu przebywać. W przeciwnym razie będę musiał pana znaleźć.

Behr skinął głową, starając się, aby ostatnie pytanie zabrzmiało naturalnie.

- Kapitan Pomeroy już jedzie, prawda?

- Tak.

Frank ruszył w stronę miejsca zdarzenia szybkim krokiem.

Osiemnaście metrów od drogi stało półkole postaci pochylonych nad czymś, co leżało

w wysokiej trawie. Detektyw wiedział, że stali wokół ciała. Zewsząd dochodziły znajome dźwięki, charakterystyczne dla miejsca przestępstwa - trzaski w radioodbiornikach, odgłos butów na żwirze, klucze i latarki wiszące na paskach spodni, siorbanie gorącej kawy, szelest nylonowych płaszczy przeciwdeszczowych. Zestawy do zbierania dowodów, wyglądające jak pomarańczowe pudełka na przynętę, stały otwarte, przygniatały pożółkłą trawę do ziemi. Kilka metrów dalej dr Jean Gannon rozmawiała przez komórkę. Była krzepką kobietą po pięćdziesiątce, miała na sobie bojówki i kurtkę z polaru. Gdy dostrzegła Behra, zaczęła kręcić głową.

- Tak, i prześlij mi też dane dentystyczne. Cześć! - zamknęła telefon. - O w mordę, Frank, nie ma cię tu! Nie ma cię tu!

- Jestem kochanie, przyzwyczaj się.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Mogłabyś poręczyć za mnie?

- Ha! daj znać funkcjonariuszom pilnującym wjazdu na teren, że mój gość mnie odnalazł - krzyknęła Jean do pobliskiego policjanta.

Behr pracował z Gannon w biurze koronera. Była gospodynią domową i matką, zanim wróciła do szkoły. Swoją karierę rozpoczęła po czterdziestce. Mąż odszedł. Nie mógł znieść długich godzin nieobecności Jean z powodu pracy.

- I tak chciał mnie zostawić, moja praca dała mu tylko pretekst - wyznała kiedyś Behrowi, gdy próbował ją pocieszyć. Kochała swoją pracę. Zaprzyjaźnili się podczas długich dyskusji o śledztwach i materiałach dowodowych.

- Więc byłeś na porannej przejażdżce na rowerze i pomyślałeś, że wpadniesz się przywitać?

- Yhm, coś w tym stylu. Pracuję nad pewną sprawą i twoje poranne ciało może mieć z nią coś wspólnego.

- Nie mów, że pracujesz nad jakąś sprawą - jej brwi zeszyły się, a twarz posmutniała. - Wiesz, że jesteś tu persona non grata.

- Dobra, w takim razie nie prowadzę żadnej sprawy. Możesz mi powiedzieć, kto to był?

Jean rzuciła niespokojnym wzrokiem w kierunku drogi. Przyglądała się tłumowi mundurowych.

- Nie ma go jeszcze - uspokoił ją Behr, mając na myśli Pomeroya.

- No dobrze. Chodź.

Podeszli do ciała. Gannon odpędziła zebranych przy nim policjantów, fotografów i

medyków.

Ciało nie było właściwym słowem, którego należało użyć, by opisać to, co leżało u ich stóp. Przypominało bardziej szkielet z brązowymi kawałkami truchła zwisającymi z piszczeli i żeber niczym stare skórki od bananów. Włosy i skóra twarzy w większości zniknęły. Podobnie jak oczy i nos. Szczeka była rozwarta, zęby szklily się w niemym krzyku. Ciało leżało na prawym boku w pozycji embrionalnej. Behr nie potrafił stwierdzić, jak wysoka była ta osoba, ale nie mogła mieć więcej niż metr sześćdziesiąt. Ogarnął go strach na myśl, że mógł to być Jamie Gabriel. Strach mieszał się z nadzieją, którą Behr próbował zagłuszyć, że to jednak był Jamie i że oto leży przed nim odpowiedź. Czy to się stało tutaj?

- Nie sędzę. Pozycja, w jakiej się znajduje, wskazuje na to, że zwłoki ułożono. Poza tym trawa zaczęła rosnąć już przez ciało, więc musiał tu już być od jakiegoś czasu.

- Musiał? On? - Behr chciał się upewnić, czy na pewno dobrze zrozumiał usłyszaną informację.

- Tak. Biały mężczyzna. Prawdopodobnie został uduszony.

- Wiek?

- Koło dwudziestki.

Behr wziął głęboki oddech.

- Jesteś pewna co do wieku?

Jean spojrzała na niego wzrokiem, który mówił wszystko. Mówił o tysiącach godzin spędzonych na studiowaniu i praktycznym poznawaniu metod odkrywania sekretów, które skrywają zmarli.

- Jaki według ciebie był najniższy możliwy wiek ofiary?

- Trudno powiedzieć. Warunki atmosferyczne narobiły strasznych szkód. Siedemnaście, może szesnaście lat.

Żywy lub martwy, Jamie będzie obchodził piętnaste urodziny dopiero w przyszłym roku.

- Dzięki Jean.

- Mam nadzieję, że dowiedziałeś się tego, co chciałeś.

- Powinienem już iść.

- Tak.

Nie zbliżył się do rozwiązania sprawy, ale wcale go to nie zmartwiło. Behr po raz ostatni spojrzał na szczątki leżące na ziemi, odwrócił się i odszedł.

Jadąc przez park, dostrzegł błyszczącego forda crown vic, który jechał wąską, jednokierunkową drogą w jego stronę. Prowadził go mężczyzna trzymający przy ustach

aluminiowy kubek podróżny. Behr i kierowca pojazdu spojrzeli sobie w oczy, kiedy ich pojazdy mijaly się blisko. Mężczyzną za kierownicą był kapitan Pomeroy.

*

Kaskady liczb przelatywały przez głowę Carol, gdy wyjmowała swoje buty do biegania z szafy i wiązała je na nogach. Przeróżające statystyki.

W całym kraju liczba zaginionych osób sięgała osiemdziesięciu tysięcy. Osiemdziesiąt pięć do dziewięćdziesięciu procent z nich to dzieci. Dwa tysiące spraw dziennie wpisywano do rejestru Narodowego Centrum Informacji o Przestępstwach. Większość z nich to sprawy rodzinne - rozwiedziony rodzic łamiący prawa opieki. Dziewięćdziesiąt procent z nich rozwiązywano bez incydentów.

Jednak wiele z tych przypadków dotyczyło dzieci i wielu nie rozwiązano. Spośród tych spraw, których nie udawało się rozwiązać, czterdzieści procent dzieci uważało się za martwe.

Jeden - to była liczba zaginionych, na których jej zależało.

Czteryście pięćdziesiąt sześć - tyle dni minęło od zaginięcia Jamiego.

Ta straszna liczba sprawiała, że Carol słabła, choć właśnie rozciągała się przed biegiem na trzy kilometry. Rozpoczęła spokojnym truchtem, z każdym krokiem zostawiała za sobą płyty połatanego asfaltu. Zimno sprawiało, że każdy jej oddech opuszczał usta jako niewielka chmurka.

Dwa tysiące - liczba ulotek, które rozdała. Każda zawierała zdjęcie jej syna, opis, dane dotyczące wzrostu i wagi oraz prawdopodobny ubiór tamtego ranka. Gabrielowie rozdawali także małe plakietki zawierające zdjęcie Jamiego oraz numer ich telefonu.

Zero - liczba telefonów, które otrzymali w zamian za swój wysiłek.

Pomimo chłodu powietrza Carol zaczęła się pocić, pot zbierał się na jej brwiach i spływał po twarzy, niewielkie kropelki pojawiły się na piersiach. Chciała się już zatrzymać, zgiąć w pół i walczyć o oddech, ale siłą woli zmusiła się do kontynuowania biegu. Nigdy nie lubiła joggingu. Dla Paula był to sposób na zabawę, rekreację, oczyszczenie. Dla niej był to obowiązek.

Dwie trzecie - tyle par decydowało się na rozwód po stracie dziecka. Liczba ta kołatała jej w głowie przy każdym przebiegniętym kroku. Wspólna porażka, ciągle przypominanie o żalu, jakim była druga osoba. To okazywało się zbyt wiele dla większości małżeństw. Carol wiedziała już, że ona też należy do tej przeklętej grupy. Uczucie pomiędzy nią i Paulem po

zaginięciu Jamiego zostało natychmiast sparaliżowane, a później powoli zaczęło odchodzić w zapomnienie, aż zupełnie zamarło.

Zatrzymała się. Krew pulsowała jej w skroniach. Nie mogła złapać oddechu. Nogi odmawiały posłuszeństwa, nie była w stanie zrobić nawet kroku. Nie miała siły, aby przejść przez separację i rozwód. Nie mogła sobie wyobrazić, jak wiele energii kosztowałyby ją ta rozmowa. Stała na ulicy, zgięta wpół, z ciężkim oddechem. Zimny wiatr rozwiewał jej myśli.

*

Behr rzucił torby z zakupami na kuchenny blat i zaczął robić śniadanie. Aby zaspokoić jego apetyt, który wreszcie powrócił po długiej przerwie, trzeba było sześciu jaj, ćwierć kilo bekonu, czterech kromek pełnoziarnistego pieczywa testowego i ponad litr soku pomarańczowego. Jedząc, zastanawiał się, dlaczego czuje rozczarowanie zwłokami, które widział w parku. Tak jak powiedział Gabrielom na początku - jakkolwiek odpowiedź była najlepszym, na co mogli liczyć. Jednak mimo zmęczenia, które zaczął odczuwać po nieprzespanej nocy, cieszył się, że to nie Jamie został porzucony w Eagle Creek.

Po śniadaniu wziął długi, relaksujący prysznic. Potem położył się do łóżka i ustawił budzik, który miał zadzwonić za sześć godzin. Będzie wtedy trzecia po południu, zakładając, że uda mu się tak długo pospać. Idealny moment na złożenie wizyty Tadowi lub paru jego współpracownikom ze Złotej Damy. Behr zamknął oczy, mając nadzieję, że sen przyjdzie szybko i tym razem nie przyniesie ze sobą demonów przeszłości. Leżąc, potrząsnął głową na poduszce, aby wymazać z niej obraz czaszki w parku oraz tego, jak musi wyglądać teraz jego syn złożony w mahoniowej trumnie.

*

Kilka godzin później, już po południu, ale zanim zadzwonił budzik, usłyszał to. Ktoś był w mieszkaniu. Sen nadszedł, czarny i bezkształtny, ale teraz był ledwie wspomnieniem. Odgłosy kroków i cichy kaszel dobiegały z salonu. Wysunął nogi spod kołdry i postawił je na podłodze. Powoli otworzył szufladę szafki nocnej. Odsunął papiery i odsłonił masywny kawał metalu: swój charter arms bulldog kaliber 44. Przez prawie dziesięć lat, jako policjant, nosił kaliber 38, później spróbował 9 mm ze względu na większą pojemność magazynka. Widział, co takie kalibry potrafią zrobić. Teraz preferował cięższą broń. Tylko pięć strzałów. Bulldog był rewolwerem, ale większość strzelanin kończyła się po dwóch. Detektyw zacisnął palce na uchwycie broni i ruszył cicho w stronę salonu.

Było ich dwóch. Biali. Koło trzydziestki. Niscy i krępi, ubrani w luźne bluzy i workowate dzinsy. Obydwaj mieli podobny zarost - kozie bródki i wąsy. Byli wyćwiczeni w zachowywaniu się cicho i nie musieli się zbytnio starać. Jeden z nich, z krótko ostrzyżonymi włosami, siedział za biurkiem Behra, patrzył w monitor i od czasu do czasu klikał myszką. Drugi siedział na krześle przy telewizorze, na kolanach trzymał niektóre z akt znalezionych w pokoju. Facet ich nie przeglądał, wyglądał na znudzonego.

Behr wyszedł z przedpokoju, wycelował pistolet w mężczyznę siedzącego przed telewizorem. Swoje słowa skierował do tego, który siedział za biurkiem.

- Co tu robicie i kto was przysłał? - jego głos był spokojny, choć wiedział, że obydwaj „goście” byli uzbrojeni. Tak naprawdę robił to na pokaz, rozpoznaliby w nich gliniarzy nawet z kilometra.

Ten za biurkiem odchylił się na krześle, założył ręce za głowę i przeciągnął się, jakby rozmowa toczyła się na posterunku.

- Ja jestem Nye, a to jest Feeley - gość podbródkiem wskazał swojego partnera. - Jak tam drzemka?

Feeley, nie podnosząc się z krzesła, uśmiechnął się paskudnie.

- Masz na niego pozwolenie? - kiwnął głową w kierunku broni detektywa.

Osły w cywilnych ciuchach - pomyślał Behr i opuścił broń. Nie odpowiedział.

- Zepsuliście mi zamek? - zapytał zaskoczony swoim twardym snem.

- Było otwarte - powiedział Feeley skrzeczącym nieprzyjemnie głosem. Drugi glina spojrzał na niego poważnie.

- Zamkowi nic nie jest. Feeley ma zręczne palce.

Behr skinął z wdzięcznością.

- Słuchajcie, wiem, że Pomeroy widział mnie w Eagle Creek dziś rano, ale telefon załatwiłby sprawę.

Teraz Nye cicho się zaśmiał. Behr znał metody, jakie stosował Pomeroy. Nie można było jednoznacznie ustalić, czy był skorumpowany, czy też nie, ale to właściwie nie miało znaczenia. Wiadomo było, że lubił mieć dwie lub trzy drużyny kowbojów pod ręką. Ludzi, którzy chcieli odwalać robotę, bez których żaden kapitan miejskiej policji nie byłby w stanie prowadzić swojego wydziału. Dostarczali wiadomości, od czasu do czasu dali wycisk komu trzeba, znajdowali dowody lub sprawiali, że zniknęły. Było to tak samo częścią amerykańskiej policji, jak emblemat flagi naszyty na mundur.

- Nie jesteś przyjacielem naszego wydziału. Tak samo jak twoi przyjaciele.

Behr z żalem przypomniał sobie o Jean Gannon.

- Co Pomeroy jej zrobił?

- Niewiele. Ostro ją objechał.

- I przysłał was tu, żebyście mi dali do zrozumienia, abym trzymał się z daleka?

Nye i Feeley spojrzeli na siebie.

- Chce wiedzieć, nad czym pracujesz.

Behr zauważył, że żaden z nich nie wymienił nazwiska Pomeroya lub jego stopnia. Nie mrugnęli nawet, widząc go z bronią w ręku. Byli świetnie wyszkoleni, jak na rottweilery.

- Nad niczym nie pracuję. To była stara sprawa. Chciałem tylko sprawdzić, czy zidentyfikowaliście to ciało - Behr nie zamierzał pomagać innym w wykonywaniu ich pracy, a jeśli chodziło o Pomeroya, to biuro obsługi klienta było zawsze zamknięte.

- Nie o to chodzi - powiedział oschle Nye.

- Nie? - zapytał Behr, nieco zdziwiony, że jego odpowiedź nie wystarczyła.

- Zapomnij o szkielecie w parku. Mamy ochroniarza, którego ktoś rozstrzelał oraz ciebie, przesłuchującego tego ochroniarza w Złotej Damie na kilka godzin przed zdarzeniem.

Behr przełknął te słowa jak ohydne lekarstwo. Spojrzał na Feeleya, który siedział i potakiwał.

- Kiedy go zastrzelono?

- Nad ranem. W jego mieszkaniu - wyjaśnił Nye. Jego wzrok przykuło coś interesującego na ekranie monitora.

Behrowi zjeżyły się włosy na karku. To musiało się stać tuż po tym, jak odjechał. Egzekutor prawdopodobnie czekał i patrzył, jak odjeżdża.

- Więc nad czym pracujesz stary? - zapytał Feeley z krzesła.

Ostły - pomyślał Behr o swoich gościach i nie powiedział ani słowa.

- No dawaj, Frank, musisz nad czymś pracować. Chyba że nagle zamieniłeś się w zbrojeńca - rzucił Nye, wskazując na monitor.

Behr zdał sobie sprawę, że policjant przeglądał historię odwiedzanych przez niego stron internetowych.

- Nie bądź pieprzonym idiotą - odszczeknął Behr.

Nye wyglądał, jakby właśnie go spoliczkowano. Policjant wyrwał wtyczkę komputera z gniazdka.

- Możesz dostać nawet piętnaście lat tylko za odwiedzanie tych stron. A my możemy zebrać materiały i dostarczyć je na posterunek.

- Wynajmę prawnika. Nielegalne przeszukanie. Włamanie. Tego typu sprawy...

- Ale i tak nie zobaczysz go przez długi czas - powiedział Nye, kierując wzrok na

komputer.

Behr wzruszył ramionami. Nie dbał o to. W zasadzie już go nie potrzebował. Bolesna wiedza i przerażenie zderzyły się ze sobą w jego klatce piersiowej. Naprawdę posuwał się naprzód, uderzył w czuły punkt, a teraz wszystko przepadło. Jego sprawa rozpadła się na kawałki. Był wściekły i nie miał ochoty na rozmowę z fiutami, którzy znajdowali się w jego salonie.

- Czekamy - spróbował ponownie Nye.

- Myślicie, że to ja kropnąłem ochroniarza?

- Nie. Ale nasz szef chce wiedzieć, dlaczego cię to interesuje.

- Powiedziałem już wszystko, co miałem zamiar powiedzieć.

Feeley wstał z krzesła i szeroko rozstawił nogi.

- Mamy doprowadzić cię na posterunek, jeśli zaczniesz się tak zachowywać.

Behr odłożył pistolet na półkę i stanął w pozycji z lewą nogą do przodu.

- Lepiej wezwijcie wsparcie.

19

Paul opuścił biuro klienta na Jackson Place. Właśnie sprzedał polisę na życie wartą trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Szedł w kierunku South Street, gdzie zaparkował samochód. Na ulicy mijał duże grupy ludzi, głównie rodziców i dziadków ze swoimi dziećmi i wnukami. Większość z nich zmierzała do Fieldhouse na ulicy Pennsylvania, wzdłuż której zebrał się jeszcze większy tłum. Paul poczuł narastający smród siana, zwierząt i moczu, jeszcze zanim dotarł na skraj tłumu. To znak, że do miasta przyjechał cyrk. Przez długą chwilę stał w tłumie i patrzył na paradę słońi. Zwierzęta szły jeden za drugim, na grzbiecie każdego z nich siedziała kobieta w obcisłym biało-czerwono-niebieskim stroju pokrytym cekinami. Dzieci w tłumie krzyczały radośnie, przekazywały słońiom pozdrowienia. Od czasu do czasu któryś ze słońi odpowiadał głośnym dźwiękiem trąby.

Widok zmroził Paula, wywołał bolesne wspomnienia. Przyprowadził tu Jamiego kilka lat temu. Nie na paradę organizowaną zaraz po przyjeździe cyrku, ale na samo przedstawienie. Wspomnienie sparaliżowało go. Pomarszczone, brązowo-szare słońie przechodziły obok. Wycieczka do cyrku była dla niego i Jamiego raczej niefortunnym pomysłem. Sam od dziecka nie lubił tego miejsca. Było coś niepokojącego w całym tym hałasie i zamieszaniu. Kochał zwierzęta, ale w cyrku wyglądały żałośnie, jakby były karmione frustracją. Najsmutniejsze były otumanione i wykastrowane drapieżniki. Jedynie konie, białe, z powiewającymi grzywami, które biegały dookoła areny z akrobatami stojącymi na ich grzbietach, były warte obejrzenia. Ale Paul nie chciał przekazywać swoich uprzedzeń synowi. Być może chłopiec doceni w cyrku to, co doceniają miliony innych dzieci. Poszli więc tylko we dwóch na popołudniowe widowisko. Jamie, który miał wtedy pięć lat, trzymał ojca za rękę i rozglądał się wokół, patrząc na ludzi, sprzedawców waty cukrowej, zabawek i pamiątek.

Odnaleźli swoje miejsca i rozpoczęło się przedstawienie. Na scenę wybiegła grupa klaunów, którzy zaczęli biegać po widowni. Większość widzów krzyczała z radości i falowała. Wielu klaunów miało w rękach duże, sztuczne torty. Przy dźwiękach dzikiej muzyki

cyrkowcy wciąż potykali się, to tracąc, to odzyskując równowagę, ku uciesze najmłodszych. Jeden z nich, łysy, z twarzą pomalowaną na biało, czerwonym nosem, ubrany w klasyczny strój w kratę biegł ich rzędem i ścisnął dłonie dzieci. Gdy był dość blisko nich, Paul poczuł, że Jamie zaczyna się kulić. Wszystkie dzieci wyciągały ręce w stronę klauna, tylko po to, aby przez krótki czas potrząsnąć nimi w górę i w dół, co wywoływało niekończące się wybuchy śmiechu. Jamie przysunął się bliżej do ojca, a kiedy nadeszła jego kolej, wtulił twarz w jego klatkę piersiową. Klaun przez chwilę skakał wokół nich, próbując nakłonić Jamiego do uścisku dłoni. Chłopiec jednak nie dał się przekonać i po chwili komik ruszył dalej.

Gdy tylko odszedł, Jamie podniósł głowę i rozejrzał się wkoło.

- Spokojnie synku. Ja też nie lubię klaunów - powiedział Paul, podziwiając upór swojego syna.

- Nie, tato - Jamie potrząsnął głową. - Ja chcę takiego z tortem.

Żaden z tortem nie pojawił się jednak w pobliżu i występ dobiegł końca. Następnie na scenę wyszły niewielkie pudle, zaczęły skakać i robić salta. Jamie nigdy nie wytłumaczył, dlaczego chciał uścisnąć dłoń klauna z tortem, a nie innego. Paul nie pytał. Był wówczas zadowolony, że nie rozumie wszystkiego w swoim tajemniczym i fascynującym dziecku.

Paul otrząsnął się ze wspomnień w momencie, gdy ostatni ze słoni i Wuj Sam na szczydłach, zamykający pochód, przeszli obok niego. Spojrzał na tłum, na dzieci w ciepłych ubraniach, które chroniły przed chłodem marca. Niebo było idealnie szare, jakby słońce przestało świecić. Poczuł powiew zła, przed którym żadne kurtki i czapki nie ochronią tych dzieci. Pomimo zimna był cały spocony od nagromadzonych w piersiach emocji. To było teraz jego życie - niewidoczne słońce, które próbuje przebić się przez ciemność dnia.

*

Wciskanie kitu i robienie wszystkiego na pokaz było ćwiartką sukcesu w pracy policjanta. Tak wynikało z doświadczeń Behra. Papierkowa robota i lizanie tyłków było drugą ćwiartką. Dbanie o siebie, bycie bystrym i zajęтым, siedzenie na tyłku w odpowiedni sposób było resztą, oprócz niewielkiej części zarezerwowanej dla szczęścia. Behr przekonał się o tym wiele razy podczas służby i od tej pory nic się nie zmieniło, przynajmniej jeśli chodzi o pierwszą ćwiartkę.

Nye i Feeley nie próbowali zmierzyć się z nim ani z jego problemami. Wyszli głośno, lecz spokojnie, sugerując, aby wytłumaczył się lub najlepiej zniknął z powierzchni planety na jakiś czas. Przez chwilę cieszyła go ich frustracja, nawet kiedy wynosili jego komputer, ale

prawda była taka, że jego sprawę szlag trafił.

Siedział w salonie bez ruchu przez długi czas. W końcu z otępienia wyrwał go dźwięk budzika dobiegający z sypialni. Podniósł się, wyłączył go i zaczął się ubierać. Pomysły, co robić dalej w tej sytuacji, pojawiały się niezwykle wolno i nie chciały się skryształizować w jego głowie.

Tad Ford został zastrzelony w swoim domu. Po rozmowie z Behrem. A on to przegapił. Mógł starać się obrócić kota ogonem, stwierdzić, że wywarł nacisk i ktoś postanowił wykonać ruch. Ale entuzjazm tego rodzaju był dobry dla świeżo upieczonych, dwudziestoletnich policjantów lub detektywów, którzy dopiero otrzymali licencję. Aby wykonać kolejny krok w sprawie Jamiego, musiał rozwiązać sprawę morderstwa. Nie. Nigdy w życiu. Ford mógł zostać kropnięty z wielu różnych powodów. On i jego przestępstwa mogły nie mieć zupełnie nic wspólnego ze zniknięciem Jamiego Gabriela.

Behr wziął kluczyki i ruszył do samochodu. Nigdy nie był dobry w zaczynaniu od nowa. Problem polegał na tym, że zaprzepaścił dotychczasową pracę, jaką wykonał, a jej wyniki trafił szlag. Przepadły. Czas i wysiłek włożone w tę sprawę były już przeszłością. Teraz musi podjąć decyzję. Jeśli ma nadal zajmować się tą sprawą, to musiał pozbierać poszlaki i zacząć od początku. To, że dobrze wykonany kawał roboty mógł obrócić się w nicość i trzeba go było wykonać ponownie, było bardzo niesprawiedliwe. Jednak sprawiedliwość, podobnie jak czas i wysiłek, istniały jedynie w przeszłości.

Behr skierował się na Tibbs, gdzie odnalazł pierwszy trop. Miał nadzieję, że znajdzie tam inspirację. Nie wiedział, gdzie indziej może się udać.

*

Paul siedział na krawężniku, kilka metrów od swojego samochodu. Skrzyżował ramiona, aby osłonić się przed wiatrem. Nie zasłużył na to, co się stało. Żadna rodzina na to nie zasługiwała. Teraz jego sekret zatruwał mu umysł. Nie chciał tego dziecka. Wierzył, że ten świat nie jest dobrym miejscem dla dzieci, dla żadnej niewinnej istoty. Poza tym miał wątpliwości co do swoich predyspozycji wychowawczych. I jeszcze większe rozterki co do tego, dlaczego w ogóle powinien mieć dziecko. Jego próżność nie sięgała idealistycznych pragnień stworzenia istoty na swoje podobieństwo. W jego naiwnym mniemaniu do tego właśnie sprowadzała się chęć posiadania dzieci. Ale Carol nalegała. Miała wewnętrzną pewność siebie, której jej zazdrościł. „Już czas” - mówiła. Starał się oddalić ten moment, miesiąc po miesiącu. Używając różnych pretekstów, odwlekał decyzję. Przeprowadzka.

Ciągły brak pieniędzy. Podróż, którą łatwiej byłoby odbyć, gdyby Carol nie była w ciąży. Czekał na jakiś znak, który oznajmiłby mu, że powinien mieć dziecko. W końcu, po półtora roku, zdał sobie sprawę, że żadne mistyczne objawienie nie nadejdzie. Rozmawiał o tym ze swoim ojcem.

- W przypadku mężczyzn to nie działa w ten sposób - tłumaczył ojciec. - Jak bardzo to dziecko jest dla ciebie ważne, dowiesz się dopiero później.

- Skąd mam wiedzieć, że mam to zrobić? I kiedy? - zapytał Paul.

Stary Gabriel uśmiechnął się. Zęby żółte od papierosów ledwie pokazały się zza ust, ale oczy błyszczały jak nigdy. W tym momencie poznał odpowiedź, choć jego ojciec nie powiedział ani słowa. *Wiara.*

Już po poczęciu, kiedy Carol wyszła z łazienki szczęśliwa i podniecona, wymachując patyczkiem z linią, której kolor zmienił się na niebieski, Paul nie był do końca pewien, co tak naprawdę czuje. Nawet kiedy doktor potwierdził wynik testu, Carol zaczęła przybierać na wadze i mieć poranne nudności, Paul nadal nie był przekonany, czy postąpili słusznie. Trzy miesiące później poszli na pierwsze badanie. Mały, ciemny pokój. Stół dla pacjentów pokryty papierowym prześcieradłem i wózek pełen sprzętu już były gotowe. Weszła pielęgniarka i przesunęła czujnik po pokrytym żelom brzuchu Carol. Paul obrócił głowę w stronę ekranu. W ciemności, która była jej łonem, dostrzegł malusieńki, szary kształt. Mikroskopijne serce biło spokojnie i miarowo, jak promień światła przecinający ciemność. To było życie. To był Jamie.

Pielęgniarka odłożyła aparat i przytknęła inne urządzenie do brzucha Carol. Emitowało dźwięk, który wypełnił niewielką przestrzeń pokoju badań. Siedząc na krawężniku tyle lat później, Paul nadal słyszał ten dźwięk bijącego serca jego syna, rytmiczny szmer, miarowe uderzenia. W tej jednej chwili wszystkie jego wątpliwości odeszły w zapomnienie.

Behr twierdził, że stało się to w tym miejscu - pomyślał Paul, siedząc na krawężniku na Tibbs. Rozejrzył się w obie strony. Czy był w stanie chodzić od drzwi do drzwi i oceniać tych, którzy otwierali? Jeśli wyglądali podejrzanie, czy był w stanie siłą wejść do środka i przeszukiwać wszystkie szafy, piwnice, strychy i schowki, w których mogły znajdować się wskazówki o losach Jamiego? Dlaczego nie? Wydawało się to jednocześnie możliwe i niemożliwe. Drzwi pierwszego domu na ulicy przypominały mu podły, drwiący uśmiech. Były dla niego niedostępne, podobnie jak wszystkie inne.

Usłyszał odległy dźwięk przejeżdżającego samochodu, trzaśnięcie drzwi i kroki na chodniku. Wielki cień zasłonił mu widok.

- Chyba nie chcesz tu siedzieć zbyt długo, szykuje się ulewa.

Paul spojrział na duże buty, które zatrzymały się przed nim. Dalej ciągnęły się nogi i szeroki tors. Podniósł głowę i ujrzał twarz Behra. Skinął głową i spojrział ponad ramieniem detektywa na ciemne chmury zbierające się na niebie. Przez dłuższą chwilę żaden z mężczyzn się nie odezwał. Wchłaniali widok ulicy i zapach nadchodzącego deszczu, który wypełniał powietrze.

- Dlaczego to robisz? - zapytał Paul po chwili.

- Bo się tego nauczyłem. Krok po kroku, jedna stopa przed drugą. Jak automat - Behr zastanawiał się przez chwilę. - Na początku chciałem odpowiedzi, tak mi się wydaje. Wiedziałem, że gdzieś tam się kryją i że mogę je odnaleźć, jeśli tylko będę pracował wystarczająco ciężko.

Paul zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Teraz rozumiem, że nigdy nie będę wiedział. Nigdy nie odpowiem na wszystkie „dlaczego”. Teraz to rozumiem.

Behr oparł się o samochód Paula i obserwował chmury. Paul wstał. Ciężko było o tym mówić, ale chciał tego.

- Wiesz, to moja wina. To ja zawsze wierzyłem w ciężką pracę. Uważałem, że nie byłoby dla niego dobrze, gdyby w życiu miał zbyt łatwo. To był mój pomysł, żeby zatrudnił się jako gazeciarka - Paul wreszcie powiedział to, w co wierzył, ale czego nie był w stanie ubrać w słowa od chwili, kiedy zniknął Jamie.

Spojrział na Behra. W jego oczach dostrzegł ból i zrozumienie winy, którą odczuwał, być może nawet większej niż jego.

- Nie mogę ci wiele powiedzieć o ojcostwie, mój staż to jedynie siedem lat - Behr odezwał się po chwili milczenia. Jego głos był szorstki jak świeżo wydobyty z ziemi gład. - Jedyne co wiem, to że tworzymy te istoty i wychowujemy. Kochamy je ponad wszystko. Ale one żyją w świecie, który każdego dnia wydziera ich część. Aż w końcu, czasami, nie zostaje nic.

Obraz który stworzyły słowa Behra był zbyt ponury dla Paula.

- Przecież jesteśmy ich ojcami. Mamy je chronić.

Behr wiedział, że Paul ma rację. Skinął głową. Dwóch ojców, którzy stracili synów przez chwilę rozważało swoją klęskę. W końcu Paul przerwał ciszę.

- Przyjechałeś tu w poszukiwaniu śladów? - zapytał, starając się ukryć nadzieję w głosie.

- Od wczoraj wiele się zmieniło - rzucił krótko Behr.

Paul spojrział na niego.

- Chcesz zakończenia sprawy, pocieszenia - ciągnął detektyw, jego głos stał się szorstki. - Ale w takich przypadkach nie możesz na to liczyć. Postanowił dokończyć, być może postąpi okrutnie, ale wierzył, że jest to konieczne. - Nie, jeśli w grę wchodzi morderstwo.

Paul oswajał się już z tą myślą, więc słowa Behra nie zdołały go powstrzymać.

- Czy to właśnie przydarzyło się twojemu synowi? - zapytał.

- Nie.

Z nieba zaczęły spadać wielkie krople zimnego deszczu. Paul postawił kołnierz swojej marynarki. Behr nie zareagował.

- Wiedziałem, co mówię, Frank. Chcę być częścią tego śledztwa. Wynajmę kogoś innego, jeśli będzie trzeba - słowa Paula nie były groźbą. W tej chwili były po prostu prawdą. W tej samej chwili Behr uzmysłowił sobie, że nie chce zostawiać tej sprawy.

- Stawiasz mnie w trudnej sytuacji - powiedział, pocierając podbródek.

Nie wolno mieszać pracodawców w proces badania sprawy - to jeden z dogmatów pracy detektywa. Nie można ich zabierać na niekończące się obserwacje, które mogłyby się im wydać zwyczajnym siedzeniem w miejscu.

Chłodny wiatr dołączył do kropli deszczu, które uderzały o ulice.

- Nie będę miał żadnych oczekiwań, jeżeli właśnie tego się obawiasz, Frank.

Behr spojrzał na Paula i skinął głową, jakby potwierdzał jego słowa. Naprawdę jednak bał się czegoś innego. Zobaczył to w internecie. Detektyw wiedział, że te obrazy i świadomość tego, co mogło stać się z jego synem, zniszczyłyby mężczyznę, który stał naprzeciwko.

- Dlaczego chcesz przez to przechodzić?

- Nie mogę już dać mu mojej miłości. Mogę jedynie poświęcić mu swoją pracę - Paul brzmiał jak pastor. Behr nie wiedział, czy mężczyzna jest religijny, jednak rozumiał ogrom straty, jaką poniósł, i zmiany w życiu, jakie ze sobą przyniosła.

Rozpadało się na dobre, ale to nie deszcz przekonał Behra.

- Nie używaj wody po goleniu. Nie mogę wytrzymać całego dnia w samochodzie z tym zapachem.

- Nie używam.

- To dobrze. Przyjadę po ciebie jutro, kiedy skończysz pracę.

Paul skinął głową i obaj mężczyźni ruszyli do samochodów, aby schronić się przed deszczem.

20

Siedzieli w samochodzie zaparkowanym naprzeciwko Złotej Damy. Behr nie był zadowolony, że musi znowu udać się do klubu, zwłaszcza po tym, co się stało. Do tego miał jeszcze ze sobą cywilę. Jednak coś w nim pękło, coś się zmieniło. Być może jego odporność na okropieństwa, które mogą się przydarzyć dzieciom, wyczerpała się. W każdym razie wiedział już, że nie zamierza zrezygnować z tej sprawy. Nie podda się. Spojrzał na Paula, który spoglądał przez przednią szybę. Behr zastanawiał się, czy powinien mu powiedzieć o swoim spotkaniu z Fordem i o tym, co wydarzyło się od tamtego czasu. *Może powinienem, ale nie zamierzam. Przynajmniej na razie.*

- Posłuchaj, kiedy kogoś przesłuchujemy, tylko ja mówię - wyjaśniał Behr. Paul nieznacznie skinął głową. - Cokolwiek powiem, nawet jeśli nie będzie miało sensu, cokolwiek usłyszysz - zawsze miej twarz pokerzysty.

- Twarz pokerzysty.

- Nie próbuj pomagać. A kiedy powiem, że czas dać spokój, natychmiast wychodzimy.

Behr jeszcze raz spojrzął na klub. Jeśli ktokolwiek w środku przejmował się śmiercią Tada Forda, nie dawali tego po sobie poznać. Na zewnątrz nie wisiała czarna flaga żałobna na jego cześć, jedynie deska, na której wypisano nazwy specjalnych drinków i imiona występujących dziś tancerek.

- Dobra, wejdź do środka i usiądź przy barze. Nie wdawaj się z nikim w rozmowy. Wejdę kilka minut po tobie. Nie znamy się, chyba że powiem inaczej. Rozumiesz?

- Rozumiem.

Paul wysiadł z samochodu i poszedł w kierunku klubu. Behr odprowadzał go wzrokiem. Szedł pewnym krokiem z poczuciem celu, co miało zamaskować jego zdenerwowanie. Detektyw zauważył jego napięcie już w momencie, kiedy go odbierał. Paul był ubrany w starannie dobrane rzeczy: spodnie w kolorze khaki, ciężkie buty, koszula na guziki ukryta pod brązowym swetrem, kurtka. Nie za bardzo elegancko, nie za bardzo niechlujnie. Nie wiedział, co go czeka, więc starał się być gotowy na wszystko. Trzeba

przyznać, że sprawił się całkiem nieźle.

*

Paul oddychał głęboko, idąc w stronę Złotej Damy. Czuł ciężki bas muzyki już w momencie, gdy płacił w kasie za wejście. Wchodząc do ciemnej głównej sali klubu, poczuł się dziwnie, zaczęło mu się kręcić w głowie. W jego polu widzenia pojawiły się fragmenty blad różowego ciała. Ledwie odważył się spojrzeć. Dźwięk muzyki, dym, lustra i stroboskopy zawiodły go do baru. Usiadł i podniósł palec, którego barman nie dostrzegł. Trzymał palec w górze przez jakiś czas, potem poczuł się jak amator i opuścił go. Nie bywał w takich miejscach. Nie to, że nie mógł, jak wielu żonatych kolegów z biura. Carol nie postępowała w taki sposób. Zawsze mu ufała. Kiedy byli młodzi, ufała mu za bardzo. Nic, co mógł wymyślić w odniesieniu do innych kobiet, nie wywoływało u niej zazdrości. W tym czasie nie brała go jednak na poważnie. Byli kumplami. Później, kiedy udało mu się posunąć sprawy dużo dalej niż przyjaźń, zaczęła go szanować, ale nigdy nie martwiła się o jego nocne życie.

Barman złożył mu wizytę dokładnie wtedy, gdy Paul bił się ze sobą, czy spojrzeć na młodą tancerkę na scenie, czy skierować wzrok gdzie indziej.

- Co podać? - zapytał.

Paul nie był pewien. Nie wiedział, czy powinien pić, żeby wmieszać się w tłum, czy zrezygnować, aby pozostać czujnym.

- Szkocka z colą - zdecydował, że będzie po prostu popijał.

- Zwykła czy premium? Whitehall czy Cutty?

- Cutty.

Paul dostał drinka i wziął duży łyk. Większy niż planował. Whisky przyjemnie drapała gardło i uderzała do głowy. Obserwował jak barman nalewa, ale wątpił w to, że w jego szklance naprawdę jest Cutty. Przypomniał sobie, że po pracy nie jadł obiadu. Wrócił do domu i szybko się przebrał.

- Co chcesz na obiad?

- Nie wiem, a ty?

Typ dialogu, który stał się ich zwyczajem. Namiastka prawdziwej rozmowy. Carol była nieco zdziwiona, gdy oznajmił jej, że wychodzi, ale nie powiedziała ani słowa, aby go zatrzymać.

Paul podniósł drinka i obrócił się na stołku. Podjął decyzję i był gotów wgapiać się w

striptizerki jak pozostali klienci. Zdążył akurat na czas, żeby zobaczyć, jak mniej więcej dwudziestoletnia tancerka zdejmuje skórzany biustonosz. Poczul ukłucie w klatce piersiowej, widząc jej półnagie, młode ciało. Dostrzegł także Behra wchodzącego do klubu. Szedł luźnym, powolnym krokiem, który pokazywał, kto tu rządzi i jednocześnie nie przyciągał uwagi. Detektyw usiadł przy stoliku tuż przy scenie. Rzucił tancerce nieco pieniędzy pod nogi i patrzył na nią, kiwając głową przy każdym jej ruchu.

Kelnerka szła w stronę stolika Behra, ale w pewnym momencie coś sprawiło, że próbowała go ominąć. Detektyw pstryknął palcami w jej kierunku, jego ręka wystrzeliła, wyciągnęła się na nieprawdopodobną odległość i złapała kelnerkę za nadgarstek. Przez chwilę próbowała się wyrwać z jego uchwytu, potem osłabła i podeszła bliżej.

- Przyszedłeś tu w sprawie Tada. Nie mogę z nikim o nim rozmawiać - powiedziała nerwowym głosem.

Rozpoznał kelnerkę, która obsługiwała go ubiegłej nocy. Rozglądała się niespokojnie po klubie.

- Ooo? Kto tak powiedział?

- Właściciele. Menadżer.

- A, Rudy! - rzucił Behr.

Kobieta wyglądała na zdziwioną faktem, że zna to imię.

- Tad nie był ci winien żadnych pieniędzy - dodała oskarżycielskim tonem.

- Nie.

- Kim jesteś?

- A jak myślisz?

Piosenka dobiegła końca, tancerka zbierała napiwki ze sceny. Uśmiechnęła się do niego, biorąc pieniądze, które jej rzucił. Behr odwzajemnił uśmiech, kiedy schodziła ze sceny.

- Jesteś z policji? - zapytała kelnerka.

Detektyw wzruszył ramionami, po czym nieznacznie uniósł swojego drinka w stronę Paula siedzącego przy barze. Paul odpowiedział tym samym. Cały czas obserwował kelnerkę oraz ich rozmowę. Był najgorszym tajniakiem wszech czasów.

- Wyświadczyć mi przysługę i wynoś się z mojej sekcji - powiedziała kelnerka i szybko odeszła.

Nie poruszył się. Paul zadał nieme pytanie, czy ma podejść do stolika. Detektyw przecząco pokręcił głową. Niedługo potem tancerka, która właśnie zeszła ze sceny, pojawiła się przy stoliku Behra. Miała na sobie prześwitującą, obcisłą, jasnofioletową sukienkę, która ukazywała koronkową bieliznę. Była jasną blondynką i wyglądała jeszcze młodziej, stojąc

obok niego.

- Może taniec na stole, twardzielu?

- Nie, kochanie.

- Postawisz mi drinka?

Behr nogą podsunął jej krzesło. Usiadła.

- Nie ma sprawy, ale nie wydaje mi się, aby obsługa była tu dobra - powiedział.

Nie wiedziała, o co mu chodzi i rozejrzała się w poszukiwaniu kelnerki. W pobliżu nie było jednak żadnej, więc pomachała barmanowi.

- Masz coś przeciwko? - powiedziała, wyciągając z malutkiej torebki paczkę papierosów Capris.

- Nie. Tad Ford... Opowiedz mi o nim.

Na jej twarzy pojawił się niepokój, ale nie strach. Nie wstała. Powiedziano jej to samo co kelnerce, ale będąc dziesięć lat od niej młodszą, czuła się pewniej co do swojej pozycji w klubie. Założyła nogę na nogę i obciągnęła koronkę sukienki, aby zakryć fioletowo-żółtego siniaka na udzie.

- Wiem, że nie powinnaś - powiedział Behr i przesunął w jej kierunku dwadzieścia dolarów. Złapała pieniądze i schowała do torebki razem z papierosami.

- Co chcesz wiedzieć? Facet był ofiarą, która przegrała.

- Racja - zgodził się Behr. - Z kim spędzał czas? Jacyś przyjaciele, ktokolwiek?

- Jestem tu dopiero od dwóch miesięcy. Nie wiem, misiu.

- Wiesz cokolwiek?

- Nie bardzo - odpowiedziała. Nie było jej wcale przykro z powodu rozczarowania, jakiego doznał. - Ale wiesz, kto może coś o nim wiedzieć?

- Kto?

- Brandi.

- Tancerka?

- Tak.

- Prawdziwe imię?

- Michelle Ginelle.

- Możesz mnie wprowadzić do przebieralni?

Zaśmiała się.

- To jest pytanie za sześćdziesiąt cztery dolary, jak powiedziałby mój tata. Słyszałam to pytanie więcej niż kilka razy, odkąd tu jestem.

Behr poczekał aż dziewczyna się uspokoi.

- W każdym razie dzisiaj jej nie ma.

- Nie? A gdzie jest?

- Przez ostatnie kilka tygodni nie pojawiała się zbyt często. Ale Tad ślinił się na jej widok. Łaził za nią jak pies.

- Naprawdę? Czy cokolwiek pomiędzy nimi zaszło? - dopytywał Behr.

Jeśli śmierć Tada nią wstrząsnęła, to Michelle Ginelle mogła okazać się cennym śladem.

- No co ty. Michelle mawia „możesz poślubić więcej w minutę, niż zarobisz przez całe życie”. Nauczyła mnie tego. Nie uważam, żeby Tad się kwalifikował, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- No tak - podsumował Behr akurat w momencie, gdy do ich stolika podszedł barman z niewielką butelką hiszpańskiego szampana. Postawił przed tancerką kieliszek wykonany z imitacji kryształu i zaczął otwierać butelkę.

- Sześćdziesiąt dolarów - powiedział. - Chce pan otworzyć rachunek?

Behr przytrzymał dłoń barmana na korku.

- Lepiej tego nie otwieraj, synu!

Barman rzucił tancerce wściekłe spojrzenie, pokręcił głową i odszedł.

- Co jest? - zapytała tancerka z wyrzutem.

- Gdzie znajdę Michelle? - zapytał Behr.

Tancerka nie odpowiedziała, starała się być tak twarda i mało pomocna jak to tylko możliwe, ale brakowało jej w tym doświadczenia.

- Mów! - warknął Behr.

Przez chwilę wyglądała jak przestraszone dziecko, jednak szybko zapanowała nad sobą.

- Ma niewielki dom niedaleko County Line. To wszystko, co wiem - chciała, aby ta rozmowa wreszcie się zakończyła.

Behr wstał i ruszył w stronę wyjścia. Po chwili zatrzymał się.

- Rozmawiałś ze mną. Dlaczego nie boisz się Rudy'ego? - zapytał.

- A dlaczego miałabym się bać? - odpowiedziała ze zdziwieniem. Rozłożyła ręce w niemym znaku zapytania. Całe jej młode, dziewiętnastoletnie ciało emanowało bezczelną pewnością siebie. *No właśnie, dlaczego miałaby się bać?*

Behr machnął ręką w kierunku Paula i wyszedł z klubu.

W drodze na County Line, Behr wybrał numer telefonu i zadzwonił.

- Cześć Bobby - zaczął. - Możesz mi znaleźć adres Michelle Ginelle? Okolice County Line, tak mi się przynajmniej wydaje.

Behr czekał, spojrzał na Paula.

- Facet robi w tej samej branży. Większość nocy spędza w domu przy komputerze. Pomagamy sobie nawzajem.

- Super. Wielkie dzięki, Bobby - tym razem słowa Behra skierowane były do słuchawki.

Skręcił i jechali dalej. Paul milczał. Mimo że chciał zadawać pytania, oparł się pokusie. Behr to doceniał. Chciał pozostać skupiony na własnych myślach, ale postanowił zdradzić parę szczegółów w charakterze nagrody.

- Jedziemy porozmawiać z dziewczyną, która tańczy w klubie. Znała faceta, który był tam ochroniarzem. Mógł być w to zamieszany.

- Był ochroniarzem?

- No właśnie był... - Behr uciął rozmowę.

*

Już zaczynam puchnąć. Och, Michelle - powiedziała sama do siebie i odwróciła się od lustra. Po obejrzeniu swojego ciała uważnie przyjrzała się oczom. Złe wieści. Nie wyglądała zbyt świeżo. Dwadzieścia cztery lata to nie to samo co dwadzieścia jeden. Widać było, co będzie później. Przez cały dzień była chora, tak naprawdę to przez cały tydzień. Zmęczenie sprawiało, że zbierało ją na wymioty. Wiedziała, co to oznacza. Pieprzony Rudy. Powiedział, że wyjmie go na czas.

Tak czy owak, to była jej wina. Rudy miał fajne ciało i fajny samochód, ale nie był facetem, którego można brać na poważnie. Nie był dżentelmenem. Tak to właśnie jest, gdy łamie się swoje własne zasady - nie pieprz się dla zabawy. Baw się z nimi, flirtuj, ale wyznacz wyraźną granicę, jeśli pracują w tej samej branży.

Siedziała przy kuchennym stole i bawiła się paczką papierosów Merits. Strasznie chciało jej się palić. Do tego miała ochotę wyjąć z lodówki jedną z trzech srebrnych puszek piwa Coors Light. Powstrzymała się. Miała zamiar wziąć pigułkę „dzień po” i pozbyć się problemu. Wydawało się to mniej inwazyjne niż zabieg. Tego ranka decyzja, którą miała podjąć, zatruwała jej myśli, wypełniała cały pokój niczym złowieszcza postać. Dopiero kilka godzin później była w stanie wyjść z łóżka i stawić jej czoła. W końcu zdecydowała się i

wiedziała, że podjęła słuszną decyzję. Jedyną z możliwych. Uważała jednak, że picie lub palenie nie byłoby w porządku, przynajmniej do przyszłego tygodnia, kiedy to wszystko się skończy. Istota rozwinięta do jakiegokolwiek stopnia nie zasługiwała, by cierpieć z powodu dymu w jej płucach czy alkoholu w jej żyłach.

Niech spędzi swój czas w spokoju - pomyślała. Dotknęła dłonią włosów, doceniając ich miękkość. Zadzwoił telefon. Odruch nakazał jej odebrać natychmiast, ale zwalczyła go. Dzwonił ktoś z klubu lub jej matka. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Tak naprawdę nie rozmawiała z matką od roku, kiedy przyznała się do tego, że jest striptizerką, a nie jedynie kelnerką w klubie, jak twierdziła do tej pory. Matka uwielbiała prawieć kazania, choć nie wiadomo było dlaczego. Michelle uważała, że matka boi się życia i z tego powodu koncentruje się na tym, czego nie powinno się robić, a nie na tym, co można robić. Michelle nie potrzebowała teraz tej negatywnej energii.

Nie chciała też rozmawiać z Rudy'm lub dziewczynami z klubu. Nie była w nastroju do pracy czy choćby do podjęcia decyzji, kiedy ma wypaść jej następna zmiana. Gdy dowiedziała się, co przydarzyło się Tadowi, zaczęła zastanawiać się nad znalezieniem nowego klubu. Wokół Złotej Damy było teraz pełno złych wibracji. Przez ciało przebiegł dreszcz, czuła się, jakby wokół siebie miała zawinięty zimny, mokry ręcznik. Miała teraz tyle na głowie.

Telefon przestał dzwonić i Michelle przez chwilę zanurzyła się w samotności. Przerwało ją intensywne pukanie do drzwi. Za drzwiami stało dwóch dużych kolesiów. Większy z nich zapytał, czy Michelle Ginelle to ona. *Gliny* - pomyślała. Dwóch gliniarzy było już u niej koło południa. Zadali jej kilka pytań. Czy Tad walczył z kimś w klubie? Czy miał wrogów? Takie tam.

Otworzyła szerzej drzwi.

- Chcemy z panią porozmawiać o Tadz Fordzie - powiedział jeden z nich.

*

Tancerka wpuściła ich do środka. Podążyli za nią przez krótki przedpokój do salonu. Nie można było nie zauważyć gracji, z jaką się poruszała. W miejskim domku było chłodno, termostat był przykręcony, żeby zaoszczędzić pieniądze. Michelle miała na sobie luźne spodnie od dresu i starą koszulkę, przez którą prześwitywały sutki. Włosy spięte w koński ogon, brak makijażu i ciemne półkola pod oczami świadczyły o zmęczeniu, ale nie mogły zatrzeć wrażenia, że była olśniewająco piękną kobietą. Miała pełne usta i piękne oczy,

ubranie skrywało zmysłowe, kobiece kształty. Posiadała ten rodzaj wewnętrznej energii, którą Paul dostrzegał wielokrotnie u pięknych kobiet - przypominała przeciętą na pół świeżą pomarańczę, leżącą na dłoni świata.

Carol też posiadała tę cechę. Dawniej.

Dziewczyna wskazała im kanapę, sama zaś usiadła w skórzanym fotelu. Położyła stopy na podnóżku. Ogromny telewizor po drugiej stronie pokoju ustawiony był na kanał informacyjny. Rzucił niebieskie, migoczące światło na jej twarz.

Dziewczyna miała największą kolekcję płyt, jaką Paul w życiu widział. Wszystkie ustawione były w rzędach obok telewizora. Gabriel rozejrzał się po pokoju. Nigdy nie był w takim domu. Linia szeregowców ciągnęła się przez wiele kilometrów. Zbudowane były z szarych, pionowych desek z czarnymi, spadzistymi dachami. Każdy dom wyglądał tak samo. Gdyby nie jasno oświetlone ulice i dobrze zorganizowany system numeracji, szukaliby tego domu przez wiele godzin.

Paul zastanawiał się kiedyś, jacy ludzie mieszkają w miejscach takich jak to. Urzędnicy, programiści, menadżerowie - tak mu się przynajmniej wydawało. Teraz już wiedział, że tancerki egzotyczne także. Domy były duże, miały dwie lub trzy sypialnie, ale sprawiały wrażenie, jakby mieszkali w nich jedynie ludzie samotni. Na skrawkach trawy przed domami brak było rowerów, nie było zabawek, piłek do kosza, porozrzucanych samochodzików. Niczego, co wskazywałoby na to, że mieszkają tu rodziny. Może i on w przyszłości wyląduje w miejscu takim jak to. Załamany, rozwiedziony agent ubezpieczeniowy.

Dziewczyna była młoda, miała nieco ponad dwadzieścia lat. Siedziała naprzeciwko nich i bawiła się paczką papierosów.

- Staram się nie palić - zaczęła wyjaśniać, gdy zauważyła, że mężczyźni przyglądają się jej z uwagą.

Jej głos był niski i zmysłowy. Nie próbowała być uwodzicielska, ale wywarła na Paulu ogromne wrażenie. Cieszył się, że był z nim Behr. Gdyby był sam, z pewnością zacząłby się jąkać.

- Chcecie więc usłyszeć o Tadzcie? Nie wiem, kto go zamordował.

Paul poruszył się niespokojnie, słysząc o morderstwie, ale postarał się zachować spokój.

- W porządku - odparł Behr. - Jaka była twoja reakcja, kiedy się o tym dowiedziałaś?

- Byłam przerażona. Kompletnie. Nigdy nie znałam nikogo, kto zginął w ten sposób. Ale cóż mogę na to poradzić? Nie myślę o tym zbyt wiele. Mam własne problemy, z którymi

muszę się teraz zmierzyć.

- Rozumiem - Behr skinął głową. Być może naprawdę rozumiał. Paul nie wiedział, jak wiele jego partner potrafi wyczytać z ludzi. - Jednak Tad był w tobie zakochany.

Odruchowo wyjęła papierosa, po chwili zdała sobie z tego sprawę i schowała go z powrotem do paczki.

- Może tak. Bez wzajemności.

- Nie był w twoim typie?

- Dokładnie - zaczęła się śmiać. Potem opanowała się. - Słuchajcie, nie chcę mówić źle o zmarłych, ale kiedy jest się tancerką, człowiek szybko zaczyna rozumieć, że nie należy umawiać się z ludźmi z branży - ostatnią cześć wypowiedziała z wyraźną goryczą w głosie. Jego, hmm, zainteresowanie po jakimś czasie stało się dla mnie męczące. W każdym razie to wszystko, co mam do powiedzenia. Dokładnie to samo powiedziałam policjantom, którzy byli tu już wcześniej.

- Nie jesteśmy z policji - powiedział Behr.

Paul zobaczył błysk wściekłości i poczucia zdrady w jej oczach.

- Nie mówiliśmy, że jesteśmy...

- Tak, ale...

- Pracujemy prywatnie. Zostaliśmy wynajęci przez rodzinę Tada Forda - powiedział jej Behr.

Paul patrzył, jak kobieta próbuje sobie poradzić z nową sytuacją.

- Jego rodzinę?

- Powiedzmy, że są dość znani - Behr kłamał dalej. Jego słowa zdawały się odbijać od białych ścian. - Prowadzą spory rodzinny interes, o którym mogłaś słyszeć. W Detroit - poczekał, aż kobieta złoży uzyskane informacje w jedną całość.

Detroit, Ford, samochody... Dziewczyna nagle zaskoczyła, jej wyraz twarzy tak jasno wyrażał myśl, że Paul mógłby jej dotknąć, gdyby tylko chciał.

- Tad nigdy mi nie mówił, że był... - jej słowa urwały się, w głosie słychać było głębokie rozczarowanie.

- Jezu, myślisz, że wspomniałby o tym? - Behr skierował swoje pytanie do Paula.

Ten wzruszył ramionami i odpowiedział.

- Raczej nie. Już taki był z niego facet.

- Chyba tak - powiedziała dziewczyna. Wyglądało na to, że zaraz zwymiotuje.

- Pamiętasz może jakieś szczegóły dotyczące Tada? Czym się zajmował, zanim rozpoczął pracę w klubie? Jacyś przyjaciele czy współpracownicy, których z nim widziałas?

Paul podziwiał sposób, w jaki Behr prowadził rozmowę. Nie był zbyt przyjacielski, nie był zbyt szorstki. Przypominał raczej przedmiot, którego nie da się ruszyć, dopóki nie uzyska potrzebnych mu informacji. Głos dziewczyny dochodził teraz jakby z daleka. Jej problemy zwiększyły się i zaczęły wypełniać pokój. Paul spodziewał się, że Behr wspomni jej zaraz o tym, jak wdzięczna za pomoc będzie rodzina Tada, że być może zapłaci jej za zdobyte informacje. On tak właśnie by postąpił. Behr milczał. Paul zanotował w głowie, aby zapytać dlaczego. Po chwili już wiedział dlaczego. W dziewczynie nastąpiła jakaś zmiana. Nowe informacje, jakie uzyskała o Tadzcie, sprawiły, że chciała mówić.

- Jakiś czas temu Tad był klientem w klubie. Tak się poznaliśmy. Przychodził regularnie. Byłam jego ulubienicą. Nie wydawał pieniędzy na żadną inną dziewczynę - uśmiechnęła się lekko.

Paul poczuł, jakby w jego klatkę piersiową wbijał się nóż. Wyobrażał sobie, jak bezwolni stawali się mężczyźni w klubie w jej obecności. Był świadomy tego, że nieżyjący ochroniarz zmienił się z przedmiotu pogardy w obiekt pożądania, gdy tylko dziewczyna dowiedziała się, że pochodzi z bogatej rodziny. Jej uśmiech nadal go przewiercał.

- Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to rzeczywiście wydawał wtedy całkiem sporo. Kiedy był jeszcze klientem, przychodził z takim jednym facetem, ale w miarę upływu czasu zdarzało się to coraz rzadziej. A kiedy Tad zaczął pracować w klubie, przestałam widywać jego kumpla... - zamyśliła się.

Paul przyłapał się na tym, że coraz bardziej pochyla się do przodu na skórzanej kanapie. Poprawił się i starał się przybrać bardziej nonszalancką pozę.

- Co to był za facet? - zapytał Behr.

- Niski, chudy gość. Wyglądał na silnego. Nazywał się Rooster.

- Rooster.

- To była najwyraźniej jego ksywka.

- Aha.

- Seksowny na swój sposób, ale dziwaczny. Jak to się mówi...? - przez chwilę szukała odpowiedniego słowa, w końcu poddała się i kontynuowała. - Był trochę podobny do Axla, tego wokalisty z Guns N'Roses, ale miał krótsze włosy. Spędzał dużo czasu na siłowni. Zawsze opuszczał klub i udawał się na nocne treningi. To był jego rytuał, niemal religia. Według mnie on uciekał na siłownię, bo nie czuł się pewnie, siedząc i rozmawiając z dziewczynami.

Behr chłonał informacje, notował w głowie, aby potem poprosić Cottrella i inne źródła o pomoc w odnalezieniu tego gościa. Dziewczyna mówiła dalej.

- Zawsze wiedziałam, że Tad jest we mnie zakochany. Był nieśmiały i gapował w mojej obecności, ale myślałam, że jest taki zawsze, dopiero później zdałam sobie sprawę, jak bardzo zmienia się przy mnie. Potem zaczął pracować w Damie i to go zdyskwalifikowało.

- Wiesz, czym zajmował się wcześniej? - zapytał Behr głosem tak miękkim, że Paul nie podejrzewał nawet, że detektyw może go posiadać.

- Mówił, że był kierowcą.

- Kierowcą. Ciężarówek czy szoferem?

Wzruszyła ramionami, jej piersi podskoczyły pod koszulką.

- Po prostu jakimś kierowcą. Długie trasy. Jego lewe ramię było opalone - zademonstrowała ramię wystawione za szybę po stronie kierowcy. - Próbował mi zaimponować, obiecując podróże. Przynajmniej zdawało mi się, że stara się wywrzeć dobre wrażenie.

Mężczyźni obserwowali przez chwilę, jak dziewczyna rozmyśla o zmarłym.

- Gdzie chciał cię zabrać?

- Znał Meksyk. Mówił, że mógłby mnie zabrać na którąś z tych oszalałymi plaż, gdzie nie ma nikogo. Absolutna prywatność. Albo na wieś, gdzie można było wynająć miejscowego, aby ugotował najlepszego kurczaka, jakiego w życiu jadłeś, za jakieś siedemdziesiąt centów. Ale wszystkie dziewczyny wiedzą, że w podróże wyrusza się jedynie z dwoma typami facetów. Takimi, którzy wręczają ci bilet w pierwszej klasie, albo takimi, którzy mają swoje własne samoloty.

- Racja - powiedział Behr, nie osądzając jej.

- Ma sens - dodał Paul. Fakt, że przez cały czas nic nie mówił, mógł się wydać podejrzany.

- Och, zaczekajcie chwilę! - Michelle poderwała się z fotela. Wstała i szybko opuściła pokój.

Słyszeli krzątanie w kuchni. Szafka otworzyła się, a chwilę później zamknęła. Paul zerknął na Behra. Detektyw nie odwzajemnił spojrzenia pogrążony w zamyśleniu. Po chwili wróciła i wyciągnęła rękę w kierunku Behra. Podała mu niewielki, drewniany breloczek do kluczy. Miał namalowane litery oraz słońce zachodzące za palmami.

- Dał mi go.

- Ciudad del Sol - przeczytał Behr.

- Tak.

- To tam chciał cię zabrać?

- Nie. Gdzie indziej. Jalisco albo jakoś tak.

Przez jej ciało przebiegł dreszcz, objęła się rękami.

- Zatrzymajcie ten brelok. Przypomina mi Tada, a ja nie chcę pamiętać, co mu się przydarzyło. Przyprawia mnie to o gęsię skórkę.

- Dobrze.

- Ostatnio ciągle mówił o tym, że musi się oddalić od Roostera, co było dziwne, bo facet już tu nawet nie przychodził. Myślałam, że jest może zazdrosny o to, że to Rooster przyciągał uwagę wszystkich tancerek, ale Tad powiedział po prostu, że gość jest złym człowiekiem.

- Doprawdy? - dopytywał Behr. - Coś jeszcze?

Przygryzła dolną wargę, która zbieleła, i zaczęła się zastanawiać. Po chwili przestała i kolor jej ust wrócił do normy.

- Nie, chyba nie.

Wstali i ruszyli ku drzwiom.

- Groźny! - dodała nagle Michelle. - To słowo, którego szukałam. Ten facet, Rooster, wyglądał groźnie.

21

Po północy gośćmi siłowni Sebo's byli niemal wyłącznie pederaci, kulturyści lub psychole. Jeśli ktokolwiek miałby problem z przyporządkowaniem Roostera do którejś z tych grup, ten z przyjemnością pomógłby mu w tym zadaniu. O dowolnej porze.

Siłownię wypełniał szum lamp fluorescencyjnych. Żelazne sztangi i hantle śpiewały w harmonii z pełnymi wysiłku sapnięciami. W powietrzu unosił się zapach środka dezynfekującego i sterydów, który ulatniał się z męskiej szatni, gdzie mięśniacy porzucali zużyte, puste fiolki pomiędzy wyciskaniem pryszczki wielkości jajek, a wstrzykiwaniem następnej dawki chemicznego gówna. Niestety, to gówno było jedyną opcją dla tych, którzy chcieli trenować na poważnie. Nie dla tępych mięczaków z mięśniami na pokaz, ale dla tych, którzy poszukiwali prawdziwej mocy. Rooster początkowo próbował ćwiczyć rankami w nadziei, że uda mu się uniknąć towarzystwa degeneratów. Nauczył się pewnej metody. Najważniejsze zadanie dnia wykonaj jako pierwsze, w ten sposób będziesz mógł się na nim skupić, wykonaj je najlepiej jak potrafisz i unikniesz ryzyka, że odłożysz je na później lub nie wykonasz go wcale.

Niestety, sam nie potrafił się do tej metody dostosować. W jego przypadku ten złoty środek nie działał. Światło słoneczne wpływało na niego źle. Nie potrafił wygenerować odpowiedniej siły potrzebnej do ćwiczeń przed zmierzchem, bez względu na to, ile herbatek energetycznych wypił wcześniej. Dla Roostera jedyną porą, w której mógł odnaleźć tę oczyszczającą, przyspieszającą bicie serca moc, była późna noc. Dzięki temu nigdy nie opuszczał treningów. Zwłaszcza teraz, kiedy musiał być gotowy. Leżał na ławce ze sztangami. Postanowił sobie dzisiaj pofolgować. Większość facetów na siłowni wyciskała ciężary na ławeczce podczas każdego treningu, pomijając ważniejsze części ciała, takie jak nogi i brzuch, dla ostentacyjnej rozbudowy klatki piersiowej, którą zapewniało to ćwiczenie. Rooster wiedział, że na dłuższą metę wiosłowanie przyniosłoby mu dużo więcej korzyści. Ale o pierwszej w nocy, kilka dni po sprawie z Tadem, nic nie koło umysłu tak jak wyciskanie na ławce. Rooster chwycił drążek załadowany ciężarami i opuścił go na umięśnioną klatkę. Nigdy

nie zapomni oglupiałego spojrzenia Tada, gdy nagle znalazł się w jego salonie. Rooster wykonywał powtórzenia i przeżywał ponownie ten moment.

Pierwszy strzał trafił tuż poniżej klatki piersiowej i wstrząsnął całym ciałem Tada. Rooster wystrzelił kolejne pięć naboju w tors, zadając sobie trud, aby pociski ułożone były mniej więcej w jednej linii. Grubas podskakiwał przy każdym strzale, aż w końcu upadł twarzą w przód. Jego białe bokserki były całe we krwi. Rooster zastanawiał się, czy nie wpakować ostatniej kuli w czaszkę, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Do tego czasu oczy Tada i tak zamieniły się już w studnię. Rooster pamiętał, że powinien zachować ostatni nabój, bez potrzeby przeładowywania broni, na wypadek spotkania z jakimś ciekawskim frajerem, kiedy będzie opuszczał budynek. Nikogo nie spotkał, nie widział żywej duszy i teraz żałował, że to zrobił. Pieprzyć to.

Jego klatka piersiowa płonęła. Ręce zaczynały się trząść. Odłożył sztangę na uchwyt, przejechał dłonią po włosach, które ostatnio ściał na krótko, i zaczął spokojnie oddychać. Usiadł i spojrzał na drugi koniec siłowni. Obserwował wejście.

*

Behr i Gabriel zaparkowali przed dużym budynkiem wykonanym z blachy falistej i pustaków, który zajmował całą przecznicę. Znajdowało się w nim kilka firm różnego rodzaju, między innymi magazyn i myjnia samochodowa.

- Kiedy powiedziała, że facet jest typem nocnego marka, jeśli chodzi o treningi, coś zaświtało mi w głowie - oznajmił Behr. Każde jego słowo wychodziło z ust wraz z niewielką chmurką pary w zimnym, nocnym powietrzu. - Jest w mieście tylko kilka miejsc otwartych przez całą noc - kontynuował. Weszli do budynku, zaczęli wdrapywać się po schodach, Behr pierwszy, Paul tuż za nim. - A to miejsce jest dość wyjątkowe.

Otworzył drzwi i usunął się z drogi, pozwalając Paulowi po raz pierwszy spojrzeć na Sebo's.

- Jezu - wyszeptał Paul.

Czuł się jak wysoka rangą istota pozaziemska, która właśnie odkrywa dziwny, dziki ziemski zwyczaj. Umieśnione ciała ledwie zakryte strojami, poruszające się bez przerwy na fioletowym sprzęcie do ćwiczeń pod jasnym oświetleniem. Intensywne warknięcia i posapywania, którym towarzyszył brzęk metalu. Takich dźwięków można było spodziewać się po walce wściekłych psów, gdyby ktoś chciał ją rozegrać w kuźni. Powietrze było zawiesiste i nieprzyjemne, wypełnione odurzającym zapachem chemii. Wilgotność na tyle

duża, że można by hodować paprocie.

Oczy Paula dostosowały się do światła i zauważył, że miejsce było po prostu siłownią, pełną mężczyzn oddających się ćwiczeniom, które miały zwiększyć ich siłę lub wytrzymałość. Poszli dalej, po czarnej, gumowej podłodze do biurka, za którym stał niski, umięśniony mężczyzna z tatuażem na szyi. Obsługiwał kilka mikserów, które pracowały na najwyższych obrotach. Mieszał różowe i brązowe odżywki proteinowe. Inny mięśniak, opalony na brąz, w stroju do ćwiczeń, czekał na swoją porcję napoju.

- Karty członkowskie? - powiedział głośno umięśniony facet, zdradzając swój irlandzki akcent. Próbował przekrzyczeć pracujące miksery.

- Nie jesteśmy członkami - odpowiedział Behr.

- Wejście na jednorazowy trening kosztuje sześć dolarów - tłumaczył mężczyzna za biurkiem, tym razem ciszej, bo wyłączył już jeden mikser i przelewał teraz napój do szklanki.

- Nie przyszliśmy tu ćwiczyć.

- Kurwa, to nie pieprzona łaźnia! - gość za biurkiem zaczął podnosić głos!

- W miarę podobna - odwarknął Behr.

Mięśniak wyłączył kolejny mikser i za biurkiem zapanowała cisza.

- Czego w takim razie chcecie, cipy? - skrzyżował ramiona, starając się naprężyć swoje bicepsy, które i tak były już napięte niemal do granic możliwości. Jednak w porównaniu z detektywem facet wyglądał na pokurcza. Paul zastanawiał się, czy w pięściach Behra drzemie prawdziwa siła, czy jest tylko gigantem polegającym na swej posturze.

- My, cipy - Behr pochylił się w stronę mężczyzny - chcemy wiedzieć, czy macie tu kutasa, który ma ksywkę Rooster.

- Jesteście z policji? - mężczyzna spuścił nieco z tonu i zaczął pocierać swój tatuaż, który przedstawiał pająka rozpostartego na sieci. Tatuaż był cały czarny, kiepsko wykonany. Na łokciu mężczyzny znajdował się identyczny.

- Chcesz policji? Bo właśnie tam zamierzamy iść, jeśli teraz się nie skupisz. Rooster. Z tego, co wiem, ćwiczy nocami - powiedział Behr tonem nieznoszącym sprzeciwu. Położył dłonie na blacie biurka. Kilka jego palców było krzywych, nosiły ślady wcześniejszych bójek, kostki wystawały pod skórą, wielkie jak żołądź. Na ich widok mężczyzna zza biurka nieco się skulił. Skończył nalewać napój i podał go opalonemu gościowi, który szybko się oddalił.

- Zazwyczaj nie pracuję nocami. Znać jego imię i nazwisko? - mięśniak pocierał swój tatuaż, jakby w nadziei, że zejdzie.

Behr kiwnął głową z zadowoleniem, widząc nowe nastawienie faceta i odsunął się nieco od biurka.

- Nie znamy. Jest dość niski. Rude włosy, raczej długie. Umięśniony.

- Nie kojarzę. Możecie sprawdzić karty członków. Ale zawierają tylko nazwiska i adresy. W przyszłym miesiącu mamy zacząć wyrabiać karty ze zdjęciami, ale...

- W porządku. Możemy się rozejrzeć?

- Jasne.

Mężczyzna kiwnął ręką w kierunku siłowni. Cieszył się, że pozbył się nieoczekiwanych gości.

*

- Nie był zbyt miły - powiedział Paul, gdy wchodzili na siłownię.

- W moim fachu trafiasz na wszystkie rodzaje ludzi. Tacy, którzy mają akurat zły dzień, z największą chęcią się nim z tobą podzielą - podsumował Behr.

Zatrzymali się w pobliżu sterty sztang i przez chwilę rozglądali się po siłowni. Nikt nie pasował do opisu, który im podano. W końcu ich oczy spoczęły na kimś znajomym. To nie mógł być zbieg okoliczności.

- Hej, przecież to... - zaczął Behr.

Wskazywał na mężczyznę z brodą, ubranego w luźne spodenki Umbro, z ochraniaczem na jednej nodze. Ćwiczył mięśnie nóg.

- Bill Finnegan! - zauważył Paul.

Trener piłki nożnej ze szkoły Jamiego. Behr szybko ruszył w kierunku mężczyzny, Paul był tuż za nim. Przeciskali się pomiędzy sprzętem i ćwiczącymi. W pewnym momencie Finnegan ich dojrzał. Natychmiast poderwał się z maszyny i rzucił się do drzwi z napisem „Wyjście” na drugim końcu sali.

Ruszyli za nim, najpierw szybkim marszem. Kiedy Finnegan dotarł do drzwi i zniknął na klatce schodowej, zaczęli biec. Paul uważał, że jest w niezłej formie, przecież biegał przez prawie dwadzieścia lat. Tym większe było jego zdziwienie, gdy zobaczył, jak Behr go wyprzedza i dociera do drzwi jako pierwszy. Detektyw wpadł na schody, które zakręcały co sześć stopni. Paul pokonywał je po trzy naraz, mając nadzieję, że nie skręci kostki. Dotarł na parter, akurat by zobaczyć, jak Behr uderza Finnegana otwartą dłonią w tył szyi. Trener grzmotnął w drzwi prowadzące na ulicę. Po klatce rozeszło się echo, gdy ramię i łokieć mężczyzny rąbnęły o masywny metal.

- Au! - jęknął Finnegan, ale zdołał utrzymać się na nogach.

Behr złapał go za kołnierz i obrócił w swoją stronę. Finnegan podniósł ręce, zamknął

oczy i odwrócił twarz. Paul cieszył się, że mężczyzna nie stawiał oporu i że Behr nie zaczął używać swoich pięści. Znał już odpowiedź na swoje wcześniejsze wątpliwości, co do możliwości bojowych detektywa.

- Co tu kurwa robisz?! - Behr nie ukrywał agresji w głosie.

- Nic. Nic... - odpowiedział Finnegan. Jego oddech był szybki i płytki.

- Dlaczego uciekałeś? - warknął Behr.

- Ja? Nic. Po prostu ćwiczyłem. I ja...

Paul podszedł bliżej i zadał pytanie najspokojniejszym głosem, na jaki było go stać.

- Hej. Bill. Hej. Co się dzieje?

Behr puścił trenera, który wyglądał na coraz bardziej niespokojnego i zakłopotanego.

- Cześć Paul. Przychodzę tu, żeby nie stracić formy.

- Co ty powiesz? - Behr starał się ocenić mężczyznę.

- To nie ma nic wspólnego z czymkolwiek. Naprawdę.

- Gówno prawda! Mów! - naciskał Behr. Złapał trenera za gardło, przesunął swój ciężar ciała, jakby szykował się do zadania ciosu.

- Jestem gejem. Dobra? Jestem homoseksualistą.

Na klatce schodowej zapadła cisza, podczas której próbowali przetrwać to, co właśnie usłyszeli. Najwyraźniej Finnegan czuł się zobowiązany, aby kontynuować.

- Ale nigdy nie dotknąłem żadnego dziecka. Nigdy w życiu! - jęczał trener.

- Jezu, Bill, czemu do cholery uciekałeś?

- Jestem trenerem drużyny piłkarskiej chłopców, Paul. Wiesz, że nie jesteśmy w Nowym Jorku?! Ludziom w tym mieście nie spodobałoby się to. Kurwa! - wykrzyczał, jego ostatnie słowa rozbrzmiewały na klatce schodowej, pełne frustracji i poniżenia.

Paul spojrzał na Behra i potrząsnął głową. Behr odsunął się.

- Nie chcę stracić tej pracy... - chlpał Finnegan.

- Nikt się nie dowie, Bill - zapewnił go Paul.

Oddech trenera zaczął się uspokajać, skinął głową i wyszedł w noc. Gabriel i Behr wrócili na siłownię, rozglądając się za kimś, kto pasowałby do opisu Roostera. Nie znaleźli nikogo.

*

Rooster przekraczał dozwoloną prędkość i spoglądał we wsteczne lusterko co trzy sekundy. Faceci przy biurku byli glinami, jasne jak słońce. Szukali go. Nie wiedział też, jakim

cudem nie odnaleźli go w szatni. Schował się tam, kiedy przepytawali mięśniaka za biurkiem. Złapał pięciokilowy ciężarek i wślizgnął się do szatni, schował się za ścianą, przy pisuarach i czekał. Gotowy załatwić tego dużego w pierwszej kolejności. Ale te mendi nie pokazały się w szatni. Poczekał dwie minuty, po czym wyszedł głównymi drzwiami, a oni go nie znaleźli. Nie byli zbyt dokładni albo miał cholerne szczęście. Nie był w stanie dojść do tego, jak go odnaleźli. Faktem było, że jakoś go, kurwa, namierzyli.

Musiał się przegrupować. Uspokoić się i skontaktować z Riggim.

- Chwila! - powiedział na głos. Nie mógł tak po prostu zadzwonić do Riggiego i wystawić go na niebezpieczeństwo. W ten sposób sam mógł oczekiwać odwiedzin. Riggie zawsze sprowadzał nowych pomocników i szukał okazji, aby udowodnili swoją lojalność. *Może lepiej zatrzymać to dla siebie*, pomyślał Rooster. W samochodzie towarzyszyło mu przyprowadzające o mdłości rozgoryczenie. Zawsze czuł się dumny z tego, że jest profesjonalistą, a teraz jedno proste zlecenie i zaczął ciągnąć za sobą smrodliwy ogon jak zwykły rzezimieszek.

Przejechał przez skrzyżowanie June i Prosser. Dodał gazu, próbując prześcignąć gorzkie uczucie doznanej porażki. Amortyzatory zajęczały, gdy koła wpadły w dziurę w nawierzchni. W górnej części przedniej szyby Rooster zauważył, jak światło sygnalizacji zmienia się z żółtego na czerwone.

*

Funkcjonariusz Stacy Jennings opuściła fotoradar, włączyła światła i ruszyła za chevroletem el camino, który jechał ponad dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę na June Road. Dziewięćdziesiąt kilometrów w strefie do sześćdziesięciu.

Stacy uwielbiała być gliną. Miała dwadzieścia cztery lata i pracowała w policji od osiemnastu miesięcy. Nie mogła uwierzyć, jak bardzo pasowała jej ta robota. Jej koleżanki były sekretarkami, pracowały w bankach lub chodziły do szkoły prawniczej. Dla Stacy wydawało się to powolnym umieraniem z nudów. Choć do tej pory zatrzymywała jedynie kierowców, to i tak każda akcja dostarczała jej ogromnych przeżyć. Miała świadomość, że sprawy mogą przybrać nieoczekiwany obrót w każdej chwili, dlatego też trzymała się procedur, które wpojono jej w akademii policyjnej. Zawsze podchodziła od strony kierowcy tak, aby pozostać w jego martwym punkcie na tyle długo jak to możliwe i zatrzymywała się jakiejś pół metra od pojazdu. W ten sposób, po otwarciu okna, kierowca musiał się obrócić, aby ją dostrzec. Dzięki temu nie znajdowała się na linii ognia, gdyby jakiś drań wyciągnął

broń. Pamiętała, że zagrożenie może znajdować się w każdym samochodzie. Ta wiedza sprawiała, że jej krew wrzała, poziom adrenaliny podnosił się. Nawet po rutynowej zmianie musiała przez co najmniej pół godziny ciężko trenować na stepperze, który ojciec podarował jej na święta, tylko po to, aby zmęczyć się i usnąć. Tata był z niej niezwykle dumny, choć mówił, że nigdy nie przestanie się o nią martwić. Zwłaszcza kiedy wstąpiła do policji.

Camino zbliżał się do Clairmont, zanim zdążyła nabrać prędkości i przez chwilę zaczął się oddalać. Poczula, że rośnie jej tętno, a żołądek zaczyna się kurczyć. Docisnęła pedał gazu. Zastanawiała się, czy będzie to pierwszy kierowca, który będzie próbował uciec. Chwyciła radio, aby wezwać wsparcie. Zaczęła doganiać jadące przed nią auto, którego prędkość spadła poniżej pięćdziesiątki, zupełnie jakby opuściła je wola walki. Kierowca powoli zjechał na prawy pas, szukając dogodnego miejsca do zatrzymania się. Przynajmniej wiedziała, że dostrzegł jej światła. Zaczęła się niecierpliwić, włączyła więc syrenę, którą dała dwa krótkie sygnały. Samochód w końcu zahamował.

Zatrzymała radiowóz mniej więcej trzy metry za nim i wrzuciła luz. Jej wóz naszpikowany był kamerami, które automatycznie zaczynały nagrywać po włączeniu koguta i zapewniały policjantce bezpieczeństwo, ale także dzięki filmom można było ocenić jej pracę oraz chronić prawa zatrzymanych. Skupiła się i wysiadła.

*

Wewnątrz el camino uczucie porażki wyparowało. Zamiast niego pojawiła się rwąca rzeka obrzydzenia do samego siebie. Rooster zachowywał się jak nastoletni złodziej ze wsi, któremu przestało się powodzić. Teraz czekała go kontrola prawa jazdy, co gorsza policjant mógł sprawdzić, czy nie szukają go inne gliny. Siedział nieruchomo niczym głaz. Spojrzał w boczne lusterko na policjanta, który zbliżał się do jego samochodu. Funkcjonariusz zatrzymał się nieco za drzwiami kierowcy. *Kobieta* - zauważył Rooster z zaskoczeniem. Była ładna. Młoda. Miała jasne blond włosy upięte w koński ogon, na twarzy ani grama makijażu. Ubrana w służbową kurtkę z kołnierzem z białym obramowaniem, które sięgało jej aż pod brodę. Wyglądała w tym słodko. Zastukała w drzwi auta. Rooster opuścił szybę i obrócił się, aby dobrze przyjrzeć się policjantce.

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny, proszę - usłyszał.

W słabym świetle latarni Rooster odczytał tabliczkę z jej nazwiskiem. Funkcjonariusz Jennings. Poczul, jak kurczy mu się żołądek. Ta dziewczyna była prawdziwą pięknoscią.

- No co pani? Tamto światło było jeszcze żółte - tłumaczył. Uśmiechnął się. Przyszło

mu to łatwo. Uśmiech był ładny i świeży - zupełnie jak ona.

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny - powtórzyła policjantka, jej głos był bez wyrazu.

Rooster prawie jęknął z frustracji, ale starał się być cicho. Sięgnął do schowka i podał swoje dokumenty. Łączyły go z adresem, pod którym od dawna nie można go było znaleźć, informacje nie były uaktualniane. Samochód także był bez zarzutu żadnej broni czy nielegalnych substancji. Nic, co mogło zaprowadzić go na posterunek.

Niestety, Rooster miał dwa problemy. Po pierwsze, niesamowitą liczbę niezapłaconych mandatów za złe parkowanie które - abrakadabra - zamieniły się już w wezwania do sądu. Po drugie, jeśli policjantka wstukałaby jego imię do komputera, mogłaby dowiedzieć się, że jej koledzy ze służby szukają go. *Nie mogę do tego dopuścić* - pomyślał. Odwrócił się, aby jeszcze raz spojrzeć na policjantkę. Porównała zdjęcie na prawie jazdy z jego twarzą, dane w dowodzie z numerami samochodu.

- A może tym razem tylko ostrzeżenie? - Rooster ponownie spróbował szczęścia.

- Wie pan, że jechał tam naprawdę szybko? - odpowiedziała.

Jakby nie miała poczucia humoru, pomyślał, ale musiał przyznać, że trochę mu się to podobało.

- Chyba tak.

- Gdzie się panu tak spieszy?

- Nigdzie. Wracam po prostu z siłowni. Energia mnie rozpiera po treningu, wie pani?

To przebiło jej skorupę. Przez chwilę stała się obecna.

- O tak! - rzuciła.

Przez chwilę wyobrażała sobie, jak jeździ na rowerze górskim albo biega cała spocona, niczym w reklamie napoju dla sportowców. Za chwilę wróciła do obowiązków.

- Niestety, złamał pan przepisy.

- Teraz już będę jechał wolniej. Ma to pani jak w banku - obiecywał. Próbował nadać swoim oczom przyjacielski wyraz. Nie był pewien, czy mu wyszło.

Dziewczyna zmrużyła oczy i przez chwilę patrzyła na niego. Nie powiedziała tak lub nie w sprawie mandatu, po prostu przyglądała mu się.

Widok jej policyjnych butów, błyszczących nosków, ledwie wystających spod spodni jej munduru, sprawił, że Rooster zaczął marzyć. *Ta funkcjonariusz Jennings, ta śliczna młoda osóbką jest rodzajem dziewczyny, z jaką powinienem być* - pomyślał. *To całkiem możliwe. Dlaczego nie? Nie był to świetny sposób na rozpoczęcie znajomości, ale potrafił wymyślić gorsze.*

Wyobraził sobie ich razem za kilka miesięcy. Na tyle długo, aby czuli się komfortowo

w swoim towarzystwie, ale nie za długo, aby ich życie nie stało się rutyną. Ona wraca do domu z pracy. On siedzi na tapczanie. Dziewczyna rzuca w niego swoją policyjną czapkę i zdejmuje gumkę przytrzymującą włosy. Podchodzi do niego, a on rozpina jej pas z bronią i zsuwa go z jej wąskich bioder. Zaczyna rozpinąć jej spodnie, odsłaniając płaski, umięśniony brzuch i górę jej ślicznej, bawełnianej bielizny. Wrócił do domu tuż przed nią. Śledził ją podczas jej patrolu, ona oczywiście nic o tym nie wiedziała. Chciał być pewien, że nic złego jej się nie przydarzy. Wyruszał przed nią, aby wcześniej sprawdzić, czy na trasie patrolu nie czyhają żadne niebezpieczeństwa. Był jej niewidzialnym wsparciem.

Wyobraził sobie, że żyje uczciwie. Porzuciłby ksywkę Rooster i byłby znany i szanowany jako Garth. Garth Mintz i funkcjonariusz Jennings. *Cholera, jak ona ma na imię?* Pytanie to wyrwało go ze snu na jawie, akurat w momencie, gdy policjantka zaczęła mówić.

- Proszę poczekać w samochodzie. To zajmie tylko chwilę.

Roostera ogarnął żal. Poczul, jakby uderzyła w niego gigantyczna, niszcząca fala. Jego ruchy stały się spowolnione, nieskoordynowane, jakby pływał w żelatynie. Otworzył drzwi i postawił stopy na ziemi. Funkcjonariusz Jennings, która wracała do radiowozu, zatrzymała się. Rooster wysiadł i przeciągnął się, jakby jego ręce i nogi były zdrętwiałe. Opanowało go uczucie odrazy. Odrazy do tego, czym się stał. I tego, co musiał zrobić.

- Powiedziałam, żeby poczekał pan w samochodzie - usłyszał, jak dziewczyna mówi do niego głosem, w którym dało się wyczuć napięcie.

- Chcę tylko zapalić - powiedział z zakłopotaniem, odgrywając całe przedstawienie przy okazji szukania papierosów.

Policjantka wykonała kilka kroków w jego kierunku, sięgając jednocześnie po krótkofalówkę.

- Proszę położyć obie dłonie na dachu samochodu! - tym razem wydawała wyraźny rozkaz. Jeśli bała się choć trochę, to nie dawała tego po sobie poznać.

Zaczął wykonywać jej polecenie. Obrócił się w stronę el camino, wyciągnął ręce w kierunku pojazdu. Obracając się, zobaczył, że policjantka odpina krótkofalówkę, aby w każdej chwili móc jej użyć. Rooster odetchnął głęboko nocnym powietrzem, żelatyna i uczucie ociągania zniknęły z jego kończyn. Wykonał błyskawiczny obrót w przeciwną stronę, tak aby stanąć twarzą w twarz z policjantką. Wyprowadził cios prawą ręką tak mocny, jak tylko mógł, żeby jednocześnie zachować równowagę.

Co on robi? - zastanawiała się Stacy Jennings, kiedy Mintz, facet którego zatrzymała, wysiadł z samochodu. To było jej ostatnie jasne wspomnienie. Reszty dowiedziała się z nagrania ze swojego radiowozu. Kilka miesięcy później, po operacjach, oglądała taśmę i ledwie mogła zrozumieć to, co widziała. Nie mogła uwierzyć, w jaki sposób spadł na nią pierwszy cios, dokładnie tam, gdzie został wymierzony. Jak mogła go nie uniknąć? Tak naprawdę stała na drodze nadlatującej pięści. Była całkiem niezłą bokserką w akademii oraz dużo wcześniej, kiedy uczył ją ojciec. Mogła mierzyć się z każdym z rekrutów i często wygrywała z nimi dzięki unikom i umiejętnościom, z jakimi poruszała się na ringu. Ale to było na ringu, gdzie były też ochraniacze na głowę i zęby, rękawice i rundy. Nie mogła uwierzyć w to, że upadła na środku ulicy jak szmaciana lalka. Pierwszy cios złamał jej szczękę. Nie wierzyła, że ogląda samą siebie, czuła się oderwana od rzeczywistości, widząc, jak mężczyzna klęka na jej klatce piersiowej i zaczyna okładać po głowie. Chociaż rozpoznawała siebie na taśmie i uznawała tę twarz za swoją, twarz, której już nigdy mieć nie będzie, wydawało jej się, jakby to wszystko przydarzyło się innej osobie. Tył jej głowy uderzał w chodnik przy każdym ciosie, każde kolejne uderzenie niszczyło jej zęby, cięło policzki, miażdżyło nos i łuk brwiowy po lewej stronie głowy. Krew ciemna i bezbarwna na nagraniu, wypływała z jej głowy i moczyła włosy, nadając im ciemną barwę. Zobaczyła, jak mężczyzna wstaje, gdy już była nieprzytomna, rozgląda się, przez chwilę dziwnie jej się przygląda, po czym wsiada do samochodu i odjeżdża.

Zakrwawiona dziewczyna trwała nieruchomo przez niecałą minutę, jej czapka leżała w lewym, dolnym rogu kadru. Po chwili ręce zaczęły się ruszać, dotknęły twarzy, odnalazły krótkofalówkę.

- Kod jeden, pięć, cztery - wystękał niski, gulgoczący głos. - Ranny funkcjonariusz za skrzyżowaniem June i Prosser.

Krótkofalówka, błyszcząca i mokra od krwi, wypadła z jej ręki.

22

Na taśmie wideo mieli domowe filmy sprzed ponad dziesięciu lat. Były schowane głęboko, ale Paul je odnalazł. Minęły całe lata, odkąd oglądał je po raz ostatni, miesiące odkąd rozważał ich obejrzenie, ale po powrocie z nocy spędzonej z Behrem poczuł, że ma wystarczająco dużo siły, aby na nie spojrzeć. Usiadł w salonie przed telewizorem i wsunął kasetę do odtwarzacza. Przyciszył dźwięk, bardziej ze względu na siebie niż na Carol.

Pierwszy dzień Jamiego w domu po wyjściu ze szpitala, jego pierwsza kąpiel, pierwszy poważny posiłek - płatki owsiane rozsmarowane po całej uśmiechniętej buzi. Następny fragment - płacz malucha podczas przewijania. Dwie minuty filmu, głupia narracja Paula towarzysząca kiepskiej pracy kamery. Obiekt: malutka, niewinna istota, która gugała i gaworzyła w języku, który wyrażał czystą radość. Na taśmie były też inne wyjątkowe chwile - raczkujący Jamie, jego pierwsze kroki, malowanie farbami. Wszystkie zbyt bolesne, aby je teraz oglądać, zachowane na warstwie taśmy, zatrzymane w czasie. Paul zsunął się ze swojego krzesła, lądując na kolanach, na puszystym dywanie. Dźgnął przycisk „stop” w magnetowidzie. Obraz zniknął, plastikowa kaseata wysunęła się z odtwarzacza. Klęczał, wgapił się w czerń ekranu. Szukał oddechu w martwym powietrzu.

*

Carol leżała w łóżku. W ciemności usłyszała, jak Paul wchodzi do domu. Do jej uszu dochodziło ciche, elektryczne buczenie, gdy włączał telewizor. Charakterystyczny, wysoki dźwięk. Słyszała przytłumione głosy, ale słaba jakość dźwięku nie pozwalała stwierdzić, co ogląda jej mąż. Chwilę później płacz Jamiego przerwał nocną ciszę. Jego lament, gdy był niemowlęciem, krzyk pełen desperacji. Niby taki sam jak wszystkie inne na oddziale noworodków, ale dla niej był zupełnie inny, przeszywający. Nawet teraz poznała go od razu. Ten płacz sprawiał, że na nowo pojęła znaczenie miłości. Ten płacz sprawiał, że z piersi ciekło jej mleko. Była matką, za którą odpowiadała natura, w całej swojej potędze i majestacie. Teraz płacz Jamiego nie wzbudzał w niej takich uczuć. Wydawało jej się, że

wylała swoją ostatnią łzę kilka miesięcy temu i teraz nie odczuwała już niczego. Zdała sobie sprawę, że istnieje coś dużo gorszego niż cierpienie spowodowane płaczem własnego dziecka. To coś to brak jakiegokolwiek reakcji na ten płacz. Przewróciła się na drugi bok i próbowała usnąć.

*

Behr odwiózł Paula i dotarł do domu. Było już późno, zamierzał się przespać. Ale przechodząc przez mieszkanie, zauważył puste miejsce na biurku, gdzie zazwyczaj stał komputer. Oczy odnalazły tę pustkę, zupełnie jak język, który bada szczelinę powstałą po usunięciu zęba. Behr usiadł na fotelu, otworzył notes i zaczął zastanawiać się, co robić dalej.

Narysował linię łączącą imię Jamiego z Tadem Fordem. Pod linią umieścił znak zapytania. Kolejna kreska połączyła Forda z Roosterem. Jeszcze jedna biegła w stronę krawędzi strony. Kolejny znak zapytania zawisł na granicy, jakby zaraz miał wypaść poza kartkę. Behr zaczął rytmicznie stukać długopisem w ten punkt. Taki moment nadchodził w przypadku większości ważnych spraw. Moment, w którym początek sprawy był daleko za nim, szanse na porzucenie jej przepadły, a jednocześnie nie było końca, rozwiązanie nadal nie znajdowało się w polu widzenia. To napięcie sprawiało, że Behr czuł się psychicznie słaby. Poczucie nieokreślonego strachu wypełniało pokój jak woda tonącą łódź. Świadomość tego momentu nie łagodziła uczucia. Nastąpiła straszliwa cisza, pełna niemych pytań, które same cisnęły się do głowy. Pytań dotyczących rodziny, którą stracił, i tego, czego najbardziej się obawiał.

Behr wiedział, że była to chwila, w której musiał wykazać się odwagą. Większą niż w przypadku napotkania uzbrojonego przeciwnika, większą niż podczas przygotowań do wyważenia drzwi i wejścia do nieznanego pokoju, kiedy jeszcze był policjantem i adrenalina pozwalała zapomnieć o strachu. Właśnie za przekroczenie tego momentu mu płacono, za narysowanie kolejnej kreski, której nikt jeszcze nie narysował. Musiał stawić temu czoła i przetrzymać. Musiał ruszyć sprawę do przodu.

Jasność wróciła do Behra, gdy tylko zdołał zapanować nad oddechem. Z odległego, bezimiennego miejsca, głęboko wewnątrz zaczęło dochodzić ciche dudnienie pewności siebie. Znajdzie tego sukinsyna Roostera i odkryje jego powiązania z całą resztą, potem odnajdzie kolejną potrzebną mu informację, i tak aż do momentu, gdy pozna los, jaki spotkał Jamiego Gabriela. Znajdzie odpowiedź. Na razie miał tylko tyle, ale przez chwilę czuł się wspaniale z tą świadomością. Zadzwoił telefon.

- Tak? - powiedział, patrząc na zegarek.

Zauważył, że jest późno, zbyt późno na telefon.

- Halo? O Jezu, cześć. Frank? - usłyszał głos kobiety. Wydał mu się znajomy.

- Kto mówi?

- Sue. Susan Durant.

Na linii zapanowała cisza. Behr skojarzył imię dopiero w momencie, kiedy dodała: „z gazety *Star*”. Kobieta, która pomogła mu jakiś czas temu.

- A tak. Jasne. Jak się masz, Sue?

- W porządku. Choć teraz czuję się trochę głupio. Chciałam dodzwonić się do twojego biura. Miałam zamiar zostawić wiadomość. Nie myślałam, że odbierzesz.

- Pracuję poza biurem. Jak brzmi wiadomość?

- Żebyś do mnie zadzwonił. Mieliśmy się spotkać. Myślisz, że przepuszczę ci obiad? - nieśmiałość zniknęła z jej głosu, powróciła iskra, którą zapamiętał z ich pierwszej rozmowy.

- Co robisz tak późno w nocy? - zagadnął Behr.

- Oglądam telewizję.

- Co?

- Powtórki *Ostrego Dyżuru*. Ciągłe je puszczają. Zastanawiałam się, czy do ciebie zadzwonić. W ten sposób minęło mi kilka godzin. A potem do mnie dotarło, wiesz, że to śmieszne. Było już późno, ale jednak nie mogłam tak po prostu położyć się spać i tego nie zrobić.

- Aha - powiedział Behr. Uśmiechał się.

- Miałeś do mnie zadzwonić. Zaoszczędziłbyś mi wiele kłopotu.

- Rozumiem.

Na chwilę na linii zapadła cisza. Behr przygotowywał się do zadania pytania.

- Które wieczory masz wolne?

Szybko umówili się na przyszły tydzień na kolację w Donohue's. Mógł zabrać ją do lepszego lokalu, ale wolał zobaczyć, jak pójdzie w zwyczajnym miejscu.

- A jak tam twoja sprawa? - zapytała, zanim się rozłączyli.

- Nieźle, Sue - odpowiedź, której udzielił, zdziwiła go. - Chyba nieźle.

*

Rooster siedział w knajpie Denny's na ulicy Kentucky. Zamówił danie Grand Slam, które jednak zupełnie mu nie wchodziło. Tak naprawdę wlewał w siebie tylko kawę. Najpierw

pomyślał, że tłuste jedzenie może go uspokoić, złagodzić skurcze żołądka, ale w końcu nie potrafił wmusić w siebie tego gówna. Zbyt wiele czasu spędził na siłowni, aby teraz zmarnować ten wysiłek smażonymi jajkami i tostami.

Prawda była też taka, że jego apetyt zniknął po tym, co zrobił. Nie był z siebie dumny. *O nie!* Wiedział, że powinien porzucić samochód, powinien był zrobić to już dawno, a nie zostawiać go na parking, żeby świecił jak latarnia morska. Czuł jednak niesamowite zmęczenie w całym ciele, dużo większe od wysiłku fizycznego, jaki musiał włożyć w to, co zrobił. Zastanawiał się, czy policjantka przeżyje i czy powinien jej coś wysłać w ramach przeprosin. Szczególnie zapadł mu w pamięć jeden moment. Nie potrafił wytłumaczyć dlaczego, ale zaraz po tym jak ją pobił, żałował jej. Powinien był wskoczyć do samochodu i zabierać stamtąd dupę, ale zamiast tego zatrzymał się i stał nad nią. Nie z powodu dumy, nic z tych rzeczy. Poczł neodpartą potrzebę pochylenia się i pocałowania jej, starcia krwi z jej roztrzaskanej twarzy. Oczywiście nie mógł. Oczywiście, że nie. W końcu wskoczył do samochodu i zabrał stamtąd dupę. Teraz ledwie się poznawał. Spojrzał na swoje ręce i policzył znajdujące się na nich blizny, źle zagojone ślady po cięciach z ostatniego i kilku poprzednich incydentów. *Pieprzyć to!* Przecież to jego rany wojenne.

Pił kawę. Ten czas wydawał mu się całymi godzinami, aż w końcu szyby okien znajdujących się przed nim rozświetliły się mieszanką niebieskiego i czerwonego światła. Cztery radiowozy wjechały na parking, dwa podjechały od tyłu, z włączonymi kogutami, ale bez syren.

Rooster dopił kawę. Nawet kiedy dwa pierwsze oddziały mundurowych wchodziły do restauracji, on po prostu siedział. Pozwalał pulsującym światłom ślizgać się po twarzy. Poczł niemal ukojenie.

23

Wytrzymaj jeszcze! Behr walczył ze sobą, kiedy wbiegał na Saddle Hill we wczesny piątkowy poranek z plecakiem wypełnionym książkami i solą. Środek jego tygodnia składał się z kolejnych prób odnalezienia informacji o Roosterze, jego prawdziwego imienia, adresu czy współpracowników. Nie znalazł nic. Zupełnie. Wypytał przyjaciół i znajomych w całym mieście, miał nadzieję, że ktoś z nich odnajdzie coś przydatnego. W trakcie kilku minionych wieczorów razem z Paulem odwiedzili wszystkie bary w Hawthorne, gdzie zalewali się byli i przyszli skazańcy. Dotarli także do West District, gdzie mogli się czuć bezpiecznie tylko dlatego, że Behr jeździł tam kiedyś na patrole. Pomimo to nie kręcili się tam zbyt długo. Nie chcieli kusić losu. Behr nie uzyskał żadnej informacji i jedyny wniosek, jaki był w stanie wysnuć to taki, że Rooster trzymał się na uboczu.

Po kilku pierwszych nocach detektyw miał już zamiar poprosić Paula, aby przestał z nim jeździć. Czuł się nieswojo, ponieważ jego pracodawca obserwował ciągłe porażki. Po którejś nocy, kiedy Behr odwoził go do domu, ten odwrócił się do niego i podziękował mu.

- Doceniam to, jak bardzo się starasz, Frank - powiedział. - Wiem, że robisz wszystko co w twojej mocy. Zobaczymy się jutro.

Ten wyraz uznania znaczył dla detektywa więcej, niż chciałby przyznać. Zdał sobie sprawę, że obecność Paula wcale mu nie przeszkadzała. Czasami nawet cieszył się z niej. Nie chodziło nawet o rozmowy, po prostu towarzystwo innej osoby zmniejszało poczucie izolacji w jego pracy. Behr zdał sobie także sprawę z tego, że choć na początku odnalezienie chłopca było jego jedyną motywacją, to po tych tygodniach spędzonych z oddanym śledztwu ojcem, chce je dokończyć również ze względu na Paula. Aby ten mógł zaznać choć trochę spokoju.

Wytrzymaj jeszcze! Behr pouczył się ponownie, kiedy wbiegał pod górkę po raz drugi i trzeci. Dla niektórych mężczyzn liczyły się notowania giełdowe, inni pochłaniali wyniki wyścigów, jeszcze inni uważali dane podawane przez kanał pogodowy za interesujące, ale wszyscy, pomyślał Behr, zbiegając w dół zbocza, mieli zwyczaj konsumowania jakiejś formy informacji. Rozważali je i starali się przewidzieć ich konsekwencje, studiując je niczym

starożytne hieroglify. Następstwem tego zwyczaju było opanowanie bądź przyswojenie pewnych faktów, niekiedy dostrzeżenie ukrytego porządku, a czasami zrozumienie świata, który krył się za liczbami.

Konikiem Behra były cotygodniowe raporty policyjne dotyczące aresztowań, absorpcja danych na temat wszystkich zatrzymań; ich miejsca i towarzyszących im szczegółów. Kiedy pracował w policji, czytał je codziennie, poszerzał swoją własną wiedzę i wyczucie miasta, był niczym żywy komputer do wykrywania przestępstw. Teraz robienie tego codziennie stało się niepraktyczne i nie miało zbyt dużego sensu, ale Behr nie potrafił z tego całkowicie zrezygnować. Jego kolega, młody policjant, Mike Carriero, raz w tygodniu przysyłał mu faks, do którego Behr przysysał się jak pijawka. Dzięki temu czuł się nadal powiązany z mroczną pajęczyną przestępstw w mieście, rozważał potencjalne związki pomiędzy wzrostem kradzieży samochodów w północnej części miasta, zatrzymaniami pijanych kierowców na drodze I-74 i aktami przemocy domowej na osiedlu przyczep kempingowych przy Stringtown. Jednak podczas pracy nad sprawą Jamiego Gabriela nic, co widział w raportach, nie wydawało się mieć najmniejszego związku z jego śledztwem. Oprócz zabójstwa Forda jedynie ciało w parku było godne zainteresowania, ale szybko okazało się fałszywym tropem. Niedawne pobicie policjantki wydało mu się jedynie kolejną wiadomością na tej liście, niczym więcej.

Wytrzymaj jeszcze! Walczył ze sobą podczas czwartej i piątej wycieczki w górę. Teraz koncentrował się jedynie na biegu. Myśli o śledztwie opuściły go, kiedy płuca zaczęły płonąć, a nogi trzęsły się jak galareta. Walczył o wystarczającą ilość silnej woli, która pozwoliłaby mu kontynuować bieg. Bez względu na to, jak wiele lat ćwiczył i do jakiej formy doszedł, to pytanie nigdy go nie opuszczało: „Czy dam radę kontynuować?”. Rozpoczynał z nim nową walkę, za każdym razem, gdy ćwiczył. Kiedy wspinał się na wzgórze po raz szósty, zatrzymał się. Nie dlatego, że odpowiedź na jego pytanie tym razem brzmiała „nie”, ale dlatego że zobaczył Terry'ego Cottrella, który stał na szczycie. Najwyraźniej czekał na niego. Behr kiwnął mu głową, po czym zgiął się wpół i zaczął łapać powietrze. Wyprostował się, kiedy był już w stanie to zrobić. Na jego twarzy pojawiło się nieme pytanie.

- Znalazłem coś zeszłej nocy, Wielgasio - powiedział Cottrell.

W jego oczach ani głósie nie było cienia wesołości. Nie dziwiło to Behra, ponieważ podał mu parę szczegółów dotyczących rodzaju sprawy, jaką prowadził.

- Muszę ci to powiedzieć osobiście. Twarzą w twarz.

- Wiesz, że możesz mnie znaleźć w Donohue's.

- Nie jest to dla mnie przyjazny lokal, jeśli wchodzę tam sam.

- Nie przesadzaj Terry, jest w porządku, a poza tym nie jesteś przecież nieśmiały.

- Taa, jasne stary. W każdym razie chyba dowiedziałem się nazwiska gościa z ksywką Rooster. Mintz - powiedział Terry.

To nazwisko wydało się Behrowi dziwnie znajome.

- Nie wiem, gdzie jest, ale wiem, czym się zajmuje - Cottrell zamilkł. Nie był typem człowieka, który robi pauzę dla większego efektu. Wydawało się raczej, że nie jest w stanie dokończyć zdania.

Behr stał bez ruchu, pocił się, jego serce waliło jak młot.

- No mów, kurwa, Terry. Chyba nie muszę cię zlać, żebyś powiedział.

Twarz Cottrella spoważniała.

- Gość jest treserem. Oni znani są także jako „łamacze”. Pedofile, wiesz... - jego słowa sprawiły, że serce Behra zatrzymało się na chwilę. - Przykro mi, stary.

W tym momencie Behr kończył już rozpinąć pasek plecaka i zdejmować go z siebie. Uderzenie ciężkiego bagażu o ziemię niemal całkowicie zagłuszyło „dzięki” rzucone w biegu przez detektywa. Pędził w stronę domu. Wiedział już, gdzie widział to nazwisko.

*

- Musisz wziąć sobie wolne - oznajmił Behr, kiedy zadzwonił o 7:15 rano. - Przynajmniej poranek, jeśli uda mi się wszystko załatwić do tego czasu. Jedziesz ze mną - Paul słyszał podniecenie w głosie detektywa.

- Dobrze - powiedział Gabriel, zaznaczając w głowie spotkania, które będzie musiał przełożyć lub odwołać.

- I ubierz się tak jak zwykle, kiedy gdzieś jedziemy. Nie waż się pokazywać w garniturze.

- Dobra. A gdzie jedziemy?

Przez chwilę Behr nie odpowiadał. Paul słyszał, jak mężczyzna oddycha głęboko i miarowo.

- Więzienie stanowe Marion - Behr odłożył słuchawkę.

Paul nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Nie spodziewał się także, że kiedykolwiek przyjdzie mu odwiedzić więzienie. Stał przed swoim domem ubrany w niebieskie spodnie, sportowe buty, sweter i kurtkę. Nie wiedział, czego oczekiwać, przeczuwał tylko, że będzie to niezwykle i ważne doświadczenie. Wynikało to jasno z tonu głosu Behra. Domyślał się, że ktoś, kogo jadą odwiedzić w więzieniu, będzie miał jakieś informacje na temat Jamiego. Paul

starał się trzymać swoją nadzieję na wodzy. Okazało się to zresztą teraz zaskakująco łatwe, kiedy widział, co leży u podłoża jego strachu, co czai się głęboko w ciemności nocy. Mroczna rzeczywistość wychylała się z tej ciemności i uśmiechała do niego. Obdarła mięso z kości jego oczekiwań i wysała szpik z jego życiowych planów.

Podjechał Behr i Paul wszedł do auta. Wewnątrz było rześko, skórzane obicie fotela było sztywne i zimne. Włosy detektywa nadal były mokre, choć miejsce, w którym mieszkał, było oddalone o dobre pół godziny jazdy samochodem. Miał na sobie jeansy, ciężkie buty oraz nieprzepuszczającą ciepła koszulę, która opinała się wokół jego przedramion.

Podczas jazdy milczeli. Behr pogrążony we własnych myślach nie okazywał chęci do rozmowy. W końcu detektyw obrócił się w stronę Paula i przemówił.

- Prawdziwe nazwisko Roostera to Garth Mintz.

- Więc chodzi o Roostera? - zapytał Paul.

Tysiące domysłów rozrywało go na strzępy.

- Tak - odparł Behr.

Paul zaczął rozważać konsekwencje, jakie niosła ze sobą ta nowina. Przejechali kolejne kilka kilometrów w milczeniu i byli w samym centrum, kiedy w końcu Gabriel zdecydował się odezwać.

- Jaki on ma związek z naszą sprawą? - zapytał.

Behr zacisnął dłonie na kierownicy, nie spuszczał wzroku z drogi.

- W handlu dziećmi uległość jest wysoce ceniona. Z oczywistych powodów. Często używa się narkotyków. Ale na dłuższą metę powodują one różne choroby, no wiesz... - mówił Behr. Jego ton przypominał ton wykładowcy. - Jedną z metod jest wykorzystanie dorosłego, który będzie... popełniał... czyny... aż do momentu, gdy dziecko nie przestanie stawiać oporu i nie straci woli walki. Nazywa się ich „łamaczami”. Tym właśnie zajmuje się Rooster.

Paul poczuł, że jego klatkę piersiową przebiła szyna kolejowa i przygwoździła go do fotela.

- Ale nie wiemy, czy spotkał Jamiego? - Paul usłyszał błaganie we własnym głosie.

- Nie wiemy.

*

Paul odnosił wrażenie, jakby wszystkie dźwięki były przytłumione, a obrazy rozmyte, kiedy jechali ulicą Alabama obok budynku więzienia, zbudowanego z jasnego kamienia. Przez jakiś czas - Paul stracił rachubę i nie potrafił stwierdzić dokładnie jak długo - krążyli

wokół budowli przypominającej fortecę, klucząc jednokierunkowymi uliczkami. W końcu znaleźli miejsce, w którym mogli zaparkować. Paul zastanawiał się, czy to szok, czy też był aż tak skoncentrowany na rzeczywistości jak jeszcze nigdy dotąd i dlatego odczuwał tę niesamowitą jasność postrzegania.

Weszli do budynku przez wejście służbowe, drzwi przytrzymał im mężczyzna ubrany w mundur strażnika. Silny zapach, obcy i nieprzyjemny, uderzył Paula. Znaleźli się w części przeznaczonej dla pracowników, Behr wszedł bez wahania. Wymienił uścisk dłoni, po czym poklepał po plecach starszego mężczyznę, którego stalowoszare włosy natarte były brylantyną. Mężczyzna rozsiewał wokół siebie zapach tytoniu. Miał na sobie brązowy mundur szeryfa, z plakietką z nazwiskiem Silva. Behr i Silva odeszli kilka kroków od Paula i wdali się w cichą rozmowę.

- Nie mogłem uwierzyć, że dzwonisz Frank - jego głos był szorstki od nikotyny. - Facet siedzi tu, ponieważ jest podejrzany o pobicie tej policjantki. Jest taśma wideo. Wiesz, ile miałem próśb o parę chwil spędzonych z nim sam na sam?

- Tyle, ilu jest pracowników policji? - zapytał Behr.

- Dokładnie. Mógłbym teraz grać w golfa albo wędkować na Florydzie dzięki tym wszystkim ofertom, które otrzymałem. Silva pozwolił sobie na chwilę oderwać się od rzeczywistości. - Dlaczego mi się poszczęściło?

- Jeśli wpuszczę tam policjanta, to zakończy on swoją karierę. Tak już jest z tymi prawami obywatela - ostatnie zdanie zostało wypowiedziane z wyraźnym obrzydzeniem. - Ale ty... - rozpoczął.

- Ale ja, co? - zapytał Behr. Nagle ogarnęła go wściekłość. - Ja nie mam nic do stracenia, tak?

- Nie o to chodzi, Frank. Jeśli wpuściłbym tam kogokolwiek, to na pewno pożegnałby się z odznaką. Nie chcę żyć z tą świadomością. Poza tym nie chcę wykorzystywać takiej sytuacji. I wtedy zadzwoniłeś ty. Mogę dać ci pięć minut.

Behr skinął głową.

- Czas spłacić stary dług.

Silva także skinął.

- Bardzo stary. A teraz czas go spłacić.

- Tak. Dokładnie tak.

Behr dołączył do Paula, Silva nie odezwał się już słowem. Mężczyźni zostali wprowadzeni przez zamykane elektrycznie drzwi do niewielkiego pokoju przesłuchań.

*

- Mamy tylko pięć minut - mruknął Behr do Paula.

Pośpiech w głosie Behra sprawił, że Paul nie czuł się gotowy. Zaczął się denerwować. Zastanawiał się, jak będzie wyglądał potwór, który niedługo wejdzie do pokoju. Po chwili otrzymał odpowiedź.

Strażnik otworzył masywne drzwi i do pokoju wszedł rudowłosy mężczyzna ubrany w wyblakłą bluzę więzienną i gumowe klapki prysznicowe. Na uszach miał słuchawki, w rękach odtwarzacz CD. Strażnik zdjął mu kajdanki i zamknął za sobą drzwi. W pokoju pozostała jedynie ich trójka. *Jest mały* - to było pierwsze wrażenie Paula. *Umięśniony* - drugie wrażenie. Tylko tyle zdążył pomyśleć, zanim Behr podniósł się ze swojego krzesła. Uderzył mężczyznę w głowę, mocno, jego słuchawki upadły na ziemię.

- Hej! - zaprotestował mężczyzna. - Kto wy, kurwa...

- Stul pysk! - warknął Behr i chwycił go mocno za ramiona.

Odtwarzacz CD, wytrącony z rąk mężczyzny, upadł na ziemię. Kopniak Behra posłał go pod ścianę. Detektyw owinał przewód od słuchawek wokół szyi więźnia i zaczął go dusić, pozostawiając na niej czerwone i białe pasy. W końcu kabel nie wytrzymał. Behr odrzucił zepsute słuchawki i popchnął Gartha Roostera Mintza z powrotem na krzesło. Mężczyzna roztarł gardło i wytarł łzy, które napłynęły mu do oczu.

- Wiesz, dlaczego tu jesteśmy? - zapytał Behr. Jego głos był twardy niczym diament, Paul nie spotkał się jeszcze z takim tonem, nie tylko u Behra, ale u żadnej innej osoby.

Mintz nadal rozcierał gardło. Potrząsnął głową.

- Chodzi o tę policjantkę?

- Nie o nią - Behr przesunął zdjęcie Jamiego w kierunku Mintza, który nie zwrócił na nie nawet uwagi.

- Spójrz na nie! - rozkazał Behr.

Mintz tylko przez chwilę patrzył w ścianę, po czym posłusznie opuścił wzrok i spojrzał na fotografię. Po chwili podniósł głowę. Jego twarz nie zdradzała żadnych oznak, że Mintz wie, kogo przedstawia zdjęcie.

- Dobra, spojrzałem.

- Widziałeś tego dzieciaka?

- Nie wiem - odpowiedź nie była złośliwa, raczej pełna szacunku. Jeśli Paul miałby strzelać, powiedziałaby, że facet naprawdę nie wiedział.

- Wyznasz wszystko, ty sukinsynu! Behr oddychał mężczyźnie prosto w twarz.

- Co mam powiedzieć? Fajny dzieciak.

Detektyw przycisnął Mintza do oparcia krzesła, przesunął się za niego i przyszpilił jego ramiona. Spojrzał na Paula.

- Weź się za niego!

Paul poczuł, jak kurczą mu się jądra, a pęcherz zaczyna się rozluźniać. Wiedział, o co prosi go Behr, ale nie mógł w to uwierzyć.

- Chwileczkę. Mamy pewność, że on w ogóle znał Jamiego?

Paul czuł się nieswojo. Zupełnie jakby brał udział w jakiejś niedorzecznej misji, a Behr zmuszał go do wymierzenia kary komuś, kto może skrzywdził policjanta, ale nie miał nic wspólnego z jego sprawą.

Myślami Paul wrócił do swojej jedynej walki. To był jedyny raz, kiedy uderzył kogoś w gniewie. Jeszcze na studiach. Ostatni rok. On i jego kumple byli podcięci, tej nocy pili piwo w barze Spaghetti Bender, niedaleko Washtenaw. Ponure miejsce, do którego lubiła chodzić Carol, kiedy zaczęli się spotykać. W drodze do toalety chłopak z drużyny futbolowej dotknął włosów Carol. Jego dłoń ześlizgnęła się po jej blond warkocz. Gest, który miał pokazać, że ta dziewczyna należy do niego. W Paulu zawrzało. Pomimo swoich rozmiarów gość nie dotarł do kibla. Paul trafił go w bok szczęki. Kiedy chłopak upadał, Paul zadawał cios za ciosem. Kolejne dwa lub trzy dotarły bez przeszkód, potem został odciągnięty przez znajomych futbolisty oraz przez swoich kolegów. Obie grupy wdały się w bójkę, zostały wyrzucone z lokalu przez ochroniarzy i zatrzymane przez policję. Jego kumple zaczęli nazywać go Maczuga, na cześć postaci z jednego z filmów *Rocky*. Paul jeszcze przez długi czas czuł się winny z powodu tego, co zrobił.

Słowa Behra oderwały go od wspomnień.

- Ten gość robił straszne rzeczy. Cokolwiek mu się stanie, zasługuje na to.

Behr podniósł mężczyznę z krzesła i przytrzymał go. Paul wstał.

*

Nic nie cuchnie tak jak więzienie, pomyślał Behr, kiedy weszli - pasta do podłóg, podle żarcie ze stołówki, pot, ludzki brud i wszechobecna nienawiść. Zastanawiał się, czy przyprowadzenie ze sobą Paula nie było czasem największym błędem w jego życiu. Choć ojciec Jamiego wykazał się do tej pory dużym zaangażowaniem i wytrwałością, to jednak nie miał doświadczenia w tego typu sprawach i miejscach. Kiedy Rooster Mintz wszedł do pokoju przesłuchań, stary radar policyjny Behra zaczął mrugać, piszczeć, a w końcu wyc.

Mały śmierzdel był aż radioaktywny od nagromadzenia złej energii. Wydawał się cieszyć sporym szacunkiem, jakim zazwyczaj cieszą się w pierdłu zabójcy i krzywdziciele glin. Jedno spojrzenie pozwoliło Behrowi stwierdzić, że facet żył w świecie obrzydliwej ciemności, a niemal śmiertelne pobicie policjantki wcale nie plasowało się zbyt wysoko na liście jego złych uczynków.

Detektyw miał nadzieję, że wizyta ojca jednej z jego ofiar będzie na tyle nieoczekiwana, że pomoże wyciągnąć z Mintza informacje skuteczniej niż jakakolwiek inna technika śledcza. W najgorszym razie Paul zasługiwał na chwilę zemsty. Wkrótce okaże się, czy Behr miał rację. Paul wstał z krzesła, w jego ruchach widać było niezdecydowanie, jego ramiona były sztywne. Wyprowadził niepewny cios prawą ręką, który wylądował na lewym policzku Roostera.

- Nie bij po twarzy - poinstruował go Behr.

Po chwili patrzył z rosnącym niepokojem, jak Paul kieruje swoje ataki na ciało Roostera, wszystkie ciosy były kruche i słabe. Przez chwilę młócił rękami bez żadnego skutku, po czym, dysząc, cofnął się o krok. Mintz znosił ciosy bez żadnego grymasu, zdawało się nawet, że zaczyna się uśmiechać. Paul był zdenerwowany, bał się, a Behr dobrze wiedział, co strach robi z ludźmi - odbiera im siłę. Sprawia, że stają się słabi. Detektyw był tego świadkiem wiele razy, widział zmęczonych gliniarzy pracujących nad ważnymi sprawami, którzy nagle zaczynali działać na jednej czwartej obrotów i zawodzili w ważnych momentach. Widział takie sytuacje także na ringu podczas meczów policji i straży pożarnej. Silni, wysportowani faceci, którzy nie byli w stanie zatrzymać swoich przeciwników, nawet kiedy zadawali im czyste ciosy przy dopingu swoich kolegów. Czuł to na własnej skórze na ringu podczas takich zawodów, ale udało mu się przezwyciężyć tę niemoc i zatrzymać braci Kelly dwa lata z rzędu - jednego na punkty, drugiego przez nokaut.

Behr zaczął się martwić. Nie wyciągnęli nic z Mintza, a za chwilę kończył się czas. Poczul pokusę, aby obrócić drania i dołożyć mu osobiście. Był wystarczająco wkurzony, żeby to zrobić skutecznie, jednak się powstrzymał. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie ich zwycięstwo.

- Ramiona niżej... zobacz swojego syna... i uderz tego skurwiela! - wycedził Behr surowo.

Oczy Paula zaszyły mgłą. Wziął głęboki wdech, podniósł ręce i podszedł bliżej. Teraz jego ciosy były dużo płynniejsze. Bił z wyraźnym zamiarem, ze starym, nagromadzonym gniewem, który nie płonął jak ogień, a raczej żarzył się jak węgle. Paul uchwycił się tego uczucia i walił, jakby chciał przebić się przez brzuch Roostera i wyrwać jego flaki, robił to

dokładnie tak, jak powinno się to robić. Behr poczuł jak mężczyzna, który do tej pory aktywnie się bronił przed ciosami, zaczyna spinać się z bólu, a w końcu wiotczeć w jego rękach z powodu odniesionych obrażeń. Przez Paula zaczęła przemawiać furia i nie zamierzała przestać.

*

Spokojnie to wytrzymam - przebiegło przez głowę Roostera - *mogę tak cały pieprzony dzień*. Miał fart, że Duży Kutas tylko go trzyma, zamiast okładać. *Kurwa, ale ja mam szczęście!* - pomyślał. Nędzne ciosy tego drugiego gościa nie robiły wrażenia na jego twardym jak skała brzuchu. *Zawsze miałem szczęście*. Przez chwilę wydawało się, że sprawy potoczą się kiepsko, zaraz po tym jak wszedł do pokoju przesłuchań, a Duży Kutas skoczył na niego.

Mintz pamiętał ich z siłowni. Potem ten duży utkwiał w nim spojrzenie pełne nienawiści, które sprawiło, że Roosterowi zrobiło się słabo. Czuł siłę tego faceta, kiedy Duży Kutas dusił go kablem od słuchawek. Poczuł ją po raz drugi, kiedy był przez niego przytrzymywany - palce jak żelazo miażdżyły bicepsy Mintza i uciskały wszystkie nerwy. Gdyby to ten gość zaczął bicie, mogłoby to oznaczać kłopoty, ale z takim nędznym gównem mógł sobie poradzić. Przez chwilę zastanawiał się, kim byli i co na niego mieli. Na początku myślał, że byli glinami, i rzeczywiście było w nich coś z glin, ale to jak zadawali pytania i sposób, w jaki go przesłuchiwali, zbiło go z tropu. A co do zdjęcia, w tym dzieciaku było coś znajomego - wyglądał dokładnie jak każdy inny, nad którym pracował. A jednocześnie nie wyglądał jak żaden z nich. Jakim cudem miał ich, kurwa, spamiętać? Kiedy wchodził do pokoju, te dzieciaki były jedynie ciałami. Nie próbował ich zapamiętywać. A nawet gdyby pamiętał, to i tak tym dwóm gorylom by o tym nie powiedział. Nie siedział tu, aby naprawić swoje winy. O nie! Świat postawił na niego wielkiego kloca, a Rooster Mintz uważał, że należy podać go dalej.

Pan Oferma odsunął się od niego, najwyraźniej już się zmęczył, jedynie doświadczenie powstrzymało Roostera od uśmiechnięcia się. Nie chciał ich, na litość boską, inspirować. Po chwili Duży Kutas zaczął instruować swojego koleśka i wtedy sprawy się spieprzyły. Pan Oferma podniósł ręce jak zawodnik wagi ciężkiej i podszedł do niego zawodowym krokiem zwiastującym rundę drugą. Kolejne ciosy były już inne. Facet dobrze rozłożył ciężar ciała, jego ramiona pracowały jak tłoki. Rooster poczuł, jak ulatnia się jego pewność siebie, ciosy zaczęły go pożerać, w końcu zalała go fala paniki. Poczuł, że traci

oddech. Walczył tylko, aby przetrzymać. Po chwili modlił się, żeby już było po wszystkim, cicho skamlał, *aby się już skończyło, po prostu, kurwa, skończyło*. Ale tak się nie stało. Mięśnie brzucha zawiodły go. Ustąpiły jak miedź, w którą uderza młot kowalski. Ciosy lądowały teraz dokładnie na jego wątrobie i śledzionie. Krew odpłynęła z mózgu i zaczęło kręcić mu się w głowie. Gdyby nie to, że trzymał go Duży Kutas, latałby i obijał się po całym pokoju. Podałby im wszystko, co chcieli wiedzieć, nawet to, czego nie wiedział, gdyby tylko zapytali. *No proszę, kurwa, zapytajcie!* Nie pytali. Poczł, jak spienione resztki śniadania wylewają się z kąców ust, a nogi zaczynają się pod nim uginać. Zwiotczał w rękach dużego faceta, a potem: *Dzięki ci, kurwa, Jezu - skończyło się*.

- Wystarczy - powiedział Behr i złożył to, co pozostało z Mintza na krześle.

Krew zmieszana z żółcią płynęła z kącików ust mężczyzny, który nawet nie próbował jej wytrzeć. Behr czuł pokusę, aby kontynuować bicie, aż do momentu, gdy nie rozlegnie się pukanie do drzwi. Niech ten gnój wylądje w szpitalu! Zobaczył jednak, jak wycieńczony był Paul. Nie chciał, aby jego partner zasłabł w pokoju, a poza tym miał pytania, które musiał zadać.

Ciałem Mintza zaczęły wstrząsać spazmy. Wyglądało na to, że zaraz się porzyga, ale w jakiś sposób udało mu się utrzymać zawartość żołądka. Detektyw ponownie pokazał mu zdjęcie Jamiego. Mintz spojrział na nie i słabo potrząsnął głową.

- Nikogo w ten sposób nie chronisz, rozumiesz?! Wiemy, kim jesteś. Wiemy, czym się zajmujesz.

- Ja nie... - głowa Mintza poruszyła się delikatnie w geście poddania. - Ja nie...

- Wiemy o tobie i twoim starym znajomym. Tad Ford, pamiętasz? - Behr zobaczył, że Mintz niespokojnie przełyka ślinę. *Sukinsyn - pomyślał detektyw - to on ma na sumieniu zabójstwo Forda.*

- Gównu nas to obchodzi. Chcemy tylko informacji o dzieciach. O tym chłopcu - Behr stuknął kilkakrotnie w zdjęcie Jamiego swoim palcem wskazującym. - Znasz go?

- Nie wiem.

- Mów albo tym razem ja się wezmę za ciebie - Behr zauważył, że na twarzy Mintza pojawiło się czyste przerażenie.

- Czego wy kurwa ode mnie chcecie?! Co?! - pytał Mintz. Jego głos był wysoki i piskliwy. Płakał. Łzy i smarki mieszały się z potem i żółcią na jego twarzy, wyglądał fatalnie. Zza drzwi dobiegło głośnie pukanie. Czas minął.

- Paul, trzymaj drzwi! - warknął Behr. Paul natychmiast wstał z krzesła i ruszył w ich kierunku.

- Wiem kanalio, że łamiesz te dzieci, żeby nadawały się na lepszych towarzyszy. Powiedz mi coś, co może mi się przydać, albo nigdy nie opuścisz tego pokoju! - ręka Behra wystrzeliła do przodu, złapał Roostera za gardło i zacisnął palce. Z zewnątrz dochodziły dźwięki obracającego się klucza w zamku, czyjaś dłoń próbowała nacisnąć klamkę. Paul trzymał ją mocno, nie pozwalając, by się poruszyła. Behr ścisnął gardło Mintza, jakby miał zamiar go udusić. Pomyślał, że być może nawet powinien to zrobić.

- Kim ja kurwa jestem? Nigdy nie zapamiętywałem tego, co robiłem. Chcecie kogoś, kto się liczy, no nie?! - wycharczał Mintz. - Chcecie Riggiego. Oscar Riggi.

Pukanie zmieniło się w walenie. Paul spojrzął na Behra, ten skinął głową. Gabriel odszedł od drzwi, które natychmiast się otworzyły. Stał za nimi Silva, wyglądał na strasznie wkurzonego.

- Czas, kurwa, minął!

Behr puścił gardło mężczyzny, wyjął notes i zapisał nazwisko. Starał się opanować ręce, które drżały od nadmiaru adrenaliny i obrzydzenia.

Wszyscy stali, rozglądając się z zakłopotaniem. Roostera ponownie zakuto w kajdanki i razem opuścili pokój, idąc w szereg. W korytarzu czekał następny gość pokoju - łysy prawnik w średnim wieku trzymający duży neseser. Chociaż pokój przesłuchań był dźwiękoszczelny to prawnik spojrzął na nich, jakby dokładnie wiedział, co zaszło. Brzydota tego, co się stało przed chwilą w środku wylewała się na korytarz, w sposób tak oczywisty, jak smród dochodzący z obory.

Przez korytarz prowadzono klienta prawnika, dużego, silnego, czarnego mężczyznę z ogoloną czaszką. Behr rozpoznał go. Earl Powers. Potrafił wynaleźć wszystko, czego chciał jego klient. Był kolegą Terry'ego Cottrella.

- Earl - powiedział na przywitanie.

- Co tu robisz Behr? - Earl skinął głową.

Mintz odwrócił się, częściowo prowadzono go, a częściowo niesiono.

- Tak się nazywasz? Behr? Zaskarżę cię, ty kurwo!

- Znasz tego bydlaka? - zapytał Earla Behr. - Facet *gula* dzieci - powiedział Behr w chwili gniewu, wydając tym samym wyrok na Roostera Mintza.

Na twarzy Powersa zaszła zmiana. Jego oczy powiększyły się z wściekłości. Każdy kto garował, tak jak Earl Powers, znał to określenie. Pochodziło z włoskiego, od słowa *fungulo* i znaczyło brać kogoś siłą.

- Gównu prawda! - zacharczał Mintz, bardziej jak zwierzę niż człowiek. Wiedział, jak za kratami traktuje się gwałcicieli dzieci, a teraz był już naznaczony. Kiedy ciągnięto go w

dół korytarza, wciąż darł się i zaprzeczał, aż w końcu zniknął za rogiem.

Behr i Paul opuścili więzienie. Troy Silva z więzienia stanowego spłacił swój dług.

24

Jasne drewno podłogi w Centrum Jogi Samadhi było tuż przy twarzy Carol, gdy leżała na brzuchu. Po chwili wygięła się w łuk, *bhujangasana* - pozycja kobry. Powietrze wypełniały dźwięki indyjskiej muzyki - harmonia, ręczne cymbały, cytra. Wokół unosił się delikatny zapach kadzidła. Obawiała się tego, co miało wkrótce nadejść, starała się o tym nie myśleć i skupić się na chwili obecnej. Usłyszała głos instruktora, głos kojący i zachęcający, który polecił ćwiczącym, aby poprzez pozycję psa weszli w pozycję gołębia. Carol postawiła prawą nogę przed resztą ciała, zgięła ją w kolanie i wypięła pierś niczym ptak. Wytrzymała tak przez chwilę, po czym opadła na podłogę. Zaawansowana uczennica znajdująca się przed nią przeszła do *eka pada rajakapotasana* - pozycji królewskiego gołębia na jednej nodze. Podeszwa jej tylnej stopy wygięła się w górę tak, że dotknęła tyłu głowy. Carol nie potrafiła sobie wyobrazić giętkości, jakiej to wymagało, skoro pozycja przygotowawcza, w której znajdowała się przed chwilą, sprawiała jej niemal palący ból. Starożytne rany jej miednicy, która musiała się niesamowicie rozewrzeć podczas narodzin Jamiego, zaczęły się otwierać.

Carol zaczęła uprawiać jogę dwa lata wcześniej. Nie można było powiedzieć jednak, że była oddaną uczennicą. A po zniknięciu Jamiego całkiem przestała bywać na zajęciach. Jednak kilka miesięcy temu, kiedy stała w kolejce do kasy w supermarkecie, w jej ręce wpadł magazyn poświęcony jodze. Na okładce znajdowało się zdjęcie modelki w wyciągniętej pozycji. Ten obraz przemówił do jej serca, jakiś wewnętrzny głos wezwał ją ponownie na matę. Teraz trenowała pięć dni w tygodniu i czuła, jak jej stabilność fizyczna powraca dzięki ruchowi i kontroli oddechu. Na początku, przez wiele miesięcy, a nawet często teraz, osamotnienie jej umysłu, cisza były dla niej przerażające. Wspomnienia dźwięków i obrazów, twarzy Jamiego, jego uśmiechu i radości powracały do niej w trakcie zajęć i czuła się wtedy całkowicie bezbronna. Jej cierpienie było nie do opisanania. Uczucia, jeszcze do niedawna martwe, teraz zaczęły budzić się do życia. Znalazła jednak sposób, aby się nie poddać. Posuwała się do przodu po jednym kroczku, po jednym oddechu. Nadal uczyła się na zajęciach, rozwijała swoją matę i kładła się, zanim zalały ją emocje. Uczestniczyła w misterium

ciszy, po czym zwijała matę, nie odzywając się słowem do nikogo. Robiła postępy, ale wciąż istniały przeszkody, które musiała pokonać, aby jej ciało mogło się otworzyć. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek rozwinię w sobie taką wewnętrzną równowagę i takie zdolności, jakie posiadała reszta klasy. Instruktor ponownie przemówił, udzielając im dalszych wskazówek.

- Oddychajcie głęboko i otwórzcie się na rozległe morze boskiej łaski, która was otacza.

Carol spojrzała w lewo na mosiężną statuetkę Tańczącego Shivy. Bóg stał pod płonącym łukiem, jego prawa stopa opierała się na postaci przypominającej Karła. To symbol iluzji i ignorancji. Carol dowiedziała się tego podczas seminarium na temat medytacji kilka miesięcy temu. Shiva miał dwie pary rąk, w jednej z jego prawych dłoni spoczywał mały bęben, na którym wybijał rytm wszechświata i stworzenia, podczas gdy płomień w jednej z jego lewych rąk symbolizował spalenie, zniszczenie i oczyszczenie wszystkich rzeczy śmiertelnych tego świata.

Spojrzała w górę, na głowę boga, skupiła się na jego trzecim oku, znajdującym się pośrodku czoła, jego centrum wszechwiedzy, i nagle jej mięśnie, dolna część pleców i więzadła rozluźniły się i otworzyły. Poczowała, jakby ciepły płyn spływał po jej biodrach. Jej ciało ułożyło się płasko na podłodze, w którą się wtopiła, osiągając stan, jakiego sobie nie wyobrażała. Każda jej komórka przemawiała do niej, gdy poczuła naciągającą falę głębokich emocji uwalniających się z bioder. Ból porodu, każda choroba, obawa i rozczarowanie, jakiego Jamie doznał w życiu, stały się jej udziałem. Wielka, natchniona radość z bycia matką, cierpienie, jakie przyniosła jego strata, wszystkie te uczucia wydawały się wypływać z centrum jej jestestwa. Poczowała, że jej żołądek się kurczy, zaczęła cicho płakać. Słyszała, że takie połączenie ciała i emocji jest możliwe po długich ćwiczeniach, nigdy nie myślała, że będzie płakała w trakcie zajęć. W końcu ból stał się tak wielki, że nie chciała, nie mogła już dłużej mu się opierać. Pozwoliła, aby płynął.

*

Paul wiedział, że spotka Carol, jeśli pojedzie do domu się przebrać. W jego stanie było to nieco niefortunne, ale musiał to zrobić. Zaczął się pocić w chwili, kiedy razem z Behrem weszli do więzienia. Gdy je opuszczali, był przemoczony, wręcz ociekał potem. Musiał zmyć z siebie brud dzisiejszego dnia, a Behr musiał sprawdzić informacje dotyczące nazwiska, które otrzymali, zanim będą mogli spotkać się ponownie i pójść pogadać z Oscarem Riggi.

Zgiął spuchnięte palce i roztarł nadgarstki. Tego dnia nauczył się kilku rzeczy o biciu

ludzi. Zapamiętał je na długo. Dystans był wrogiem. Krótkie ciosy były lepszą metodą. Czuł, jakby miał na rękach sztywne rękawice, za małe o kilka rozmiarów, tak bardzo bolały go dłonie i nadgarstki. Nie powinien tak czuć, ale zadawanie tych ciosów przyniosło mu pewną satysfakcję. Musiał podziękować za to Behrowi.

*

Carol wróciła ze swoich zajęć koło południa i zorientowała się, że Paul jest w domu. Kiedy zobaczyła rano, że nie ubiera się w garnitur i nie wychodzi do pracy jak zwykle, była pewna, że jej mąż ma romans. Wcale jej to nie zdziwiło, biorąc pod uwagę stan, w jakim znajdowało się ich wspólne życie. Zastanawiało ją jedynie, dlaczego czekał tak długo. W ciągu ostatnich kilku tygodni przez większość nocy nie było go w domu. Nawet nie starał się jej tego wyjaśnić. Ona zresztą też nie pytała. Wydawało się, że nie interesuje go ukrywanie przed nią pewnych faktów. Zraniło ją to bardzo. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że coś może ją jeszcze zranić. Ten ból był dla niej zaskoczeniem. Nie był nieprzyjemny, raczej wyczerpujący.

Weszła na górę. Spodziewała się, że zastanie go z inną kobietą i zastanawiała się po drodze, co powinna zrobić. Nie wiedziała, czy ma w sobie wystarczające pokłady energii, aby udać oburzenie i zrobić scenę.

Kiedy weszła do sypialni, zobaczyła, że Paul jest sam. Przed chwilą wyszedł spod prysznic, teraz się przebierał. Nie odzywał się. Carol siedziała na skraju łóżka, kiedy dostrzegła kolejną rzecz, która wprawiła ją w zdziwienie - jego dłonie. Były spuchnięte i czerwone. Przeniosła swój wzrok z jego rąk na okryte ręcznikiem biodra, nagi tors, w końcu jej oczy spoczęły na jego twarzy.

- Znowu boksowałeś?

Wiedziała, że od jakiegoś czasu ciężki worek wisi nieużywany w garażu.

- Tak. Właśnie tak.

Nie patrzył jej w oczy. Podeszedł do szafy i ubrał się. Carol natychmiast rozpoznała kłamstwo. *Coś się dzieje* - pomyślała. Niestety, nie wiedziała co.

Paul wyszedł z pokoju i zszedł na dół. Słyszała, jak krząta się po kuchni, najwyraźniej robił coś do jedzenia. Po chwili na zewnątrz dał się słyszeć klakson. Drzwi wejściowe otworzyły się, po czym zamknęły. Podeszła do okna i zobaczyła go, jak niosąc dwie kanapki, podchodzi do samochodu Franka Behra i wsiada do środka. Odjechali.

Coś się dzieje - myśl powróciła do jej głowy.

*

O Miłosierny Jezu, Baranku Boży, ja nędzny grzesznik... Oscar Riggi klęczał w różnokolorowym świetle kościoła Św. Franciszka... Oddaję chwałę i cześć Przenajświętszej Ranie Twego Ramienia, na którym dźwigałeś Swój Ciężki Krzyż, który rozdarł Twe Ciało i obnażył Twe Kości, zadając Ci ból większy niż jakakolwiek inna rana na Twym Przenajświętszym Ciele.

Kościół pachniał kadzidłem. Ten zapach przypominał mu lata młodości i długie godziny spędzone w świątyni jako ministrant. Msza stała się dla niego rutyną podczas tych niekończących się, identycznych poranków. Jedyne przyzwyczajenie kazało mu nadal czcić te dni. Wypowiadał słowa, jednak nie czuł, aby miały jakikolwiek związek z tym, co znaczą. Tak naprawdę coraz trudniej było mu je wypowiadać. Oddalił się od Kościoła, jak jeszcze nigdy dotąd. *Oddaję Ci Cześć o Jezu, chwałę Cię i składam Ci dzięki za Twą Przenajświętszą Ranę Bolesną...* Patrząc na postać Odkupiciela, wykonaną z ciemnego mosiądzu, wiszącą na krzyżu tuż przed nim, Riggi wyobraził sobie ich twarze. Twarze chłopców - młode, jasne i niewinne. Potrafił sobie ich tylko wyobrazić, ponieważ nigdy nie poznał ani nie widział żadnego z nich. Nawet gdy byli już pod jego kontrolą. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdarzyło się, że przypadkiem widział któregoś z nich przedtem. Starał się ich policzyć, ale nie potrafił. Minęło już dwanaście lat. Trzy miasta, odkąd zaczął. Było ich całkiem sporo. Posiadał zaszyfrowane akta, które pozwalały dokładnie odpowiedzieć na to pytanie oraz księgi rachunkowe, które zawierały wszystkie sumy. Nie zaglądał do nich od bardzo, bardzo dawna.

...błagam Cię, poprzez Twe bolesne cierpienie i poprzez ciężar Twego Krzyża, bądź miłosierny dla mnie, odpuść mi wszystkie moje grzechy i zaprowadź mnie do Nieba, drogą Twego Krzyża. Amen.

Riggi skończył wypowiadać słowa modlitwy. Wstał i poczuł, jak krew zaczyna krążyć w jego kolanach. Nie mógł się skupić na tym, co robił, a brak skupienia był cechą charakterystyczną słabego menadżera.

Tad Ford był martwy. Riggi nie mógł skontaktować się ze swoim głównym człowiekiem - Roosterem. Nie był w stanie kontrolować swojego interesu. Maszyna, którą misternie budował, przestała funkcjonować. Kiedy kilka miesięcy temu Tad postanowił zrezygnować, wydawało się to niewielkim problemem. Gość był półdebilem, osłem, który jedynie wykonywał polecenia, ale zastąpienie go okazało się zadziwiająco trudne, zanim stał się dla nich zagrożeniem i musiał odejść na wieki. To było pierwsze zabójstwo zlecone przez

Riggiego. Oprócz tego Riggi miał na swoim koncie tylko jedną śmierć - dziesięć lat temu zlecił pobicie, które poszło trochę za daleko. Teraz zamknął biuro, wypłacił wszystkim dwutygodniową pensję, aby wszystko było w porządku. Jeśli chodzi o zatrudnienie nowych pracowników, to Riggi znał wielu młodych ludzi skłonnych zrobić niemal wszystko, byleby tylko dostać gruby plik banknotów do ręki. Kilku z nich, w szczególności dwóch - Wenck i Gilley, okazało się na tyle zaufanych, by ukraść kilka samochodów i pozbyć się kilku innych, jednak Riggi nie był pewny, co do ich kompetencji, jeśli zleciłby im porwanie. Może był już na to za stary i zbyt ostrożny. Zawsze słuchał swojego instynktu, a w zamian ten przemawiał do niego jasno i wyraźnie, niemal na głos. Ostatnio instynkt krzyczał: *czekaj!*

Jego buty stuknęły na kamiennej posadzce, kiedy szedł w stronę drzwi. Zatrzymał się na chwilę przy chrzcielnicy i zanurzył palce w wodzie święconej.

W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego...

Powietrze było lodowate. Zapiął szykowny, kaszmirowy płaszcz, podniósł jedwabno-kaszmirowy kołnierz, aby zagrozić drogę podmuchom wiatru. Wydawało się, że zima nigdy się nie skończy. Tęsknił za Bahamami, za Wyspą Paradise. Jego kończyny potrzebowały ciepłego, wilgotnego powietrza. Wyobraził sobie masaż na plaży, tropikalne drinki, wieczory spędzane w kasynie i palenie kubańskich cygar, których było tam pod dostatkiem. Mógł zadzwonić do biura podróży i wylecieć na kilka lub chociaż trzy dni. Jediną decyzją, jaką musiał podjąć, to którą młodą damę zabrać ze sobą. Stać go było na to. Nadal miał spore dochody płynące z wynajmowanych lokali, ale czuł, że nie jest to odpowiedni moment. Jego etyka zawodowa mówiła, że kiedy sprawy zaczynają toczyć się źle, należy wziąć się za nie i sprawić, by wszystko znowu działało jak w zegarku. Oczywiście, kiedy wszystko szło po jego myśli, czuł się zobowiązany wykorzystać sprzyjającą sytuację i nie chciał tracić rozpędu na coś tak błahego jak wakacje. Wynikiem takiego podejścia był ogromny stres, dokładnie taki, jaki przygniatał go teraz. Był pracoholikiem i miał tego świadomość.

Wsiadł do samochodu, skórzany fotel był zimny niczym marmurowa płyta. Uruchomił silnik. Wyjechał z parkingu i ruszył w stronę biura, jakby był na autopilocie.

*

- Mam na razie dwa adresy. Biuro i dom - oznajmił Behr, kiedy Paul wsiadł do samochodu. Detektyw wycofał wóz i ruszyli. - Okazuje się, że facet, Riggi, wynajmuje nieruchomości. Jego dom znajduje się na ulicy Heatherstone w Carmel.

- Musi mu się nieźle powodzić - powiedział Paul, podając Behrowi kanapkę.

- Yhm. Powinniśmy najpierw odwiedzić jego biuro.

Skończyli swoje kanapki z indykiem na pełnoziarnistym chlebie dokładnie w chwili, gdy podjechali pod niewielki budynek. Zbudowany w stylu Tudorów, stał na uboczu, z dala od innych budynków na tej ulicy. Swoją siedzibę miała w nim firma Nieruchomości Hemlock Point. Podeszli do grubych, brązowych, drewnianych drzwi. Okazały się zamknięte. Zajrzeli do środka przez niewielkie, kwadratowe przeszklenie. W głównym pokoju znajdowały się trzy biurka, przy których nikt nie siedział, na nich komputery i katalogi z ofertami. W rzeczywistości całe miejsce, włączając poczekalnię i pomieszczenia, które, jak im się wydawało, były biurami, świeciło pustką.

- Jest koło południa. Może wyszli na lunch.

- Może agencja jest dziś zamknięta.

- Może.

Nie znaleźli żadnej wskazówki, który z ich domysłów mógł być słuszny. Wrócili do samochodu i czekali. Ich oddechy zamieniały się w niewielkie kłęby pary.

- Moglibyśmy pojechać do jego domu, ale wtedy możemy się z nim minąć. Proponuję zainwestować kilka godzin w czekanie - przekonywał Behr.

Paul przytaknął.

Pierwszy kwadrans spędzili w milczeniu, żaden z nich nie chciał wracać do wydarzeń poranka. Jedynym wspomnieniem tego, co się wydarzyło, było to, że Paul ciągle zginał i rozcierał swoje dłonie.

Behr zdecydował się przełamać ciszę.

- Sporo ryzykowałem, zabierając cię do więzienia. Większość facetów stchórzyłaby w takiej sytuacji - mówił. - Ty byłeś dobry. Naprawdę dobry.

- Jeśli większość facetów stchórzyłaby, to dlaczego ryzykowałeś? - zapytał Paul.

- Nie jesteś większością facetów.

Paul podziękował skinieniem głowy.

- Ty też nie, Frank.

Umilkli i obserwowali, jak południe zamienia się we wczesne popołudnie. Nie minęło dużo czasu, a oddech Paula stał się głębszy. Powieki zaczęły mu opadać i w końcu zapadł w lekki sen.

*

Paul poczuł, jak jego kości zamieniają się w gumę. Jego umysł odpłynął do miejsca,

gdzie nie było myśli. Otoczyła go złota ciemność. Szedł piaszczystą plażą. Był w Destin na Florydzie. Trzy lata temu spędzali tam Wielkanoc, ale teraz był tu, w miejscu poza czasem. Paralotniarz przeleciał obok niego, ciągnięty przez motorówkę. Jego sylwetka była czarna na tle nieba. Słońce świeciło prosto w oczy Paula. Intensywnie. Nie odwrócił wzroku. Gorący piach wsysał jego stopy, pochłaniał jego kroki. Paul wiedział, że drzemie, że to sen, ale te obrazy były prawdziwsze niż jakakolwiek rzeczywistość, którą znał. Szedł dalej, w pewnym momencie dostrzegł swoją żonę. Była w stroju kąpielowym, jej ciało było młode i jędrne. Jego wzrok wędrował wzdłuż jej ramienia boleśnie wolno, aż dotarł do dłoni. Trzymała w niej inną, mniejszą dłoń, która należała do chłopca. Jamie. Stopy jego syna poruszały się w młodzieńczym tańcu. Przypominał żrebaka. Skakał, a nagrany piasek przyklejał się do jego kostek. Paul przyspieszył, jego nogi były niesamowicie ciężkie. Mimo to nadal zmniejszał dzielący ich dystans. Jeden krok, dwa kroki bliżej. Nagle ręce jego żony i syna rozdzieliły się. Jamie zaczął biec po plaży, lekki, wolny. Paul nie miał szans go złapać. Jego nogi były z gumy. Jamie nie uciekał, obrócił się w miejscu, zupełnie jak wtedy, gdy był małym dzieckiem i badał granice swej niezależności, ale jednocześnie chciał być pewien, że rodzice są w pobliżu. Paul się przebudzał, jego umysł powracał do świadomości. Dręczyło go jednak nieodparte pytanie, czy był to jedynie sen, czy to może duch jego syna właśnie złożył mu wizytę.

Otworzył oczy. Był z powrotem w zimnym samochodzie. Nie było czasu zastanawiać się nad wizją. Z błyszczącego sedana wysiadł mężczyzna i szedł w kierunku budynku. Paul spojrzał na niego i zobaczył go z ulotną, niesamowitą jasnością, jaką przynosi jedynie przebywanie na skraju świadomości. Wierzył, że dzisiejszego ranka w więzieniu zobaczył obrzydliwą prawdę skrywaną przez świat, ale teraz jedno spojrzenie przez przednią szybę wystarczyło, żeby odkryć, że istnieją całe warstwy brudu i okrucieństwa, a on dotarł dopiero do ich powierzchni.

*

Behr był już w połowie drogi, gdy Paul otwierał drzwi.

- Dzień dobry panie Riggi, jak się pan ma?

Oczy mężczyzny w drogim płaszczu drgnęły. Odnaleźli właściwego człowieka.

- Jesteśmy zainteresowani wynajęciem...

- Wcale nie jesteście - przerwał mu mężczyzna i zatrzymał się. Od razu zniszczył pretekst Behra do rozpoczęcia rozmowy. - Czego chcecie?

- Ma pan rację, nie chodzi o nieruchomości. Chodzi nam o pana działalność dodatkową.

- Działalność dodatkową? Nie. Jestem pośrednikiem. Jeśli nie chodzi panom o nieruchomości, to obawiam się, że nie mogę pomóc.

- Rozmawialiśmy z pańskim współpracownikiem. Obrzydliwy gość w obrzydliwym miejscu. Twierdził inaczej.

- Tak? A kto to taki?

- Garth Mintz.

Detektyw uważnie obserwował twarz Riggiego, która była bardziej rumiana, niż wskazywałyby na to panująca temperatura.

- Nie mam współpracownika o takim nazwisku. Czego chcecie?

- Tak, ma pan.

- Czego dokładnie chcecie? Pytam po raz ostatni.

Behr zdał sobie sprawę, że dotarli do miejsca, w którym jedynym wyborem było brnąć naprzód.

- Przychodzimy w sprawie chłopca, który zaginął. Jamie Gabriel.

Na twarzy Riggiego działy się niesamowite rzeczy. Objawiło się na niej kilka przeciwstawnych emocji, które natychmiast zostały brutalnie zduszone, zanim jeszcze zdążyły się w pełni ujawnić. Wyraz twarzy mężczyzny pozostał pusty, nie zdradzał niczego. Facet był trudniejszy do przeczytania niż chińska biblia. Behr zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z kręactwem na bardzo wysokim poziomie. Musiałby spędzić z tym gościem całe godziny, na swoich zasadach, zastosować kilka technik śledczych, aby mieć pewność, że odpowiedź, którą uzyskał, jest prawdziwa.

Kiedy Riggi przemówił, jego głos był spokojny i równy.

- Nigdy nie słyszałem tego nazwiska. Nic o tym nie wiem. Jeśli ten Mintz twierdzi inaczej, to powinienem się do niego wybrać i porozmawiać z nim. Gdzie go znajdę?

Behr docenił wysiłek mężczyzny, który chciał uzyskać odpowiedź na własne pytanie.

- Proszę się tym nie martwić - zbył go.

Pierś Riggiego uniosła się pod płaszczem, gdy zadawał swoje następne pytanie, choć ton jego głosu nie zmienił się.

- Kim jesteście? Chcę wiedzieć, ponieważ jeśli natrafię na coś, co będzie w stanie pomóc, to będę chciał się z wami skontaktować.

Behr spojrział Riggemu w oczy. Były świńskie, małe i zimne, ale inteligentne. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął wizytówkę. To było mądre posunięcie ze strony Riggiego. Postawił

Behra w sytuacji, w której ten zmuszony był do ujawnienia informacji o sobie.

- Proszę - powiedział Behr i podał mu wizytówkę. Riggi spojrzał na nią.

- Dziękuję, panie Behr - wzrok Riggiego przeniósł się na Paula. - A z tobą jak się mogę skontaktować, cichy kolego?

- Cichy kolega jest moim współpracownikiem. Nie ma swojej wizytówki. Może się pan z nim skontaktować przeze mnie.

Riggi skinął głową, jakby odpowiedź powiedziała mu dużo więcej, niż zdawały się mówić same słowa.

- Rozumiem - schował wizytówkę i odwrócił się w stronę biura. - Na mnie już czas. Jeśli planujecie jeszcze wrócić, to proszę umówić się na spotkanie.

- Tak zrobimy.

Frank patrzył mu w oczy. Mężczyzna, który stał przed nim, nie był zboczeńcem walczącym ze swymi żądzami. Był człowiekiem zorganizowanym, biznesmenem. Behr uważał, że w pokoju przesłuchań więzienia stanowego obecna była esencja zła. Teraz wiedział, że w tym przypadku ma do czynienia ze złem, które ewoluowało na wyższy poziom.

*

Riggi siedział w pustym biurze pogrążonym w ciemności. Zamknął za sobą drzwi i zasunął żaluzje. Butelka Lagavulin była w zasięgu jednej ręki, w drugiej spoczywała wizytówka: FRANK BEHR, USŁUGI ŚLEDICZE. Na wizytówce widniały numery telefonu, komórki i faksu. Wszystkie informacje, jakich tylko mógł potrzebować. Od razu zorientował się, że będą z nimi kłopoty, jak tylko ten fiut i jego niemy przyjaciel podeszli do niego. Teraz, kilka godzin później, po przemyśleniu sprawy na chłodno, był pewien, że Behr był tym samym człowiekiem, który wpierdolił Tadowi Fordowi. Był zdecydowanie wystarczająco duży, aby tego dokonać, a poza tym, jak po nitce do kłębka, musiał zdobyć wystarczająco dużo informacji, aby wylądować na progu jego biura. Riggi zakładał, a może tylko miał nadzieję, że Tad nie zdradził niczego, kiedy był bity i że nie miał czasu niczego zdradzić, zanim nie zamilkł na wieki. W miarę upływu czasu od zajścia Riggi wmówił sobie, że tak właśnie było, tym bardziej że nie pojawiły się żadne dalsze komplikacje.

Oszukiwał się. Wiara w pobożne życzenia, zamiast dostrzegania rzeczy takimi, jakimi są, nie była sposobem działania poważnego człowieka. Niedawno w gazecie czytał artykuł na temat pobicia policjantki. Policja nie podała nazwiska sprawcy. Ale Riggi miał swoje domysły. Może jednak Tad wygadał wystarczająco dużo, aby ten detektyw dotarł do Roostera

i jakimś cudem zmusił go do mówienia.

Przełknął porcję szkockiej, aby zagłuszyć uczucie chłodu, jakie niosła ze sobą ta myśl. Czuł coraz większe napięcie. Riggi bardzo tego nie lubił. Nadszedł czas, aby przygotować się do wojny. Sięgnął po telefon i wybrał numer.

- Wenck? - upewnił się. - Tu Oscar. Gilley jest z tobą? Dobrze. Czas ubić poważny interes.

25

Behr siedział w biurze Paula, korzystał z jego komputera do późnego popołudnia. Zaczął od sprawdzenia nazwiska Riggi w różnych wyszukiwarkach i na różnych stronach informacyjnych. Żadnych wyników. Większość nazwisk pojawiała się w wynikach wyszukiwania jako osoby związane z czymś ślubem, pogrzebem, czy inne ogłoszenia, które trafiały do internetu. Behr zastanawiał się, czy nie ma czasem do czynienia z pseudonimem lub zmienionym nazwiskiem. Odchylił się na krześle i zwrócił uwagę na dyplomy, które wisiały na ścianach. Upamiętniały osiągnięcia Paula w sprzedaży ubezpieczeń, zaświadczały o ukończeniu seminariów oraz potwierdzały jego kwalifikacje w dziedzinie finansów. Spojrzał na zdjęcia stojące na biurku Paula: Carol, Jamie, cała trójka. Uśmiechali się jak szczęśliwa rodzina. Niegdyś taką byli.

Obrazy sprawiły, że wrócił do ciągu informacji, które znajdowały się na monitorze. Od czasu do czasu Paul wchodził i wychodził, aby zabrać dokumenty, które były niezbędne do spotkania z następnym klientem. Spotkania odbywały się w sali konferencyjnej na końcu korytarza.

W tym czasie Behr zabrał się za dokładniejsze poszukiwania w wirtualnym świecie. Sekretarka Paula także pojawiała się w biurze raz na jakiś czas, zabierała lub zostawiała jakieś papiery. Za każdym razem rzucała Behrowi zagadkowe spojrzenia, ale Paul dobrze ją wyszkolił i nie zadawała żadnych wścibskich pytań.

Detektyw wszedł do miejskiej bazy danych Indianapolis i skoncentrował się na wyszukiwaniu właścicieli nieruchomości. Tym razem jego poszukiwania były owocne. Riggi był właścicielem ponad pół tuzina nieruchomości handlowych. Oprócz ich lokalizacji, wyceny oraz adnotacji, że podatki są płacone na bieżąco, Behr nie odnalazł zbyt wielu informacji. Spisał adresy, a kiedy wyjrzał przez okno, zauważył, że zrobiło się już ciemno.

Wyszli razem, Paul zamknął biuro. Skierowali się na parking. Paul spędził cały dzień z Behrem i pragnął znaleźć się w domu.

- Co znalazłeś? - zapytał detektywa.

- Jak dotąd opowieść Riggiego jest prawdziwa. Jest właścicielem nieruchomości pod wynajem w różnych punktach miasta. Masz chwilę, zanim odwiozę cię do domu?

Paul był wyczerpany po ciężkim dniu, mimo to skinął głową. Kierowali się pod pierwszy adres, który widniał na ręcznie sporządzonej liście Behra.

*

Pierwsza nieruchomość była niewielkim centrum usługowym, które mieściło bar, sklep z zegarkami, pralnię, przychodnię pediatryczną oraz sklep z mrożonymi jogurtami, który, jako jedyny, był otwarty o tej porze. Patrzyli na centrum przez chwilę, siedząc w samochodzie po drugiej stronie ulicy, po czym ruszyli powoli wzdłuż sklepowych witryn. Ciemne szyby odbijały światła ich samochodu. Minęli budynek i zakręcili na jego tyły, gdzie ujrzeli rząd pojemników na śmieci oraz dwa zaparkowane samochody. Behr zatrzymał wóz i zaczął spisywać numery rejestracyjne. Tylne drzwi sklepu z mrożonymi jogurtami otworzyły się, ze środka wylał się strumień światła. Drobnny, ciemnoskóry mężczyzna wywlekał na zewnątrz przemysłowy worek na śmieci. Przez chwilę kołysał się z boku na bok, nabierając pędu, po czym zamaszystym ruchem cisnął torbę ze śmieciami wprost do pojemnika. Mężczyzna stał w miejscu, otrząpywał dłonie i gapił się na nich przez kilka niezwykle długich uderzeń serca. Paul zastanawiał się, czy Behr ma zamiar wysiąść i go przesłuchać. Zamiast tego detektyw wrzucił pierwszy bieg i powoli odjechał.

Druga nieruchomość była łądzaco podobna do pierwszej - niewielkie centrum usługowe. Mieściło ono solarium, bar Subway, sklep z naturalnymi produktami i zdrową żywnością, niezależny sklep RTV i salon piękności. Przez chwilę obserwowali budynek, w końcu Behr wzruszył ramionami i ruszyli dalej.

- Te adresy coś ci mówią? - zapytał Behr, podając Paulowi listę.

Ten zerknął na kartkę.

- Numery ulic nie, ale jeśli to miejsce jest na skrzyżowaniu Shadeland i Czterdziestej Szóstej, to je znam - powiedział, wskazując na czwartą pozycję na liście.

Dojechali do trzeciego centrum. Behr przejechał powoli przed witrynami nieoznaczonych lokali.

- Tu znajduje się druga przychodnia pediatryczna - Behr zawiesił głos. Powietrze w samochodzie wydawało się całkowicie nieruchome. - Który adres znasz?

- Miejsce, gdzie Jamie chodził do dentysty - Paul nie potrafił ukryć zdenerwowania.

Behr docisnął pedał gazu, samochód ostro ruszył do przodu.

Sprawdzili tuzin pozostałych nieruchomości, przy każdej z nich poziom adrenaliny w samochodzie rósł. Wszystkie, z wyjątkiem dwóch, mieściły przychodnie i gabinety dentystyczne dla dzieci lub całych rodzin.

- Frank, niedobrze mi. To nie jest przypadek, prawda? - zapytał Paul.

Detektyw powoli pokręcił głową. Wydawało się, że wie coś więcej. Nagle Behr zjechał na pobocze, odwrócił się i podniósł z tylnego siedzenia grubą teczkę.

- Sprawdziłem podobne sprawy zaginionych dzieci w tym regionie. Oto teczka z ich aktami.

- Sprawdzasz, czy były one pacjentami w tych przychodniach?

- Tak - odpowiedział Behr, przerzucając kartki policyjnych raportów. - W ciągu ostatnich trzech lat zgłoszono siedem zaginięć chłopców w Indianapolis i okolicach. Okoliczności były podobne do tych ze sprawy Jamiego. Właściwie tych przypadków było dziewięć, ale dwa zostały rozwiązane. Jeden chłopiec odwiedził centrum handlowe po drugiej stronie miasta, zgubił się i obawiając się kary, koczował na ulicach przez prawie tydzień, zanim nie wrócił do domu. Sprawa zamknięta. Drugi chłopiec został znaleziony martwy dziesięć dni po zaginięciu. Został potrącony przez samochód, a sprawca wywiózł ciało do lasu. Również sprawa zamknięta.

Paul nie słyszał jeszcze, żeby Behr powiedział aż tyle naraz. Detektyw zaczął spisywać listę nazwisk pozostałych siedmiu chłopców.

- Raporty policyjne nie zawierają nazwisk ich lekarzy i dentystów, prawda? - zapytał Paul.

- Zazwyczaj nie, chyba że jest jakiś szczególny powód - odpowiedział Behr, przeglądając dokumenty w nadziei, że takie powody istniały w którejś ze spraw. - Nie, nie w tym przypadku - zakończył, zamykając teczkę.

- Czy lekarze są w to wmieszani?

Behr wyglądał, jakby obracał to pytanie i analizował je na wszystkie możliwe sposoby, jak ktoś bawiący się kostką Rubika. W końcu odpowiedział.

- Nie zauważyłem takiego powiązania pomiędzy zaginionymi dziećmi. Początkowo założyłem, że porwanie miało związek z trasą, którą Jamie rozwoził gazety. Myliłem się. Wydaje mi się, że Riggi lub ktoś, kto dla niego pracuje, podąża za pacjentami do ich domów. Siedzi ich albo sprawdza ich dokumenty. Być może wchodzi do gabinetów, posługując się kluczami Riggiego, i tam znajdują nazwiska i adresy.

Behr odwrócił się i rzucił teczkę z aktami na tylne siedzenie. Spojrzał na listę, którą trzymał w dłoni. Nazwiska siedmiu chłopców, od jedenastu do czternastu lat, wszyscy

zaginieni.

- Dzisiejszej nocy już nic nie zrobimy - powiedział.

- Kurwa mać! - wyrzucił z siebie Paul. Oddychał ciężko. Nie mógł pogodzić się z tym, co usłyszał. Nie mógł przetrwać tego bezmiaru obrzydliwości.

- Będę u pierwszego lekarza o 8:00 rano. Jedziesz ze mną?

- Jasne - odpowiedział Paul.

*

Behr wszedł do przychodni dr. Milтона Howarda kilka minut po otwarciu i zastał tłum pacjentów. Matki z chorymi dziećmi i niemowlętami siedziały w poczekalni. Zostawił Paula w samochodzie, jako że liczba pytających nie była istotna przy tego rodzaju zadaniu. Podszedł do biurka, za którym atrakcyjna Latynoska zmagiała się z kartami pacjentów, dzwoniącym telefonem, swoją poranną kawą oraz ogromnymi kolczykami w kształcie kół, które miała w uszach. Kiedy Behr do niej podszedł, nie podniosła nawet wzroku.

- Proszę wpisać imię dziecka na formularzu rejestrowym - poinstruowała jak automat.

- Tak, przepraszam - zaczął Behr. - Jak się pani nazywa?

- Gloria - spojrzała na niego, zaskoczona niestandardowym pytaniem. - Czego pan chce? - nie miała czasu ani ochoty, żeby się uśmiechnąć.

- Jestem detektywem - powiedział Behr, podając jej wizytówkę. - Miałem nadzieję, że dostanę od pani listę pacjentów z jakichś ostatnich dwóch lat - uśmiechnął się, mając nadzieję, że jego prośba zostanie spełniona.

- Kochanie, jeśli masz nakaz, nie ma sprawy. W przeciwnym razie nie ma szans. Coś jeszcze?

- Kiedy jest tu najmniejszy ruch? Może wrócę później i będziemy mogli porozmawiać trochę...

- Skarbie, właśnie teraz - ucięła krótko Gloria. - Później robi się już tylko gorzej.

Behr usłyszał mokry kaszel, spojrzał za siebie i zobaczył matkę trzymającą dziecko z zaczerwienionym nosem.

- Może lunch? - próbował dalej.

- Z tobą? O nie. Przesuń się, przepuść pacjentów.

Behr odsunął się na bok, pozwalając kobiecie zapisać swoje dziecko. Po zakończeniu procedury matka usiadła na plastikowym krześle obok akwarium. Behr oparł się o biurko, zanim dwie kobiety - jedna z chłopcem, który niedawno nauczył się chodzić, druga z

dziewięcioletnią dziewczynką - zdążyły wpisać się na listę. Gloria westchnęła, widząc, że Behr nie zamierza dać jej spokoju.

- Co powiesz na taki układ - detektyw szukał swojej szansy. - Podam ci imię, a ty mi powiesz, czy dziecko było tu pacjentem. Później przestanę zwracać ci głowę.

Gloria zaczęła stukać paznokciem o blat biurka. Był długi, prawdopodobnie akrylowy.

- Niech będzie. Słucham.

- Aaron Barr.

- Nie - powiedziała, niemalże nie dając mu dokończyć.

Behr zamilkł, nie chciał naciskać, ale musiał o to poprosić.

- Może zechcesz sprawdzić to w kartotece pacjentów?

- Nie. Nie muszę. Znam pacjentów, a poza tym mam dobrą pamięć do imion - postukała się w skroń akrylową włócznią.

Behr wymienił jeszcze trzy nazwiska, przy czwartym trafił.

- Adam Greiss.

Gloria pokiwała głową, jej źrenice rozszerzyły się, głośno przełknęła ślinę. Choć do tej pory była twarda, powiedziała mu wszystko, kiedy usłyszała to nazwisko.

- Przychodził tu. Zaginął dwa lata temu. Miał około dwunastu lat.

Behr poczuł, jak serce zaczyna walić mu w piersi.

- Odnaleziono go? Wiesz coś jeszcze o tej sprawie?

- Nie. To, co się z nim stało, jest bardzo smutne. Dziwne. Straszne.

- Zgadza się - powiedział Behr.

- Pracujesz nad tą sprawą, szukasz go? - zapytała Gloria.

- Tak. Choć nie bezpośrednio.

W kolejce za nim stały już trzy lub cztery osoby. Behr zapytał o pozostałe dwa nazwiska, ale Gloria nie знаła żadnego z nich.

*

Paul zobaczył, jak Behr niemal wybiega z przychodni. Opuścił szybę, widząc, jak detektyw podchodzi do samochodu od strony pasażera.

- Znalazłeś coś? - zapytał.

Behr skinął głową.

- Jedno trafienie. Pacjent. Ty jedź do następnego gabinetu, ja będę tylko wyskakiwał. Tak będzie szybciej.

Paul usiadł za kierownicą i skierował samochód do następnego miejsca. Wóz nie prowadził się tak gładko jak jego lesabre, biegi wchodziły twardo i opornie, ale Paul był zaskoczony mocą, jaką posiadało auto. Wykorzystał ją, aby dotrzeć do celu szybciej, niż zezwalało na to prawo.

Czekał i wyłaził ze skóry, podczas gdy Behr sprawdzał kolejne gabinety lekarskie. Dowiedział się, że czterech innych chłopców to byli pacjenci lekarzy i dentystów. Jeden doktor, specjalista onkologii pediatrycznej, odmówił podania jakichkolwiek informacji, nawet potwierdzenia znajomości swoich pacjentów. Zagroził, że wezwie policję, jeśli detektyw będzie dalej naciskał. Pod koniec dnia Behr i Paul byli już mocno wkurzeni, pozostało im tylko jedno miejsce do sprawdzenia. Ostatni gabinet należał do dentysty Jamiego - dr. Iry Sibarsky'ego. Tym razem Paul chciał iść z detektywem.

- Cześć Karen - przywitał się z recepcjonistką, która była również higienistką.

Kobieta siedziała za biurkiem, na którym stał komputer. Za nią, na ścianie wisiała przerośnięta szczoteczka do zębów.

- Paul - odwzajemniła powitanie, na jej twarzy malowało się zdziwienie i niepokój. Był to wyraz bezradnego współczucia, które pojawiało się na twarzy każdego, kto wiedział, co stało się z Jamiem. Jeśli Paul kiedykolwiek doceniał to współczucie, to nie pamiętał kiedy.

- Jak się masz?

- W porządku. Mogę pogadać chwilę z Iżą?

Kobieta skinęła głową i zniknęła na zapleczu. Paul spojrzął na Behra. Mężczyźni czekali, wdechając charakterystyczny dla gabinetu dentystycznego delikatny zapach mięty i lekarstw. Po chwili w drzwiach pojawił się doktor. Niski mężczyzna z siwymi, kręconymi włosami i zaokrąglonym nosem, przypominającym nieco nos królika. Zaprosił ich do gabinetu. Pokój dentysty był wyłożony tapetą w czarno-białą kratę. Sfatygowane, drewniane biurko zaśmiewały prześwietlenia rentgenowskie zębów oraz odciski szczęk. Paul pamiętał poprzednie wizyty w tym miejscu, kiedy jego największym zmartwieniem była para ubytków w zębach Jamiego. Sibarsky usiadł na podniszczonym krześle obrotowym i zdjął swoje okulary.

- Jak tam, Paul i...

- To jest Frank Behr. Jest prywatnym detektywem, który pomaga nam w sprawie Jamiego.

- Rozumiem - powiedział Sibarsky. - Jakieś wieści?

- Co możesz nam powiedzieć o właścicielu tego lokalu? - zapytał Paul, ignorując pytanie doktora. Nie chciał wdawać się w szczegóły.

- Właścicielu Hemlock Point? - zapytał dentysta. Na jego twarzy pojawiła się obawa.

- Zgadza się.

- Nie mam z nim zbytniego kontaktu. Wynająłem powierzchnię od Polly jakiejś tam siedem lat temu. To do niej dzwonię, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wysyłam czek w okolicach pierwszego każdego miesiąca. Raz przeciekał dach. Trzy lub cztery lata temu wstawili nową łazienkę. Czemu pytasz?

- Miałeś kiedyś do czynienia z Oscarem Riggi? - zapytał Paul. Nauczył się, obserwując Behra, że przesłuchanie nie było rozmową, więc nie warto było marnować czasu, odpowiadając na zadane pytania. Sibarsky mógł uważać to za niegrzeczne, ale Paula już dawno przestały obchodzić takie drobiazgi.

- Nie. Chyba go nie znam. Ale nazwisko brzmi znajomo.

- Jest prezesem Hemlock Point. W średnim wieku. Drogie ciuchy. Łysy. Pewny siebie - dopowiedział Paul.

Sibarsky skinął głową.

- Jasne. Widziałem go. Był tutaj zaraz po tym, jak zamontowano nową łazienkę.

- Przychodził przy innych okazjach? - zapytał Behr, po raz pierwszy włączając się do przesłuchania.

Wzrok Sibarsky'ego przeniósł się na detektywa.

- Nie.

- Czy Riggi ma klucz? Mógłby wejść do biura, kiedy jest zamknięte? Czy kiedykolwiek cię okradziono lub podejrzewałeś, że ktoś mógł przeglądać akta twoich pacjentów? - kontynuował Behr.

- Nie. Nie myślicie chyba, że... - Sibarsky zaczął zadawać pytanie. Wydawało się, że dentysta zaczyna się denerwować z powodu ich dociekań oraz tego, co sugerowały. Przyjrzał się dwóm pustym twarzom i postanowił po prostu udzielać odpowiedzi na zadane mu pytania.

- Podejrzewam, że firma ma klucze na wszelki wypadek. Nigdy nie miałem dowodów na to, że byli tu pod moją nieobecność. Myślicie, że jest zamieszany...

- A inni pracownicy Hemlock Point? - Paul przerwał mu.

- Czy kiedykolwiek słyszałeś lub poznałeś Tada Forda lub Gartha Mintza? - dodał Behr.

- Nie - powiedział Sibarsky, unosząc nieco dłonie ze swojego biurka.

Paul spojrział na Behra. Wyraz oczu detektywa powiedział mu, że nie mieli już czego tu szukać.

Kiedy wstawali, usta Iry Sibarsky'ego poruszały się bezgłośnie przez kilka sekund,

zanim w końcu się odezwał.

- Jest nam wszystkim niezwykle przykro z powodu tej sytuacji.

Paul kiwnął głową i wyszedł z gabinetu.

*

Stali przy samochodzie i przeglądali listę miejsc, w których już byli. Sprawdzali nazwiska.

- Jeszcze tylko jeden przystanek - podsumował Behr.

- Oprócz domu Riggiego - dodał Paul.

- Racja.

Ostatnia nieruchomość nie była przychodnią ani centrum usługowym. Był to dom do wynajęcia na Kellogg Street.

- Tym razem ja prowadzę.

Behr zajął miejsce za kierownicą.

Pojechali do rejonu Hawthorne. W miarę jak zbliżali się do celu, okolica stawała się coraz bardziej obskurna. Wydawało się, że na drzewa rosnące wzdłuż ulicy Lynhurst padła zaraza, która powoli je zabijała. Posuwali się wolno wzdłuż Kellogg. Domy na tej ulicy z trudem walczyły o zachowanie godności. Większość z nich była biała lub szara, niedawno malowana, choć farba była tania, a nałożone warstwy cienkie. Wreszcie ujrzeli numer 96. Ohydny, zielony kolor. Dom wydawał się opuszczony. Elewacja odchodziła wielkimi płatami, a deszcz i słońce zaczęły wgrzyzać się w drewno. Trawnik był zaniedbany. Gdyby było lato, trawa miałaby już pewnie ponad pół metra wysokości. O tej porze roku była zachwaszczona i brązowa.

Do frontowych drzwi wiódł wąski ganek. Był umieszczony nieco pod skosem w stosunku do wejścia. Behr zatrzymał się przy krawężniku i zaciągnął hamulec ręczny. Obserwowali dom w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak życia. Nie zauważyli żadnych.

- W którym momencie zaangażujemy w to policję? - zastanawiał się głośno Paul.

- W którymś na pewno to zrobimy. Ale najpierw muszę dostać się do tego domu, a policja mi w tym przeszkodzi.

- A więc wchodzimy?

- Ja wchodzę.

Behr pochylił się i otworzył schowek. Grzebał w nim przez chwilę, pod dowodem rejestracyjnym i ubezpieczeniem, aż w końcu znalazł to, czego szukał: dwa, niewielkie,

pomalowane na czarno kawałki metalu. Jeden skręcony niczym wiertło, drugi w kształcie litery L, zupełnie jak klucz fajkowy, tyle że z płaską końcówką.

Detektyw wysiadł z samochodu, rozejrzał się, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma sąsiadów. Nie było nikogo. Paul także opuścił auto i podążył za detektywem, który dotarł już do ganku. Behr kilka razy uderzył w drzwi, po czym przyłożył do nich ucho. Obydwaj nasłuchiwali.

- Cisza - powiedział Frank.

Zszedł ze schodków i ruszył na tyły domu. Zaglądali do okien, widzieli ciemne pokoje, w większości pozbawione mebli. W końcu trafili na boczne drzwi, z których sterczała zardzewiała klamka. Behr chwycił ją i nacisnął. Klamka ustąpiła, ale drzwi były zamknięte na zamek. Ruszyli dalej i dotarli do okien czegoś, co było sypialnią. Szyby zamalowane na czarno nie pozwalały zajrzeć do środka. Po zrobieniu pełnego koła Behr ponownie podszedł do zamkniętych, bocznych drzwi. Uklęknął przy nich i wyjął dwa kawałki metalu, które zabrał z samochodu. Wsunął przypominający wiertło kawałek do zamka. Poruszał nim przez chwilę, po czym wsunął drugi kawałek o kształcie klucza fajkowego. Przez kolejne pięć minut dłonie Behra pracowały, jakby był dyrygentem na miniaturowym koncercie. Wydawało się, że robi postępy. Zamek grzechotał od czasu do czasu, ale nie ustąpił.

- Dosięgam tylko jednego bolca, a są jeszcze dwa - powiedział Behr. Wyciągnął narzędzia i wstał.

- Zamek jest zbyt dobry?

- Zamek jest gówniany. Niestety, te narzędzia nie dadzą mu rady. Bolce w zamku są ułożone zbyt daleko od siebie.

- Co teraz?

- Kaszlnij.

- Co?! - Paul nie ukrywał zdziwienia.

- No dawaj.

Kaszlnięcie Paula było raczej symboliczne, ale spełniło swoje zadanie. Zagłuszyło nieco odgłos, który rozległ się, kiedy Behr z impetem uderzył ramieniem w drzwi. Z framugi posypały się zgniłe drzazgi i mężczyźni weszli do środka.

*

Dom był cichy i pusty. Drzwi, przez które się włamali, zawiodły ich do kuchni. Starzejące się urządzenia stały na popękany linoleum. Sprawdzili lodówkę. Była wyłączona

i pozbawiona jakichkolwiek zapasów. Wydzielala słaby zapach starych produktów nabiałowych. Piekarnik był pusty, nikt nie korzystał z niego od dłuższego czasu.

Weszli do salonu. Plastikowa skrzynka po mleku była tu jedynym meblem. Stara, zniszczona wykładzina nosiła odcisnięte ślady kanap i krzeseł, które niegdyś na niej stały. Ściany poznaczone były dziurami o różnych kształtach i rozmiarach. W pokoju nie znaleźli nic godnego uwagi, więc szybko ruszyli dalej. Narastało w nich poczucie zniecierpliwienia. Dom nie miał piwnicy, jedynie niewielki schowek, do którego zajrzeli, zanim ruszyli w dół korytarza.

Kiedy doszli do jego końca, zobaczyli dwie sypialnie oddzielone od siebie łazienką. W jednej z nich na podłodze leżała stara, zniszczona, brązowa wykładzina, widoku z okna strzegły rolety. Pokój oraz znajdujące się w nim szafy były puste. Druga sypialnia także. Nie było tu żadnej wykładziny. Ciężko było im dostrzec szczegóły w ciemności, jaką dawały zamalowane na czarno okna. Podeszli do nich na tyle blisko, aby zauważyć głębokie otwory wywiercone wzdłuż parapetów. Behr przejechał po nich palcami. Zastanawiał się, do czego służyły. Paul przesunął stopę po podłodze, usuwając z drogi zmięte opakowania po jedzeniu z różnych sieci fastfoodowych. Krążyli po pokoju, badali teren, przeszukiwali puste szafy. W końcu przeszli do łazienki.

Była brudna i pusta. Znajdowała się w niej jedna rzecz, która przyprawiła ich o szybsze bicie serca. Na brudnej, wyłożonej kafelkami podłodze, tuż przed sedesem leżało zniszczone upływem czasu wydanie *Star* rozłożone na sekcji sportowej. Gazeta była rozmokła z powodu przecieku u podstawy sedesu. Behr uklęknął i przyjrzał się jej, druk był rozmazany przez wilgoć. Podniósł ją ostrożnie, strony były nasiąknięte i ciężkie. Sprawdził datę.

- Dwudziesty czwarty października? - upewnił się Paul.

Behr skinął głową, po czym delikatnie położył gazetę na pokrywie sedesu i przewrócił ją na pierwszą stronę. Szukał adresu prenumeratora, jednak prawy, górny róg strony został oderwany.

26

Miał spotkać się z Susan Durant po raz pierwszy. Odłożenie sprawy Jamiego i skoncentrowanie się na nadchodzącym wieczorze wymagało od Behra niemal fizycznego wysiłku. Wraz z Paulem postanowili działać już wcześniej następnego ranka. Chcieli przyjrzeć się z bliska domowi Riggiego. Ta chwila była jeszcze daleko, ale Behr już czuł ją w kościach. Czuł się emocjonalnie ciągnięty w dwóch różnych kierunkach.

Jadąc po Susan, starał się myśleć tylko o nadchodzącym wieczorze. Już dawno temu nauczył się rozwiewać swoje nadzieje w jakimś skromnym miejscu, zwłaszcza jeśli chodziło o spotkania z kobietami, których nie widział wcześniej. Po wielu randkach w ciemno i znajomościach zawartych przez telefon, które nie wypaliły, stało się to koniecznością. Zbyt wiele razy już umawiał się na kolację lub na drinka z kobietą, z którą miał świetny kontakt przez telefon i robił sobie nadzieję, że ujrzy piękność lub chociaż kogoś, kto go poruszy. Tymczasem w większości przypadków nie potrafili nawet zacząć rozmowy. Wiedział, że był to płytki sposób postrzegania relacji męsko-damskich, ale nie umiał inaczej.

Bardzo chciał, żeby osoba, którą słyszał po drugiej stronie linii telefonicznej, była tą, o którą naprawdę mu chodziło. Niestety, nie potrafił udawać, gdy w grę wchodziły uczucia. W każdym razie działało to w dwie strony. Sam wiele razy dostrzegał poczucie zawodu malujące się na twarzy po drugiej stronie stolika.

Głos Susan był pogodny i ożywiony, kiedy Behr zadzwonił z dołu, mówiąc, że już przyjechał. Przyjął założenie, że osoba, którą ujrzy, będzie co najwyżej na skraju bycia ładną lub przeciętną. Kiedy wyszła z drzwi budynku, jej jasne włosy wyraźnie lśniły na tle czarnego płaszcza. Widok dziewczyny przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Była wysoka, prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, jej blond włosy były zaczesane do tyłu, a zęby śnieżnobiałe. Uśmiechała się z daleka. Była potężna, jednakże nie można było powiedzieć, że gruba. Jedną z pierwszych myśli, jakie uderzyły Behra, było to, że jest dla niego zbyt młoda. Wysiadł, żeby się przywitać.

- Cześć Susan.

- Sie ma, Frank.

Uścisk jej dłoni był pewny, a sama dłoń miękka. Dokładnie taka, jakiej się spodziewał. Stojąc blisko niej, dostrzegł niewielkie zmarszczki w kącikach jej oczu, świadczące o tym, że Susan lubiła się śmiać. Różnica wieku nie była tak duża, jak myślał. Była po trzydziestce, miała w sobie dużo energii, co bardzo mu się spodobało.

Wyślizgnęła się ze swojego płaszcza i rzuciła go na przednie siedzenie. Miała na sobie czarną sukienkę, która pozwoliła Behrowi przez chwilę podziwiać jej smukłe ramiona, najwyraźniej ukształtowane przez pływanie. Zamknął za nią drzwi i ruszyli w stronę Donohue's.

*

Wenck wrzucił pierwszy bieg w swoim fordzie gran torino i ruszył w ślad za oldsem Behra. Trzymał się jakieś dwanaście długości samochodu za nim.

- Trzymaj się jakieś dziesięć samochodów za nim - powiedział niepotrzebnie Gilley. On wiele rzeczy mówił niepotrzebnie.

- Wiem - odpowiedział Wenck, kiedy włączali się do ruchu na North Cooper Road. Samochodów było na tyle niewiele, że łatwo dało się śledzić Behra, ale też na tyle dużo, że można było się w nie wtopić i pozostać niezauważonym. Byli po prostu kolejną parą świateł za plecami. Detektyw nie wiedział, co go czeka.

W końcu otrzymali swoją szansę. Przez ostatni rok słyszeli wiele plotek o tym, co oznacza praca dla Riggiego. Głównie oznaczała pieniądze - dużo pieniędzy - oraz wsparcie. Stałe zatrudnienie, szefa, który był w stanie ciągle dostarczać nowe zlecenia, odpowiednie narzędzia, a nawet prawników, jeśli zachodziła taka potrzeba. Wenck i Gilley zgodzili się, że nie wolno spieprzyć takiej okazji. Pokażą, na co ich stać.

Przejechali przez Knolton Heights i jak do tej pory nic nie wskazywało na to, że zostali dostrzeżeni.

- Randka - powiedział Gilley, kiedy zaparkowali przecnicę za samochodem detektywa i obserwowali, jak odbiera Susan.

- Pierwsza randka, he he. Nie skończy się miło - dodał Wenck.

Sposób, w jaki mężczyzna wysiadł z samochodu, sztywny i formalny, oraz uścisk dłoni na powitanie mówiły wszystko. Frajer nieźle się ustawił.

- Pewnie zastanawia się, czy uda mu się dziś zamoczyć - wykrzywił się Wenck.

- Facet nie ma pojęcia, że wyląduje dziś w szpitalu - dodał Gilley, pozwalając sobie na

krótki wybuch śmiechu.

- W szpitalu w najlepszym razie - powiedział Wenck.

Samochód przed nimi ruszył, oni również. Zgodzili się, że nie należy od razu decydować o tym, czy dorwą go w drodze do celu, czy kiedy będzie wracał. Wszystko zależało od tego, kiedy będą najkorzystniejsze ku temu okoliczności.

Riggi ostrzegł ich, żeby uważali. Powiedział, że ten detektyw złał już jego ludzi.

- Spokojnie, szefie. Zniszczyłem już wystarczająco wielu twardzieli, żeby wiedzieć, jak to się robi - odpowiedział Wenck. Postanowił jednak posłuchać dobrej rady.

Detektyw zakręcił i wjechał na parking za ceglanym budynkiem na ulicy Belmont. Wenck zaparkował auto przed wjazdem do alejki i spojrzał w jej głąb. Naga żarówka oświetlała zielone drzwi. Była jedynym źródłem światła w okolicy. Idealne miejsce.

- Szkoda, że laska będzie musiała brać w tym udział - powiedział Wenck. - Niezła z niej sztuka.

Gilley skinął głową. Przygotowali broń i czekali w pogotowiu, gotowi zaatakować, gdy tylko Behr opuści lokal.

*

Riggi odstawił samochód na parking przy hotelu Westin na alei South Capitol i skierował się do restauracji. Tu właśnie planował spędzić wieczór, dopóki to się nie stanie. Najlepszym wyjściem w takich sytuacjach było przebywać w miejscu publicznym, dokonywać płatności kartą kredytową, a nawet być sfilmowanym przez kamery przemysłowe. To na pewno lepsze niż spotkanie ze współnikiem, który później podczas przesłuchania może się nagle złamać i zaprzeczyć twojemu alibi.

Riggi usiadł przy stoliku koktajlowym na środku sali. Nie próbował nawet wzywać kelnerki. Miał dużo czasu. Wcześniej rozważył kilka opcji i zdecydował się na sprawdzenie Wencka i Gilleya. Dla Behra wybrał ciężkie pobicie, które zniechęci go do wciskania nosa w nie swoje sprawy. Dodatkowo minie dużo czasu, zanim ten wścibski kutas dojdzie do siebie. Riggi z całego serca życzył mu śmierci, ale nie mógł ryzykować i kazać go tak po prostu zastrzelić. Większość detektywów była ex-policjantami i zastrzelenie Behra wywołałoby zbyt wiele zamieszania i dociekań. Nie wspominając już o tym, że detektyw na pewno posiadał notatki dotyczące ostatnio prowadzonych spraw i mogło się w nich pojawić nazwisko Riggiego.

Pobicie tymczasem mogło wyglądać jak coś innego - zwykły napad na ulicy lub bójka,

która wymknęła się spod kontroli. Trudniejsze do wytropienia, a mogło się okazać o wiele skuteczniejsze.

- Jeśli umrze, to umrze - powiedział jednak Riggi, kiedy Wenck zapytał go, jak daleko mogą się posunąć.

Wenck i Gilley. Jego nowe nabytki. Gilley był wysoki i szczupły, deskorolkowiec, który był już za stary na jazdę po rampach i poręczach. Mógł zostać elektrykiem lub hydraulikiem, mieć normalne życie, gdyby tylko potrafił znieść obecność innych ludzi. Znokautował tyłu brygadzystów, używając swoich dużych pięści i prawego prostego o wielkim zasięgu, że pogłoski o nim dotarły nawet do biura Riggiego. Postanowił przyjrzeć się nieco dokładniej tym informacjom i dowiedział się, że Gilley zadawał się z gościem o imieniu Wenck, który był aresztowany co najmniej tuzin razy za napady, kradzieże i wymuszenia. Wenck miał na koncie już trzy wyroki. Najkrótszym było spędzenie trzydziestu dni w miejskim areszcie, najdłuższym - osiemnastu miesięcy w więzieniu stanowym. Wenck był równie szeroki, co wysoki, miał gęste brwi i niskie czoło. Mógł być jedynie tym, kim był - szumowiną do wynajęcia. Jego życie wyglądałoby dokładnie tak samo, bez względu na to w jakiej żyłby epoce.

Kiedy Riggi zapytał sam siebie, czy najął odpowiednich ludzi do tego typu zadania, mógł odpowiedzieć jedynie: tak.

*

Paul siedział w samochodzie zaparkowanym w pobliżu wielkiego i ekskluzywnego domu. Zdawał sobie sprawę z tego, że znajduje się w niewłaściwym miejscu. Kilka świateł paliło się w różnych jego częściach, ale był tu już od czterdziestu pięciu minut i nie dostrzegł wewnątrz żadnego ruchu. Żadnych oznak życia. Zaczynał myśleć, że światła były zapalone jedynie dla pozoru, a tak naprawdę w środku nie było nikogo. Czuł, jak serce wali mu w piersi, wydawało mu się nawet, że je słyszy. Razem z Behrem opuścili dom do wynajęcia i nie znaleźli w nim nic godnego uwagi oprócz tej gazety. W miarę możliwości udało się zamaskować i zamknąć wyłamane drzwi. Detektyw odwiózł Paula do jego wozu i jako że miał coś do załatwienia tego wieczoru, postanowili przyjrzeć się rezydencji Riggiego następnego ranka.

Niecałą godzinę później Paul siedział w samochodzie przed domem Riggiego i zastanawiał się, czy starczy mu odwagi, aby zrobić to, co zamierzał. W ostatnie dni widział listę adresów kilka razy. Ten jedyiny namiar, pod którym nie byli - ulica i numer rezydencji

Riggiego były wypalone w jego mózgu. Po rozstaniu z detektywem skierował samochód w stronę swojego domu. Pełen dobrych chęci dotarł nawet na skraj swojego sąsiedztwa, ale zawrócił. W końcu musiał poddać się pragnieniu, które nie pozwalało mu spokojnie myśleć.

Riggi żył godnie, to było jasne. Dom zbudowany był z białej cegły, posiadał duży pokój z wielkimi oknami wychodzącymi na ulicę. Przybudówka nie pasowała nieco do stylu, w jakim wybudowano pozostałą część domu, jednak całość wyglądała bogato i wygodnie. Dobrze utrzymany trawnik otoczony był bukszpanem. W pozostałych bogatych domach, które znajdowały się na tej samej ulicy, światła były zapalone. Od czasu do czasu w oknach mignęła sylwetka człowieka, drzwi garaży otwierały się, wyjeżdżały lub wjeżdżały samochody. Paul zakładał, że oprócz tego muszą istnieć także inne oznaki, dzięki którym wyszkolony specjalista mógł stwierdzić, czy w domu znajdują się ludzie. Niestety, Behra tu z nim nie było. Był sam. Postanowił zastosować własną, naprędce wymyśloną metodę - zaczeka dwie pełne godziny, a jeśli w środku nie dostrzeże ruchu, wówczas zrobi to, co zamierzał.

*

Rooster wisiał na poziomym drążku zawieszonym nad drzwiami swojej celi. Podciągał się. Kończył właśnie piątą serię. Jego ramiona dotykały pionowych krat. Czuł, że coś było nie tak. Nie był w stanie przywołać żadnej piosenki, nawet prostej melodii przez cały dzień. Zastanowił się nad tym i zdał sobie sprawę, że po raz ostatni słyszał muzykę w swojej głowie, zanim został pobity. To był Danzig. Potem dali mu wycisk i muzyka zniknęła. Wykonał ostatnie powtórzenie, czuł jak krew pulsuje w jego żyłach. Opuścił się na podłogę, klasnął w dłonie, wziął głęboki oddech, przywoływał energię, po czym położył się na plecach i rozpoczął ostatni punkt treningu - sto brzuszaków. Poprzedniego dnia doszedł do tysiąca. Nie miał pojęcia, jak długo przyjdzie mu tu siedzieć, więc musiał być twardym. Bycie twardym to w pierdłu jedyna opcja. Jeśli jego umysł stanie się słaby, wkrótce potem to samo stanie się z jego ciałem. I kiedy tylko dołączy do reszty więźniów, w sekundę zrobią z niego frajera. Rooster jutrzejszego poranka miał się spotkać ze swoim przydzielonym z urzędu adwokatem. Do tego czasu był trzymany w specjalnym areszcie. Jak dotąd nie było źle - miał celę tylko dla siebie, mógł spędzać dwie godziny dziennie w pokoju telewizyjnym, ale miał to w dupie. Wolał ćwiczyć w swojej celi.

Przysługiwało mu także prawo do piętnastominutowego prysznica każdego wieczoru, tuż przed zgaszeniem świateł. Jedzenie było nędzne - przesolone, tłuste, bezwartościowe. To był na razie jego największy problem. Nie wiązał zbyt wielkich nadziei z panem Darmowym

Adwokatem. Tacy goście byli najczęściej najgorszymi z najgorszych. Rooster zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do Riggiego i poprosić o pomoc. Pomyślał jednak, że jeśli ten posrany detektyw pojawił się już u Riggiego, byłby to samobójczy telefon. Jeśli nie, byłoby to koło ratunkowe. Musi to przemyśleć.

Dokończył ćwiczenia, jego mięśnie brzucha kurczyły się i płonęły z wysiłku. Zdecydował, że poczeka i zobaczy, co mu zaoferuje adwokat z urzędu, zanim zadzwoni do Riggiego. Włożył klapki kąpielowe, wziął mydło, maszynkę do golenia, ręcznik i ruszył w kierunku prysznicza.

*

- Myślałem nad pójściem do Pinnocchio's, ale, no wiesz, pomyślałem, że może jest zbyt romantyczne. Nie chciałem, żebyś pomyślała, że cię naciskam - tłumaczył Behr. Nie wierzył własnym słowom, po tym, jak Susan pochwaliła jego wybór.

- Fajne miejsce - powiedziała. - Na luzie.

- Poza tym, idąc na pierwszą randkę, nie bardzo wiesz, czego się spodziewać i jak się skończy, prawda? - dodał, zastanawiając się, dlaczego, do ciężkiej cholery, zachowuje się tak idiotycznie.

- Frank, może trochę więcej pewności siebie? Wydaje mi się, że masz sporo do zaoferowania - powiedziała z zalotnym uśmiechem.

- Przepraszam, ostatnio nie umawiałem się zbyt często.

- Naprawdę? Przez tę sprawę, nad którą pracujesz?

- Tak. No i rodzaj pracy, jaką wykonuję, też ma na to wpływ.

- Ja też nie umawiałam się często.

- Ty? Niemożliwe!

- Z kim się mam niby umawiać? Z pisarczykami, z którymi pracuję? O nie!

Piła czarnego Johny Walkera z lodem oraz zamówiła dobrze wysmażony stek. Podobnie jak Behr.

- Nigdy nie byłam fanatyczką sałatek - wyjaśniła, zabierając się do jedzenia.

- To dobrze.

- Pewnie masz rację. Pinnocchio's - świece w butelkach po winie i tego typu rzeczy. Mogłoby to trochę wyglądać na desperację - powiedziała. - Byłeś żonaty? - zapytała po chwili.

- Raz. A ty?

- Raz byłam blisko. Dzieci?

- Miałem syna.

- Miałeś?

- Może porozmawiamy o tym następnym razem? - zapytał Behr. Starał się, aby jego głos brzmiał spokojnie.

Spojrzała na niego uważnie, zastanawiała się, z kim ma do czynienia. Po chwili skinęła głową i zajęła się swoim jedzeniem.

- Kto to? - zapytała, wskazując na Pala Murphy'ego, który siedział na swoim tradycyjnym miejscu, otoczony przez sześciu na oko dwudziestoletnich mężczyzn.

- Właściciel.

- Aha, czyli to jest Donohue?

- Nie, Murphy.

- Kupił ten lokal od gościa o nazwisku Donohue?

- Nie, z tego co wiem, od faceta o nazwisku Maguire. Ale gdzieś po drodze musiał się trafić jakiś Donohue.

- No mam nadzieję!

Uśmiechnęli się do siebie.

*

Lewe kolano Oscara Riggi drgało niecierpliwie pod stolikiem. Był zmęczony smakiem szkockiej i solonych orzeszków. Już dwa razy wstawał, żeby wyjść. W ostatniej chwili odzyskiwał panowanie nad sobą i zostawał, pytając za pierwszym razem o toaletę, za drugim, gdzie znajduje się telefon. Zapłacił, używając karty kredytowej i w ciągu ostatniej godziny otworzył rachunek. Dopilnował, aby kelnerka go poznała, a barman zapamiętał. Przecież po to zadawał cały zestaw pytań. W ciągu ostatniej godziny przez restaurację przewinął się co najmniej tuzin klientów, nie wspominając już o uczestnikach konwentu, których dyskusja dopiero co się zakończyła. Co najmniej kilku będzie pamiętało dobrze ubranego, łysego mężczyznę, który siedział samotnie pośrodku sali.

- *Wygląda, jakby na kogoś czekał* - pomyślał, nie wiedząc, że czekał na telefon od Wencka i Gilleya, z krótką informacją, że zadanie zostało wykonane. Czas włókł się niemiłosiernie i Riggi nie mógł powstrzymać wątpliwości, które zaczynały kłębić się w jego umyśle. Powiedział chłopakom, żeby się nie spieszyli i wybrali odpowiednie miejsce i moment. W końcu byli chętni do działania i spodziewał się, że po tak długim czasie otrzyma

już telefon. Nie mógł zmusić się do dalszego czekania. Uniósł dłoń, poprosił o rachunek. Pojedzie do domu, wykona parę telefonów, zaloguje się na jakiejś stronie internetowej. Nie było to tak korzystne alibi jak siedzenie w restauracji, ale jego cierpliwość właśnie się skończyła.

*

Paul bębnił palcami o kierownicę i starał się uspokoić oddech. W końcu podjął decyzję. Przez ostatnie półtorej godziny myślał o Jamiem. Było to niezwykle doświadczenie. Starał się trzymać w ryzach, jeśli chodziło o rozmyślanie na temat syna. Gdy od czasu do czasu pozwalał sobie na moment nieuwagi, wspomnienia zalewały go, grożąc porwaniem w wir szaleństwa. Dlatego wołał trzymać je na uwięzi. Ale siedząc w samochodzie, nie miał nic innego oprócz tego dużego, białego domu przed sobą, co mogłoby skupić jego myśli. Nie był w stanie kontrolować teraz obrazów pojawiających się w jego głowie.

Wyobraził sobie Jamiego jako małego chłopca. Ubrany w piżamkę w ciuchcie, siedzi na kolanie Paula, wtulony w jego ramiona. Za chwilę napłynęło wspomnienie, jak był z Jamiem na boisku. Jego syn stał na prawej stronie pola do gry, był znudzony, jego rękawica wisiała luźno przy boku. W kolejnym ujęciu przypomniał sobie uśmiech na twarzy chłopca, kiedy Paul udawał podczas zabawy w chowanego, że nie może go znaleźć, a Jamie wyskoczył z kartonowego pudełka. - Poddaję się. Nie wiem, gdzie on kurcze jest - powiedział wtedy głośno Paul, stojąc na środku piwnicy.

Wspomnienia były jak uderzenia w żołądek, po których ciężko dyszał i robiło mu się niedobrze. Przetarł twarz i wysiadł z samochodu.

Nocne powietrze było mroźne, ale dało się w nim wyczuć oznaki nadchodzącej wiosny. Podeszedł do domu. Starał się trzymać z dala od brukowanej ścieżki, szedł po trawniku. Nie pukał ani nie dzwonił, od razu chwycił za klamkę. Zamknięte. Okrążył dom, powtarzając to, co wraz z Behrem robili tego popołudnia. Dom posiadał wytrzymałe drzwi i antywłamaniowe żaluzje. Dodatkowo wejścia strzegł alarm, którego konsole kontrolne świeciły ukryte za małymi, grubymi okienkami, znajdującymi się zarówno we frontowych, jak i tylnych drzwiach.

Paul wykonał pełne okrążenie dookoła domu i nie odkrył żadnego miejsca, przez które mógłby dostać się do środka. Wiedział, że powinien zawlec tyłek z powrotem do samochodu i czym prędzej się stąd wynosić. Pomimo to usiadł na tyłach domu, na niewielkiej ławce ogrodowej. Musiał się zastanowić. Było tu niezwykle spokojnie, jedynie odległe i

przytłumione dźwięki dochodzące z sąsiedztwa przypominały mu o tym, gdzie się znajdował. Jakiś wewnętrzny głos ponaglał go: *uciekaj, uciekaj*. Mimo to nie poruszył się. Kiedy czekał w samochodzie, starał się wymyślić jakąś historyjkę, na wypadek gdyby Riggi wrócił do domu i odkrył jego obecność. Zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie wykombinować niczego prawdopodobnego, więc zaczął się zastanawiać, czy pokonałby Riggiego, gdyby doszło do walki. Nie był pewien. W głowie rozegrał już dwa scenariusze. Pierwszy zakładał mocnego kopniaka wymierzonego w kolano Riggiego, a następnie rzucenie się na tego fiuta z pięściami, drugi zaczynał się od silnego ciosu prosto w twarz, zanim mężczyzna zdąży się przygotować. Oba wydały mu się teraz do dupy.

W końcu zaczęły docierać do Paula odgłosy nocy i zdał sobie sprawę, że siedzi tu już zbyt długo i należy czym prędzej się wynosić. Wstał i zaczął iść w kierunku frontu domu. W pewnym momencie zauważył niewielkie drzwiczki, które miały chronić pojemniki na śmieci przed szopami i innymi szkodnikami. Rozejrzał się i podszedł do nich. Otworzył. Za drzwiami stały trzy duże pojemniki na śmieci. Dwa były puste, w trzecim znajdowała się para toreb na śmieci. Paul wstrzymał oddech i wyciągnął worki z pojemnika, zamknął drzwiczki i pobiegł do samochodu. Otworzył bagażnik i wrzucił worki do środka. W tej samej chwili padł na niego strumień białego, oślepiającego światła.

*

Behr upajał się obecnością pięknej kobiety siedzącej przy jego stoliku. Jej wielobarwny zapach zamieniał znajomy lokal w egzotyczne miejsce. Delikatna mięta - pozostałość po gumie, którą żuła przez chwilę po wypiciu kawy, a następnie zawinęła w opakowanie po cukrze, do tego woń cytrusów wydzielana przez jej lakier do włosów oraz jej perfumy o zapachu egzotycznych kwiatów. Niestety, ich wieczór dobiegał końca. Behr nie chciał przeciągać rozmowy na pierwszej randce do momentu, w którym stałaby się niezręczna. Nie wydawało się to możliwe, ponieważ Susan wiedziała dokładnie, jak długo należy pozostać przy jednym temacie, zanim przyjdzie pora, aby przejść do kolejnego lub posiedzieć przez chwilę w miłej ciszy. Pomimo to, gdy coś szło tak wspaniale jak ta kolacja, grzechem byłoby zniszczyć to wrażenie. Lepiej, żeby pozostał niedosyt. Wyciągnął rękę w stronę Kaitlin, która stała przy barze. Kobieta ruszyła w ich stronę z rachunkiem.

- Coś jeszcze, Frank? - zapytała kelnerka. Swoją ochrypy głos zawdzięczała niezliczonym nocom przepracowanym w miejscach takich jak Donohue's.

- Nie, dzięki - powiedział Behr, spoglądając na Susan, która potwierdziła skinieniem

głowy. Kaitlin ruszyła w stronę innych stolików, kiedy sięgał po swój portfel.

- Czy mogę... - powiedziała Susan, podnosząc swoją torebkę.

- Nie, zdecydowanie nie możesz - odpowiedział Behr, odliczając banknoty. - Ale miło, że zapytałaś.

- Wiedziałam, że powiesz nie - Susan uśmiechnęła się, sprawiając, że krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach.

- Gotowa?

- Spadamy - powiedziała, podnosząc torebkę, płaszcz i szalik. Razem wstali od stolika.

*

Rooster wszedł pod prysznic. Panowała cisza. Podczas swojego pierwszego pobytu w więzieniu opanował pewny siebie chód. Nauczył się, że to najważniejsza rzecz, nawet jeśli ktoś wcale nie czuje się pewnie. Przeszedł obok dwóch dużych kolesi, którzy właśnie kończyli się kąpać i ruszył w stronę ostatniego prysznica w rzędzie. Naprężył nieco mięśnie i zdał sobie sprawę, że co prawda jest umięśniony, ale nie jest naprawdę tak duży, jak by chciał, i nigdy nie będzie. Nie przy wadze osiemdziesięciu pięciu kilogramów.

Dwaj goście, którzy właśnie zakręcili wodę i wycierali się, mieli nad nim przewagę co najmniej dwudziestu, jeśli nie dwudziestu pięciu kilogramów i prawdopodobnie nie pracowali nad tym zbyt ciężko. Więzienne ręczniki były zbyt małe, by mogli owinać je wokół bioder. Rooster poczuł swoje ciężkie kroki na kafelkach i zdał sobie sprawę, że zmiana jego rozmiaru była jedynie pozorna. Był napakowany, ale nie był, niestety, pieprzonym kafarem. Stracił także nieco ze swojej szybkości, która niegdyś była jego podstawową bronią. Jeśli uda mu się wydostać z tego miejsca, to wróci do swojej diety i da sobie spokój z nabieraniem masy. Skoncentruje się tylko na ilości i szybkości powtórzeń, dopóki nie stanie się bardziej giętki i mocny, jak azjatycki karateka. Zrezygnuje z masy byka, stanie się kobra.

Obserwował dwóch mięśniaków, kiedy zbierali swoje rzeczy i opuszczali prysznic. Odkręcił wodę i wszedł pod ciepły strumień. Namydlił się tanim, więziennym mydłem najlepiej jak potrafił i zaczął się myć. Spłukiwał właśnie pianę, kiedy weszli. Było ich trzech, każdy potężny i silny. Rooster poczuł, jak ruszają w kierunku jego prysznica, słyszał ich kroki, przebijające się przez syk pary i wody. Kątem oka dostrzegł, że pierwszy z nich ma na sobie buty - zły znak. Przez chwilę udawał opanowanego, szykując się do obrotu w ich stronę i rozpoczęcia rytuału udowadniania, że nie jest dziwką. Nie krążyli wokół niego, nie sprawdzali go. Mieli jasno wytyczony cel.

Pierwszy cios wylądował u dołu jego pleców, wydając mokre plaśnięcie, zanim Rooster zdążył się przygotować. Przez chwilę poczuł próżną pewność siebie spowodowaną lekkością ciosu i całkowitym brakiem bólu. Obrócił się, żeby skopać kilka tyłków. Walka nago nie była najlepszym rozwiązaniem, ale miał to w dupie. Pozostała jedynie wściekłość. Chwilę później zdał sobie sprawę, że nie otrzymał wcale ciosu otwartą dłonią. Został pchnięty nożem. *Kurwa* - pomyślał, czując, jak jego nerkę zalewa fala zimna. Zupełnie jakby była zamarznięta. Dostał dreszczy, miał wrażenie, jakby rój pszczół zaczął żądlić go po całym ciele. Próbował zadawać słabe ciosy, ale jego pięści przecinały jedynie w powietrze. Kolejne pchnięcia atakujących tworzyły czerwone rozkwity krwi, które odcinały się od jego bladej skóry. Nogi zamieniły się w ołów, po chwili stały się miękkie jak z waty. Nie upadł, raczej wtopił się w podłogę obok strumienia wody.

Trzej napastnicy stali nad nim przez chwilę. Wysocy, czarni mężczyźni, których nie widział nigdy przedtem. Ich twarze nie zdradzały żadnych uczuć.

- Witamy w pierdлу, frajerze - powiedział jeden z nich niskim głosem.

Włożyli zakrwawione, metalowe ostrza pod strumień wody, a kiedy były już czyste, odwrócili się i wyszli.

Oczy Roostera zasły mgłą. Nie widział już niczego. Zmrużył oczy, walcząc o odzyskanie wzroku. Zobaczył kafelki, którymi wyłożona była podłoga. Jego krew, wymieszana z wodą, spływała brązowym strumieniem do odpływu, zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy.

Mogłem być wyjątkowy - usłyszał na chwilę w swojej głowie. Za chwilę nie słyszał już nic. Westchnął. Ostatnia porcja tlenu wydostała się z jego płuc.

*

Przechodzili przez niewielki parking na tyłach Donohue's, kiedy usłyszeli charakterystyczny dźwięk trzaskających drzwi samochodu. Behr spojrział w kierunku ulicy. Dostrzegł auto, jego silnik pracował, światła były włączone. Dwa męskie cienie szły w ich kierunki. *Kolejne psy Pomeroya* - pomyślał. Udawał, że ich nie widzi, nadal szedł w kierunku swojego samochodu. Próbował wyglądać na niezaniepokojonego.

Mężczyźni przyspieszyli kroku. Wyglądem i zachowaniem przypominali Mutta i Jeffa, postacie z komiksu, którego wyjątkowo nie lubił. Szli w milczeniu, w blasku światła Behr dostrzegł ich przekrwione oczy i zdał sobie sprawę, że nie byli policjantami.

- Schowaj się za samochód - polecił Susan, rzucając jej kluczyki. Dopiero w tym

momencie dostrzegł, że obaj faceci trzymają wzdłuż nóg długie rury.

Niższy z nich, krępy bydlak, szedł przodem. Wyglądał jak krab. Podniósł rurę do góry, drugą dłoń trzymał w pobliżu twarzy, był gotowy do zabawy. Behr także. Od tej bitwy nie było już ucieczki.

Kopniak silnego, dobrze wyszkolonego mężczyzny, który mierzy dwa metry, jest bronią, na którą nie ma na ulicy dobrej odpowiedzi. Krab nie zdążył zablokować ciosu. Behr włożył w niego całą siłę, celując w korpus, tuż poniżej gardy. Pomimo że Wenck ważył ponad sto pięć kilo, został wyrwany z ziemi. Wylądował ciężko, aż usiadł na tyłku w zamroczeniu. Powietrze uciekło z jego płuc, nie mógł złapać oddechu.

Behr wrócił do pozycji wyjściowej, trzymał lewą nogę z przodu. Ramieniem zablokował cios wymierzony w jego głowę. W tym momencie zrozumiał, że rury nie były puste w środku. Miały solidne, metalowe wypełnienie i cios, który udało mu się zablokować, był potężny. Behr odczuł go mocno i był pewien, że ręka spuchnie i przez najbliższe kilka miesięcy będzie na niej ślad po potyczce. Na szczęście rura nie złamała mu kości. Choć jego lewa ręka stała się bezużyteczna, to prawa sprawiła się wspaniale. Oszłamiająco mocnym ciosem trafił tyczkowatego gościa w podbródek. Dreszcz, jaki wywołało uderzenie w rękę Behra, dotarł aż do łopatki. Tyczkowaty cofnął się chwiejnie o kilka kroków i przykucnął na jedno kolano, wypuszczając z rąk swoją broń. Miał złamaną szczękę.

Behr obejrzał się przez ramię. Zauważył, że Susan schowała się za samochód. Obrócił się, szukając wzrokiem odbiorcy swojego kopniaka. Był pewien, że facet będzie już na nogach, być może nawet będzie mierzył do Behra z pistoletu. Zamiast tego zobaczył, że Krab klęczy, podpira się dłońmi, walczy o oddech. Z jego ust ciekły strużki śliny. Detektyw podniósł rurę i ruszył w kierunku mężczyzny, który wstał, postąpił krok do przodu, po czym stracił wolę walki i uciekł z parkingu. Behr pobiegłby za nim, gdyby nie Susan oraz strumienie nieznośnego bólu, które dopiero teraz zaczęły zalewać jego lewą rękę. Spojrzał w kierunku wysokiego gościa, który na kolanach zdołał uciec jakieś dziesięć metrów. W końcu Tyczkowaty jakoś się podniósł i pobiegł, nieskładnie przebierając nogami, w ślad za swoim partnerem. Wsiedli do samochodu, Behr dopiero teraz zauważył, że było to gran torino. Niestety, nie dostrzegł tablicy rejestracyjnej. Wóz szybko wycofał się z alejki, wyskakując na ulicę. Kierowca wrzucił pierwszy bieg i ruszył ostro, znikając z pola widzenia.

Frank pochylił się nieco, podtrzymując obolałą rękę. Poczuł, że czyjaś dłoń ląduje na jego ramieniu. Drgnął i zrzucił ją z siebie, obrócił się, oczekując kolejnych napastników. Zobaczył Pala Murphy'ego.

- Usłyszałem hałas - powiedział.

- Jaki hałas? - zapytał Behr ze zdziwieniem.

Dla niego walka odbywała się w całkowitej ciszy. Pal i Susan, która właśnie wyszła z samochodu, posłali mu pełne zdziwienia spojrzenia. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wszyscy walczący nieświadomie krzyczeli niemal przez cały czas bójki. Jego „ki-ai” było równie instynktowne, co głośne.

Pal raz jeszcze położył swoją dłoń na ramieniu Behra, drugą oplótł wokół talii Susan.

- Wejdźcie. Napijcie się czegoś, dopóki nie przyjedzie policja.

- Żadnych glin! - rzucił krótko Behr.

Pal spojrział mu w oczy, po czym skinął głową.

- Dobra, po prostu napijcie się czegoś. A tobie opatrzmy rękę.

Behr jechał szybko. Wraz z Susan wrócił do baru na życzenie Pała. Dwadzieścia minut i dwie szklanki whisky później ramię Behra było zawinięte w ręcznik wypełniony lodem. Susan otrząsnęła się już z lekkiego szoku, jej policzki ponownie zaczęły nabierać kolorów.

- Świetna randka Frank, nie ma co - powiedziała, uśmiechając się znad swojej szklanki.

Behr wymusił na Pału obietnicę, że odwiezie Susan do domu. Uścisnęli się czule i obiecali sobie, że jeszcze się spotkają. Behr modlił się, aby po tym wszystkim Susan nie zmieniła zdania.

Pomiędzy nim i Paulem nie istniało żadne powiązanie, o którym bandyci mogli się dowiedzieć. Chociaż Riggi starał się odkryć tożsamość Paula, to Behr udaremnił jego próbę. Pomimo to detektyw wyjął telefon i, wahając się jedynie przez chwilę, zadzwonił do swojego pracodawcy. Tak naprawdę nie myślał już o Paulu w ten sposób, co wydało mu się dość dziwne. Chociaż mężczyzna mu płacił, ich wzajemny stosunek był niepodobny do innych, jakie Behr utrzymywał do tej pory z klientami. Nie byli partnerami, a już na pewno nie byli przyjaciółmi. Łączyła ich więź, która ignorowała różnice charakterów i osobowości. Nie byli bratnimi duszami, głównie z powodu głupich, romantycznych skojarzeń, jakie niosło ze sobą to określenie, ale połączyli się w pewnym miejscu w głębi duszy. Od jakiegoś czasu razem szukali odpowiedzi, prostej lub złożonej, i dopóki jej nie odnajdą, nic nie było w stanie ich rozłączyć.

Zadzwonił najpierw do domu Gabrielów, ale nikt nie podniósł słuchawki. Rozłączył się po paru sygnałach, zanim włączyła się automatyczna sekretarka. Wybrał numer komórki Paula i tym razem zostawił wiadomość na poczcie głosowej.

- Tu Frank. Uważaj dziś na siebie. Jeśli cokolwiek wyda ci się podejrzane, jeśli usłyszysz, że ktoś majstruje przy zamku lub gałąź szoruje o szybę, zadzwoń najpierw na policję, potem do mnie. Zadzwoń do mnie, gdy tylko odsłuchasz tę wiadomość.

Po raz drugi zadzwonił do domu Gabrielów, gotów zostawić podobną wiadomość. Tym razem odebrała Carol.

- Słucham - powiedziała, jej głos był nieobecny. Nie był pewien, czy ją obudził, czy po prostu taki miała nastrój.

- Tu Frank Behr. Mogę mówić z Paulem?

- Nie ma go w domu. Jestem na górze, ale nie słyszałam, żeby wchodził do domu. Coś jest nie tak?

- Wszystko w porządku, Carol? - odpowiedział pytaniem.

- Tak. Dlaczego pytasz? A u ciebie?

- Dom jest zamknięty?

- Tak.

- Nie otwieraj nikomu drzwi. Będę u was za pięć minut.

*

Paul słyszał, że jego komórka dzwoni, ale nie zwracał sobie głowy odbieraniem połączenia. Był skupiony na tym, aby utrzymać samochód na drodze, w granicach bezpieczeństwa i dozwolonej prędkości. Czuł się, jakby w bagażniku wiózł trupa. Słyszał charakterystyczny łoskot i dźwięk przewracających się rzeczy, kiedy pokonywał zakręty ze zbyt dużą prędkością. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek zrobił coś tak lekkomyślnego. Kiedy obmył go strumień światła, był przekonany, że przyjdzie mu za to zapłacić. Spodziewał się, że samochód zatrzyma się, wysiądzie z niego Riggi i ruszy w jego stronę. Tymczasem samochód zwolnił, Paul dostrzegł zdumienie na twarzy kierowcy mijającego go pojazdu. Wóz pojechał dalej i wjechał na któryś z podjazdów. Paul wskoczył do swojego lesabre i uciekł stamtąd, zanim nie wydarzyło się nic gorszego.

Wjechał do garażu i zgasił silnik. Brama pozostała otwarta. Poczul, że adrenalina w końcu zaczyna opuszczać jego organizm. Podniósł z siedzenia telefon. Dzwonił Frank. Zostawił nagraną wiadomość. Zamiast ją odsłuchać, Paul otworzył bagażnik i wyjął z niego torby ze śmieciami. Pochylił się nad pierwszą z nich, próbował ją rozwiązać. W tym momencie drzwi prowadzące do domu otworzyły się. Carol w koszuli nocnej, na którą założyła szlafrok, weszła do garażu.

- Wydawało mi się, że słyszę samochód - powiedziała, spoglądając z zaciekawieniem na torby.

- Cześć, co się dzieje? - Paul starał się odwrócić jej uwagę.

- Ty mi powiedz - Carol nie dała się zbyć.

Światło samochodu, który zatrzymał się na podjeździe, rozjaśniło ich twarze mocnym strumieniem. Behr wysiadł z wozu i podszedł do nich. Rękę miał owiniętą ręcznikiem.

*

Poszczególne części wieczoru połączyły się w całość, kiedy we trójkę przeszukiwali śmieci Oscara Riggiego. Przez większość czasu Carol milczała, na jej twarzy dało się dostrzec wyraz bezgranicznego zdumienia. Miała pewne domysły, co do tego co, wraz z detektywem, robi jej mąż, ale nie miała pojęcia, jak daleko się posunęli. Paul stał z pochyloną głową, podczas gdy Behr opieprzał go za samodzielne obserwowanie domu Riggiego i kradzież jego śmieci. Gabrielowie milczeli, kiedy Behr opowiadał o napaści.

- Musieliśmy nadepnąć Riggiewi na odcisk - podsumował Paul.

- O tak! - odpowiedział Behr. - A w zamian on starał się nadepnąć na mój.

Carol osłupiała, kiedy Behr podwinął rękaw koszuli, mokry od stopionego lodu, i pokazał obrzydliwie spuchniętą rękę.

Worki ze śmieciami nie kryły w sobie zbyt wiele - stare rachunki za kablówkę, prąd i wodę. Wszystkie były dokładnie podarte. Nie znaleźli rachunku za telefon. Oprócz tego opakowania po produktach spożywczych, świeżych i mrożonych, czasopisma: *Sports Illustrated*, *Indianapolis*, *Money*, *Playboy*. Okazało się także, że Riggi lubi szkocką, dobrą szkocką. Do tego para starych adidasów, rozmiar 45, oraz kilka par zużytych skarpetek. Kolekcję uzupełniały folie i naklejki pochodzące z płyt kompaktowych i DVD. Cała trójka od czasu do czasu zerknęła w stronę ulicy, sprawdzając, czy pod domem nie zaparkował podejrzany samochód.

Podnieśli się znad sterty odpadków.

- Chyba niepotrzebnie ryzykowałem - powiedział Paul.

Behr poklepał go po ramieniu, dodał mu otuchy.

- Jest późno - powiedziała Carol. - Albo włączę ekspres do kawy, albo pora iść spać.

- Jedziesz do domu? - zapytał Paul.

- Może zostanę tutaj i dopilnuję, żeby dzisiejszej nocy nie wydarzyło się już nic ekscytującego - zaoferował Behr.

Paul i Carol spojrzeli na siebie. Paul skinął głową.

- Możesz przespać się w pokoju Jamiego.

Behr rozumiał, jak ważna była ta oferta. Odchrząknął.

- Powinienem być bliżej drzwi wejściowych. Na kanapie będzie mi dobrze.

- Przyniosę ci poduszkę i koce - powiedziała Carol, wchodząc do domu.

- Masz broń? - zapytał szeptem Behr.

- Nie. A ty nie masz? - odpowiedział Paul.

Carol zatrzymała się w drzwiach.

- O Jezu! O czym wy mówicie?

- Zazwyczaj nie noszę przy sobie broni. To dla mnie ostateczny środek ostrożności.

Tym razem detektyw mówił głośno, aby wszyscy słyszeli.

- A może kij baseballowy Jamiego? - zapytała Carol.

- Będzie idealny - powiedział Behr.

Weszli do środka.

Carol oparła kij Jamiego o kanapę i poszła na górę. Behr przeglądał numery w swoim telefonie. Dostrzegł, że Paul stoi niezdecydowany przy wejściu na schody. Chciał coś powiedzieć. To coś nie dawało mu spokoju.

- Po tym co stało się dzisiejszej nocy... - zaczął. - Może już czas? Zamierzasz się wycofać?

- Nie zachowuję się w taki sposób, Paul - uciął krótko Behr.

*

Riggi był wkurwiony jak jeszcze nigdy dotąd. Przechodził właśnie przez hall w hotelu, kiedy otrzymał nowiny od Wencka i Gilleya. Wenck się tłumaczył, w tle słychać było niewyraźny bełkot Gilleya, który miał najwyraźniej złamaną szczękę. Wszystko obróciło się w kupę gówna. Riggi podszedł do biurka recepcjonisty i wynajął pokój. Poprosił, aby do środka dostarczono jego torbę, która znajdowała się w samochodzie. Zameldował się w tajemnicy, prosił, aby nie łączono żadnych rozmów z jego pokojem oraz nie przyjmowano żadnych wiadomości, ponieważ mogłoby to zdradzić jego obecność. Wcisnął po pięćdziesiąt dolców na prawo i lewo, żeby wszystkie jego życzenia zostały spełnione.

W hotelu spędził długą, nieprzyjemną noc, niepodobną do żadnej innej. W takich miejscach korzystał zazwyczaj z obsługi hotelowej oraz cieszył się szampanem i towarzystwem pięknych kobiet. Dopiero promienie słońca, które przedarły się przez zasłony jego pokoju, uświadomiły mu, że nie przespał nawet minuty. Zmusił się do działania, zamówił jajka, tosty i cappuccino na śniadanie. Wziął prysznic, zmieniał temperaturę wody od gorącej do lodowatej przez dobre dwadzieścia minut, dopóki nie pojawiło się jego

jedzenie. Usiadł na krawędzi łóżka, ubrany w hotelowy szlafrok. Poczł, że jego umysł zaczyna się uspokajać i powraca wewnętrzna harmonia. Przecież niebezpieczeństwo, na jakie został narażony, było ograniczone. Zdecydował, że zostanie w hotelu jeszcze przez kilka dni, tak na wszelki wypadek. Zaryzykuje jedynie szybki wypad do domu po kilka ubrań i innych rzeczy, których będzie potrzebował. Postanowił także nie rozmyślać już o ostatnich porażkach. Musi skoncentrować się na przyszłości. Musi odbudować to, co zostało zniszczone.

Skończył jeść, ubrał się, włączył telewizor i wywiesił na drzwiach tabliczkę z napisem: „nie przeszkadzać”. Wpuści pokojówkę dopiero, kiedy wróci, wtedy będzie mógł ją mieć na oku. Rozejrzał się i nie zobaczywszy nikogo na korytarzu, ruszył w kierunku windy. Mógł wysłać kogoś, ale po robocie, którą Wenck i Gilley popisowo spieprzyli, czuł, że nie może ufać nikomu. Poza tym chciał osobiście rzucić okiem na swój dom i upewnić się, że w pobliżu nie kręci się policja lub ktokolwiek inny. Jeżeli wszystko będzie w porządku, wejdzie do środka, zabierze swoje rzeczy, uporządkuje papiery, zamknie je w sejfie i opuści dom. Wystarczy dziesięć minut.

*

Jadąc przez znajomą okolicę, poczył jak uczucie spokoju, które niedawno powróciło, rośnie w nim z każdym kilometrem. Podmiejska ulica była cicha, jakby niezamieszкана, jedyny wyjątek stanowiły ptaki. Ale one nigdy nie są cicho. Ulokowanie pieniędzy w ładny dom, w porządnej dzielnicy było świetną inwestycją. Wydawało mu się, że na takiej małej i spokojnej ulicy nigdy nie wydarzy się nic niezwykłego.

Wrodzona przezorność i intuicja kazały mu minąć dom i skrócić w następną przecznicę. Riggi okrążył budynek ponownie, tym razem jadąc wolniej. Kiedy mijał go po raz trzeci, wszystko nadal wydawało się ciche i spokojne. Wjechał na podjazd. Nacisnął guzik otwierający garaż, kiedy od domu dzieliła go jeszcze spora odległość, więc teraz mógł od razu wjechać. Bramę garażu zostawił otwartą, silnik włączony. Skierował się do drzwi prowadzących do lokum. Gdy tylko wszedł do niewielkiego korytarza i zamknął za sobą drzwi od garażu, zorientował się, że coś jest nie tak. Nie słyszał dźwięku alarmu. Spojrzał na panel i ujrzał, że lampka kontrolna świeci na zielono. Był przekonany, że włączył alarm, wychodząc wczoraj wieczorem.

28

Na zewnątrz wciąż było ciemno. Carol jeszcze spała, kiedy wyszli z domu i skierowali się do mieszkania Behra.

- Zrób kawę, gdy będę brał prysznic - poprosił Paula, kiedy byli na miejscu.

Detektyw podszedł do telefonu i odsłuchał jedyną wiadomość, jaka znajdowała się na automatycznej sekretarce. Głos należał do kobiety.

- Cześć Frank, tu Sue. Chciałabym ci podziękować za wczoraj. Mam do ciebie prośbę - kiedy zadzwonisz, powiedz mi, że takie rzeczy nigdy się nie zdarzą. To tyle. Aha, i jeszcze jedno. Uważaj na siebie.

Behr uśmiechał się, idąc w stronę sypialni.

Paul nalewał właśnie drugą filiżankę kawy, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Detektyw wyszedł z sypialni, jego włosy wciąż były mokre. Założył spodnie i otworzył drzwi. W drzwiach stał ciemnoskóry mężczyzna. Był szczupły, miał ciemne włosy, które byłyby kręcone, gdyby nie zostały obcięte na krótko. Miał sterczący nos, który przypominał nieco dziób łodzi wikingów.

- To jest Toombakis - przedstawił go Behr.

Mężczyzna przełożył swoją wytartą torbę z prawej ręki do lewej i podał Paulowi zniszczoną pracę dłoń.

- Jestem Paul.

- Jak się masz, Paul? - Toombakis nawiązał kontakt.

Mężczyzna mówił z akcentem charakterystycznym dla Wschodniego Wybrzeża, prawdopodobnie pochodził z Nowego Jorku, z pewnością nie z Nowej Anglii. Jego głos był pogodny, jednak pod oczami znajdowały się ciemne cienie, które świadczyły o trudnej przeszłości.

- Kawa? - zaproponował gospodarz i ponownie zniknął, aby dokończyć ubieranie.

Gdy Behr zakładał koszulę, Paul dostrzegł nie tylko jego poturbowaną rękę, która była spuchnięta i ciemnofioletowa, ale cały szereg blizn i szram znajdujących się na torsie

detektywa. Ran pozostawionych przez cięcia i uderzenia. Ran świadczących o życiu spędzonym na walce na bruku.

Wypili kawę, Toombakis nie powiedział, dlaczego przyszedł, a Paul nie pytał. Rozmawiali dla zabicia czasu o wynikach lokalnych drużyn Hoosiers i Colts.

Pół godziny później cała trójka siedziała w samochodzie zaparkowanym tuż za rogiem domu Riggiego. Mieli dobry widok na rezydencję. Ubiegłej nocy Paul zaparkował dalej, jednak przy ulicy, na której znajdował się dom. Przyznał sam przed sobą, że miejsce, które wybrał, bardziej rzucało się w oczy. Toombakis siedział na tylnym siedzeniu, jego głowa znajdowała się pomiędzy dwoma przednimi fotelami. Auto zostawił dwie przecznice dalej.

Mężczyźni obserwowali dom od kwadransa. Widzieli oznaki porannej aktywności w pozostałych rezydencjach, jednak obiekt ich zainteresowania wyglądał na opuszczony.

Behr wyjął telefon komórkowy i wybrał numer. Przyłożył go do ucha i w ciszy, jaka panowała w samochodzie, słyszeli dźwięk dochodzących ze słuchawki sygnałów. W końcu odezwała się poczta głosowa. Paul poczuł, że wypełnia go uczucie wstydu, gdy zobaczył, w jaki prosty sposób Behr upewnił się, że w domu nikogo nie ma. Detektyw rozłączył się bez pozostawiania wiadomości i ponownie wybrał cyfry.

- Jego numer jest w książce telefonicznej? - zapytał Paul, mając nadzieję, że odpowiedź Behra sprawi, że przestanie wreszcie czuć się jak skończony kretyn.

- Nie, ale mój telefon ma funkcję, która pozwala określić numer telefonu na podstawie adresu. Bardzo przydatne - słowa Behra sprawiły, że Paul poczuł się odrobinę lepiej.

- Dobra, możemy ruszać - powiedział detektyw po ostatnim sygnale. Zamknął telefon i wysiadł. Tak po prostu, po krótkim oczekiwaniu, bez niekończących się godzin spędzonych na obserwacji.

Toombakis szedł za Behrem, Paul kilka kroków za nimi.

- Wiesz, że zamki nie są moją specjalnością - powiedział Toombakis. - Mógłbym spróbować, ale...

- Zobaczmy najpierw, z czym mamy do czynienia - uspokajał go Behr. Przeszli przed domem, detektyw wskazał na naklejkę z nazwą firmy ochroniarskiej, która znajdowała się na frontowym oknie.

- O kurwa, widzę! - wściekł się Toombakis, kiedy zbliżali się do bocznych drzwi. - Znak firmy Valiant.

- Jakiś problem? - zapytał Behr.

- Kiedy już wejdziemy do środka, będziemy mieli tylko trzydzieści sekund, a nie minutę - mówił szybko Toombakis. - Nie możemy dotykać drzwi, dopóki nie wejdziemy do

środka. Napięcie włącza alarm.

- Hmm, zobaczymy - westchnął Behr, kiedy podeszli do budynku. Dokładnie obejrzał całą framugę, w końcu jego wzrok zatrzymał się na klamce i zamku. Działał szybko. Rozsunął suwak i otworzył czarną, skórzaną torbę. Zestaw niemalże dentystycznych narzędzi był przypięty do aksamitnej podszewki torby: klucze fajkowe, maleńkie śrubokręty i co najmniej tuzin innych narzędzi, które służyły do włamywania.

- Jesteś pewien, że nie chcesz spróbować? - Behr zwrócił się do Toombakisa.

- Nie, absolutnie. Chyba, że mam wiercić - odpowiedział.

Behr spojrział poważnie na mężczyznę, po czym uklęknął i zabrał się do pracy. Toombakis i Paul starali się, jak mogli, aby wyglądać normalnie. Jakby czekali na kogoś przed drzwiami. Zasłaniali detektywa swoimi ciałami, podczas gdy on pracował.

Kilka minut później Behr wstał.

- Dobra.

Paul spojrział na jego dzieło. Behr przytrzymał krótki, skrecony kawałek metalu, który nadal znajdował się w zamku.

Toombakis otworzył swoją torbę i wyjął z niej kilka śrubokrętów różnych rozmiarów oraz kilka metalowych klamer połączonych czerwonym kablem, które zawiesił sobie na szyi, tak jak krawiec robi to z centymetrem. Podał Paulowi swoją torbę, która była zaskakująco ciężka.

- Trzymaj ją w pogotowiu - poinstruował go, po czym skinął na Behra.

- Jeśli będziemy musieli wrócić do samochodu, zrób to szybko, ale nie biegnij - powiedział Behr, po czym skupił swoją uwagę na klamce. Gwałtownie opuścił rękę, w której trzymał narzędzie. Usłyszeli trzask w zamku, na twarzy Behra pojawił się grymas bólu. Użył lewej dłoni, która nadal go bolała. Nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się i weszli do środka.

Dom był pusty, jedynym dźwiękiem był odgłos ich kroków na posadzce oraz ostrzegawcze brzęczenie alarmu. Toombakis podszedł do panelu. Jego dłonie poruszały się z nieprawdopodobną prędkością, kiedy przymierzał kolejne śrubokręty do śrubek, które mocowały urządzenie do ściany. Te, które nie pasowały, upuszczał na podłogę. Narzędzia ze stukotem lądowały na posadzce. W końcu znalazł odpowiedni śrubokręt i w ciągu kilku sekund zdjął panel ze ściany.

Paul schylił się i zebrał leżące na podłodze śrubokręty. Kiedy podniósł wzrok, dostrzegł płataninę kabli, kryjącą się za mechanizmem. Brzęczenie alarmu nasiliło się, kiedy panel nie wisiał już na ścianie, choć Paul podejrzewał, że może być to jedynie jego wyobraźnia. Toombakis doczepiał kolejne klamry, aby zamknąć obwód, który przerwali,

otwierając drzwi. Czas pędził jak szalony, z pewnością minęło już ponad pół minuty i Paul przygotował się na to, że za chwilę usłyszy wycie alarmu. W tym momencie Toombakis podłączył ostatnią już klamrę, podniósł ręce do góry, niczym kowboj na pokazie rodeo tuż po związaniu cielaka i odsunął się od panelu. W domu zapanowała nowa, kompletna cisza. Mężczyzna obrócił przyrząd, aby mogli zobaczyć, że lampka kontrolna świeci na zielono.

- Włóż go na miejsce, a potem zabieraj się stąd. Dzięki - rzucił Behr i wyciągnął dłoń w stronę Toombakisa. Ten jedynie skinął głową. - Możesz zapomnieć o swoim długu - dodał Behr.

Ciemne oczy Toombakisa ożywiły się nieco.

- Nie martw się, nie zapomnę o jeszcze jednym długu - powiedział.

Behr skinął głową.

- Chodź - powiedział do Paula.

*

- Spróbujesz go otworzyć? - zapytał Paul.

Posuwali się wolno w głąb pomieszczeń, zaglądając do poszczególnych, gustownie umeblowanych pokoi. Kanapy wykonane były z ciemnej skóry, dywany i ściany miały standardowe, jednolite kolory. Dom był urządzone ze smakiem, choć widać było w tym rękę mężczyzny. W salonie dominował duży telewizor, odtwarzacz DVD oraz zestaw stereo. Pobieźnie przejrzeni kolekcję filmów i muzyki Riggiego. Była zdecydowanie przyziemna, nie znaleźli nic niemoralnego, głównie klasyczny rock: Seger, The Who, Stonesi, aż do Guns N'Roses. Z filmów głównie dramaty: *Ojciec Chrzestny*, *Człowiek z blizną*, *Wall Street*, wszystkie filmy nakręcone przez Tarantino.

- To nie jest prawdziwy sejf - powiedział Behr.

Patrzyli na ścienną skrytkę, ukrytą za koszulami na wieszakach, które rozsunęli.

- Nie? - zdziwił się Paul.

Znajdowali się w garderobie głównej sypialni. Za jej drzwiami widzieli ogromne, starannie zasłane łóżko.

- Jest prawdziwy, ale nie zawiera żadnych wartościowych rzeczy. Wiesz, co mam na myśli? Facet taki jak Riggi, niezwykle ostrożny, umieszcza sejf w głównej garderobie? Wątpię. Jest to pierwsze miejsce, do którego ktokolwiek zagłada.

Było to prawda. Pomieszczenie było pierwszym miejscem, które odwiedzili. Behr chwycił za rączkę.

- Tak na wszelki wypadek - upewnił się. Sejf był zamknięty. - Włamywacze wyrwaliby takie tanie pudło jak to ze ściany, zabraliby je do domu i dopiero tam rozpoczęli nad nim pracę.

Behr zsunął koszule, aby wisiały w taki sposób, w jaki je zastali. Przeszli przez główną sypialnię i łazienkę oraz przez kilka sypialni dla gości. W jednej z nich znajdowały się stare meble, sprzęt stereo oraz kije golfowe. W pozostałych stały wyłącznie łóżka.

- Zejdźmy na dół i sprawdźmy gabinet - zdecydował Behr.

Kiedy schodzili po schodach, usłyszeli dźwięk otwieranych drzwi. Paul zatrzymał się, jego serce zaczęło bić szybciej.

- Toombakis - uspokoił go Behr w ramach przypomnienia.

Chwilę później drzwi się zamknęły. Paul skinął głową i ruszyli dalej.

*

Na ścianach gabinetu wisiały półki z książkami, z których większość pozycji była bestsellerami. Inne opisywały historię europejskich producentów samochodów, takich jak Mercedes, Porsche i Maserati. Na biurku z ciemnego drewna stał terminarz zapisany niewyraźnymi notatkami, datami i numerami telefonów. Niewielka szafka skrywała kolejny telewizor, magnetowid i odtwarzacz DVD. Na ścianach wolnych od półek z książkami wisiały grafiki oprawione w ramy, które przedstawiały afrykańskie zwierzęta: słonie i zebry przy wodopoju oraz lwa na polowaniu. Behr usiadł za biurkiem w nowym, skórzanym fotelu w kolorze burgunda. Chwilę potem zaczął przeglądać szuflady.

Wyciągnął książeczkę czekową i otworzył ją na biurku. Nie dostrzegł żadnych nieregularności. Zaczął przeglądać pozostałe szuflady i natknął się na raporty pochodzące od kilku firm maklerskich. Behr uniósł je, żeby Paul mógł zobaczyć. Na większości z nich widniały sześciocyfrowe kwoty.

- Nieźle mu się powodzi - mruknął pod nosem.

Paul w tym czasie przeglądał książki znajdujące się na półkach. Behr odłożył dokumenty na ich pierwotne miejsce i odchylił się w fotelu. Spojrzał przez ramię na okno i nagle na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. Przeniósł wzrok na ścianę z półkami na książki, potem na drzwi. Wstał i zaczął krążyć po pokoju, starając się określić jego wymiary. Wyszedł, zajrzał do salonu, po czym wrócił do gabinetu. Jego brwi były ściągnięte, kiedy rozważał jakąś sprawę.

- Co? - zapytał Paul.

- Ten pokój.

- Co z nim nie tak?

- Jest za mały. Zobacz - powiedział Behr, wskazując na okno, a potem na półki z książkami. - To jest bok domu, prawda? Gabinet ma wspólną ścianę z salonem, która powinna kończyć się tutaj.

- Półki z książkami są wbudowane w ścianę - powiedział Paul. W jego głowie zaczynała świtać myśl, jednakże nie był w stanie jej uchwycić. Ponaglił swój mózg do szybszej pracy.

- Zgoda, ale nie są aż tak głębokie - wtrącił Behr.

- Fakt, powinny się kończyć tam, a nie tutaj - powiedział Paul, wskazując na miejsce za półkami. - Czy to możliwe, że... - jego niedokończony pytanie zawisło w powietrzu.

- Widziałem już takie rzeczy - oznajmił Behr.

W tym momencie już stał przed półkami i zaczynał je ciągnąć. Bez rezultatu. Zaczął pchać. Nadal bez skutku. Popchnął mocniej, przykładając ramię do półki. Usłyszeli cichy trzask. Detektyw odsunął się nieco i ponownie pociągnął za regał. Tym razem otworzyło się bez większego oporu. Spojrzeli na siebie. Pomiędzy półkami na książki a ścianą domu znajdowała się pusta przestrzeń. Niecały metr głębokości. W środku stały trzy niewielkie szafki, każda z nich miała dwie szuflady. Kucnęli. Detektyw spróbował otworzyć szuflady. Były zamknięte.

- Potrafisz je otworzyć? - zapytał Paul.

- Pieprzę to - odpowiedział Behr, wyciągając z kieszeni scyzoryk. Wybrał największe ostrze, które wcisnął w szparę pomiędzy szufladą a szafką. Zaczął zwiększać nacisk na ostrze, w pewnym momencie szuflada otworzyła się z trzaskiem.

Wyjął ze środka teczki i zaczął przeglądać dokumenty, które w nich znalazł. Paul przysunął się bliżej, aby móc czytać Behrowi przez ramię. Jednocześnie starał się nie zasłaniać światła. Niektóre dokumenty spisane zostały ręcznie, inne były wydrukami z komputera. Składały się głównie z kolumn inicjałów i numerów. Było oczywiste, że dane zostały zapisane według jakiegoś wzoru. Paul usilnie starał się go rozszyfrować.

- Wygląda na to, że to jakieś zestawienia.

- Też mi się tak wydaje. Są zapisane jakimś prostym szyfrem - Behr sprawdził pozostałe szafki. - Może w którejś z nich znajduje się do niego klucz.

Kolejne szuflady były także zamknięte, a Behr najwyraźniej nie chciał tracić na nie czasu. Zamiast je otwierać, przewracał kolejne strony i próbował samodzielnie rozgryźć system zapisu.

- To muszą być inicjały - powiedział Paul.

Behr skinął głową.

- Daty? - zasugerował detektyw. Miało to sens.

- A te? - zapytał Paul. Zaczęło mu się robić niedobrze.

- Pieniądze - powiedział Behr niskim głosem, którego barwa wskazywała na to, że jest niemal całkowicie pewien tego, co mówi. - Płatność w dwóch częściach. Niższe kwoty są księgowane co miesiąc.

Przejrzeni kilka kolejnych teczek. Nagle Paul zachwiał się i cofnął o kilka kroków.

- O Boże - wyszeptał.

- Co się stało? - zapytał Behr.

- Na dole strony...

Paul wbijał spojrzenie w inicjały zapisane małymi literami na brzegu kartki: „JG”. Behr spojrzał na nie, po czym jego wzrok powrócił na Paula. Przepłynęła pomiędzy nimi fala, która potwierdziła ich przecucia i podejrzenia. W tym momencie usłyszeli, jak otwierają się drzwi od garażu.

*

Riggi starannie oglądał panel kontrolny alarmu. W pobliżu śrubek mocujących panel do ściany dostrzegł kilka niewielkich wyłobień w plastiku. Starał się przypomnieć sobie, czy widział je już wcześniej. Nagle poczuł, że coś jest nie tak. W wewnętrznej energii domu zaszła jakaś zmiana. Ktoś tu był. A może nadal jest... Wezbrało w nim oburzenie, odezwał się mroczny instynkt terytorialny. Ruszył w głąb. Usłyszał kroki, dźwięk uginających się desek pod ciężarem czyjegoś ciała. Dochodził z gabinetu. *Zatłukę tego, kto śmiał wejść do mojego domu* - pomyślał. Wszedł do kuchni. Spojrzał na stojak z nożami i zaczął zastanawiać się, czy nie warto wziąć jednego z nich. Jego broń była zamknięta w sejfie na górze. Jeśli napotka uzbrojonego mężczyznę lub mężczyzn, wówczas nóż na nic mu się nie przyda. Zdecydował, że stawi im czoła bez żadnej broni, zabije gołymi rękami, jeśli będzie trzeba.

Wyszedł z kuchni i przeszedł do korytarza, gdzie zobaczył sylwetki dwóch postaci, wyłaniających się z ciemności. Jeden z włamywaczy był słusznego rozmiarów, drugi był jeszcze większy. Riggi od razu ich rozpoznał, ich obecność zmroziła mu krew w żyłach.

- Co do kurwy nędzy robicie w moim domu? - warknął, mając nadzieję, że złość zamaskuje jego strach.

- Kiedy zapukaliśmy, drzwi same się otworzyły, więc weszliśmy do środka - Behr nie

tracił zimnej krwi.

- Gówno prawda! - krzyknął Riggi. Zauważył, że w jego gabinecie na końcu korytarza półki na książki są odsunięte od ściany. Znaleźli jego skrytkę. Cichy partner stał za Behrem, jedna z jego dłoni zacisnęła się w pięść, w drugiej ścisnął jedną z teczek. Riggi poczuł, jak zalewa go fala paniki i przez chwilę musiał walczyć o zachowanie równowagi.

- Czas pogadać, Riggi.

- Ty chory sukinsynu... - cichy wreszcie przemówił, jego głos przypominał warkot dochodzący z głębi gardła. Mężczyzna wyszedł zza swojego partnera i ruszył w kierunku Riggiego, który zaczął wycofywać się w stronę kuchni.

- Wzywam policję - powiedział.

Wypowiadając ostatnie słowo, Riggi już stał do nich tyłem. Nim słowo zdążyło przebrzmieć, zagłuszył je odgłos uderzających o podłogę butów. Riggi zaczął uciekać.

Wpadł przez drzwi do garażu i wskoczył do samochodu. Wrzucił bieg, przez chwilę opony buksowały na pomalowanej podłodze garażu. W końcu samochód z piskiem opuścił podjazd i Riggi skręcił w prawo. Na rogu ponownie w prawo. We wstecznym lusterku dostrzegł mężczyzn biegnących przez jego trawnik. Skupił się na drodze, zdążył akurat w ostatniej chwili, aby wyminąć ciężarówkę ogrodnika, która zaparkowała na ulicy. Riggi pędził po Bayhill Drive. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza.

*

Najlepszym sposobem, żeby kogoś złapać - przypominał sobie Behr - jest zachowanie spokoju i skoncentrowanie się na celu. Dotyczyło to zarówno zbierania dowodów, jak i pościgów samochodowych. Choć włamanie się do domu Riggiego mogło świadczyć o emocjach, które chwilowo nimi zawładnęły, to teraz Behr nie zamierzał pozwolić, aby przeszkodziły mu w złapaniu mężczyzny.

Przebiegli przez trawnik do samochodu, Paul nadal ścisnął teczkę z aktami. Lepiej byłoby zostawić ją w skrytce Riggiego, ale nie było teraz czasu, aby wrócić do domu. Nie mogli pozwolić na to, aby Riggi udał się do swojego prawnika i nasłał na nich policję. Kiedy wsiedli, Behr włączył silnik i poświęcił kilka dodatkowych sekund na zapięcie pasa bezpieczeństwa.

- Zapnij się - poinstruował Paula, nie czekając, aż wykona jego polecenie. Poczul ostry ból w lewej ręce, kiedy kręcił kierownicą i rozpoczynał pościg w dół Heatherstone.

Behr jechał szybko, płynnie zmieniając biegi. Obydwaj mężczyźni byli wciśnięci w

swoje siedzenia. Widzieli samochód Riggiego, jakieś trzysta metrów przed nimi. Właśnie skręcał w Bayhill. Ważną rzeczą, o jakiej należało pamiętać podczas pościgu, to aby jechać szybciej na prostych, a następnie ostrzej hamować przed zakrętami, aby wchodzić w nie z tą samą prędkością co ścigany. Behr nauczył się tej techniki i stale ją doskonalił na weekendowych kursach jazdy, na które uczęszczał przez ostatnią dekadę. Lewa noga na hamulcu, druga na pedale gazu. Pilnował, aby po wyjściu z zakrętu silnik samochodu pracował na wysokich obrotach, co pozwalało mu szybciej nabierać prędkości. W rezultacie takiej jazdy zyskali ponad sto metrów w krótkim czasie. Obydwa samochody znajdowały się teraz na tej samej przecznicy. Behr błyskawicznie spoglądał w lewo i w prawo, przejeżdżając przez skrzyżowania. Uważał na nadjeżdżające samochody, ale też wypatrywał patroli drogówki. Jeśli w sprawę włączyłaby się policja, oznaczałoby to kłopoty. Nie mieli dobrej wymówki na wyjaśnienie tego, co właśnie robili. Mogliby zostać aresztowani. Nie chciał wpakować się w takie gówno, tym bardziej że zniszczyłoby to przy okazji resztki jego reputacji, jeśli Paul także trafiłby do aresztu przez niego.

Spojrzał na swojego pasażera. Wciśnięty głęboko w fotel, jedną ręką trzymał uchwyt znajdujący się na drzwiach, drugą zapierał się o deskę rozdzielczą. Nie wydawał z siebie żadnych dźwięków, był skoncentrowany, nie bał się. Wyglądał przez przednią szybę, jego oczy utkwione w celu zdradzały człowieka, który właśnie bierze udział w polowaniu. Riggi tracił kontrolę nad swoim samochodem. Kiedy wchodził w kolejny zakręt, tył jego wozu kołysał się z boku na bok.

*

Riggi nie wiedział, co oznacza trzydziestosekundowa przewaga podczas pościgu. Myślał, że będzie miał wystarczająco wiele czasu, aby wykonać parę skrętów i zostawić ich daleko w tyle. Kilka chwil później zobaczył, jak bardzo się mylił - brązowy olds był widoczny we wszystkich lusterkach.

- Niech to szlag - syknął, wałąc w kierownicę i dociskając pedał gazu. Błagał cutlassa, aby wreszcie nabrał prędkości. Samochód dochodził do setki w jakimś śmiesznie krótkim czasie - osiem czy dziewięć sekund, ale ciasne zakręty zawsze były skuteczną przeszkodą dla amerykańskich samochodów. Riggi pokonał kilka zakrętów tak szybko, jak tylko potrafił, za każdym razem, kiedy patrzył we wsteczne lusterko, olds Behra zbliżał się coraz bardziej, był coraz większy. Riggi zastanawiał się, dokąd ma pojechać. Jedną z opcji było udanie się do biura jego adwokata, ale było to dobre pół godziny jazdy, nawet przy tej prędkości. Nie był w

stanie myśleć naprzód, jego myśli, podobnie jak jego wzrok, zawęziły się jedynie do tego momentu. Możliwe rozwiązania tej sytuacji gdzieś się ulotniły. Miał pustkę w głowie, skupił całą uwagę na ciemnej nawierzchni uciekającej spod kół.

Tył zaczął niebezpiecznie bujać podczas zakrętu w Hazel Dell Parkway. Riggi starał się skontrolować, ale jedyne, co osiągnął to otarcie o zaparkowanego explorera. Jego samochód odbił się i wjechał na wysoki krawężnik. Kiedy przednie koła uderzyły w narożnik, Riggi usłyszał, jak pękają opony, przód wozu uniósł się i rozpoczął powolny przewrót. Białe niebo wypełniło przednią szybę. *Odchodzę* - pomyślał Riggi.

Potem było już tylko brązowe drzewo i zielona trawa. Gryzący zapach płynu chłodzącego wypełnił przestrzeń. Dźwięk gnieczonego metalu i tłuczonego szkła dotarł do niego dopiero po kilku chwilach. Zapanowała ciemność.

29

Behr zatrzymał się i zostawił włączony silnik. Paul był o dwa kroki za nim, kiedy zmierzali do wraku samochodu Riggiego. Wóz leżał na dachu, różnokolorowe płyny wyciekały z niego na trawę, opony obracały się powoli. Ciało Riggiego, połamane i zakrwawione, wystawało do połowy z okna, kierownica była wciśnięta w jego biodra. Wyglądało na to, że Riggi nie zapiął pasów bezpieczeństwa, więc amortyzatorem była jego głowa.

Na poboczu zaczęli zatrzymywać się inni kierowcy, którzy wysiadali ze swoich pojazdów i gapili się na rzeź. Behr wyjął telefon komórkowy i zadzwonił na pogotowie, zastanawiając się, czy Riggi jeszcze żyje.

Nagle mężczyzna poruszył się. Frank wezwał karetkę i zamknął telefon akurat w momencie, gdy Riggi otworzył oczy i zaczął rozglądać się wokół, walcząc o odzyskanie ostrości widzenia. Jego prawa ręka sięgnęła po coś leżące pośród potłuczonego szkła. Detektyw starał się dostrzec rzecz, której szukał Riggi. Ubiegł go Gabriel, zobaczył różaniec, który musiał wypaść z samochodu w trakcie wypadku. Paul schylił się i podniósł paciorki, zaciskając je w pięści tak, aby były poza zasięgiem Riggiego.

To, że mężczyzna umierał, było oczywiste. Behr przygotował się na to, co musiał zrobić. Przykleknął obok zakrwawionej twarzy Riggiego.

- Używasz przychodni lekarskich znajdujących się w twoich centrach, aby namierzać dzieciaki? - zapytał.

Riggi słabo pokręcił głową z boku na bok.

- Co z nimi robisz? - Behr pytał dalej, nie zamierzał ustąpić.

*

Źle. Wiem o tym. Umieram. Chyba wszystkie części jego ciała były połamane, czuł jak jego organy zaczynają się poddawać. Jego myśli nie miały związku z jego słowami. Czuł, że nie może poruszać ustami. Gdyby tylko zdołał dosięgnąć swojego różańca, wówczas, być

może, nie zostałby skazany na wieczne potępienie. Spojrzał na mężczyznę, który ścisnął go w dłoni.

- Kim jesteś? - zapytał Riggi cichym głosem.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, zaczął zastanawiać się, czy rzeczywiście wypowiedział te słowa.

Po jasnym niebie zaczęły przesuwać się pojedyncze chmury. Ostrza trawy przy twarzy Riggiego delikatnie poruszały się na wietrze. Jego umysł skupił się na Ramonie Ponceterra, na niedawnych i przyszłych przesyłkach, które nie zostaną już dostarczone. Ktoś uderzył go kilka razy w twarz i Riggi poczuł, że powraca do bolesnej rzeczywistości.

- Zabijasz je, jak już z nimi skończysz? - zapytał ten duży, który pachniał starą kawą.

*

Riggi nie udzielił żadnej odpowiedzi, jego oddech był rwany i płytki.

- Dla ciebie wszystko już skończone, możesz nam powiedzieć - powiedział Behr. Starał się wyciągnąć z mężczyzny informacje, choć jego żołądek zaczynał protestować.

- Już ich nie ma - wychrypiał Riggi.

Z jakiegoś powodu Behr nie uważał, że Riggi miał na myśli, że zabił chłopców.

- Trzymasz ich gdzieś, abyś mógł z nich korzystać, tak?

- Nie - odpowiedział Riggi, kręcąc głową i marnując na odpowiedź bezcenny oddech.

Frank poczuł się słaby i zaczął zastanawiać się, czy będzie w stanie zrobić to, co musiał. Wyciągnął rękę i chwycił Riggiego za szczękę.

- Chcesz, abym uczynił twoje ostatnie chwile prawdziwym piekłem?

Ofiary prawdopodobnie nie obchodził już ból. Mimo to Behr ścisnął niezwykle mocno jego krtań, zastanawiając się, czy będzie miał z tego jakiś pożytek, oprócz dręczących wspomnień do końca życia. Coś w oczach Riggiego zmieniło się, a nowy ból sprawił, że zaczął mówić.

- Są dla mnie więcej wari, niż bylibyście w stanie zapłacić.

Behr i Paul spojrzeli na siebie przerażeni słowami, które właśnie usłyszeli.

Zapadki w umyśle Behra zaczęły zaskakiwać. Zrozumiał te słowa.

- Ponieważ ich sprzedajesz - detektyw zawiesił głos.

Riggi zamrugał. Kłamstwo zniknęło z jego oczu. Pozostało wyraźne „tak”.

- Używałaś Roostera Mintza i Tada Forda - Behr myślał na głos. - Ford był kierowcą. Wywoziliście ich.

Riggi otworzył usta, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Behr zdał sobie sprawę, jak mocno ściska gardło mężczyzny. Zmusił się, aby rozluźnić nieco chwyt.

- Wysyłaliście ich. Dokąd?

- Na południe... do Meksyku... - wystękał Riggi. Życie zaczęło odpływać z jego oczu.

Behr poczuł dreszcz na myśl o bezlitosnym przewozie. Po chwili przypomniał sobie o niewielkim breloczku na klucze podarowanym mu przez striptizerkę, która z kolei otrzymała go od Tada Forda. Leżał w niewielkim pudełku, które zawierało wszystkie dokumenty i mizerne dowody, jakie do tej pory udało mu się zgromadzić w tej sprawie.

Paul musiał wpaść dokładnie na to samo.

- Ciudad del Sol - powiedział.

Riggi zamrugał i westchnął. Jego oczy zaczęły tracić ostrość widzenia oraz kolor.

Behr po raz kolejny uderzył go mocno w policzek, aby przywrócić go do rzeczywistości.

- Są wywożeni do Ciudad del Sol. Nawet nie próbuj, kurwa, zaprzeczać. Będiesz mówił „nie”, tylko kiedy się pomylę - Behr nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Słyszał jedynie ciężki, urywany oddech Riggiego.

Behr i Paul spojrzeli na siebie, pochylając się nad zakrwawionym mężczyzną. Wreszcie zrozumieli ogrom sprawy, z jaką przyszło im się zetknąć.

- Co z nimi robiłeś, bydlaku? - zapytał Paul, nieco śliny wyleciało z jego ust. Głowa Riggiego zaczęła kołysać się z boku na bok w niemej odpowiedzi.

- Co zrobiłeś z moim synem?

- Nie wiem - wycharczał Riggi.

- Gdzie jest jego ciało?! - Paul krzyczał wprost w twarz mężczyzny.

- Ja... ja... jestem biznesmenem - głos Riggiego był coraz słabszy. - *In nomine Patris...*
- nie powiedział już nic więcej.

Wiatr poruszał gałęziami wysoko nad nimi. Paul spojrzął na Behra, na umierającego mężczyznę, w końcu na różaniec, który trzymał w dłoni. Paciorki stuknęły cicho. Paul zamknął na chwilę oczy. Po chwili otworzył je i z wyrazem obrzydzenia na twarzy położył różaniec na otwartej dłoni Riggiego.

Mężczyzna wyglądał jak starzec podczas drzemki. Jego ciało przestało się poruszać. Paul odskoczył, kiedy usłyszeli wibrujący dźwięk, który wydostał się z płuc Riggiego.

- Rzeżenie umierającego - powiedział Behr, widząc pytanie na twarzy ojca Jamiego.

Detektyw wstał, jego zdrętwiałe kolana strzeliły, protestując przeciwko nagłemu ruchowi. Odszedł kilka metrów. Paul odsunął się o zaledwie kilka kroków, usiadł na trawie i

zwiesił głowę.

- Jeśli będą pytali, to mów, że czekałeś w samochodzie - tłumaczył Behr.

Gabriel skinął głową.

- Nie wiesz, jak dostałem się do środka. Nie było żadnego Toombakisa.

*

Najpierw pojawił się policyjny radiowóz, w ślad za nim następny. Zaraz po nich przyjechała karetka. Wsiadło z niej dwóch sanitariuszy. Kierowca zaczął wyjmować skrzynkę z tyłu samochodu, a drugi, Latynos z litościwą twarzą, podszedł do Riggiego.

- Hej doktorku! - krzyknął Latynos do swojego partnera po sprawdzeniu oznak życia. - Same zera na tablicy wyników.

- Hej! - odkrzyknął jego partner, schował skrzynkę i zamknął drzwi. Podszedł do ciała z podkładką do pisania i zaczął wypełniać papiery.

Policjanci, którzy odpowiedzieli na wezwanie, sfotografowali miejsce wypadku, a następnie zaczęli zadawać serię nieistotnych pytań. Niedługo potem na miejscu pojawił się srebrny crown vic.

Kapitan Pomeroy rozglądał się przez chwilę, po czym dostrzegł Behra i wyciągnął palec w jego stronę. Detektyw skinął głową i ruszył w kierunku palca.

- Myślałem, że skończyły się z tobą problemy, kiedy cię wylałem... - zaczął Pomeroy. Mówił na tyle głośno, że okoliczni gliniarze słyszeli jego słowa.

Behr ugryzł się w język i zmusił do tego, aby nie odpowiadać na zniewagę.

- Wsiadaj! - Pomeroy wskazał swój samochód. Behr skorzystał z zaproszenia.

Jasnoszary welur był bardzo komfortowy. Niestety, materiał zdążył przesiąknąć zapachem wody kolońskiej Pomeroya. Czas sprawił, że zapach skwaśniał. Behra od razu rozboleła głowa, kiedy tylko wsiadł do samochodu. Siedział i obserwował, jak Pomeroy ogląda miejsce zdarzenia i nadzoruje zamknięcie Riggiego w torbie na ciała oraz umieszczenie jego zwłok z tyłu vana koronera. Następnie podszedł do Paula i mężczyźni rozmawiali przez chwilę. Pomeroy przytył, odkąd Behr widział go po raz ostatni kilka lat temu. Skóra pod jego podbródkiem stała się obwisła. Jej ilość prawdopodobnie podwoi się w ciągu nadchodzących lat. Ciemne kręgi znaczyły oczy kapitana. Behr poczuł, że zmiany, które dostrzega w swoim byłym przełożonym, odzwierciedlają zmiany, jakie zaszły w nim samym. Jednak Pomeroy zachował ten specyficzny wygląd jastrzębia - miał przewiercające oczy i wydatny nos, podczas gdy Behr uważał siebie za nieudacznika.

A przecież kiedyś był obiecującym młodym policjantem, miał szansę zyskać niezbędną wiedzę i doświadczenie. Przez pewien czas był na najlepszej drodze do zostania wspaniałym gliną. Aż w końcu wszystko się posypało niczym domek z kart. Niefortunnie dobrany partner, nieumiejętność pójścia na zawodowe kompromisy, zbyt dużo picia, śmierć Tima, zniszczone małżeństwo i jeszcze więcej picia. Mógł postrzegać dowolny z tych czynników jako przykład pecha, ale jeśli zebrało się je razem, to nie stanowiły już kwestii przypadku. Były raczej przeznaczeniem.

Pomeroy wszedł do samochodu i zatrzasnął drzwi. Razem z nim do samochodu wsiadła nowa porcja zapachu jego wody kolońskiej. Zgodnie z przewidywaniami Pomeroy nie bawił się w uprzejmości.

- Czas zadać trochę ponadczasowych pytań, Frank. Dlaczego tu jestem? Dlaczego ty tu jesteś? Co się tu, kurwa, wydarzyło?

- To mój klient - Behr wskazał Paula.

- Znam go.

- Zajmuję się sprawą jego syna. Zawiodła mnie do Riggiego - naszego denata.

Pomeroy skrzywił się obrzydliwie.

- Chciałem z nim pogadać, zdobyć jakieś informacje, a potem przekazać je wam. Czekałem w jego domu, kiedy pojawił się i...

- Doprawdy? - przerwał mu Pomeroy.

Behr pomyślał, że może powiedzieć choć część prawdy. Jeśli później sami wpadną na rzeczy, które zataił, będzie miał problemy.

- Drzwi były otwarte.

- No tak. Czy twój klient był z tobą?

- Czekał w samochodzie. Później gość zaczął uciekać, goniliśmy go, aż w końcu wyskoczył z krawężnika.

- Oż ty kurwa. A dlaczego nie przyszedłeś z tym do nas na samym początku?

- Wtedy nie miałem jeszcze nic pewnego.

- A teraz jest już wystarczająco pewne? Co wiesz?

- Namierzał dzieciaki, które chodziły do przychodni lekarskich w centrach usługowych, których był właścicielem. Miał ludzi, którzy porywali chłopców. Wydaje mi się, że ich sprzedawał.

- Sprzedawał? Jezu Chryste!

- Dokładnie. Mam powody, by przypuszczać, że syn mojego klienta był jednym z tych chłopców. W moim samochodzie znajduje się teczka zawierająca część akt Riggiego.

- Jak niby kurwa ty... - zaczął Pomeroy. - Albo lepiej mi nie mów. O ilu chłopcach mowa?

- Około siedmiu w tym rejonie, w promieniu jakichś pięćdziesięciu kilometrów, przez ostatnie kilka lat. Chłopcy w określonym wieku. Przed nimi dużo więcej dzieci.

Pomeroy zbladł.

- Kurwa, trzeba będzie otworzyć wiele spraw, które uznaliśmy za nierozwiązane. Będziesz musiał spisać to wszystko, co teraz mi powiedziałeś.

- Będę potrzebował czasu - powiedział Behr i skinął głową.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś moim chłopakom?

- Wtedy nie wiedziałem jeszcze tego wszystkiego. Dopiero niedawno elementy układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsce - powiedział Behr przekonująco.

Pomeroy potarł twarz, wcierając jeszcze głębiej w skórę wodę kolońską.

- Dotarli do mnie pewne plotki. Podobno stałeś za dość brutalnym pobiciem, jakiego doświadczył pewien więzień. Ten sam więzień jest już martwy.

Behr poczuł, że Pomeroy przygląda mu się uważnie, czekał na jakąkolwiek reakcję. Detektyw starał się niczego po sobie nie pokazywać, oprócz wrodzonego uznania dla szybkości, z jaką działa więzienny wymiar sprawiedliwości.

- Nie wiem nic o tym.

- Daj sobie spokój. Po prostu daj sobie spokój, dobra? Więzień został kilkakrotnie pchnięty nożem. Masz na ten temat jakieś informacje?

- Żadnych.

- Jasne. Dokąd on je wywoził? Co on z nimi robił do jasnej cholery?

- Nie wiem kapitanie.

Było to kłamstwo na wielką skalę. Behr zamierzał je wypowiedzieć od chwili, w której samochód Riggiego wykonał fikołka i uderzył w drzewo. Jeśli zdradziłby teraz, że chodzi o Meksyk, wydział skontaktowałby się z lokalnymi władzami, tam pojawiłyby się wycieki i rozwiązanie sprawy, którego on i Paul szukali już tak długo, zniknęłoby na zawsze. Patrzył, jak Pomeroy zastanawia się nad kolejnymi pytaniami, które powinien zadać. Na część z nich odpowiadał sobie sam lub zdawał sobie sprawę, że odpowiedzi na dane pytanie nie uzyska. Na miejsce wypadku przyjechała pomoc drogowa, kierowca zaczął mocować liny do tylnej osi samochodu Riggiego.

- Zawsze nawalałeś, ale zawsze byłeś też uczciwy aż do, kurwa, porzygania - powiedział Pomeroy, mówiąc częściowo do samego siebie. Mówił tonem głosu charakterystycznym dla wszystkich przywódców. - Możesz mi powiedzieć coś jeszcze na

temat tej kupy gorącego gówna?

Behr zebrał w sobie całą pewność siebie, jaką posiadał. Jeśli uda mu się sprzedać kolejne kłamstwo, czuł, że Pomeroy odpuści i zabierze się za niekończącą się masę papierkowej roboty, która na niego czekała. Jeśli mu się nie uda, to kolejne kilka tygodni Behr spędzi, siedząc na posterunku razem ze swoim adwokatem i odpowiadając na niekończące się pytania.

- Nic więcej - powiedział z przekonaniem.

Pomeroy spojrział na niego i w końcu skinął głową. Uwierzył. W samochodzie zapanowało chwilowe odprężenie.

- Wspominałem już, że będziesz musiał spisać wszystko, co wiesz?

- Tak.

- Mam nadzieję, że przez jakiś czas łatwo będzie cię znaleźć - powiedział Pomeroy.

- Jasne.

Behr wysiadł. Zanim zdążył zamknąć drzwi, Pomeroy odezwał się jeszcze raz.

- Aresztowanie byłoby lepsze, ale w ten sposób ten sukinsyn był i się zmył. Mamy go z głowy, Frank - wyraz twarzy Pomeroya zdradzał, że kapitan jest zadowolony z tego, co się stało.

- Mogę odzyskać swój komputer? - zapytał Behr.

Pomeroy wrzucił bieg i ruszył, zanim detektyw zdążył zamknąć drzwi.

30

Siła lub słabość. Paul nie wiedział, która z tych cech dominowała w tym momencie. Zapewnił swojemu śmiertelnemu wrogowi, człowiekowi, który był źródłem wszelkiego bólu w jego życiu, spokój w chwili śmierci. Wysłał go na spotkanie wieczności z symbolem Boga. Nie zrobił tego dla Riggiego. Zrobił to dla siebie. Nie był człowiekiem religijnym w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Był wychowywany w duchu Kościoła episkopalnego, ale porzucił jego nauki już dawno temu. Wierzył jednak w Boga. Jego wiara była prawdziwa. W tamtej chwili wiedział, że musi być godzien tego, aby Bóg udzielił mu swej łaski w dalszych poszukiwaniach syna.

Po tym, jak policja skończyła ich przesłuchiwać, Paul i Behr udali się do baru Chili's. W milczeniu jedli hamburgery. Tak naprawdę wcale nie czuli ich smaku.

Paul kłamał, kiedy policjanci zadawali mu pytania, kłamał także, pomijając wiele faktów i wydarzeń. Pomimo zagrożenia okazało się to łatwiejsze, niż mu się wydawało. Przypuszczał, że tak było ze wszystkim - rzeczy stawały się prostsze, kiedy przekroczyło się pewien punkt, po którym człowiekowi było obojętne, co z tego wyniknie. Skończyli jeść, zapłacili i zbierali się do wyjścia, kiedy Paul uświadomił sobie, że nie omówili jeszcze kolejnych kroków.

- Chcę, żebyś wiedział, że policja wmiesza się w tę sprawę i wszystkie wydarzenia z nią powiązane - powiedział Behr, osuszając butelkę lemoniady.

- Ile czasu im to zajmie? - zapytał Paul, kiedy wstawali od stolika.

- Dni. Tygodnie. Zależy jak szybko zdołają odkopać stare akta.

*

- Ja prowadzę - zdecydował Behr, kiedy wyszli na parking i szli w stronę samochodu. Wydawało się to dziwne i niepotrzebne stwierdzenie, bo przez cały dzień jeździli samochodem Behra i to on miał kluczyki.

Paul pomyślał o domu i o tym, ile z tego, co wiedział, powinien zdradzić Carol.

- Nie zamierzam czekać na policję, Frank. Jadę - powiedział zdecydowanym głosem. -
Jadę do Ciudad del Sol. Chcę wiedzieć, co się przytrafiło mojemu synowi.

- Wiem - odparł Behr. - Powiedziałem tylko, że ja będę prowadził.

*

Behr kupił kwiaty i czekał pod jej blokiem, aż wróci z pracy. Podjechała, zaparkowała i wysiadła, zakładając na ramię skórzaną torbę. Nie spodziewała się go zobaczyć, ale na jej twarzy, oprócz zdziwienia i uśmiechu, pojawiło się coś jeszcze.

- Przystojniak powraca... - kobieta uśmiechnęła się i podeszła do niego.

- Taki już jestem - powiedział. - Jak się masz Susan?

W dniu ich randki wyglądała naprawdę pięknie. Dzisiaj miała na sobie codzienne ubranie - kurtkę narzuconą na bluzkę, a jej makijaż był dużo łagodniejszy lub rozmazał się nieco podczas całego dnia. Delikatne zmarszczki w kącikach jej oczu były bardziej widoczne. Bez warstwy makijażu i ze spiętymi włosami widział ją wyraźniej. Była piękna.

Do tej pory czuł się idiotycznie, siedząc w samochodzie z bukietem kwiatów, który wypełniał wóz zapachem mokrej ziemi. Opuściło go wszelkie wahanie, kiedy Susan uśmiechnęła się promiennie.

- Ładne - powiedziała, przyjmując od niego kwiaty.

- Już zamykali i skończyły im się róże.

- Może wejdiesz? - zapytała. W jej oczach pojawiły się iskierki, kiedy wahała kwiaty.

- Więc... - powiedział.

- Więc co chcesz mi powiedzieć?

- Wyjeżdżam na trochę.

- Naprawdę? - wydawało się, że odcień smutku zagościł na jej twarzy. - Chodzi o sprawę?

- Tak - Behr czuł, że jego serce bije coraz mocniej pod koszulą.

- Dokąd jedziesz? Jeśli to nie tajemnica.

Nie była, ale Behr nie chciał wdawać się w szczegóły. Nie chciał, aby poznała tę część jego życia.

- Do złego miejsca.

- O nie - powiedziała.

- Co nie? - zapytał.

- Jestem rodzajem kobiety, która jest albo w czymś do końca, albo w ogóle w to nie wchodzi. Zadzwoiłam do ciebie tamtej nocy, ponieważ chcę być z tobą do końca. A ty?

- Jadę za granicę, do Meksyku - powiedział i przysunął się do niej. - Ja też chcę być do końca, Susan.

Jej ręka sięgnęła za jego głowę, przyciągnęła go do siebie i zniknęli w namiętym pocałunku.

*

Noc była niemal nierzeczywista, a teraz dobiegała już końca. Na skraju zasłon pojawiło się jasne światło, oznajmiające im, że nadszedł czas. Nie leżała obok niego jak zazwyczaj. Teraz jej głowa znajdowała się na jego piersi, jej włosy zakrywały jego tors. Jak za starych czasów. Pięknych czasów. Serce Paula biło równo i nieubłaganie. Dźwięk, którego nie słyszała od tak dawna. Żadne z nich nie spało, znajdowali się bardziej w stanie czuwania, który ciężko było odróżnić od snu. Rozmawiali przez pół nocy, co nie zdarzyło im się od wielu miesięcy. Paul zdał jej relację z postępów, jakie poczynili z Behrem w sprawie ich syna. Zastanawiała się, czy teraz wie już wszystko. Czowała że tak, przynajmniej wiedziała o wszystkim, co istotne. To, czego się dowiedzieli podczas śledztwa, to były straszne rzeczy. Przerażające. Rozpoczęli swoją rozmowę, stojąc w kuchni, po czym przeszli do sypialni. Usiedli na krawędzi łóżka. W miarę upływu czasu, nieświadomie przysuwała się do niego coraz bardziej. Jej mąż był odważny i nieustępliwy, teraz to wiedziała. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie dostrzegała tego przez tak długi czas. Gdy mówił, w pewnym momencie ich dłonie zetknęły się, szukając wzajemnego pocieszenia. Kiedy zdradził jej, dokąd się udaje, chwyciła jego ramiona. Bała się tego, co miało nadejść.

*

Było już późno, kiedy to poczuła. Pożądanie. Martwe od bardzo dawna, którego część, jak czuła, zginęła wewnątrz niej, teraz wróciło. Wyciągnęła rękę w jego kierunku, w momencie, kiedy on pochylał się w jej stronę. Odpowiedziała na jego pocałunek, niemalże wpadając do jego otwartych ust. Z początku postępował niepewnie, dotykał jej, jakby była czymś niesamowicie kruchym, zbudowanym z mgły, która nie stawia oporu jego ciału. Jednak ona wyszła mu naprzeciw i wzajemny dotyk stał się pewniejszy. W pokoju było ciemno. Zrzucili z siebie ubrania. Ich ciała spotkały się w potrzebie, uldze i miłości. Położył się na niej. Jego zapach i ciężar były znajome i odurzające. Z kącików jej oczu popłynęły łzy

szczęścia. Przez chwilę Jamiego nie było. Nie w bolesny sposób, w jaki odczuwała jego nieobecność przez ostatnie miesiące, ale w sposób, w jaki czasami znikał, nawet kiedy bezpiecznie spał w swoim pokoju, a oni znajdowali się w wyjątkowym świecie, do którego udają się mężowie i żony, aby spędzić tam tylko swoje chwile. Rozmawiali w języku miłości, z ich ust dochodziły dźwięki pełne namiętności.

*

- Carol - powiedział w ciemność.

- Tak? - odpowiedziała.

- Miałaś rację, powinniśmy urządzać mu pogrzeb. Nagrobek, nabożeństwo w jego imieniu. Mogę poczekać nieco z wyjazdem, aż tego nie załatwimy.

Ścisnęła jego rękę.

- Jak wrócisz - powiedziała.

Musiał dodać coś jeszcze.

- Nie szukam śmierci, kochanie. Boję się, że coś mi się stanie, że nie wrócę. Ale bardziej się boję nie jechać.

Jego siła zdawała się być zaraźliwa. Carol zdała sobie sprawę, że została nią zainfekowana.

- Najpierw pojedź i dowiedz się, co stało się z naszym synem lub z innymi dziećmi. Potem wróć do domu, wróć do mnie.

W półmroku dojrzała uśmiech Paula. Ich dłonie odnalazły się na pościeli, wspólnie czekali na świt. Zaczęli się delikatnie siłować, co było ich dawno zapomnianym rytuałem podczas intymnych momentów. Ich kciuki tańczyły razem, ocierając się o siebie, wyznawały sobie miłość, która ciągle była pomiędzy nimi.

*

Behr siedział w samochodzie. Zobaczył, że w oknach pali się kilka świateł, które przebijają półmrok poranka. Zastanawiał się, dlaczego w ogóle tu siedzi. Powinien pojechać sam i zostawić Paula w domu. Zdał sobie sprawę, że zmusiła go do tego lojalność, taka staroświecka przypadłość. Poza tym Paul na pewno ruszyłby w drogę sam, gdyby Behr go nie zabrał. Rozmyślał, czy nie warto było zatrzeć. Za każdym razem, kiedy odbierał swojego pracodawcę, nie musiał tego robić, ponieważ Paul czekał na niego przed domem lub wychodził z niego w momencie, gdy Behr zatrzymywał samochód. Detektyw rzadko widział

Carol, która jedynie pojawiła się w oknie raz czy dwa. Przez większość czasu albo nie było jej w domu, albo kryła się gdzieś w jego głębi niczym duch.

Dziś jednak drzwi otworzyły się i pokazała się w nich Carol, miała na sobie luźne spodnie i wyblakłą koszulkę, jej włosy upięte były w kucyk. Twarz była świeża, pozbawiona jakiegokolwiek makijażu. Wyglądała na młodą, choć ze znamieniem doznanych trosk, co tworzyło dziwnie piękną kombinację. Behr opuścił szybę, kiedy kobieta podeszła do jego samochodu. Spodziewał się usłyszeć, że Paul nie jedzie, że podróż wydaje się zbyt niebezpieczna oraz że nie życzy sobie, aby Behr pokazywał się jeszcze w tej okolicy.

- Wejź - powiedziała łagodnym głosem. - Zrobię wam gorące śniadanie, zanim ruszycie w drogę.

31

Jechali w stronę błękitnej linii horyzontu. Wyjeżdżając ze stanu, minęli szereg kombajnów, które pracowały podczas żniw. Pomimo wczesnej pory warczały już na pełnych obrotach, ponieważ nie było rosy, a wiatr wiał od południa. Całe szeregi ciągników przemierzały pola pełne plonów. W oddali ogromne maszyny niknęły w chmurach kurzu i pyłu, które same wytwarzały, ścinając i zbierając zboże, odcinając ziarna od łodyg, oddzielając plewy i wyrzucając łodygi z powrotem na ziemię.

Radio, ustawione na odbiór AM, wychwyciło nadawany raport rolniczy. Przypomniało to Behrowi lata młodości, kiedy siedzieli z ojcem w pickupie i słuchali wiadomości, które były kluczowe dla ich przetrwania na farmie.

- Warunki pod koniec zimy były idealne - poinformował lokalny prezenter. - Pszenica dość wcześnie przełamała zimowe uśpienie i przeszła w ostateczny cykl rozwoju. Poziom wilgotności wynosi czternaście procent. To idealne warunki na wczesne plony oraz szansa na podwojone zbiory...

Dość szybko stracili zasięg. Paul wyłączył radio. Jechali w ciszy, wyglądając przez okna. Ścinanie było łatwą pracą, po chwili mijali już tylko ścierniska. Jechali dalej przez nijaką równinę pod pustym niebem.

*

Behr niemal skręcił na skrzyżowaniu w drogę prowadzącą do domu Lindy. Zdziałało przyzwyczajenie, podobnie jak za każdym razem, kiedy jechał na południe. To była naturalna reakcja jego organizmu, gdy był w pobliżu Vallonii. Od dawna odczuwał ból głęboko w sobie, wibrujące poczucie pustki w miejscu, które wypełniała niegdyś Linda, zupełnie jak ktoś, kto narzeka na ból kończyny, którą niedawno mu amputowano. To uczucie przez wiele lat było częścią jego życia. Przywiązał się do niego w niemal perwersyjny sposób. Ale kiedy minęli zjazd, który należało wybrać, aby do niej dojechać, ból był jedynie krótką myślą, która tym razem nie zajmowała nawet w połowie tyle miejsca, co myśli o Susan. Jednak po jakimś

czasie nawet myśli o niej zostały wyparte przez domysły na temat tego, co odnajdą i z czym przyjdzie im się zmierzyć w Ciudad del Sol oraz rozważania dotyczące przedmiotu, który włożył do bagażnika pod dywanik. W miejscu na koło zapasowe.

*

Słońce wisiało wysoko na niebie. Jego promienie przecinały przednią szybę niczym palnik acetylenowy. Wjechali do Missouri, wydawało się, jakby to siła pędu zmusiła ich do rozmowy.

- Co się wydarzyło pomiędzy tobą a kapitanem Pomeroyem? - zapytał Paul.

Behr przejechał co najmniej dwa kilometry, starając się ułożyć w wygodny sposób bolące ramię i myśląc nad najlepszą odpowiedzią, jakiej mógł udzielić.

- Kiedy jesteś gliną - zaczął, zwalniając nieco, aby wyminąć zwłoki zabitego na szosie oposa schnące na słońcu - miasto, w którym pracujesz, staje się twoim miastem. Jest twoim zmartwieniem. Poświęcasz się mu. Wypadki. Sytuacje wyjątkowe. Pożary. Zamieszki. Strzelaniny. Wszystko jedno. Jeśli cokolwiek się zdarzy, pojawiaasz się na miejscu, bez względu na to, czy jesteś na służbie, czy nie. Nawet na emeryturze. W zamian oczekujesz czegoś. Czegoś niewielkiego. Oczekujesz, że będziesz należał do tego miasta w taki sam sposób, w jaki ono należy do ciebie.

Behr opowiedział Paulowi o pokrewieństwie Pomeroya i jego partnera, o strzelaninie, o napiętnowaniu.

- Sposób, w jaki mnie załatwił... - zakończył Behr. - ...Pomeroy odebrał mi to poczucie przynależności.

*

Zatankowali w Sikeston, Behr został za kierownicą. Do następnego tematu rozmowy podeszli ostrożnie, niczym ktoś, kto ma zaraz wejść do lodowatego górskiego jeziora.

- Jamie był pełen sprzeczności - zaczął Paul. - Nieśmiały, ale jednocześnie opanowany. Przyzwyczajenie się do nowej sytuacji - pierwszego dnia w szkole, na urodzinach jakiegoś kolegi czy jakiegokolwiek innej, zajmowało mu zazwyczaj chwilę. Rozwazał wszystko w ciszy, stał z boku, na spokojnie starał się określić swoje miejsce i możliwości w nowym otoczeniu. Po chwili zaczynał zachowywać się coraz głośniej i żywiej. Stawał się prawdziwym sobą, zupełnie takim jak w domu, biegał w kółko, śmiał się i ciągle gadał...

Paul urwał, nie był przyzwyczajony do rozmowy na ten temat. Nawet mimo tego, co się wydarzyło między nimi. Wielokrotnie omawiali szczegóły prowadzonego śledztwa, jednak Paul nigdy nie rozmawiał z detektywem o swoich prywatnych wspomnieniach dotyczących Jamiego. Jednak słowa Paula sprawiły, że nagle Behr zaczął mówić.

- Tim ciągle się śmiał. Był dzielny chłopcem.

- Nie dziwię się.

- Prawdziwy zabijaka. Zawsze chadzał własnymi ścieżkami, nawet jako małe dziecko. Świat wydawał się od niego odbijać. Zepsuł w domu wszystko przynajmniej raz - Behr uśmiechnął się, a zaraz potem skrzywił. Wspomnienia nadal sprawiały mu ból.

- Dlaczego nie mieliście więcej dzieci? - zapytał Paul.

- Nie mogliśmy. Linda, moja była żona, miała powikłanie przy porodzie Tima. A wy?

- Powinniśmy mieć. Myśleliśmy, że tak będzie. Ale przez te wszystkie lata z Jamieem byliśmy... kompletni. Tak nam się wydawało.

Weszli już do kostek w lodowatą rzekę wspomnień, temperatura wody zapała im dech w piersiach i zniechęcała do zagłębiania się. Jednakże oni zdecydowali się przeć naprzód.

- Wiem, że... - zaczął Paul, po chwili przerwał, próbując znaleźć odpowiednie słowa. - To znaczy wmawiam sobie, że... każda spędzona z nim minuta była darem, za który należy być wdzięcznym. Czekam, aż opuści mnie poczucie porażki, abym mógł tak właśnie postępować.

Słowa Paula były częściowo pytaniem, na które otrzymał od Behra niemą odpowiedź, wyrażoną zmianą położenia ciała za kierownicą. Po chwili wydał dźwięk przypominający nieco westchnięcie. Znaki, które jedynie ci dotknięci tego samego typu nieszczęściem mogli zrozumieć i zinterpretować.

Przez kolejne sto kilometrów w samochodzie panowała cisza. Głęboka zieleń drzew została zastąpiona przez wyblakły, bladożółty krajobraz.

- Żałuję, że nie potrafiłem być wtedy szczęśliwszy. Kiedy miałem żonę, syna, kiedy miałem wszystko - powiedział Behr. Mijali właśnie znak reklamujący miejsce, w którym urodził się Jesse James, a które znajdowało się w okolicy. - Zawsze czekałem na coś innego, na lepszy moment - wakacje, awans, lato, które miały być idealne. Nie zdawałem sobie sprawy, że właśnie wtedy było idealnie. Każdego ranka czy wieczora, w zależności od zmiany, na którą pracowałem. A podczas rozgrywek Małej Ligi... rzeczy, którymi się chwalił po powrocie do domu ze szkoły...

- Nauczył się tych rzeczy od znajomych, nie z zajęć...

- Dokładnie.

Obydwaj mężczyźni uśmiechnęli się do własnych wspomnień. Paul skinął głową powoli, jakby wewnątrz samochodu było statkiem kosmicznym, w którym nie było grawitacji.

- Zawsze wydaje się, że szczęście ma ktoś inny - podsumował.

Pomyślał o śniadaniu, które zjedli, zanim wyruszyli w drogę. Carol zrobiła idealne jajka z bekonem, kawa miała dokładnie taką moc, jakiej potrzebowali. Choć nie rozmawiali zbyt wiele, to wspólnie spędzony czas okazał się niezwykle przyjemny, zupełnie jakby wraz z Behrem wybierali się na ryby, a nie na wyprawę w nieznane. Słyszał kiedyś teorię, że pod koniec życia nie pamięta się go w całości, a jedynie jako serię wybranych momentów. Jeśli tak było w istocie, to dzisiejsze śniadanie na pewno będzie jednym z nich.

- Dysponujemy jedynie chwilami - powiedział Paul na głos, jakby Behr był wtajemniczony w jego myśli.

- Taa - zgodził się Behr. Wydawało się, że dokładnie wie, co Paul ma na myśli.

*

Jechali przez noc, okrywała ich kołdra ciemności rozdzielana jedynie przez światła tirów, które mijali, oraz jasne neony stacji benzynowych ustawionych wzdłuż autostrady. Zostawili za sobą Arkansas i Teksas. Zjechali z drogi międzystanowej, aby kupić trochę chipsów i napojów. Zmienili się za kierownicą. Nie zatrzymali się na noc. Od granicy dzieliły ich niemal dwa tysiące kilometrów, postanowili pokonać je w dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć godzin. Udało im się w nieco ponad dwadzieścia dwie.

Kiedy skończyła się noc, byli na południe od Austin. Nadszedł poranek, krajobraz zmienił się ze stepowego w pustynny, kiedy dojechali do Laredo. Byli przy granicy. Kupili czterdzieści litrów wody mineralnej i usadowili się na siedzeniach. Musieli przespać się kilka godzin, zanim zapuszczą się na południe i zachód, do innego kraju, który składał się z piachu, karłowatych drzew i zarośli.

*

Ciudad del Sol. Miasto Słońca. W Paulu narastało poczucie lęku, kiedy przejeżdżali z amerykańskiej strony granicy na meksykańską, gdzie strażnicy graniczni ledwie zwrócili na nich uwagę. Paul zauważył, że Behr uważnie rejestruje każdy szczegół przejścia. Poszedł w jego ślady, bacznie obserwując amerykańskich strażników, którzy przywiązywali do nich niewiele więcej uwagi niż ich meksykańscy koledzy. Samochody wlokły się niemiłosiernie.

Paul patrzył na nie i na to, co działo się wokół. Nie wiedział, czy ma to jakieś znaczenie, ani które szczegóły powinien zapamiętać, starał się więc zapamiętać wszystko.

- Jesteśmy turystami. Jesteśmy na wakacjach - instruował Behr. - Jeśli przeszukają samochód to powiemy, że chcemy postrzelać trochę na strzelnicy i do rzutków.

Paul zrozumiał, że w bagażniku znajduje się broń.

Ktoś zapukał w okno pasażera. Obydwaj mężczyźni odwrócili się w tym kierunku. Szczupły, dwudziestokilkuletni mężczyzna stał przy samochodzie, najwyraźniej zatrzymywał się w ten sposób przy każdym z wozów stojących w kolejce. Trzymał torbę brudnych pomarańczy.

- Nie chcemy. *No, gracias* - powiedział Paul, opuszczając okno do połowy wysokości.

- *No queremos* - dodał z siedzenia kierowcy Behr.

Mężczyzna rzucił pomarańcze na ziemię.

- Mówicie po hiszpańsku. Wspaniale! Czego szukacie? Jestem Victor. Będę waszym przewodnikiem - powiedział młody mężczyzna.

Jego angielski był całkiem przyzwoity. Behr i Paul przyglądali mu się uważnie przez chwilę. Korek przed nimi rozluźnił się i ruszyli w dalszą drogę. Paul zamknął okno, aby uchronić się od wirującego kurzu.

*

Minęli granicę i właśnie przejeżdżali przez rejon, który przypominał strefę zdemilitaryzowaną, pełną potłuczonych butelek, tłących się śmieci i spalonych pojazdów. Młodzi ludzie z trudem pchali stare rowery załadowane wszelkiego rodzaju towarami. Okrążyli miasto, jadąc jego przedmieściami pełnymi gigantycznych kałuż błota, które uchodziły za pola uprawne. Grupy *braceros* leżały w cieniu pradawnych wraków ciągników siodłowych. Była akurat pora lunchu, który składał się tu głównie z wypoczynku. Jedzenia było mało. Po wschodniej stronie miasta ujrzeli *maquiladoras* - długie i niskie ceglane fabryki oznaczone niewielkimi, potłuczonymi oknami, które nie wpuszczały zbyt dużo światła i powietrza kobietom, pracującym w środku za niewolnicze wynagrodzenie.

Dojechali do centrum miasta, które było tylko nieco bardziej zadbane niż przedmieścia. Zaparkowali samochód. Szli w tłumie Meksykanów oraz innych przyjezdnych, głównie Amerykanów - chłopaków w koszulkach reprezentujących południowe i zachodnie uniwersytety, którzy zaczynali dzień od kieliszka tequili; podstarzałych typów, którzy byli prawdopodobnie menadżerami średniego szczebla, ich blade ciała odcinały się od koszulek

polo i spodni koloru khaki; młodych podróżników, którzy zmierzali coraz bardziej na południe; starzejących się małżeństw, które chodziły w sporych grupach i pewnie żałowały teraz, że nie wybrały jednak rejsu statkiem. Mijali stragany, na których sprzedawano tanie buble, ustawione po obu stronach ulicy, która stawała się przez to jeszcze węższa. Piesi szli w okropnym tłoku, dodatkowym niebezpieczeństwem były zakurzone samochody, które od czasu do czasu przejeżdżały ulicą pomiędzy nimi, głośno trąbiąc. Tandetne gitary wisiały w rzędach przed sklepami muzycznymi. Stragany wypełnione były sombreroami, plastikowymi okularami przeciwsłonecznymi, butelkami meskalu, olejkami do opalania, ręcznie tkаныmi kocami i koszulkami każdego koloru. Do niewielkich wózków przywiązane były miniaturowe zebry, choć gdyby ktoś się przyjrzał, zobaczyłby, że są to tak naprawdę osły pomalowane na czarno-biało. Ale nikt się nie przyglądał. Zdjęcie z takim zwierzątkiem kosztowało dolara, przejazdka wózkiem dwa. Nikt niczego nie kupował.

Weszli na plac, z jednej strony ogrodzony zniszczonym kościołem, z drugiej zaniedbanym budynkiem rządowym. Bezdomne psy biegały dookoła wyschniętej fontanny. Starzy mężczyźni zbierali się na ławkach, a krępe kobiety ciągnęły za sobą dzieci, często trzymając niemowlęta w wolnej ręce. Pod drzewami stali młodzi mężczyźni, palący papierosy, ubrani w cienkie skórzane marynarki i znoszone trampki. Paul nie miał pojęcia, co robić dalej.

- Głodny? - zapytał Behr.

Paul wzruszył ramionami.

Opuścili plac i udali się do bocznej uliczki, gdzie znaleźli niewielki, blaszany budynek, który był zarówno sklepem spożywczym, jak i swego rodzaju restauracją.

*

Jedli twardego kurczaka i żółty ryż maczany w niezwykle ostrym sosie. Mieli nadzieję, że sos zabije tutejsze bakterie.

W pewnym momencie do środka wszedł Victor, mężczyzna z pomarańczami, którego spotkali na granicy.

- *Hola* ponownie i znowu - rzucił mężczyzna i przysiadł się do stolika bez pytania.

Paul spojrzał na Behra, który nie miał nic przeciw temu.

- Jesteście na wakacjach? - zapytał Victor.

- Jasne - mruknął Behr.

- Postawcie mi piwo - powiedział Victor.

Behr skinął głową i Victor krzyknął coś do kobiety, która przyniosła im jedzenie. Chwilę później przyniosła puszkę Tecate. Victor wziął łyk i uśmiechnął się. Położył łokcie na stole. Był wysoki i szczupły, miał gęste, czarne wąsy i niebieskie oczy.

- To czego chcecie? Wycieczki? Imprezy? Wyprawy na ryby? Wszystko wam mogę załatwić.

Behr wzruszył ramionami. Nie wydawał się zainteresowany żadną z propozycji.

- To może chcecie kobiet? Mam piękne dziewczyny.

Paul zauważył, że Behr wyprostował się nieco, słysząc te słowa, więc on także udawał zainteresowanego.

- *Si, si, señor, lo que quieras.* Zabiorę was w dobre miejsce.

Behr odsunął swój talerz.

- Brzmi dobrze - powiedział.

Wyszli z restauracji.

- Jesteśmy dość wybredni. Szukamy czegoś wyjątkowego. Chcę, żebyś to wiedział. Nie zabieraj nas w zwykłe miejsca.

- *Si, si, wy wybieracie* - zapewnił ich Victor.

Nie było jasne, czy na pewno zrozumiał.

*

Dzień stał się nieznośnie gorący po południu, powietrze było wręcz duszące. Wszystko i wszyscy poruszali się w zdławionym, powolnym tempie. Pierwszy burdel był lepianką połączoną z przyczepą kempingową, która stała na ceglach. Budowla miała niewielki daszek z liści, pod którym na plastikowych krzesłach siedziało pół tuzina kobiet. Miały na sobie obcisłe, poliestrowe topy oraz luźne spódniczki. Piły colę z butelek i nie wstały ani nie zadały sobie trudu, aby zaprezentować się, kiedy mężczyźni podeszli. Victor powitał kilka z nich. Z przyczepy wyszła drobna kobieta, jej oczy były ponure. Victor zwrócił się do niej, używając imienia Marta. Musiał mówić o Amerykanach, ponieważ kobieta spojrzała na mężczyzn swoim przeszywającym wzrokiem.

Odważnie podeszła do nich, mimo że miała jedynie nieco ponad metr sześćdziesiąt wzrostu.

- *Como estan* - zaczęła. - Chcecie ładnych dziewczyn?

Behr i Paul lekko skinęli głowami.

Marta wzięła Paula za rękę i przyciągnęła go bliżej kobiet. Kilka z nich uśmiechnęło

się na widok jego zakłopotania. Z bliska panienki prezentowały się średnio i zwyczajnie. Niektóre wyższe, niektóre pulchniejsze, inne ładniejsze, ale jakiegokolwiek cechy szczególne zdawały się zlewać w jedno.

- Będziemy się dobrze bawić - zachęciła jedna z młodszych dziewczyn. Miała śnieżnobiałe zęby i lśniące, czarne włosy. W przeciwieństwie do niektórych koleżanek nie zdecydowała się ufarbować ich na blond, co czyniło ją jedną z najatrakcyjniejszych w grupie.

Marta przenosiła swój wzrok z Behra na Paula, czekając na decyzję któregoś z nich. Kiedy się nie doczekała, odwróciła się w stronę Victora.

- Podobają wam się dziewczyny? - zapytał Victor.

- Nie - odpowiedział Behr. - Są jakieś inne?

- Może będą później. W nocy. Ale wszystkie są takie jak te - odpowiedział.

- Chcemy czegoś innego. Młodszych. Innych - tłumaczył Behr.

Victor i Marta rozpoczęli rozmowę po hiszpańsku. Mówili z taką prędkością, że Amerykanie nie mogli nic zrozumieć. Marta przyjrzała się mężczyznom raz jeszcze.

- *Que quieren, el rancho de los caballitos?* - wymamrotała.

- *Ya basta, Marta* - uciął krótko Victor. Po chwili Marta i Victor zaczęli mówić na tyle cicho, aby Behr i Paul nie mogli ich usłyszeć. Victor odwrócił się do mężczyzn.

- Ona myśli, że wy jesteście *policia*. Powiedziałem jej, że nie.

Behr odwrócił się do Marty.

- Nie - powiedział. - *No queremos*.

Wydobył studolarowy banknot i wręczył go dziewczynie. Wzięła go, jakby proponował jej wykałaczkę. Reszta kobiet wydawała się rozbawiona odrzuceniem, jakie je spotkało.

- *No importa* - wymamrotała i odeszła.

- Chodźcie - powiedział Victor, odciągając ich od przyczepy. - Jest wiele miejsc.

Behr zatrzymał się.

- Victor, nie chcemy tego. Znajdź nam coś bardziej interesującego. *Comprende?*

Victor starał się zrozumieć jego słowa najlepiej jak tylko potrafił.

- *Mas interesante. Si. Claro.*

*

Kolejne kilka godzin spędzili, odwiedzając śmierdzący szczykami burdel za burdelem, dopóki wszystkie nie złąły się w jedno. Niektóre znajdowały się w centrum miasta w

zatłoczonych blokach, inne na obrzeżach w lepiankach. Wydali ponad tysiąc dolarów na burdelmamy, starając się kupić ich życzliwość i nawiązać luźną rozmowę. Niemal tyle samo wydali, aby pozbyć się alfonsów, którzy chcieli iść z nimi do następnego miejsca. Po jakimś czasie nie byli w stanie stwierdzić, czy klienci, głównie Amerykanie, których czasami widywali w kilku miejscach, stawali się coraz starsi, czy też dziewczyny pracujące w burdelach lub paradujące przed nimi stawały się coraz młodsze przy każdym przystanku. Być może sama ilość dostępnych młodych kobiet mieszała im w głowach. Behr i Paul odgrywali rolę zamożnych Jankesów - seksualnych turystów, poszukujących nowych, wyuzdanych doświadczeń. W kilku miejscach zatrzymali się na dłużej, wypili drinki i dokładnie przyjrzeni się prostytutkom, po czym rezygnowali i rozmawiali, w dość tajemniczy sposób, z niektórymi dziewczynami i burdelmamami o tym, czego tak naprawdę szukali.

O zmierzchu trafili do baru z występami na żywo. Stali w pokoju na tyłach, który był w dużej części pusty, nie licząc kilku stojących w nim opiekunów. W pokoju unosił się ciężki, cuchnący zapach kurczaków i krwi, który przypominał Behrowi lata dzieciństwa spędzone na farmie.

- Organizują tu walki kogutów? - zapytał Victora.

Ten był pod wrażeniem zadanego pytania. Kiwnął twierdząco głową.

Mężczyzna chudy jak patyk wszedł na scenę i przez chwilę puszył się na niej jak paw przy dźwiękach tradycyjnej meksykańskiej muzyki, która była wyjątkowo podłej jakości. Chwilę potem na scenę weszła kobieta. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Miała na sobie przewiewny, czerwony strój, który zrzuciła bez zbędnych ceregieli. Jej gibkie ciało było w kolorze mokki. Jedna strona jej brzucha była poznaczona fioletowymi bliznami. Dziewczyna miała kręcone włosy, które opadały jej za ramiona, zakrywając częściowo kilka amatorsko wykonanych tatuaży. Położyła się na łóżku, a chudy mężczyzna wszedł w nią bez żadnych oporów.

Niewidoczny prowadzący wypowiedział głośno kilka słów po hiszpańsku ku uciesze trzech lub czterech mężczyzn, którzy znajdowali się na widowni.

Para zabawiała się przez jakiś czas, kilkakrotnie zmieniając pozycje. Behr i Paul spojrzeli na siebie i skierowali się w stronę drzwi. Victor podążył za nimi, choć aż do wyjścia jednym okiem spoglądał na przedstawienie.

Na zewnątrz panowała już noc. Powietrze stało się nieco lżejsze, łatwiej było oddychać.

- Nie podobał się występ? - zapytał Victor. Zdawało się, że jego wiara w nowych klientów zaczyna powoli się chwiać.

- Nie bardzo - odpowiedział Behr.

- Było w porządku - dodał Paul, jakby to Victor zaplanował i zorganizował cały pokaz, a on nie chciał go urazić.

- Pójdziemy coś zjeść - powiedział Behr, ruszając spod baru.

- Ja pójdę z wami - zaoferował Victor. - Jest wiele miejsc...

- Nie - uciął krótko Behr. Dał Victorowi sto pięćdziesiąt dolarów. - Do zobaczenia.

Okropny dzień zaczął działać mu na nerwy, chorobliwa frustracja dawała o sobie znać. Potrzebował przerwy.

Zostawili Victora, który, pomimo swojego uśmiechu, wyglądał na opuszczonego i pozbawionego nadziei.

*

Mężczyźni znaleźli ponury motel, gdzie wynajęli pokój z dwoma podwójnymi łózkami i zapleśniałą łazienką. Zmyli z twarzy brud minionego dnia. Ręka Behra miała się już na tyle dobrze, że nie musiał okładać jej lodem, jedynie bandaż świadczył o doznanym urazie.

Byli zmęczeni, ale o śnie nie mogło być nawet mowy. Recepcjonista wskazał im drogę do restauracji. Przez cały dzień zamienili nie więcej niż kilkadziesiąt słów. Nie było o czym rozmawiać.

*

Siedzieli i jedli *carne asada* z ryżem i fasolą z dużych, ceramicznych talerzy. Popijali posiłek chłodnym piwem i odganiaли tłuste, natrętne muchy.

- Musiałem tu przyjechać - wyznał Paul przepraszającym tonem.

- Wiem - odpowiedział Behr.

- To była strata czasu. Pomyłka.

- Nie - rzucił Behr. Jego słowa nie niosły żadnego ukrytego przesłania.

- Już nawet nie jestem jego ojcem.

- Ojcostwo nie kończy się tylko dlatego, że twój syn zaginął - Behr odsunął swój talerz.

- Możemy wyjechać, Frank...

- Wyjedziemy, jak już załatwimy nasze sprawy.

W tym momencie zobaczyli, jak Victor wchodzi do restauracji. Paul rzucił kilka banknotów na stół. Podnieśli się z krzeseł. Chcieli wyminąć Victora i wyjść tą samą drogą,

którą mężczyzna przed chwilą tu wszedł. Uparty młody człowiek ruszył za nimi, nawet kiedy wyszli z kręgu światła rzucanego przez restaurację i weszli w ciemność ulicy.

- Hej, poczekajcie!

- Ten dzieciak sobie nie odpuści - westchnął Behr do Paula. Zatrzymał się i pozwolił, żeby Victor ich dogonił.

- Zabiorę was gdzie indziej, dobra? - w głosie Victora była nadzieja.

- Skończyliśmy z tobą - uciał Behr.

- Nie no, stary.

- W porządku - powiedział Behr, odwracając się i podchodząc do młodszego mężczyzny. - Zabierz nas do miejsca, gdzie chodzą bogaci gringo. Tam, gdzie są naprawdę młodzi. *Chicos*.

Informacja dotarła do Victora dopiero po jakimś czasie.

- Nie jesteście *jotos*.

Behr złapał go za koszulkę i marynarkę i pociągnął do siebie. Paul spojrzał w górę i w dół ulicy. Nikogo na horyzoncie.

- Nie, ale chcemy dowiedzieć się, co stało się z kimś ważnym. Z kimś, kto mógł tu wylądować. Więc dokąd byś nas zabrał, gdybyśmy mieli ochotę na młodych chłopców?

- Jesteście gliny...

- Nie.

- Odpierdol się.

- Lubię cię, Victor. Byłeś w stosunku do nas w porządku. Jesteś po prostu koleś, który próbuje dać sobie radę. Prawda?

- *Si, si*.

- Ale za chwilę zacznę na tobie niszczyć różne rzeczy, jeśli nam nie pomożesz.

- Nie człowieku. Odpierdol się.

Behr cofnął się o krok i wymierzył Victorowi krótki cios prosto w wątrobę. Młody mężczyzna stracił oddech i zachwiał się. Detektyw podtrzymał go, aby nie upadł.

- Będzie tego więcej - ostrzegł Behr.

Głowa Victora zaczęła potakiwać z entuzjazmem. Po chwili odzyskał zdolność mówienia.

- Mój kuzyn jest *pollero*.

- Co to takiego. Kowboj od kurczaków? - zastanawiał się Behr. Jego znajomość hiszpańskiego była szczątkowa.

- *Coyote*? Może to słowo znasz?

- Mrówka - powiedział Behr, potakując.
- Si. Tysiąc dolców - Victor westchnął. - Pomaga przy innych rzeczach. *Entiendes?*
- Gdzie jest?
- Teraz go nie ma. Wróci jutro w nocy. Może pojutrze.
- Sram na to - powiedział Behr.
- Naprawdę. Wtedy się z nim spotkacie.

Behr puścił Victora, odsunął się od niego i poprawił włosy. Chłopak badał rękoma okolice, w którą trafił cios.

Paul podszedł do niego, wręczył mu dwa studolarowe banknoty i poklepał po ramieniu.

- W takim razie przyprowadź go do nas, kiedy wróci. Jeśli zabierze nas tam, gdzie chcemy jechać, dostaniesz resztę tysiąca - powiedział.
- I nie próbuj nas wykiwać - dodał Behr.
- Nie będę - zapewnił ich Victor i w końcu odszedł.
- Co za gówno... - westchnął Behr, kiedy zostali we dwóch.
- Napijmy się - powiedział Paul.
- Eh... - zaczął Behr, w jego głosie słychać było poczucie doznanej porażki. U niektórych mężczyzn taki ton był dopuszczalny, u Behra był nie do zaakceptowania.
- Naprawdę muszę się napić - podsumował Paul.

Znalezienie miejsca, żeby się napić, nie było specjalnie trudne. Nie znali zbyt dobrze Ciudad del Sol, ale wszystkie podobne dziury w Meksyku przedstawiały w gruncie rzeczy tę samą miksturę cywilizacyjną. Wszystkie posiadały piękne i ohydne aspekty. W każdym znajdował się jeden kościół i jedno więzienie. Paul i Behr siedzieli tam wystarczająco długo, żeby zorientować się w geometrii i tak znaleźli bar Calle Maria del Monte, gdzie podawali lokalną tequilę w glinianych naczynkach. Był to czysty, świeży destylat z dodatkiem soli i limonki oraz nieznacznym posmakiem gliny. Pierwszą kolejkę wypili w ciszy. Paul szybko nalał następną.

- Mówię ci, nie podoba mi się ta robota - westchnął Behr.

- Wiem, Frank.

- Człowiek dochodzi w pewnym momencie do takiego punktu, że ma dosyć robienia go w chuja.

- Nie mam pewności, czy mówisz o tej sprawie, czy o życiu ogólnie.

- Ja też nie.

Roześmiali się obaj.

- Nie jestem pewien, czy chłopak przypadkiem nie ma tych informacji, tylko siedzi cicho - powiedział Paul znad naczynia.

- Coś wie. Każdy tu coś wie. A siedzenie cicho nie musi koniecznie znaczyć, że robią to specjalnie.

Paul zdał sobie sprawę, że właśnie otrzymuje wiedzę uzyskiwaną przez lata. Napili się ponownie. Detektyw miał nieobecny wzrok.

Przy barze siedział rząd mężczyzn ubranych w cienkie koszulki ze starym brudem wtartym w materiał. Długie włosy wystawały spod baseballówek i słomkowych kapeluszy. Pod długimi paznokciami czarna ziemia. Pili szybko, zamieniali ze sobą parę słów i równie szybko wychodzili.

Behr zamówił jeszcze jedną tequilę. Z nadmiaru alkoholu i zmęczenia Paulowi coraz

bardziej rozmyślał się obraz przed oczami i nabierał coraz większego dystansu do ciężkiej rzeczywistości. Odetchnął głęboko. Sięgnął po portfel, ale nie po to, żeby zapłacić rachunek. Wyciągnął zdjęcie Jamiego, jedno z ostatnich, jakie mu zrobili. Chłopiec stał w ogródku na tyłach domu, miał na sobie czerwoną koszulkę, lekko się uśmiechał. Paul poczuł, że w kącikach oczu zbierają mu się łzy, oczy zaczynają szczypać. Wpatrywał się w twarz syna, zastanawiając się, jak będzie kiedyś wyglądać. Jeśli gdzieś jeszcze jest...

Ocknął się z zadumy, schował zdjęcie i spojrzał na Behra. Detektyw wypił kolejkę i postawił naczynie na stole. Wyciągnął swój portfel. Przełożył kilka kart kredytowych i biznesowych, szukając zdjęcia Tima. Nie trzymał go na wierzchu - nie udźwignąłby takiego ciężaru na co dzień. Spojrzał na syna. Przystojniak w niebieskim swetrze i błękitnej koszuli. Stał oparty o barierkę ustawioną przez szkolnego fotografa, w tle wisiał filcowy materiał. Behr długo patrzył na zdjęcie, po czym podał je Paulowi, który spojrzał na nie w zadumie.

- Tim, prawda?

Behr przytaknął.

- Jego szkolny portret z pierwszej klasy - zaczął swoją opowieść. - Nadal pamiętam ten dzień, chociaż minęło już więcej lat, niż on żył.

Nalał sobie jeszcze jedną kolejkę.

- Linda wyjątkowo dokładnie uczesała mu wtedy włosy i wyszykowała do szkoły. Zdjęcia klasowe były o dziewiątej trzydzieści rano. Dobry pomysł. Do obiadu koszula Tima byłaby już wyjęta ze spodni i wymięta z każdej strony, sweter wciśnięty głęboko do szafki, a włosy w całkowitym nieładzie. Po powrocie do domu w najlepszym wypadku byłby cały upaprany albo coś miałby porozdzierane. Linda codziennie mu powtarzała, żeby się nie ubrudził, ale jakoś nie działało. Tamtego dnia powtarzała mu chyba ze trzy razy i może właśnie dlatego wyszło takie dobre zdjęcie.

Paul uśmiechnął się i oddał zdjęcie. Behr położył je na stoliku między nimi. Nie chciał jeszcze wsadzać swojego syna z powrotem do portfelowej trumny.

- Nigdy nie mówiłeś, jak umarł - zaczął nieśmiało Paul. Nie był pewien reakcji detektywa.

Behr wyprostował się i spokojnie odpowiedział:

- Często miałem służbę na nocnej zmianie. Potem odsypiałem w ciągu dnia. Pod koniec zmiany chodziliśmy do Loader's, taki bar dla gliniarzy. Otwierali w dzień, a my tam wpadaliśmy się napić. Tego dnia jeszcze wziąłem nadgodziny, co dodatkowo wpłynęło na moje zmęczenie.

Wiedział, że brzmiał jak na przesłuchaniu - suche fakty pomagały mu trzymać się w

kupie. Parę razy w życiu zdarzyło mu się mówić o tym na głos, ale zawsze czuł to samo napięcie.

- Śmieszna sprawa, bo wcale nie czułem się tego dnia zmęczony. Nawet usiadłem i włączyłem kanał sportowy. I właśnie wtedy usnąłem. Obudził mnie strzał. Zanim dobiegłem do sypialni, krew była wszędzie.

Musiał się teraz na chwilę wstrzymać. Wspomnienia tamtych chwil bolały jak zardzewiały nóż w bebechach. Zgorzkniałość przeważała nad oficjalnym sprawozdaniem.

- Jednego jebanego dnia nie schowasz porządnie broni. Albo źle zamkniesz skrzynkę, albo dzieciak widział już, jak ją otwierasz i wie, jak to się robi, i tak to się, kurwa, kończy.

Behr sięgnął po drinka. Obaj widzieli, że dłoń mu drży, cofnął ją i schował pod stołem.

- Przez trzy tygodnie był w śpiączce, zanim umarł. Trzy pierdolone tygodnie.

Straszne obrazy przesuwały mu się przed oczami, zalała go lawina bolesnych wspomnień. Walczył z nierównym oddechem.

- Z tym szybko by się skończyło.

Położył już spokojną dłoń na stole. W zaciśniętej pięści trzymał ciemny metalowy kształt. Bulldog kaliber 44.

- Kiedy zdarzy się wypadek albo jeśli trzeba jej użyć, nie ma już szans na powtórkę. Dlatego ją noszę. Głupie, nie?

Behr schował broń i wypił tequilę. Postukał w zegarek - nierdzewny omega speedmaster.

- I taki jest koniec mojej rodziny. Dostałem go od żony na piątą rocznicę. Tylko tyle mi zostało. Widać był lepiej zrobiony.

Na twarzy pokazała mu się maska szaleństwa i wiedział, że Paul to zauważył.

- Frank... - zaczął Paul, ale nie mógł wydusić nic więcej.

- Chyba już się wystarczająco upiłem - odpowiedział Behr, wstając.

*

Noc była czarna. Jeśli w ogóle w mieście były lampy, to albo wszystkie się zepsuły, albo o odpowiedniej godzinie zostały wyłączone. Tak czy inaczej, żadna nie działała. Skierowali się intuicyjnie w stronę motelu, poszli jedną uliczką, zatrzymali się, przemyśleli sytuację i poszli drugą uliczką. Przeszli za róg, ruszyli wzdłuż ogrodzenia komisum samochodowego. Nagle masa czarnej sierści i białych zębów doskoczyła do siatki. Dwa

żółtookie psy obronne wyskoczyły z ciemności prosto na Paula i Behra. Zwierzęta odbijały się od siatki, próbowały atakować, jednocześnie nisko warcząc. Paul instynktownie odskoczył do tyłu, lecz Behr odwrócił się w ich stronę. Chwytał się ogrodzenia, zaczął za nie szarpać i sam zaczął warczeć. Jego przeraźliwe ujadanie było niższe i bardziej złowrogie niż wściekłe odgłosy psów. Palce Behra były doskonałym celem do gryzienia, ale zdezorientowane psy wolały trochę się wycofać. Za chwilę wyprężyły się i zaczęły ponownie warczeć. Behr zaczął na nie szczekać. Brzmiał jak obłąkany mastiff. Paul stanął obok niego, również złapał za siatkę i zaczął szczekać, trochę jak szalona hiena. Prawdziwe psy spanikowały i z piskiem zniknęły w ciemności.

Gdy palce mężczyzn stały się białe od ciągłego nacisku na siatkę, Behr puścił ogrodzenie i zaczął się śmiać. Paul po chwili do niego dołączył. Ich śmiech niósł się falowo, przerywany dzikim pochrząkiwaniem i wyciem. W końcu cokolwiek ich śmieszyło - zniknęło i nastąpiła cisza. Wyprostowali się i poszli do motelu, gdzie czekał ich niczym niezmacony sen.

Don Ramon Poncetera samotnie jadł obiad na werandzie przy akompaniamencie tryskającej fontanny i okazjonalnym ćwierkaniu ptaków. *Camarones* były wyśmienite. Krojąc kawałek mango, przyjrzał się plamom wątrobowym na dłoniach. Jesienią Don Ramon skończy siedemdziesiąt lat i w przeciwieństwie do swoich rówieśników, którzy stali się otyli i łysi, on nadal był szczupły, pełen życia, z bujną czupryną siwych włosów. Jediną rzeczą, która przypominała mu o jego wieku, były te przekłete plamy na dłoniach, tworzące wzór podobny do brzucha troci. Ten widok go martwił i przypominał o odmętach zapomnienia, w które wpadnie w przyszłości, jeśli czegoś nie zrobi.

W swoim życiu zawodowym poznał wielu ludzi. Właściciele ziemskich, kupców, handlowców, producentów, hodowców bydła i tym podobnych, a każda z tych grup traktowała Don Ramona jak zwykłego, marnego przedsiębiorcę, jakimi sami byli. Zresztą, jeśli brać pod uwagę okres, gdy miał czterdzieści lat, przypuszczenie byłoby całkowicie prawdziwe. Już wtedy był całkiem bogaty, zawsze uprzejmy i nieskazitelnie ubrany. Miał już córki i syna, posiadał ziemię, dawał datki na kościół i sponsorował fiestę.

Ale wtedy nadeszła zmiana - jego przebudzenie. To efekt wnikliwego przestudiowania klasyki. Wtedy właśnie poznał koncepcję „filozofa króla”, jak to ujął Sokrates. O ile ten termin wydawał się zbyt majestatyczny dla tak skromnego człowieka jak Don Ramon, zawierał w sobie jednak sporo prawdy. Mężczyzna dowiedział się, że człowiek mógł przeżyć swoje życie, kierując się najwyższymi naukami moralnymi, nawet jeśli zepsute społeczeństwo nie mogło ich pojąć. Obecnie niewielu ludzi dobrze go znało i było w stanie zrozumieć, w jaki sposób tak długo utrzymuje swoją młodość. To był jego sekret, który teraz skierował jego myśli w stronę *rubio*.

Wielu *potros* przychodziło do niego przez lata. Niemożliwością było zapamiętać tych wszystkich chłopców. Większość z nich była tu bardzo krótko i szybko podupadała na zdrowiu, przez co długotrwały związek był niemożliwy. Przyprawiało to Ramona Ponceterę o smutek. Pośród nich było jednak trzech chłopców, którzy stali się dla niego naprawdę

ważni. Przetrwali kilkutygodniowy pobyt, który później zmienił się w kilkumiesięczny i kilkuletni. Oni trzej posiadali wystarczający potencjał, aby stać się prawdziwymi akolitami. Już antyczni Grecy wiedzieli, że intelektualna rozprawa między uczonym mężczyzną i jego młodym uczniem, a później intymna konsumpcja ich relacji, dawała więz najsilniejszą ze wszystkich. Mimo że wielu mężczyzn myślało, że żona i dzieci są drogą do nieśmiertelności, Don Ramon wiedział, że siła i witalność, jaką czerpie z mentorstwa, jest jedyną prawdziwą drogą.

Ale te trzy okazje okazały się niestety gorzką porażką. Jeden z uczniów sam odebrał sobie życie. Don Ramon nadal pamiętał blady poranek, gdy znalazł go wiszącego na własnym prześcieradle. Drugi, niestety, był wypadkiem dyscyplinarnym i trzeba było się nim zająć inaczej. Natomiast trzeci, najbardziej obiecujący, po prostu zniknął. Uciekł prawdopodobnie na pustynię i nigdy więcej nie było po nim znaku. Problemy, jakie napotkał Don Ramon, prawie całkowicie zniechęciły go do następnych prób. Ale wtedy poczuł bezlitosny upływ czasu, oddech śmierci na karku i wiedział, że musi kontynuować poszukiwania. Potrzeba stania się w pełni rozwiniętym, prawdziwie *platońskim* mężczyzną, nie zgasła w nim.

Dlatego parę lat wcześniej rozpoczął długie poszukiwania następcy w linii niezwykłych małżonków, który utrzymałby pamięć o nim dawno po jego śmierci. Pomimo zorganizowania rozwiniętej infrastruktury (gdyż prawdą jest, że jego wkład do organizacji firm był znaczny i nawet teraz posiadanie i zarządzanie intratnym przedsiębiorstwem było priorytetem najwyższej wagi) oraz wysłania setek pajaków rozwijających sieć na ziemi w jego imieniu, by zdobyć dla niego okaz specjalny, już niemalże stracił całą nadzieję na sukces. Tak było do czasu, aż dostarczono mu *rubio*.

Don Ramon sączył rioja. Była dosyć kwaśna. Osobiście wolał trochę starsze wina. Nie znał imienia *rubio*. Nigdy nie uczył się ich imion, nie wiedział, skąd pochodzą - takie informacje nie były dla niego istotne. Wiedział natomiast, że ten chłopiec promienieje. Niektórzy podejrzewali, że Don Ramona zauroczyła jasna cera i blond włosy dzieciaka, ale były to głupie podejrzenia, do których mógł dojść tylko świat pełen ignorantów. Oczarowała go inna cecha *rubio*. Don Ramon spędzał z nim wiele godzin po ciemku. Rozmowa była trudna ze względu na barierę językową między nimi, ale poza tym słowa były tu nawet nie na miejscu. Wyczuwalna była aura, która mówiła wszystko za nich. Nawet siedząc tylko w jednym pokoju z chłopcem, oddychając jednym powietrzem, Don Ramon czuł uleczające działanie jego młodości.

Nadal pozostawały jednak te niewielkie szanse na porażkę. Tym razem nie było miejsca na błąd i dlatego Don Ramon wyjątkowo na niego uważał, oszczędzał go, czekał na

prawdziwą bliskość, która dałaby początek uzdrawiającej fizycznej jedności. Minęło już wiele miesięcy i nie był pewien, ile jeszcze wytrzyma. Odwiedzał wielu innych, by ulżyć przyziemnym popędom, i jak zwykle czuł się później młodszy i pełen wigoru, ale jednocześnie odczuwał obrzydzenie. Nie chciał w ten sposób zepsuć *rubio*. Od niego pragnął jedynie całkowitej akceptacji. Jeśli mu się powiedzie, będzie naprawdę mógł żyć wiecznie.

Rozmyślenia Don Ramona zostały przerwane. Ktoś pojawił się na werandzie. Dało się słyszeć ostrzegawcze kasznięcie. Uprzejmy gest lub przewlekła choroba, Don Ramon nie był pewien. Później szuranie butów na kafelkach werandy - odgłos cienkiego, taniego obuwia. Don Ramon zrzucał całą winę na kiepski gust, gdyż płacił swoim pracownikom wystarczająco dużo, żeby mogli kupić sobie porządne buty. Gościem był Esteban.

Esteban Camera wyrztał zza rośliny doniczkowej i zauważywszy, że gospodarz skończył posiłek, odważył się podejść bliżej.

- Don Ramon - zaczął mówić, a jego chrapliwy głos przetoczył się po całym ogrodzie.

Braki w umiejętności zachowania się w towarzystwie Esteban nadrabiał pożytecznością. Był wysoki i zbudowany jak bokser wagi piórkowej. Miał głęboko osadzoną i pokrytą bliznami twarz, więc nie musiał się martwić o swój wygląd, gdy przychodziło do fizycznych rozwiązań. Z czasem Don Ramon zrozumiał, jak bardzo to przydatna cecha.

- Tak, Esteban.

- W mieście są mężczyźni, wszędzie łążą.

- No i...?

- Nic nie kupują, tylko patrzą i pytają o różne rzeczy.

Ta informacja sama w sobie nie była zbytnim zmartwieniem dla Don Ramona. Było bardzo wielu klientów i zachowywali się w bardzo różny sposób.

- Jacy mężczyźni? *Clientes?*

- *No se, Don Ramon. Ellos son gueros.*

34

Minęły jeszcze dwa dni spędzone na rozglądaniu się po okolicy i dwie noce na picciu. Pomyśleli, że już więcej nie zobaczą Victora i plan spali na panewce. Teraz Behr i Paul cały dzień leżeli do góry brzuchem w motelu, popijając przyniesioną wodę, którą kupili z myślą o kurczących się finansach. Oglądali spotkania miejscowej piłki nożnej na malutkim telewizorze. Wydawało się, jakby mecze nie miały końca. Burczało im w brzuchach, ale posiłek nie wchodził w grę.

- Ten mescal daje niezłego kopa - stwierdził nie po raz pierwszy Paul.

- Jak pieprzony osioł.

Odesłali zmęczoną pokojówkę i na zmianę budzili się i zasypiali. W spokojnym odpłynięciu przeszkadzały im krzyki studentów, którzy uczestniczyli w dziwnej zabawie zakrapianej alkoholem po drugiej stronie hotelu.

Gdy światło wpadające przez zasłonkę zmieniło wreszcie kolor z jasnożółtego na błady, postanowili w końcu się ruszyć.

- Idę pod prysznic - powiedział Paul, wstając z łóżka.

- Pójdę po tobie.

Ktoś zaczął walić do drzwi. Spojrzeli na siebie i Behr wstał. Wsunął broń z tyłu za pasek spodni.

- *Quien es?* - spytał.

- *Policia* - padła odpowiedź z drugiej strony drzwi.

Behr otworzył drzwi. Naprzeciwko niego stał tęgi, trzydziestoletni mężczyzna. Na głowie nosił słomkowy kowbojski kapelusz, u boku zwisała mu czterdziestka piątka. Żuł tytoń. Jego partner czekał kawałek dalej w samochodzie policyjnym.

- *Si?*

- Mówimy po angielsku - odpowiedział policjant. - Tak będzie łatwiej.

Behr skinął.

- Jestem starszy sierżant Guillermo Garcia. Mówią na mnie Gigo albo Fernando.

Poklepał swój wielki brzuch i uśmiechnął się.

- A teraz powiedzcie mi, co robicie w *ciudad*?

- Głównie pijemy tequilę, jak widać - Behr uśmiechnął się, przewiercając policjanta wzrokiem.

- Dobra tequila, co?

Było jasne, że Fernando próbuje coś więcej z nich wyciągnąć.

- I oczywiście chcemy trochę pozwiedzać - dodał Behr.

- Może jeszcze panienki?

- Może. Jeszcze się nie zdecydowaliśmy.

Wtedy twarz Fernanda się zmieniła.

- Ale wiecie, że prostytutka jest tu nielegalna? To bardzo ważna sprawa.

- Nie wiedzieliśmy - powiedział Paul.

- Poważnie? - spytał Behr.

- Tak. Duże przestępstwo - kontynuował Fernando. - Ale można dostać licencję.

Wtedy można robić, co się chce.

- Aha. Wygląda na to, że nam się przyda - powiedział Behr, sięgając po zwitek pieniędzy. Wyciągnął banknot studolarowy i wręczył go policjantowi.

- Bardzo dobrze. Teraz nie ma problemu. Mój szef dostanie swoją *mordida*. Wiecie, o co chodzi?

Behr wiedział, chociaż nie dzięki swojej znajomości języka. Ten termin był znany wszystkim stróżom prawa. W wolnym tłumaczeniu oznaczało „działkę” i każdy w łańcuszku miał swoją. Behr często się zastanawiał, co by się stało, gdyby cały ludzki wysiłek, jaki szedł na ciągłą korupcję, został wykorzystany w jakiś bardziej produktywny sposób.

- Ale ta licencja - dodał Fernando, pokazując banknot - jutro wygasa. Zrozumiano? Jeśli zostanieie, to będę musiał tu jutro wrócić.

Behr tylko kiwnął głową.

- A więc, dobranoc - powiedział Fernando i wyszedł.

Behr zamknął za nim drzwi i po chwili odwrócił się do Paula.

- Zastanawiałem się, kiedy będziemy musieli się jeszcze z tym zmierzyć. Następnym razem będzie to więcej kosztować. Chyba nie mamy zbyt dużo czasu.

Paul przetrawił jego wypowiedź i ruszył szybko pod prysznic.

Pod wieczór poszli do kawiarni, która stała się ich głównym miejscem przesiadywania. Zjedli coś, zamówili kawę i czekali. Po pół godzinie Victor stanął w drzwiach. Jeśli miał im za złe sposób, w jaki go potraktowali, nie okazywał tego. Zamiast tego zagwizdał i pomachał w ich stronę. Behr i Paul poszli za nim na zewnątrz.

Szli szybko ulicami i tylnymi alejkami. Nikt się nie odzywał, póki nie doszli do starego, brudnego pickupa toyoty. Na masce leżał mężczyzna, ale wstał, jak tylko zauważył, że podchodzą. Był smukły i żyłasty jak piosenkarz punkowy lub ogolony orangutan.

- To jest Ernesto - powiedział Victor. - *Mi primo*.

Ernesto nosił srebrne okulary z niebieskimi szklami. Mężczyzna zjechał z maski i wylądował sztywno na ziemi. Podali sobie ręce.

- *Que tal* - zaoferował Behr. - Masz nam coś do pokazania?

Ernesto wzruszył ramionami.

- Możesz swoje zarobić bez przewożenia kogokolwiek - kontynuował Behr.

Pollero patrzył na nich. Może i wyczuwał gliniarza, ale wyczuwał także zapach kasy.

- Ty przystawiać się do mojego kuzyna - powiedział Ernesto.

Behr zjeżył się i spojrział w oczy mężczyzny, który najwyraźniej uznał całą sytuację za bardzo śmieszna.

- Nie przystawiaj się mnie albo będzie problemy.

Behr patrzył na niego, ale się nie odzywał.

- Pokażę wam coś. Wsiadać - zakomenderował Ernesto, pokazując na samochód.

- Weźmiemy nasz samochód i pojedziemy za wami - odpowiedział Behr. Coś mu się nie podobało.

- To wy nie jechać.

Ernesto wsiadł do samochodu i włączył silnik. Behr i Paul spojrzeli na siebie i wskoczyli na pakę.

*

Jechali asfaltową drogą, która szybko zmieniała się w piaszczystą i wyboistą. Powietrze także zmieniło się z cuchnącego i ciężkiego na rześkie i świeże. Pustynne krzaki wyrastały na tle niebieskiego widnokręgu. Siedzieli nisko za burta, chroniąc się przed wiatrem. Każdą koleinę odczuwali mocno w kręgosłupie.

Behr starał się mówić cicho, ale przy okazji wystarczająco głośno, żeby przebić się przez ogłuszający wiatr.

- Ten koleś, kuzyn - zaczął. - Uważaj na niego. To nożownik.

- Tak?

- Jeśli coś się wydarzy, to nawet nic nie zauważysz. Noże są po to, żeby je poczuć, a nie zobaczyć. Jeśli ci go pokaże, to spodziewaj się czegoś gorszego.

- Ale skąd...?

- Zauważyłem, gdy podaliśmy sobie dłonie. Ma zrogowaciałe końcówki palców. Poznałeś kiedyś jakiegoś kucharza? Zawsze mają takie zrogowacenia w miejscu, gdzie opierają nóż. A ten koleś nie wygląda na kucharza.

Paul skinął głową, nie było nic więcej do dodania.

*

Po kilku milach ciężkiej jazdy zjechali z drogi na otwartą przestrzeń. Ciężarówka zaczęła podskakiwać. Mężczyźni mocno złapali burtę. Minęło parę bardzo bolesnych minut, gdy samochód wreszcie zaczął zwalniać. W końcu stanął całkowicie. Behr i Paul schodzili na dół, a Ernesto wyłączył silnik, zostawiając jednak włączone światła. Ernesto podszedł do oświetlonego miejsca, gdy Victor wysiadł z samochodu.

- Co tam jest? - spytał Paul.

- Nie wiem - odpowiedział Behr.

- Widzicie? - powiedział Victor.

- Widzicie? - powtórzył Ernesto. - Pokażę wam coś bardzo niebezpiecznego.

Zaczął kopać butem w ziemi, coraz głębiej i głębiej, aż w końcu przestał i kawałek się odsunął.

Behr i Paul popatrzyli na siebie i podeszli bliżej. Z ziemi wystawał szkielet ludzkiej klatki piersiowej. Behr odgarnął stopą ziemię kawałek dalej i odkrył szczękę z całym zestawem zębów.

- O cholera - powiedział Behr.

- Co to jest? - zastanawiał się Paul.

Behr przypomniał sobie scenę z parku Eagle Creek i już wiedział.

- Szkielet nastolatka.

- Si - powiedział Ernesto. Zdawał się być dumny z tego, że im to pokazał.

Paul podszedł i zaczął kopać butem coraz głębiej, Behr się przyłączył. Znaleźli masę innych kości i czaszek. Prawdopodobnie zwłoki około tuzina ludzi. Nie były świeże, ale nadal czuło się smród rozkładu.

- Więc tu je zakopują - powiedział Behr.

Ernesto pokiwał głową.

- Dalej nie jadę - powiedział. - Albo wszyscy zginiemy.

Paul zdał sobie sprawę, że stoi na niepoświęconym cmentarzu i zgiął się wpół. Padł na kolana i zaczął szperać w piasku, szukając czegoś, sam nie wiedział czego. Ale to coś mogło mu wszystko wyjaśnić. Jego oddech stał się płytki i chrapliwy. Walczył z narastającym odruchem wymiotnym, aż w końcu przestał grzebać.

Behr także przestał kopać. Zapadła cisza, w której dało się słyszeć tylko ich rwane oddechy.

- Czemu nas tu przyprowadziłeś? - spytał po chwili Behr.

- Miał nadzieję, że będziecie zadowolony - wydukał Victor. - I że zapłacicie.

- Nie jesteśmy zadowoleni - powiedział Behr. - Gdzie są przetrzymywani?

Ernesto tylko pokręcił głową.

- Myślisz, że zapłacę ci za cmentarz? - spytał Behr.

- Tutaj kończą - powiedział Ernesto. - Nie mogę zabrać, gdzie są wcześniej.

- Więc nie dostaniesz żadnych pieniędzy - powiedział Behr zdecydowanym tonem.

- Widzicie to miejsce. Wiem od kuzyna, że jesteście nie klienci. Wiem, że jak wy tam być, to narobić kłopotów. A potem kłopoty być u mnie. Więc zapłacicie teraz i pójść.

Ernesto się uśmiechnął, a w jego dłoni zabrzęczał otwierany motylek.

- Za to? Nie - powiedział Behr, stając naprzeciwko Ernesto, ale odsuwając się od Victora. - Chcemy więcej. Potrzebujemy odpowiedzi.

Ernesto skinął na Victora, który stał na granicy światła reflektorów. Podejrzenia Behra sprawdziły się - Victor podniósł obie, trzęsące się ręce. Trzymał w nich rugera 357.

Paul zauważył to i powoli wstał. Być może przebył taki szmat drogi, żeby umrzeć teraz wśród resztek ciał, w których mógł również spoczywać jego syn.

Behr wsunął rękę do kieszeni i chwycił swoją broń.

- Nie odpierdalaj, Victor. *Comprende?* - powiedział Behr spokojnie. - Odłóż broń, zanim wszystko spieprzysz.

- Nie zapłaciłeś mu. Uderzyłeś mnie. Niedobrze - odpowiedział Victor.

- Nie zastrzelisz tu nikogo. A ja nie zastrzelę ciebie - odpowiedział Behr, wyciągając broń, trzymając ją nisko, ale jednak w kierunku Victora. - Zapłacimy i to dużo, jeśli zabierzecie nas do miejsca, gdzie trzymają chłopców, którzy jeszcze żyją.

- A może my zabić was i zabrać całą kasę - zasugerował Ernesto. - Bezpieczniej niż tam was zawozić.

- Jeśli to zrobisz, będziesz miał FBI na karku - odparł Behr z przekonaniem.

- FBI, gównu.

Ernesto starał się udawać odważnego i pewnego siebie.

- Gównu, jeśli spojrzysz do mojego portfela i nie znajdziesz tam odznaki.

Ernesto nie wykazał żadnej chęci sprawdzania odznaki czy czegokolwiek innego. Zamiast tego krzyknął ostro do Victora po hiszpańsku. Behrowi udało się tylko wyłapać słowa *policia i federales*. Victor starał się za wszelką cenę utrzymać pistolet w górze. Nastąpił niełatwy impas. Paul spodziewał się, że Behr może w każdej chwili zacząć strzelać i to go zmotywowało do działania.

- Czy macie dzieci? - Paul spytał mężczyzn.

Victor spojrzał wymownie na Ernesto.

- Si, mój syn, Keke, dwa lata - powiedział Ernesto łamiącym się głosem.

- Mnie się wydaje, że mój syn, Jamie, nie leży tutaj - powiedział Paul, pokazując na szkielety. - Teraz ma czternaście lat. - Jego słowa zawisły w powietrzu. - Muszę się dowiedzieć, co się z nim stało. Zobaczyć, gdzie jest i jak się tam znalazł. Tylko tego teraz pragnę - przełknął ślinę. - Mam nadzieję, że nic złego nie przydarzy się Keke. Możesz zarobić teraz dla niego masę pieniędzy. To proste.

Spoglądali, jak Ernesto trawi jego wypowiedź.

- Chcę dwa tysiące. To bardziej niebezpieczne niż przyprawianie tutaj - wreszcie zdecydował.

- Zapomnij o dwóch tysiącach - rzucił Behr.

- Niech będzie dwa - odparł Paul.

Ernesto skinął na Victora, żeby opuścił broń. Victorowi jakby ulżyło. Paul sięgnął od razu do kieszeni po pieniądze. Niewiele zostanie po uregulowaniu zapłaty.

35

Gdy nadchodzi ciemność, przychodzą hałasy. Przyjeżdżają samochody, mężczyźni się śmieją, drzwi zamykają się i otwierają, psy szczekają, czasem gra muzyka, a czasem słychać pojedynczy pisk. Noc to czas snów całego świata, ale nie dla niego. Dla niego noc to czas pracy. Pył z pustaka usypywał mu górkę przy kolanach. Raz na jakiś czas ją rozdmuchiwał. Kiedyś, dawno temu, puste naczynia po posiłku wróciły bez łyżki i jakoś nikt tego nie zauważył. Teraz rączka od łyżki nagrzewała się od tarcia, a końcówka stawiała się coraz ostrzejsza. Wygiął główkę łyżki do środka i trzymał ją przez wiele godzin, aż zaczęła doskonale pasować do jego dłoni. Brzegi i szpic broni są już wystarczająco ostre. Wie to po krwawych znakach na swoich dłoniach. Przerywa, słysząc dźwięk - kroki na korytarzu. Chowa broń za siebie. Gdy słychać, że kroki idą dalej, wraca do swojej pracy...

36

Światła samochodu przesuwają się po krajobrazie rodem z księżyca. Czysty piasek pustyni, wyschnięty na pył przez palące słońce, wzbijał się w powietrze i wypełniał kabinę. Wrócili do miasta na niewygodnej pacy ciężarówki, zabrali samochód Behra i ruszyli za Ernesto. Jechali przez długi czas w głąb pustyni, poza wszelkie drogi i szlaki, w kierunku południowo-zachodnim. Mijali ogromne kaktusy, które wyglądały jak złowieszczy strażnicy. Przez ułamek sekundy mignął im uciekający zając. Wreszcie pickup przed nimi zwolnił i zgasił światła. Frank zrobił to samo i przez pół mili ledwo przesuwali się w mrok. Gdy z czasem ich oczy przyzwyczyły się do ciemności, zatrzymali się wreszcie przy czymś, co wyglądało jak wzniesienie. Sterta zbrylonego piasku i kamieni oddalona o kilka jardów całkowicie blokowała widok. Czwórka mężczyzn wyszła ze swoich pojazdów, żaden nie miał ochoty na rozmowę.

- Więc... - spróbował Paul.

- Za tym wzgórzem - powiedział Ernesto, pokazując palcem. - *El rancho de los caballitos*.

Behr gdzieś słyszał takie sformułowanie.

- Za wzgórzem? I tyle? - spytał. - Zabierz nas tam.

- Ej, *pendejo*, ty tu jesteś przejazd, a my musimy dalej żyć - odpowiedział Ernesto i splunął. Wsiadł do ciężarówki.

Victor zawahał się, jakby nie do końca chciał się z nimi rozstać.

- Przepraszam za broń - powiedział, patrząc się na swoje stopy. Był zawstydzony. - Nie wiedziałem, po co tu jesteś. Nie wiedziałem o twoim synu. Po prostu myślałem, że ty też chcesz tam...

- *Cierra la boca* - powiedział Ernesto z obrzydzeniem. - *Hijo de puta*.

Victor zamilkł.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Paul. - Nie martw się tym.

Victor ruszył w stronę siedzenia pasażera zrezygnowany, ale za chwilę się zatrzymał.

- Jeśli spróbujecie tam pójść, to nie zapomnijcie słowa.

- Jakiego słowa? - spytał Behr.

Victor pomyślał chwilę.

- Hasła. Jak pójdziecie bez hasła, zastrzelą was przy bramie.

- A jakie to hasło?

- *Callate, burro!* - krzyknął Ernesto, co sprawiło, że Victor aż podskoczył.

- Nie wiem.

Chłopak westchnął głęboko i wśliznął się do samochodu.

*

Toyota zawróciła, wzbijając spore tumany kurzu, i odjechała tam, skąd przyjechali. Gdy opadł pył i na powrót stało się cicho, Behr podjechał jeszcze kawałek. Resztę drogi przebyli pieszo. Wspinali się na około dwumetrowy pagórek, a ich stopy zapadały się miękko w piasek, tworząc miniaturowe lawiny.

- Myślisz, że cokolwiek jest pod drugiej stronie? - spytał Paul, podciągając się za korzenie.

- Tak czy inaczej, to ostatni raz, gdy widzimy tych koleś i te dwa tysiaki.

- To raczej nie był dobry moment, żeby się targować.

- Raczej nie.

*

Wczołgali się na szczyt wzniesienia, starając się zbytnio nie wychylać. Ułożyli się wśród krzewów i spojrzeli przed siebie. Miejsce było pogrążone w półmroku. W dole ćwierć mili przed nimi stało kilka niskich budynków. Niektóre zbudowane w całości z pustaków, inne z włókna szklanego były ustawione na ceglanych fundamentach. Reflektory na wysokich palach jasno oświetlały cały teren.

Konstrukcja wyglądała na dosyć solidną, ale całość sprawiała wrażenie tymczasowej, niczym obóz wojskowy. Jedyłą oznaką stałości tego miejsca była roślinność, specjalnie zasadzona niczym fasada dookoła budynków. Całość posiadłości była otoczona siatką z drutem kolczastym na górze. Do środka prowadziła tylko jedna droga, a o bramę wjazdową opierał się mężczyzna wyglądający na mocno znużonego. W pobliżu budynków widać było zbiornik z gazem i małą szopę, z której dochodził miarowy warkot generatora. Od czasu do czasu w nocnej ciszy przebijały się rozmowy po hiszpańsku, dobiegające z któregoś z

budynków.

Behr wyciągnął lornetkę z kurtki i przyjrzał się dokładnie okolicy. Spojrzał na mężczyznę opartego o bramę.

- Duży misiek jest stróżem przy bramie. Ma pistolet.

Behr zauważył, że rośliny zasadzone wokół obozu to karłowate kaktusy, uniemożliwiające komukolwiek dojście do budynków czy ich opuszczenie.

W jednym miejscu stały w rzędzie cztery samochody. Zakurzony bronco, błyszcząca nissan armada SUV, stary ford sedan i jakiś japoński, prawdopodobnie honda civic. Jeszcze parę innych aut wystawało zza rogu, ale nie mógł określić ich modelu ani zidentyfikować tablic rejestracyjnych. Paul przyglądał się, jak Behr wyciąga notes, ściąga zębami skuwkę z długopisu i spisuje numery rejestracyjne wozów.

Paul miał nadzieję, że detektyw patrzy swoim zawodowym okiem w poszukiwaniu słabych stron w strukturach obronnych posiadłości, bo on żadnych nie zauważył.

Drzwi głównego budynku otworzyły się i ze środka wyszedł otyły mężczyzna. Prowadził przed sobą dwa wielkie psy, które ciągnęły mocno za łańcuch.

- Rottweilery? - spytał Paul, wpatrując się w dal.

- Gorzej - odpowiedział Behr, rozpoznając rasę. - Presa canario. Portugalskie psy do walk.

Po chwili, gdy czworonogi załatwiły swoje potrzeby przy pasie kaktusów, mężczyzna zabrał je z powrotem do środka i już się nie pokazały.

*

Behr podał partnerowi lornetkę. Na dźwięk otwieranych drzwi Paul spojrzął na największą budowlę dokładnie w chwili, gdy wychodziło z niej dwóch mężczyzn. Mężczyźni koło czterdziestki, prawdopodobnie Amerykanie, ubrani byli swobodnie i nieznacznie się zataczali, jakby byli lekko wstawieni. Nic nie mówiąc, wsiedli do armady i wyjechali przez bramę. Strażnik pomachał dłonią na pożegnanie w stronę odjeżdżającego nissana. Po zamknięciu bramy ponownie nastąpiła całkowita cisza, dopóki następna para mężczyzn nie wyszła z głównego budynku. Byli niżsi od strażnika i mężczyźni wyprowadzającego psy, a między nimi szedł dosyć wysoki, szczupły chłopak w dresie. Miał mniej więcej szesnaście lat, ciemne włosy i ciemną karnację. Prowadzili chłopca, który nie okazywał żadnego sprzeciwu, wzdłuż długiego budynku wyglądającego jak przyczepa. Zatrzymali się na chwilę. Jeden z mężczyzn zapalił papierosa i czekał z chłopcem, aż ten drugi wysika się w kaktusy. Kiedy

skończył, przeszli przez środek zabudowań i weszli kolejno do długiej przyczepy. Przez chwilę słyhać było latynoską muzykę sączącą się przez uchylone drzwi. Podczas następnych trzech kwadransów paru pojedynczych mężczyzn wyjechało z posiadłości, po czym wszystko stało się ciche i spokojne. Po jakimś czasie Paul opuścił lornetkę.

- Coś złego się tam dzieje.

- Też to czuję - Behr odetchnął głęboko.

Leżeli na twardej, piaszczystej ziemi. Zimno nocy spływało na ich odrętwiałe ciała.

Don Ramon Poncetera leżał obok żony na wielkim, ręcznie rzeźbionym łóżku, które było w jego rodzinie od pokoleń. Pomimo chłodnego powietrza, miękkiego łóżka i komfortowego uczucia, jakie mieli wszyscy jego przodkowie, którzy odpoczywali tu przed nim, doskwierała mu bezsenność. Myślał o ojcu, wiecznie poważnym człowieku, który ukształtował całe jego życie, w dużej mierze właśnie w tym łóżku. Bywały noce, gdy jego matka wyjeżdżała z *finca* i jechała do miasta, a Poncetera Senior wołał młodego Ramona do zaciemnionego pokoju. „Jest wiele rzeczy, których musisz się nauczyć, *mijo*, aby stać się mężczyzną”, mawiał, chwytając szorstkimi dłońmi koszulę nocną chłopca. Od tego czasu Poncetera stał się już mężczyzną i zbudował świat wokół siebie, jak powinien uczynić każdy mężczyzna.

Dostał parę raportów i posprawdzał je ze swoimi informatorami w mieście jeszcze tego samego wieczoru. Wypyтали się w paru burdelach i dowiedzieli się, że rzeczywiście widziano dwóch wyróżniających się *gueros*. Jankesi wydali trochę forsy i zobaczyli przedsmak, ale w niczym nie wzięli udziału. Przynajmniej on nic na ten temat nie wiedział. Nie było to niespotykane, ale jednocześnie niezbyt częste. I to go właśnie martwiło. Dowiedział się, że rozpuszczali pieniądze tu i tam, płacili też gotówką w motelu i chociaż zdawało się, że wyjechali, nie było to do końca pewne. Niestety, nie wiadomo było nic konkretnego, oprócz tego, że widziano ich w towarzystwie młodego Victora Colon. Poprosił Estebana, żeby spróbował znaleźć Victora, gdyby ten miał coś do dodania na ten temat. Na razie Esteban go nie sprowadził, ale sprowadzi. Nigdy nie zawiódł Ramona Poncetera. Ta myśl go uspokoiła. Słuchając miarowego, nieprzytomnego oddechu żony, udało mu się trochę zrelaksować po całym dniu i sam udał się na spoczynek.

38

Noc zapadła już prawie całkowicie, gdy Behr przerwał ciszę.

- Mamy parę możliwości i muszę ci je wyjaśnić.

- Mów.

- Możemy wrócić, zawiadomić rząd Stanów Zjednoczonych i zobaczyć, co mają do powiedzenia. Prosta sprawa, to ważna rozgrywka i chętnie bym tak zrobił.

- Aha - odpowiedział Paul, jednocześnie zmartwiony czasem, jaki to może zająć. Miał wrażenie, że jak tylko odwróci wzrok, całe to miejsce zniknie jak fatamorgana. Bał się zaryzykować.

- Możemy też wrócić do miasta i zawiadomić meksykańską policję - kontynuował Behr. - Ale z drugiej strony nie wiemy, co tam się, kurwa, dzieje. Widzieliśmy kilka trupów w różnych miejscach i nawet nie wiemy czyich. To jasne, że masa ludzi jest tu opłacona. Jeśli dostaną cynk, to albo nas aresztują, albo zabiją, albo przegonią, albo nawet zabiją tu wszystkich i spalą całe to miejsce na popiół.

Ostatnie słowa zawisły w powietrzu. Światło wokół nich zmieniło barwę z fioletu na odcień szarości wraz z mijającym zmierzchem.

- To może być dobry moment, żeby się wycofać i zatrudnić dodatkową pomoc - kontynuował Behr.

- Innych detektywów?

- Detektywów, ochroniarzy. Mam paru znajomych. Ale to też zajęłoby trochę czasu.

- I ja już nie mam pieniędzy.

Dalej patrzyli.

- Albo? - spytał Paul.

Behr nie mógł się zebrać w sobie i odpowiedzieć. W głowie kołatało mu poczucie ogromnej pomyłki. Jedna taka sytuacja mogła zniszczyć komuś życie, a on za każdym razem podrzucał coś w zamian. Pierwsza zniszczyła jego syna, druga - karierę. Były też inne, ale ta prawdopodobnie zabije jego klienta i jego samego. Ale patrząc na to miejsce, wiedział, że

dziewią się tam niewyobrażalne rzeczy, a on sam żył w niewyobrażalnym świecie, odkąd zabrał się za tę sprawę i czuł, że nie wytrzyma dnia dłużej, jeśli tego nie zmieni.

- Możemy tam wejść i sprawdzić to sami - odpowiedział Behr. - Widzieliśmy czterech strażników. Psy. Do środka można wejść tylko i wyłącznie, przechodząc przez całkowicie odkryty teren. Musielibyśmy wjechać od frontu. Mógłbym spróbować to zrobić sam, ale to nie miałoby sensu.

Zamilkł. Paul nie był w stanie nic odpowiedzieć. Fala paniki przeniknęła go od środka, sprawiając, że pocił się i trząsł z zimna jednocześnie. Strach przed tym, co może się stać tam na dole, że może nie wrócić i to, że nawet Behr się bał, doprowadzały do skurczów żołądka. Paul przewrócił się na plecy, nabierając głęboko zimnego powietrza dużymi haustami, jakby chciał połknąć całe nocne niebo. Przypomniawszy sobie ostatnie śniadanie w domu i ostatnią noc z Carol, oraz jej ogromną wiarę w jego powrót, bez względu na to, czy coś odkryje, czy nie.

Paul poczuł na sobie wzrok Behra, ale detektyw nic nie powiedział i w końcu odwrócił się z powrotem w stronę obozu. Paul nie nadawał się tu, na pustynię. Nic nie przygotowało go na taką ewentualność. Kiedyś wyobrażał sobie swoje życie jako ładną, foremną paczkę, a później patrzył, jak ta paczka eksploduje. Wiedział teraz, że życie nigdy nie było tak cudownie ułożone, jak mu się wydawało. Dowiedział się, że mogą zdarzyć się straszne rzeczy, a gdy już nadejdą, mogą pociągnąć za sobą inne, jeszcze straszniejsze. Ale gdy siła napędzająca cały wszechświat, czymkolwiek była, chciała przycisnąć go do ziemi, musiała go dotknąć, wybrać właśnie jego i zbliżyć się do granic intymności. Zrozumiał, że chociaż jego życie stało się pokręcone i złamane, było to nadal życie i było czymś najważniejszym. Wiedział, że wszystko jest możliwe. Może nawet uda mu się przeżyć.

- Jeśli masz rację, musimy powiedzieć o wszystkim FBI - powiedział Paul, a jego słowa odplływały w mrok. - Ale później. Jeśli to mój syn gnił tam na pustyni, to nie mogę opuścić tego miejsca, póki się nie upewnię. Muszę tam wejść, Frank. Muszę. Ale ciebie nie mogę o to prosić.

- Zrobimy to razem - odparł bez zwłoki Behr. - Ty tu zostań i obserwuj. Pójdę lepiej dowiedzieć się tego hasła.

*

Zaraz po trzeciej w nocy zgasły wszystkie światła i cała dolina zanurzyła się w całkowitej ciemności. Chwilę później wyłączył się generator i cisza przyłączyła się do mroku, otulając samotnego Paula na szczycie wzgórza. Nie miał pojęcia, gdzie jest. Nie byłby nawet

w stanie zlokalizować siebie na mapie. Jedyńm łącznikiem z cywilizacją był Behr, a nawet jego powrót nie był teraz do końca pewny. Czuł bicie serca odbijające się od twardej ziemi, na której leżał. Dawało mu nikły sygnał, że nadal żyje. Strach, jaki niegdyś znał, już nie istniał. Paul był daleko poza czymś tak przyziemnym. Popadł w stan całkowitego zapomnienia. Tylko zdrowy rozsądek, jakże słaby i instynktowny, sugerował, że poranek w końcu nadejdzie.

*

Behr patrzył przez mocno zakurzoną szybę, jak dziewczyny w dwóch grupach wychodziły z budynku, który wyglądał jak połączenie lepianki i przyczepy. Tuzin pańienek wsiadło do pickupa i szybko odjechało. Inne poszły wzdłuż ulicy, jak się domyślał, na przystanek. Po kolei wyłączały się następne światła w budynku, aż pozostało tylko jedno świecące słabym blaskiem. *Gdzie może być kuchnia?* - pomyślał Behr. Starł się przypomnieć sobie inne tego typu miejsca.

Drzwi otworzyły się i z budynku wyszła kobieta. Starsza od innych, niska i szczupła. Paliła papierosa. Wtedy właśnie detektyw wysiadł z samochodu.

Słyszał, jak Victor nazywa ją Marta. To ona wspomniała o *rancho de los caballitos*. Przestraszyła się, gdy wyszedł z ciemności wprost na nią, ale ukryła to szybko i umiejętnie.

- *Buenas* - powiedział.

- Dzisiaj zamknięte. *Cerrado*. Dziewczyny poszły do domu.

Jeśli zapamiętała go z poprzedniej wizyty, nie okazywała tego. Ale on czuł, że ona wie. W jej oczach widać było błysk inteligencji. To właśnie zrobiło na nim wrażenie ostatnim razem i dało mu nadzieję teraz.

- Nie po to tu przyszedłem, Marto.

- *No hablo...*

- Właśnie, że tak.

- Jest późno. Ja iść spać.

- Czekał, skończ papierosa.

Patrzyła na niego z wyrzutem. Podejrzewał, że w tym momencie był każdym mężczyzną, jakiego musiała obsługiwać w swoim czasie, a których obecnie obsługiwały inne dziewczyny.

- Czego chcesz?

- Potrzebuję hasła, które wpuści mnie na rancho.

Tym razem przyglądała mu się z szeroko otwartymi oczami. Dostrzegał prawdziwy strach w jej spojrzeniu, który próbowała zamaskować złością. Nieudolnie.

- Szukają cię - powiedziała. - Zabijają cię.

- Kto?

Syknęła przez zęby, sugerując, że prędzej zginie, niż cokolwiek mu powie.

- Więc daj mi hasło.

- Nie.

Minęła chwila ciszy.

- Wejść do środka - zaproponowała.

- Nie, dzięki - powiedział Behr. Miała pięć stóp wzrostu, ale Behr wołał nie dzielić z nią przestrzeni, gdzie na pewno była schowana broń.

- Już do ciebie nie wrócę - zapewnił. - Inni muszą coś wiedzieć na ten temat, pewnie sporo innych.

- To idź ich spytać.

- Pytam ciebie.

- Nic tu nie ma za darmo. Wiesz to?

- Wiem.

Behr zaczął wykopywać butem dziurę w ziemi.

- Mam niewiele gotówki, a podejrzewam, że nie przyjmujesz kart kredytowych.

Dziewczyna przystąpiła do negocjacji. Przyglądał się jej. Pstryknęła papierosa przed siebie i skrzyżowała ramiona. Jej oczy iskrzyły się, gdy patrzyła na niego, czarne i zimne jak noc.

Gdy ciemność odchodzi razem z chłodem nocy, i wszystko wypełnia się ciepłem i ciszą, jak teraz, śni o dotykaniu twarzy swojej mamy. Nie jest pewien, ile ma lat. Minęło tak dużo czasu. Jego urodziny. Przynajmniej jedno, tego jest pewien. Ale dokładnie pamięta jej twarz. Mięka, cienka skóra policzków... lekkie dołki pod oczami... dotykane paluszkami jej pełnych warg... przyciskanie swojego czoła do jej czoła tak jak kiedyś, gdy był jeszcze dzieckiem. Ten rodzaj ich miłości, o którym jest już za stary, żeby mówić. To sen o spokoju, który jest poza zasięgiem. Ten sen nawiedza go prawie za każdym razem, gdy śpi, napędza jego pragnienie ucieczki. Nieważne, że nawet nie wie, gdzie jest - tylko tyle, że to miejsce może się nazywać Cuando Tiempo. To słowa, które słyszy najczęściej. I nieważne też, jak daleko się znajduje. Na pewno bardzo daleko od czegokolwiek innego. Zabrali mu buty - taki mają zwyczaj. Bardzo długo był tu sam, ale czuje, że niedługo to się zmieni. Strażnicy odwiedzają go coraz częściej i są coraz bardziej zainteresowani jego stanem. Od jakiegoś czasu dostaje więcej jedzenia, czasem coca-colę. Wygląda za okno i widzi niedaleko kaktusy. Cała masa niskich roślin dookoła budynku, gdziekolwiek sięgnie wzrokiem. Od czasu do czasu widział innych chłopców, a potem przez jakiś czas nikogo i wie, że oni już nie żyją. Jak ten, który był z nim w furgonetce. Mieli worki na głowach. Chris Jakiśtam. Mówił nazwisko, ale już go nie pamięta. Pamięta tylko moment, gdy zdał sobie sprawę, że Chris Jakiśtam nie żyje, leży ciężko na nim, a jego zapach stawał się coraz bardziej intensywny w tej małej furgonetce.

40

Paul prawdopodobnie zasnął, ponieważ gdy podniósł głowę, róz poranka rozświetlał niebo, a cały widnokrąg zajmowały mu czyjeś wielkie buty. Spojrzał do góry i zobaczył, jak Behr leży zaraz przed linią szczytu i spogląda na obóz.

- Masz hasło? - spytał.

- Mam.

Rześkie powietrze poranka rozgrzewało się z minuty na minutę. Około dziesiątej słońce weszło wysoko i paliło jak rozgrzany olej.

- Nie wiemy, czego się spodziewać za dnia - powiedział Behr. - Najlepiej by było działać późno w nocy, gdy znamy całą rutynę. Chociaż nie podoba mi się pomysł pójścia tam, gdy będzie całkowicie ciemno. A tobie? Na razie będziemy dalej obserwować, co tam się dzieje. Ruszemy o zmierzchu.

Paul przytaknął.

- Gdy tam wejdziemy, nic nie zagwarantuje nam bezpieczeństwa. Jakby przyszło co do czego, to będziesz wiedział, jak się strzela?

- Tak - odpowiedział Paul.

Więcej nie rozmawiali.

*

Odpoczywali w samochodzie na zmiany. Nie chcieli ryzykować odpalania samochodu, żeby włączyć klimatyzację, więc pomimo cienia, w aucie był większy skwar niż na zewnątrz. Woda również była gorąca i śmierdziała plastikiem, ale i tak ją pili - wiedzieli, że ich organizmy jej potrzebują. Do południa zjedli resztki suszonej wołowiny i przekąsek, które kupili wcześniej na stacji. Pot lał się po twarzach i szczypał w oczy. Ich skóra smażyła się, pomimo dodatkowych koszul na ramionach. Bolały oczy i głowa. Parę innych osób wyjechało wcześniej i przez pewien czas tylko bronco stał zaparkowany, lecz nadal nie było żadnej wskazówki, co się dzieje w środku. Po południu na posesję wjechała ciężarówka z

plandeką zarzuconą na pakę, ale zaparkowała za budynkiem, poza zasięgiem wzroku.

*

Don Ramon Ponceterra ubierał się bardzo starannie, tak jak zwykle, choć tym razem ruszał się odrobinę szybciej niż zwykle. Ten dzień był dziwny aż do ekstremum, ale zawsze niechętnie porzucał swoje przyzwyczajenia. Dostał wcześniej telefon od Estebana, że znalazł się Victor Colon i że w ciągu godziny lub dwóch będzie wiadomo coś więcej. Don Ramon powiedział, że spotka się z nimi na *rancho*. Potem z garderoby wybrał białą, lnianą koszulę, kremowe spodnie i jasne, zamszowe buty. Na koniec zawiązał sobie krótki, jedwabny szal na szyi, absolutnie niepasujący do pasiastej sportowej marynarki. Dla niego jednak najważniejsze było uczucie dotyku choć odrobiny jedwabiu na skórze, bez względu na ubranie. Jak powiedział Platon, „każdy obiekt fizyczny jest tylko cieniem swojej idealnej formy”. Oprócz jedwabiu. Jedwab, zdaniem Ponceterra, jest apoteozą wszystkich tkanin.

Lekko skropił policzki wodą Bay Rum, zapach cytrusów przyjemnie łechtał jego nozdrza. Był gotowy. Przeszedł do miejsca, gdzie stał zaparkowany jego cadillac eldorado. Dzisiaj musiał prowadzić sam. Nie lubił tego, ale, jako że Esteban był zajęty czymś innym, nie miał innego wyjścia. Wsiadł do zadbanego samochodu, jego wnętrze było chłodne od trzymania w garażu, który został wybudowany tylko po to, żeby chłodzić. Wyjechał z posesji i udał się do *ruta*.

*

Słyszał krzyki. Zaczęły się po obiedzie i nie chciały skończyć. Należały do dorosłego mężczyzny, choć momentami przypominały skowyt dzikiego zwierzęcia. Coś się dzieje, coś innego. W powietrzu wisiał klimat oczekiwania. Trwał już tak strasznie długo. Nie znosił wizyt Eleganckiego Gościa. Wprawdzie mężczyzna nie dotykał go bardziej niż klepinięciem w kolano, plecy czy policzek, jednak odnosiło się wrażenie, że coś się zdarzy, a nie wiadomo było, co mógłby zrobić najgorszego. Elegancki Gość śmierdział naftaliną, nieudolnie maskowaną kwiatową wodą po goleniu.

Krzyk w pewnym momencie ustaje i słychać dźwięk nadjeżdżającego samochodu. To dziwne, bo jest wczesna godzina. Dziwna była także mała ciężarówka, która wjechała wcześniej z drugiej strony budynku, gdzie nie mógł jej już zobaczyć. Wyglądał teraz zza rolety przez małe okno. Zbyt małe, żeby mógł się wydostać. Patrzy na dół i widzi kaktusy, które kazali mu sadzić. „Skoro nie możemy cię zmusić do pracy”, mówili, „będziesz pracował

inaczej”. Kopał w ziemi i sadził je przez wiele gorących dni, a kolce wydierały mu ciało. Zabezpieczał swoje własne więzienie. Teraz widział, jak samochód wjeżdża na teren - to Elegancki Gość. Wstaje, po raz ostatni zerka na jego wjazd, po czym odwraca się w stronę pustaka i kończy ostrzenie...

*

Paul patrzył przez lornetkę prawie cały dzień, gumowe wizjery wrzynały mu się w twarz, ale wreszcie to zobaczył. Samochód, starszy cadillac, coraz bardziej zbliżał się do bramy. Oderwał od niego wzrok wystarczająco szybko, by zobaczyć przez sekundę postać w małym oknie. Osoba różniła się wyglądem od ciemnoskórych i ciemnowłosych postaci zamieszkujących Meksyk. Uczucie zetknięcia z czymś znajomym wzbierało w nim coraz bardziej i chwyciło za gardło. Wiedział, kogo zobaczył. Zanim zorientował się, co robi, klęczał już na jednym kolanie i prawie zaczynał biec przed siebie, gdy ręka Behra złapała go mocno za łydkę i pociągnęła do tyłu.

- Masz udar słoneczny? - spytał były glina.

- Frank - wysapał Paul. Czuł, że detektyw patrzy na niego zdziwionym wzrokiem i wyciąga rękę po lornetkę.

- Co się stało?

- On tam jest...

- Co?

- On tam jest. Mój Jamie.

41

Ponceterra wjechał na posesję, wzbijając tumany kurzu. Zanim jeszcze zdążył wysiąść z samochodu, Paco już zamknął za nim bramę. Ponceterra wciągnął głęboko powietrze. Było jakieś inne. *Czy coś się dzisiaj zmieniło?* - pomyślał.

- *Buenas tardes, patron* - powiedział Paco.

Ponceterra zignorował go i poszedł w stronę głównego budynku, zastanawiając się nad dwiema rzeczami: czy Esteban wypełnił skutecznie zadanie i czy dzisiaj będzie jego triumfalny dzień z *rubio*. Ograniczał ostatnio swoje wizyty, żeby za bardzo go nie przyciskać, ale rozpatrywał odwiedzenie go dzisiaj. Być może ciągle oczekiwanie i ostrożne przymilanie się sprawiło wreszcie, że chłopiec ulegnie.

A potem pomyślał o sprawach Estebana: *gueros*. Czy byli to zwykli, nowi klienci, czy może będą jeszcze z nimi problemy? Jego ludzie dostali dokładne rozkazy, żeby omijać nieodpowiednich klientów. Wiedzieli, że za niewykonanie instrukcji czeka ich straszna kara.

Nagle Don Ramon zatrzymał się. Czemu by nie ustanowić dzisiaj nowego hasła? Krzyknął do Paco:

- *Hay una nueva contrasena hoy...* - wymówił je bardzo cicho. - Niech je przekażą w mieście.

- *Si, jefe* - odparł Paco, przytakując.

*

Don Ramon wszedł do głównego budynku. Światła były wyłączone i było bardzo cicho. Gruby Miguel podskoczył z kanapy, żeby przywitać Don Ramona, upuszczając jednocześnie gazetę na ziemię.

- Esteban? - spytał szorstko Don Ramon.

- *Oficina* - odparł Miguel, schylił się i podniósł gazetę.

*

Ponceterra otworzył drzwi biura i zobaczył Estebana w samym środku roboty nad młodym mężczyzną z miasta. Mężczyzna kulił się na podłodze, oparty o ścianę, głowa zwisała luźno. Jego twarz i włosy były pokryte mieszaniną potu i krwi. Esteban odwrócił się z wyrazem twarzy cierpliwego rzeźnika.

- *Que paso?* - spytał Ponceterra.

- *Un ratito.*

Czterech mężczyzn na terenie posiadłości zawsze wystarczało. Zarządzanie nimi było łatwe, a żaden klient nigdy nie sprawiał kłopotów. Z drugiej strony dodatkowo na posterunku były psy. Ale oglądanie przemocy na własne oczy dało mu do myślenia.

- *Todos saben...* - zaczął, chcąc spytać, czy strażnicy wiedzą, że mają być czujni.

- *Si, patron.*

Esteban już się odwracał, żeby wrócić do pracy. Ponceterra wiedział, że on ma wszystko pod kontrolą. *Policia* będzie się trzymać z dala, jak zaplanowano, a jeśli tych dwóch mężczyzn znalazło *rancho*, jego ochrona była gotowa na ich przyjście. Poza tym wiedział, że Esteban dowie się, kim są ci mężczyźni, nawet jeśli wcale nie miałby tu przyjść. Wtedy ich złapie. Esteban poleci za nimi za góry, pustynie, drogi, nawet za granicę, i nie popuści, póki ich nie uśmierci w ich własnym łóżku. O ile tak rozkaże Don Ramon.

Skinął na Estebana, żeby kontynuował, i zamknął drzwi. Poczeka na *rancho*, póki strażnik nie skończy. Coraz bardziej czuł potrzebę pójścia do pokoju na końcu korytarza. *Może tylko krótka wizyta, parę minut tym razem* - pomyślał. - *Skoro i tak tu jestem.*

*

Krzyki ustały, ale cisza była jeszcze gorsza niż hałas. Ścisnął prowizoryczną broń, szorując nią jeszcze szybciej o pustak. Potem usłyszał kroki i przestał. Wstał i spojrzał na ostry czubek, który stworzył. Zdawało się, że nie ma więcej czasu - będzie musiał wystarczyć.

42

Jechali w ciszy. Nadchodzący wieczór znowu podarował chłodne powietrze, które teraz wpadało przez otwarte okna. Ostatnie chwile oczekiwania były niemal fizycznie bolesnym sprawdzianem. Przekazywali sobie lornetkę wiele razy - Behr, żeby zobaczyć to, co widział Paul, a Paul, żeby zobaczyć to ponownie.

- Jesteś pewien? - detektyw zadawał to pytanie wielokrotnie, aż Paul przestał odpowiadać.

Gabriel cały czas miał ochotę pobiec w dół wzgórza. Zaufał jednak osądom Behra, że zmierzch będzie najlepszym momentem na wykonanie ruchu.

- Nie możemy tak po prostu wparować tam w tej sekundzie - tłumaczył Behr.

Użyli wzniesienia jako zasłony, jadąc na północny wschód. Zrobili szerokie koło. Po przejechaniu około dwunastu mil skręcili w lewo i zaczęli szukać drogi, którą przyjechali inni goście.

Paul nie mógł się skupić, a serce waliło mu jak młot. W głowie kołatało mu tysiąc pytań, ale żadnego nie mógł sformułować do końca. Spojrzał na lewą rękę Behra, która mocno ścisnęła kierownicę, i na niego samego patrzącego prosto przed siebie. Detektyw raz na jakiś czas rozglądał się, by sprawdzić ich położenie na pustyni, jakby używał instynktu marynarzy pływających po oceanach.

- Frank - spytał wreszcie Paul. - Jak udało ci się zdobyć hasło?

- To nieważne.

- Nie?

Oczy Paula powędrowały na lewy nadgarstek Behra. Brakowało na nim zegarka. Detektyw zauważył to i zmienił rękę na kierownicy.

- To naprawdę nieważne - powtórzył.

Samochód wpadł w rów biegnący wzdłuż drogi, zawieszenie odbiło się i wylądowali na drodze. Pojawiła się - prawie magicznie - linia biegnąca przez rozciągającą się we wszystkie strony pustynię. Behr skręcił w lewo, jakby wjeżdżał na własne podwórko. Jechali

dalej, nie widząc niczego przed sobą i zdawało się, że będą tak jechać już zawsze.

I wtedy, niczym anteny ustawione na pustyni, ukazały się przed nimi latarnie. Paul przełknął głośno. Behr zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, jakby chciał wycisnąć z niej wszystkie poty. Po chwili ujrzeli drut kolczasty, a za moment wyłoniły się wszystkie zabudowania. Widzieli oba samochody, które zauważyli ze swojego punktu obserwacyjnego - pickupa i cadillaca eldorado. Przy bramie przechadzał się dzienny strażnik, tak samo duży jak jego nocny zmiennik.

- Miejmy nadzieję, że mówi trochę po angielsku i że to hasło jest coś warte. W przeciwnym razie...

Paul skinął. Rzucił okiem na tylne siedzenie, gdzie, zakryta ręcznikiem, leżała naładowana strzelba.

- Uśmiechnij się. Już tu byliśmy.

Przykleili sobie szerokie uśmiechy na twarz, a Behr uniósł dłoń w geście powitania.

*

Ponceterra wszedł do pokoju, gdzie trzymał *rubio*. Ściągnął marynarkę, jednocześnie zatrzasnął za sobą drzwi. Pokój był przynajmniej dwukrotnie większy niż reszta pomieszczeń i na pewno najładniejszy. Tracił potencjalny zarobek, nie wykorzystując go, czuł to głęboko w sercu, ale całe przedsięwzięcie będzie opłacalne, jeśli wreszcie wszystko się zacznie. Wyczuwał, jak przyspiesza jego wewnętrzny zegar i zastanawiał się, ile jeszcze cierpliwości mu zostało. Spojrzał na *rubio*, który zrobił jeden krok w jego stronę. Nadzieja w nim wybuchła, aż zrobiło mu się mokro w ustach z podniecenia. Chłopiec podszedł do niego. Może całe to czekanie jednak miało sens. *Rubio* wreszcie się do niego zbliżał.

*

- *Que pasa?* - Behr spytał strażnika, potężnego mężczyznę z podejrzliwymi oczkami.

- *Buenas, senores* - odpowiedział strażnik. - *Que quieren ustedes aqui?*

Otworzył tylko na tyle bramę, żeby mógł podejść do samochodu.

- Aha. *Quiero visitar... Hablas ingles?*

Strażnik tylko wzruszył ramionami. Behrowi zaczęły się kończyć zwroty po hiszpańsku, więc kontynuował po angielsku.

- Jesteśmy sportowcami. Klienci. *Entiendes?* Byliśmy tu wcześniej z przyjaciółmi.

Behr wyciągnął swój ostatni banknot studolarowy. Strażnik go wziął i jeszcze bardziej

przymrużył oczy. Nie otworzył jednak bramy, a wręcz chwycił za pistolet przy pasku. Było jasne, że mężczyzna wiedział, że ktoś nieproszony może przyjechać.

- Wypierdalać z samochodu! - krzyknął, a gdy Behr się zawahał, kopnął w drzwi.

- Spokojnie, kolego. Spokojnie - powiedział Behr, powoli otwierając drzwi od samochodu. - *Pajarito*. Tak wcześniej mówiliśmy. *Pajarito*.

Behr czekał, aż hasło odniesie jakiś skutek, ale nie tego się spodziewał.

- *Problema?* - spytał.

Gdy mówił, strażnik zaczął wyciągać broń. Wtedy Paul zauważył, że Behr zasłaniając ciałem pałkę, którą wyciągnął za sobą, wysiadając z samochodu. Nie wyprostował się jeszcze całkowicie, gdy zamachnął się pałką w kierunku strażnika. Zęby mężczyzny pofrunęły w powietrzu jak popcorn. Strażnik cofnął się o parę kroków, krew ciekła mu z ust na piasek, zaraz obok upuszczonego pistoletu. Większość niedoświadczonych mężczyzn spanikowałaby i zmiękła z powodu bólu. Ten wziął się w garść i ruszył na detektywa.

*

Trzeba osiągać cele. Oczy Behra rozszerzyły się, błyskawicznie ogarnął całą sytuację. Widział mężczyznę jako całość, która jest zagrożeniem. Każda część jego ciała była celem. Kolana. Krocze. Pęcherz. Łokcie. Nerw odpiszczelowy. Strażnik zbliżył się na odpowiednią odległość i Behr skoczył na niego z impetem.

Wbił mu palce w oczy. Nie był to mocny cios, ale palce weszły głęboko. Facet złapał się za twarz. Behr, z pełnego wyroku, kopnął go prosto w jądra. U mężczyzny zadziałała bezwarunkowa reakcja kręgosłupa i nawet najlepszy trening na świecie nie mógł mu pomóc. Wyciągnął ręce w stronę krocza i tym samym odsłonił gardło. Behr jednak zrezygnował z odsłoniętej całej brody i mocno uderzył pałką przez kark. Wraz z uderzeniem usłyszeli odgłos pęknięcia, gdy trafił w błędny nerw. Mężczyzna odpląnął i padł ciężko na ziemię. Behr przeszedł nad nim, odciągnął ciało na bok, otworzył bramę i wsiadł z powrotem do samochodu, w którym Paul zdążył już zasiąść za kierownicą.

*

Nadszedł czas. Wszystkie dźwięki i myśli odpłynęły w niepamięć. Poczul się mały i słaby, wiedział, jak łatwo może umrzeć. Ale już się tym nie przejmował. Naprzeciw niego Elegancki Gość mamrotał coś po hiszpańsku z uśmiechem na twarzy. Nie pragnął niczego więcej, niż zetrzeć mu ten uśmiech. Zmusił swoje stopy i ciało, by poruszały się w jednym

kierunku. Uśmiech powiększył się, ale nagle zamarł, gdy Elegancki Gość zobaczył, co się dzieje. Wyciągnął dłoń zza uda. Wyprowadził cios zaostrzoną rączką łyżeczki prosto w serce Eleganckiego Gościa, a raczej w miejsce, gdzie mógł go dosięgnąć, gdyby miał odpowiednią broń. Niestety, łyżeczka trafiła w kość i mięśnie chroniące serce. Mężczyzna wydał z siebie pisk kobiety, który przeobraził się w zbolale parsknięcie.

*

Esteban usłyszał pisk z pokoju na końcu korytarza i wstrzymał to, co właśnie robił. Wytarł zakrwawione ręce w spodnie i pobiegł w tamtą stronę. Spróbował otworzyć drzwi, ale okazało się, że są zamknięte.

- *Patron?* - zawołał waląc w drzwi. - *Patron?*

Przyłożył ucho i wreszcie usłyszał głos Don Ramona.

- *Esta bien. Todo es tranquilo. Tranquilo...* - dobiegło z drugiej strony.

- *Necesita algo usted?*

- *No, nada.*

Esteban czekał jeszcze przez chwilę, ale nie usłyszał już nic więcej, więc wrócił do pracy po drugiej stronie korytarza.

*

Ponceterra odpoczywał na kolanach przez chwilę i powoli zdawał sobie sprawę, że ostrze go nie zabiło i nie zabije, a rana jest tylko powierzchowna. Rozerwał koszulę, żeby przyjrzeć się lepiej wystającemu z piersi kawałkowi metalu. Stał tak i czuł napływającą siłę. Nie do końca wiadomo, czy to widok własnej krwi, czy wewnętrzny zegar dał mu znać, ale nabrał pewności, że czekał już wystarczająco długo. Zbyt długo. Zbieg okoliczności doprowadził go do tego miejsca właśnie dziś. To był dzień, w którym wreszcie się wszystko zaczęło. Trzęsącymi się z podniecenia palcami rozwiązywał szal pod szyją, dochodząc do wniosku, że miał rację. Mógł żyć wiecznie. MOGĘ ŻYĆ WIECZNIE! Słyszał te słowa w głowie. Doznał uczucia tryumfu i potwierdzenia. A jednocześnie wielkiego pożądania. Spojrzał na *rubio*. Nareszcie spadły mu klapki z oczu. Po tym wszystkim, co dla niego zrobił, on tak mu się odplaca. Gnojek był teraz dla niego takim samym jak inni kawałkiem mięsa, a nadszedł czas posiłku. Mówiąc niskim głosem, podszedł do chłopca.

- *Eres mi posesion, mi tesoro. Eres mi carne...*

I wtedy zrobiło się głośno.

*

Behr trzymał strzelbę w rękach i dwukrotnie kopnął drzwi w okolicy gałki. Powierzchnia z włókna szklanego wygięła się, ale nie otworzyła. Wyważyłby ją za którymś razem, ale nie miał tyle czasu. Samochód czekał za nimi, a jeszcze dalej leżało nieruchome ciało strażnika. Wycelował strzelbą i pociągnął za spust, roztrzaskując gałkę i zamek. Drzwi stanęły otworem. Przekazał strzelbę Paulowi.

- Zostały cztery strzały - jakoś nie wyobrażał sobie, żeby Paul miał czas przeładować.
- Nie zapominaj o psach.

Weszli do budynku. Behr wyciągnął pistolet i ruszył przodem do wymyślnego saloniku. Ktoś próbował zrobić elegancki pokój w starym, meksykańskim stylu, ale osiągnął tylko tandetę. Wskazał głową korytarz pełen zamkniętych drzwi, ponaglając Paula, a sam podążył w stronę poczekalni.

Paul wykopał pierwsze wrota i padł dla pewności na ziemię. Mężczyzna ubrany tylko w kaburę pistoletu oddał dwa strzały w tył głowy nagiego, ciemnowłosego chłopca, po czym wycelował w siebie i zrobił to, czego nie zdążył zrobić zszokowany tym widokiem Paul.

Behr zarejestrował strzały, przechodząc przez pustą poczekalnię i otworzył zamknięte drzwi. Znalazł się w pokoju przypominającym sypialnię z trzema lub czterema piętrowymi łózkami. Owiąło go ciepłe powietrze i dopiero wtedy zauważył roztrzaskane okno. Wyglądając na zewnątrz, zauważył czterech lub pięciu chłopców biegnących boso przez karłowate kaktusy. Podskakiwali z bólu. Dobiegli do nadal niestrzeżonej bramy, wybiegli na zewnątrz i popędzili między krzewami przed siebie.

Wyszedł z pokoju. Ponownie znalazł się w poczekalni. Za sobą usłyszał brzęk łańcucha i wściekle warczenie. Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył stojące obok siebie dwa psy. Pozwolił im podbiec. Obnażone zęby i dzikie oczy tworzyły obraz symbolu wściekłości. Wycelował swoją czterdziestkę czwórkę prosto w paszczę i strzelił. Zwierzak prześliznął się pod jego stopy, pysk został zmieciony przez siłę wystrzału. Pomimo dzwonienia w uszach Behr usłyszał, jak ktoś krzyczy „*Mierda!*” i kątem oka zauważył, jak mężczyzna, który spuścił psy, odwraca się na pięcie i ucieka. Zanim zdążył wycelować pistolet ponownie, drugi potwór ruszył. Detektyw wystawił ramię, a bestia wyskoczyła do niego z zębami, wpadając całym ciałem i przewracając go na ziemię. Poczul piorunujący ból, gdy zwierzę przegryzało się przez kurtkę, koszulę i ciało. Presa canario, szalejąca masa furii, szarpał głową w dwie strony, próbując roztrzaskać ramię intruza. Behr wiedział, że gdy to się stanie, pies je puści i spróbuje przenieść się na gardło lub krocze. A wtedy będzie po

wszystkim. Wcisnął mu kciuk głęboko w oko, ale czworonóg to zignorował, więc zaczął macać podłogę dookoła siebie. Zdał sobie sprawę, że upadając, upuścił gdzieś broń...

*

Paul zbadał dwa inne pokoje z kudłatymi dywanami, ładnie pościelonymi łózkami i tandetnymi zlewami z włókna szklanego. Oba były puste. Otworzył ostatnie drzwi i zobaczył starszego, szczupłego mężczyznę z kawałkiem metalu wystającym z piersi. Szedł w jego stronę i wygadywał coś po hiszpańsku. Z tyłu o ścianę opierał się na wpół rozebrany Jamie. Był teraz trochę wyższy, bardzo chudy i miał zakrwawione ręce. Spojrzeli na siebie, rozpoznając się w ułamku sekundy... Paul przerwał bełkot starca miażdżącym uderzeniem kolbą strzelby w bok jego głowy. Facet próbował wydostać się na zewnątrz. Cios wyrażał więcej niż siedemnaście miesięcy frustracji, załamania i wściekłości. Mężczyznę zarzuciło na boki, czaszka poddała się broni jak przejrzały melon. Zachwiał się, po czym padł na ziemię i już się nie ruszył. Zaczął rzeźnić przeraźliwie. Wkrótce przestał.

Paul zatoczył się, przechodząc przez pokój. Zdawało się, że jego nogi ledwo mogą się ruszyć, a kolana nie są w stanie się zgiąć. Spojrzał w oczy syna. Nie mógł uwierzyć w załamanie i rozpacz, które w nich zobaczył. Złapał chłopca za ramię. Było chude, lecz silne. Żył. Przytulił go mocno do siebie.

- Tato - powiedział chłopiec. - Tatusiu, ukradli mi rower...

- Cii, synku... - odpowiedział, po czym puścił go i obrócił się szybko w stronę drzwi. Właśnie ktoś wszedł.

*

Wstawaj! Rozkazał sobie Behr. *Frank, kurwa, wstawaj!* Mógł spokojnie podnieść czterysta funtów, a pies ważył jedną trzecią tego, ale niestety, to coś wiszące na jego ramieniu zmieniało trochę sytuację. Udało mu się podnieść na kolano i odrzucić zwierzę pod ścianę. Cienkie panele pękły jak zapałki, skurwiel nie puścił. Behr rzucił się na niego i próbował przygnieść całym ciężarem ciała, ale pies jakoś zdołał się wyczołgać. Mężczyzna stanął na nogi, zaczął przeć naprzód. Obraz natarcia barkiem podczas meczu futbolowego w liceum mignął mu przed oczami. Zrobił parę kroków ciągnąc psa i obaj wpadli na prowizoryczny barek. Potłuczone butelki upadały dookoła i czuł, że miażdży jedną z nich biodrem. Znalazł pod ręką tulipana z szyjki i dźgnął nim w brzuch potwora. Szkło roztrzaskało się na części, nie mogąc przebić się przez muskularne cielsko. Wreszcie presa puścił jego rękę, ale nie było

chwili na odpoczynek. Rzucił się na szyję. Behr przycisnął brodę do ciała. Czaszka psa uderzyła w szczękę z taką siłą, że prawie go znokautowała. Bydlak wgryzł się w klatkę piersiową Behra i zawiesił. Mężczyzna padł na ziemię, przyciskając zwierzaka. Powoli tracił nadzieję. Ponownie runęli na potłuczone szkło, deskę do krojenia i pół tuzina limonek. Oraz nóż do obierania.

*

Strzelba stała oparta o ścianę tam, gdzie Paul ją zostawił. W tym momencie taki był z niej pożytek, że równie dobrze mógł ją zostawić w samochodzie. Mężczyzna ubabrany we krwi od stóp do głowy szedł szybko w jego stronę. Robił równe, miarowe kroki. Tylko tyle udało mu się zarejestrować, zanim zakrwawione ręce złapały go za ramiona, a nogi straciły kontakt z podłogą. Upadł ciężko na bark i żebra, powietrze szybko uciekło mu z płuc. Przez chwilę całkowicie go zamroczyło, po czym przed oczami przetoczyło mu się jaskrawe światło.

Paul czuł mężczyznę nad sobą. Jego kolana wbijały mu się mocno w brzuch. Paul próbował się wyrwać, ale każdy ruch był hamowany ciężarem atakującego. Napastnik wyprostował się, agresja sprawiła, że jego twarz przybrała kolor purpury. Wyprowadził cios prosto w brodę Gabriela. Tylko lekkie odwrócenie głowy uratowało mu szczękę przed zgnieceniem. Pomimo wszystko cios nastąpił, sprawiając, że głowa ojca Jamiego odbiła się od podłogi, a wzrok stracił ostrość. Następne uderzenie przedramieniem w tchawicę odcięło mu dopływ powietrza. Nie był w stanie się ruszyć, jakby zakrwawione imadło przytwierdzało go do ziemi. Kątem oka zauważył, że Jamie kopie napastnika w bok, jednak jego słabe ciało nie mogło zrobić mu krzywdy.

- Uciekaj, Jamie - wystękał lub miał nadzieję, że wystękał. Siły opuszczały go coraz bardziej, a obraz stawał się coraz ciemniejszy. Czuł nadchodzące omdlenie i śmierć. Spiął się w sobie i spróbował chwycić mężczyznę, ale bez skutku. Wtedy nastąpiło głucho uderzenie. I następne, i jeszcze jedno. Paul bardziej je poczuł, niż usłyszał, basowe wibracje dochodzące z ciała mężczyzny i przepływające przez jego własne ciało. Atakujący rozluźnił mięśnie i opadł bezwładnie na Paula.

Paul złapał duży haust powietrza i z wielkim wysiłkiem zrzucił z siebie zwiędłe ciało. Stał nad nim Victor, cały zakrwawiony.

- Victor?

Victor trzymał strzelbę w krwawiących dłoniach, którym najwyraźniej brakowało paru

palców.

- *Yo lo necesito* - odpowiedział przez połamane zęby i podniósł strzelbę do góry.

Paul skinął głową, przyciągnął Jamiego do siebie i wyszedł z pokoju. Victor, stojąc nad leżącym mężczyzną, zamknął za nimi drzwi.

*

Paul i Jamie spotkali Behra w korytarzu. Był cały we krwi.

- Mój boże - powiedział Behr, wpatrując się w twarz, którą tyle razy widział na zdjęciu. - Czy to...?

- Idziemy, Jamie - powiedział Paul. - Jesteś w stanie iść?

- Tak - odpowiedział chłopiec.

- A ty, Frank?

- Chodźcie za mną - zakomenderował Behr, biorąc się w garść i podnosząc pistolet. Wyszli za nim przez korytarz i dalej przez zniszczony budynek. W głównym pomieszczeniu wszystkie meble były wywrócone i połamane. Zapach prochu i krwi unosił się w powietrzu. Na podłodze leżały ciała. Paul zauważył dwa martwe psy po drugiej stronie pokoju. Dostrzegli ostatniego strażnika, który próbował coś ukraść z zamkniętej skrzynki. Mógł to być strażnik z nocnej zmiany, ale ani Paul, ani Behr nie byli pewni, gdyż widzieli go tylko przez lornetkę. Detektyw wycelował pistolet. Mężczyzna spojrzął do góry i gdy tylko ich zauważył, wybiegł przez tylne drzwi.

*

Dźwięk dwóch stłumionych strzałów ze strzelby dotarł do nich, gdy wsiadali do samochodu. Behr spojrzął na Paula i ścisnął pistolet.

- To Victor - powiedział Paul.

- Victor?

Jamie wśliznął się do tyłu, a Behr na siedzenie pasażera. Paul odpalił samochód i zaczął nabierać prędkości. Spodziewał się, że jakaś kula wystrzelona przez niewidocznego strażnika za sekundę roztrzaska mu głowę.

- Schyl się - powiedział do Jamiego, który już po chwili leżał na podłodze. Behr także zapadł się głębiej w siedzenie, ściągając jednocześnie but i skarpetę, której po chwili użył jako opaski uciskowej.

Paul wycofał samochód przez ciągle opuszczoną bramę. Nikt nie strzelił. Starał się

opanować oddech, ale było to trudne. Jego ciało było przeładowane adrenaliną. Splunął przez okno, nie zdejmując nogi z gazu. Łzy ściekały mu po twarzy.

- Jamie, teraz wstań. Muszę cię zobaczyć.

Jego syn ukazał się w tylnym lusterku. Paulowi przez chwilę zdawało się, że został zastrzelony w domu, a teraz przeżywa wizje napędzane fantazją ostatnich chwil życia. Ale ta chwila nie miała końca. Opanował samochód. Jamie naprawdę był z tyłu. Był z nim. Paul pomyślał o Carol, która czekała na niego, *na nich*, w domu. Przez chwilę widział jej twarz rozświetloną radością, której już tak dawno nie zaznali. Paul wyciągnął rękę do tyłu, a Jamie ją chwycił. Mocno.

*

Droga gruntowa zmieniła się z czasem w żwir, aż wreszcie wyjechali na asfalt. Dotarli na główną autostradę i razem z innymi pojazdami kierowali się na północ. Meksykański wiatr wpadał przez otwarte okna. Kordon samochodów federalnych minął ich po drodze, jadąc na południe z włączonymi światłami i syrenami. Paul zerknął do tyłu na syna, który spoglądał przez okno. Na twarzy chłopca gościło niezrozumienie i pustka.

Użyli brudnych koszulek i resztek wody, żeby choć trochę doprowadzić się do porządku. Behr zawiązał szmatę wokół poszarpanego ramienia. Jechali dalej, spoglądając co jakiś czas na zewnątrz i na siebie nawzajem.

Już niedługo będą na granicy.

PODZIĘKOWANIA

Autor chciałby podziękować Dale Wunderlich, Michaelowi Levien i Arthurowi Nascarella za udostępnienie swojej wiedzy związanej z prawem i prywatnymi detektywami. Ci trzej mężczyźni zawsze podążają za prawdą, a ich wkład był bezcenny.

SŁOWNIK ZWROTÓW HISZPAŃSKICH

C

callate, burro! - zamknij się ośle

cerrado - zamknięte

chicos - mali chłopcy

cierra la boca - zamknij mordę

coyote - kojot

cuanto tiempo (w książce - *cuando tiempo*) - ile czasu

E

el rancho de los caballitos - ranczo z konikami

entiendes - rozumiesz

eres mi posesion, eres mi tesoro, eres mi carne... - jesteś moim pożądanym, moim skarbem, moim mięsem

esta bien. Todo es tranquilo - jest dobrze, wszystko jest w porządku

F

finca - zagroda, ranczo

H

hay una nueva contrasena hoy - to jest nowe hasło na dzisiaj

hijo de puta - skurwysyn

L

lo que quieras - co tylko chcesz

M

maquiladoras - osoby robiące makijaże

mierda - gówno

N

necesita algo usted? - potrzebują państwo czegoś?

no queremos - nie chcemy

P

pajarito - ptaszek

patron - szef, opiekun, boss

pollero - ktoś kto zajmuje się sprzedażą lub utrzymaniem z kurczaków

R

rubio - blondyn

ruta - droga, ścieżka

T

todos saben... - wszyscy wiedzą

Q

que paso? - co się stało

que quieren - co chcą (jakieś osoby)

que quieren ustedes aqui - czego państwo tutaj szukają

quiero visitar - chcę odwiedzić

U

un ratito - chwileczkę

Y

yo lo necesito - potrzebuję (tego)